

Grzegorz GROCHOWSKI

Wstęp
6 Cogito i historia szyszynki

Anna WIERZBICKA

Szkice
13 Uniwersalia ugruntowane empirycznie

**Włodzisław Wsiewołodowicz
IWANOW**

43 Neurosemiotyka mowy ustnej
a funkcjonalna asymetria mózgu
Przeł. D. Ulicka, współpr. J. Kordys,
W. Grajewski

Daniel HELLER-ROAZEN

60 Zwierzę mniej doskonałe
Przeł. M. Mrozik

Hanna K. ULATOWSKA

75 Narracja w doświadczeniu ludzkim
Przeł. A. Kinecka, B. Zakrzewski

Jan KORDYS

92 O języku, mózgu, ekstacyjnych stanach
religijnych i twórczości artystycznej

**Włodzisław Wsiewołodowicz
IWANOW**

Prezentacje
134 O ewolucji przekształcania i przekazywania
informacji we wspólnotach ludzkich
i zwierzęcych
Przeł. D. Ulicka, współpr. J. Kordys,
W. Grajewski

Michael C. CORBALLIS

151 Neurony lustrzane i ewolucja języka
Przeł. M. Mrozik

**Hanna K. ULATOWSKA,
Gloria Streit OLNESS**

Dociekania
183 Kilka uwag o znaczeniu badań nad afazją
dla teorii narracji
Przeł. A. Kinecka, B. Zakrzewski,
współpr. J. Kordys, G. Grochowski

Danuta KĄDZIELAWA

190 Afazja i jej mózgowe mechanizmy

Katarzyna KACZMARCZYK

199 Ogród – neurosemiotyka – ideologia

Jerzy BARTMIŃSKI

218 Portrety
Droga naukowa Anny Wierzbickiej.
Od składni polskiej prozy renesansowej
do semantyki międzykulturowej

Katarzyna CHMIELEWSKA

239 Roztrząsania i rozbiory
Propheta in patria sua

Michał MRUGALSKI

244 Bachtin i powszechna abolicja

Maria PRUSSAK

253 Głos, czyli wszystko

Agnieszka WRÓBEL

258 Ekscesy (andro)tekstu

Paweł ZAJAS

265 Komentarze
Wokół *Kapuściński non-fiction*.
Próba podsumowania
i ewaluacji dyskusji

Grzegorz WOŁOWIEC

279 O Domostawskim i jego krytykach

Agata PRZYBYLSKA

289 Interpretacje
Don Ildebrando w świetle iettatury. Próba
interpretacji etnologicznej opowiadania
Gustawa Herlinga-Grudzińskiego

Hanna BUCZYŃSKA-GAREWICZ

345 Przechadzki
Gombrowiczowskie żarty z Heideggera

Henryk MARKIEWICZ

355 Polemiki
Niemożliwa, ale niezbędna

Marian PŁACHECKI

361 Przebieram nogami

370 Noty o autorach

Grzegorz GROCHOWSKI

Anna WIERZBICKA

Clifford GEERTZ

**Wiaczesław Wsiewołodowicz
IWANOW**

Daniel HELLER-ROAZEN

Hanna K. ULATOWSKA

Jan KORDYS

Pierre-Yves OUDEYER

**Wiaczesław Wsiewołodowicz
IWANOW**

Michael C. CORBALLIS

**Hanna K. ULATOWSKA,
Gloria Streit OLNESS**

Danuta KĄDZIELAWA

Katarzyna KACZMARCZYK

Wstęp

6 Cogito i historia szyszynki

Szkice

13 Uniwersalia ugruntowane empirycznie

31 Kultura, umysł, mózg
Przeł. A. Dziadek, J. Kordys

43 Neurosemiotyka mowy ustnej
a funkcjonalna asymetria mózgu
Przeł. D. Ulicka, współpr. J. Kordys,
W. Grajewski

60 Zwierzę mniej doskonałe
Przeł. M. Mrozik

75 Narracja w doświadczeniu ludzkim
Przeł. A. Kinecka, B. Zakrzewski

92 O języku, mózgu, ekstacyznych stanach
religijnych i twórczości artystycznej

Prezentacje

107 Samoorganizacja w ewolucji mowy
Przeł. A. Dziadek

134 O ewolucji przekształcania i przekazywania
informacji we wspólnotach ludzkich
i zwierzęcych
Przeł. D. Ulicka, współpr. J. Kordys,
W. Grajewski

151 Neurony lustrzane i ewolucja języka
Przeł. M. Mrozik

Dociekania

183 Kilka uwag o znaczeniu badań nad afazją
dla teorii narracji
Przeł. A. Kinecka, B. Zakrzewski,
współpr. J. Kordys, G. Grochowski

190 Afazja i jej mózgowo mechanizmy

199 Ogród – neurosemiotyka – ideologia

Jerzy BARTMIŃSKI

- 218** Droga naukowa Anny Wierzbickiej.
Od składni polskiej prozy renesansowej
do semantyki międzykulturowej

Katarzyna CHMIELEWSKA

- 239** *Propheta in patria sua*

Michał MRUGALSKI

- 244** Bachtin i powszechna abolicja

Maria PRUSSAK

- 253** Głos, czyli wszystko

Agnieszka WRÓBEL

- 258** Ekscesy (andro)tekstu

Paweł ZAJAS

- 265** Wokół *Kapuściński non-fiction*.
Próba podsumowania
i ewaluacji dyskusji

Grzegorz WOŁOWIEC

- 279** O Domostawskim i jego krytykach

Agata PRZYBYLSKA

- 289** *Don Ildebrando w świetle iettatury*. Próba
interpretacji etnologicznej opowiadania
Gustawa Herlinga-Grudzińskiego

Witold GOMBROWICZ

- 313** Listy do Jerzego Pietrkiewicza. Wprowa-
dzenie: Tul'si Kamila Bhambry

Witold GOMBROWICZ

- 329** Nieznane artykuły z „Kuriera Porannego”.
Wprowadzenie: William Leidy
Przeł. B. Roehr

Hanna BUCZYŃSKA-GAREWICZ

- 345** Gombrowiczowskie żarty z Heideggera

Henryk MARKIEWICZ

- 355** Niemożliwa, ale niezbędna

Marian PŁACHECKI

- 361** Przebieram nogami

- 370** Noty o autorach

Portrety

Roztrząsania i rozbiory

Komentarze

Interpretacje

Archiwalia

Przechadzki

Polemiki

	Foreword	
Grzegorz GROCHOWSKI	6	<i>Cogito and the history of pineal gland</i>
	Essays	
Anna WIERZBICKA	13	<i>Empirically grounded universals</i>
Vyacheslav Vsevolodovich IVANOV	43	<i>Neurosemiotics of speech and functional brain asymmetry</i> Trans. <i>D. Ulicka</i> , coop. <i>J. Kordys</i> , <i>W. Grajewski</i>
Daniel HELLER-ROAZEN	60	<i>The lesser animal</i> Trans. <i>M. Mrozik</i>
Hanna K. ULATOWSKA	75	<i>Narrative in human experience</i> Trans. <i>A. Kinecka</i> , <i>B. Zakrzewski</i>
Jan KORDYS	92	<i>Language, the brain, states of religious ecstasy, and artistic creativity</i>
	Presentations	
Vyacheslav Vsevolodovich IVANOV	134	<i>On the evolution of transforming and transmitting information in the groups of animals and human beings</i> Trans. <i>D. Ulicka</i> , coop. <i>J. Kordys</i> , <i>W. Grajewski</i>
Michael C. CORBALLIS	151	<i>Mirror neurons and the evolution of language</i> Trans. <i>M. Mrozik</i>
	Investigations	
Hanna K. ULATOWSKA i Gloria STREIT OLNESS	183	<i>Some observations on narratives by aphasics and their contributions to narrative theory</i> Trans. <i>A. Kinecka</i> , <i>B. Zakrzewski</i> , coop. <i>J. Kordys</i> , <i>G. Grochowski</i>
Danuta KĄDZIELAWA	190	<i>Aphasia and its cerebral mechanisms</i>
Katarzyna KACZMARCZYK	199	<i>Garden – neurosemiotics – ideology</i>

Jerzy BARTMIŃSKI

218 Portraits
Anna Wierzbicka: from polish
renaissance prose syntax to intercultural
semantics

Katarzyna CHMIELEWSKA

239 Discussions and Analyses
Propheta in patria sua

Michał MRUGALSKI

244 Bakhtin and general abolition

Maria PRUSSAK

253 The voice that is everything

Agnieszka WRÓBEL

258 (Andro-)textual frolics

Paweł ZAJAS

265 Commentaries
Around *Kapuściński non-fiction*.
Evaluating the discussion

Grzegorz WOŁOWIEC

279 Domostłowski and his critics

Agata PRZYBYLSKA

289 Interpretations
Don Ildebrando and 'ietatura'

Hanna BUCZYŃSKA-GAREWICZ

345 Wanderings
Gombrowicz jesting at Heidegger

Henryk MARKIEWICZ

355 Polemics
Impossible but indispensable

Marian PŁACHECKI

361 Going overboard

370 Authors' Biographical
Notes

Grzegorz GROCHOWSKI

Anna WIERZBICKA

Clifford GEERTZ

Vyacheslav Vsevolodovich IVANOV

Daniel HELLER-ROAZEN

Hanna K. ULATOWSKA

Jan KORDYS

Pierre-Yves OUDEYER
i

Vyacheslav Vsevolodovich IVANOV

Michael C. CORBALLIS

Hanna K. ULATOWSKA
i Gloria STREIT OLNES

Danuta KĄDZIELAWA

Katarzyna KACZMARCZYK

Foreword

6 Cogito and the history of pineal gland

Essays

13 Empirically grounded universals

31 Culture, mind, brain
Trans. A. Dziadek, J. Kordys

43 Neurosemiotics of speech and functional
brain asymmetry
Trans. D. Ulicka, coop. J. Kordys,
W. Grajewski

60 The lesser animal
Trans. M. Mroziak

75 Narrative in human experience
Trans. A. Kinecka, B. Zakrzewski

92 Language, the brain, states of religious
ecstasy, and artistic creativity

Presentations

107 Self-organisation in the evolution of speech
Trans. A. Dziadek

134 On the evolution of transforming
and transmitting information in the groups
of animals and human beings
Trans. D. Ulicka, coop. J. Kordys,
W. Grajewski

151 Mirror neurons and the evolution
of language
Trans. M. Mroziak

Investigations

183 Some observations on narratives
by aphasics and their contributions
to narrative theory
Trans. A. Kinecka, B. Zakrzewski,
coop. J. Kordys, G. Grochowski

190 Aphasia and its cerebral mechanisms

199 Garden – neurosemiotics – ideology

Jerzy BARTMIŃSKI

218 Portraits
Anna Wierzbicka: from polish
renaissance prose syntax to intercultural
semantics

Katarzyna CHMIELEWSKA

239 Discussions and Analyses
Propheta in patria sua

Michał MRUGALSKI

244 Bakhtin and general abolition

Maria PRUSSAK

253 The voice that is everything

Agnieszka WRÓBEL

258 (Andro-)textual frolics

Paweł ZAJAS

265 Commentaries
Around *Kapuściński non-fiction*.
Evaluating the discussion

Grzegorz WOŁOWIEC

279 Domosławski and his critics

Agata PRZYBYLSKA

289 Interpretations
Don Ildebrando and 'iettatura'

Witold GOMBROWICZ

313 Archive
Letters to Jerzy Pietrkiewicz.
Introduction: Tul'si Kamila Bhambry

Witold GOMBROWICZ

329 Rediscovered articles from
Kurier Poranny.
Introduction: William Leidy
Trans. B. Roehr

Hanna BUCZYŃSKA-GAREWICZ

345 Wanderings
Gombrowicz jesting at Heidegger

Henryk MARKIEWICZ

355 Polemics
Impossible but indispensable

Marian PŁACHECKI

361 Going overboard

370 Authors' Biographical
Notes

Cogito i historia szyszyнки

Przywykliśmy już chyba na dobre do synkretycznego, ponadresortowego charakteru współczesnych dociekań poznawczych, wykraczających poza ramy określonych specjalizacji, rozwijanych niejako „w poprzek” wcześniejszych podziałów kompetencyjnych. Wprawdzie tradycyjne fakultety wciąż pozostają formami instytucjonalnej organizacji życia naukowego, ale o faktycznych zakresach merytorycznych zainteresowań lepsze wyobrażenie dają przyrastający lawinowo ciąg kontaminacji nazewniczych, takich jak „neurosemiotyka”, „somatoestetyka”, „ginokrytyka”, „etnoretoryka”, „geopoetyka”, „semantyka kognitywna”, „gramatyka komunikacyjna”, „psychologia ewolucyjna”, „stylistyka afektywna”, „poetyka kulturowa” czy „antropologia performatywna”. Popularność podobnych zbitków słowotwórczych świadczy niewątpliwie o szeroko podzielanym pragnieniu poszerzenia horyzontów poznawczych, ale w poszczególnych wypadkach wskazuje na bardzo zróżnicowane dążenia – czasem sygnalizuje współpracę dwóch koncepcji doraźnie zainteresowanych tym samym materiałem, kiedy indziej świadczy o reorientacji modelu metodologicznego, a w pewnych wypadkach nawet o przeprofilowaniu całego obszaru badawczego na podobieństwo jakiejś dziedziny ościennej. Bywa, że terminologiczne zestawienia pozostają tylko impulsami eksperymentu myślowego, ale mogą też wyznaczać pole wymiany doświadczeń w ramach szerszego projektu badawczego. Najbardziej fortunne koncepty utrwalają się zaś jako nazwy określonych praktyk, dając nawet początek nowym subdyscyplinom. Można by częściowo zgodzić się z wątpliwościami metodologicznymi „segregacjonistów”, uznających nieregularność pojęciowych transferów za przyczynę różnych dylematów, gdyż nie zawsze daje się ustalić, czy chodzi o momentalne poruszenie wyobraźni, czy raczej o wypracowanie nowej metodologii, problematyki, bądź nawet całej dziedziny, a w samym asamblażu trudno jednoznacznie rozpiąć odpowiednie role – cechy swoistej i rodzaju nadrzędnego. Ryzyko niedookreślenia relacji wewnątrz zestawień i lekkiego rozchwiania systematyzacji wciąż jednak okazuje się argumentem zbyt słabym (skoro i tak żyjemy – jak w klasycznym już szkicu pisał niegdyś Clifford Geertz – w „skotłowanym” świecie form „zmqconych”) wobec szansy na wypróbowanie nowych perspektyw i na uchwycenie nieprzewidywanych zależności we własnym polu odniesień.

Nawet jednak na tle powszechnego ożywienia ruchu myśli w różnych strefach przygranicznych, znamienny wydaje się niezaprzeczalny prymat językoznawstwa, które wyłoniło z siebie cały konglomerat specjalności i paradygmatów, niejako rozszczepiając się na „psycho-”, „socio-”, „inter-”, „neuro-”, „etno-”, „meta-”, „eko-”, „antropo-” oraz „pragmalingwistykę”, jak też na lingwistykę tekstualną, doświadczeniową, kontrastywną, ewolucyjną, komputerową, generatywną, kognitywną, krytyczną, kulturową, feministyczną, interakcyjną, aksjologiczną, a wszystkie te dookreślenia najpewniej listy nie wyczerpują. Cudowne rozmnożenie subdyscyplin, choć może na pierwszy rzut oka sprawiać wrażenie groteskowego nadmiaru, nie daje się zredukować do poziomu symptomatologii dyskursu akademickiego (na przykład jako domniemana oznaka przejściowej dezorientacji, objaw zatrucia oparami snobizmu, czy skutek braku instytucjonalnej koordynacji) i świadczy o zmianie profilu wielu ujęć, rezygnujących z prymatu jednorodnych wyjaśnień kodowych na rzecz uprzywilejowania inferencyjnych modeli komunikacji. Jeśli całkiem jeszcze niedawno za miarę wartości prac językoznawczych powszechnie uznawano (a w różnych ośrodkach nadal się uznaje) wyraziste określanie odrębności zjawisk i oddzielanie płaszczyzn analizy, to dziś wyraźnie przybywa autorów, którzy przyjmują aksjomat płynności rozróżnień, kwalifikację znakowych sygnałów uzależniając od poznawczo-interakcyjnych uwarunkowań, a w badanym materiale szukają przede wszystkim związków, analogii i oddziaływań, splatających różne porządki w całościowej konfiguracji. Co bardziej radykalni zwolennicy myślenia „kontynualnego” twierdzą nawet, że skoro dopiero włączenie danych bodźców w kontinuum doświadczenia umożliwia ich identyfikację i stabilizację, to nie ma sensu myśleć o jakichkolwiek elementach jako znakach w oderwaniu od ich parametrów kontekstowych, ani też traktować języka jako oddzielnego przedmiotu, izolowanego od przygodnych uwikłań.

Przy tak rozbieżnych oczekiwaniach nie dziwi zasadnicze zróżnicowanie całościowych rozpoznań stanu współczesnej refleksji nad językiem – kiedy jedni konstatują zatarcie różnic metodologicznych i ekumeniczne zlanie się konkurujących niegdyś tradycji w szerokim nurcie badań nad komunikacją, inni dostrzegają spotęgowany izolacjonizm, brak

Wstęp

wewnętrznej debaty i rozproszenie zainteresowań; gdy pierwsi z optymizmem obserwują rosnącą popularność refleksji językowej, ostatecznie uwolnionej od ograniczeń ubiegłowiecznego redukcjonizmu, nareszcie zyskującej praktyczną użyteczność i prowadzącej do całościowego rozumienia ludzkiego istnienia, drudzy z troską alarmują, że lingwistyka traci tożsamość, naukowy prestiż i znaczenie w życiu społecznym, wymyslać dyletanckie pseudospecjalności i pogrążając się w chaosie. Podobne kontrowersje i napięcia charakteryzują dziś stan literaturoznawczej autorefleksji, w której postulaty otwarcia na antropologiczne konteksty przeplatają się z niepokojami stronników nowoczesnego profesjonalizmu, utyskujących na rozmycie przedmiotowej specyfiki tekstu literackiego, opartej na przetworzeniach właściwości słownego materiału. Problem polega jednak na tym, że w obrębie którejkolwiek z tych nauk trudno byłoby uzgodnić dziś wspólną, powszechnie aprobowaną wykładnię właściwości i granic języka, która by definitywnie oddzielała cechy znaczeniowe związane z formą zapisu od projekcji wytwarzanych przez umysły interpreterów. Wobec tak zasadniczej niewspółmierności podstawowych założeń raczej nie można dziś oczekiwać definitywnego rozstrzygnięcia sporów o prawomocność wniosków czy choćby ustalenia oczywistych kryteriów regulujących zgodny dialog.

Warto jednak pamiętać, że problematyczność zwyczajowych podziałów i samego pojęcia języka nie jest jakimś rewolucyjnym odkryciem postmodernistycznego pragmatyzmu, kognitywizmu czy kulturocentryzmu, ale już od dawna staje się coraz bardziej oczywistą konsekwencją metodologicznych poszukiwań humanistyki. Szczególnie istotną rolę w tym procesie należałoby zaś przyznać tradycji strukturalnej, która paradoksalnie bywa dziś kojarzona z restrykcyjnym puryzmem i estetyzującym traktowaniem słownych ukształtowań. Już programowy postulat de Saussure'a, by ujmować język jako układ różnic bez pozytywnych składników, zakłada możliwość poszerzenia zastosowań tworzonego instrumentarium. Jeśli bowiem przyjmowano, że analiza lingwistyczna rozpatruje stosunki między członami, abstrahując od ich substancjalnych odniesień, to specyfikę przedmiotu wiązano z kryterium systematycznej artykulacji, samo ukształtowanie materialnych nośników (takich jak dźwięki, słowa, zdania) uznając za kwestię drugorzędną i fakultatywną, co pozwalało szukać podobnych struktur we wszelkich formach aktywności symbolicznej. Taka wykładnia języka stanowiła punkt wyjścia na przykład dla semiotycznych prób opisanego pozawerbalnych porządków sensotwórczych w rodzaju „semiotyki obrazu” czy „języka filmu” (podejmowanych w klasycznych pracach Jurija Łotmana, Władimira Toporowa, Borisa Uspienskigo), czy też dla antropologicznych analiz Claude'a Lévi-Straussa, który reguły pokrewieństwa traktował jako system kategorii, opozycji i norm, umożliwiających komunikację, a zorganizowanych według logicznych mechanizmów ludzkiego umysłu. Dodajmy zaś, że podobne zespolenie badań nad językową kompetencją i poszukiwania uniwersalnych struktur myślowych można też odnaleźć w projekcie gramatyki generatywno-transformacyjnej, przedstawionym swego czasu w pracach Noama Chomsky'ego.

Ani więc sam zwyczaj szukania językowej struktury w innych praktykach, ani zasada odnoszenia charakterystyki tak pomnożonych języków do mechanizmu procesów myślowych, nie stanowi radykalnej nowości i nie prowadzi do rewolucyjnych przemian metodologicznych. Refleksja nad językiem od dawna wykazuje zainteresowanie jego uwikłaniem w różne konteksty oraz uwarunkowaniem przez mechanizmy mentalnej infrastruktury,

i chyba tylko w ramach retrospektywnej projekcji może jawić się jako dyscyplina całkowicie spójna, odrębna, suwerenna. Nie przeczy to realności istotnych przesunięć, choć ich specyfiki należałoby szukać nieco gdzie indziej, ujmując skalę nowości raczej w kategoriach zmian proporcji oraz strategicznych przegrupowań niż jako radykalne zerwanie (tym bardziej, że czasem chodzi o reinterpretacje wcześniejszych propozycji w obrębie jednego kierunku – doskonałym przykładem jest rosyjska szkoła semiotyki, która dzięki dynamice swoich poszukiwań doszła w pewnym momencie do oryginalnego przeformułowania wyjściowych założeń). Gdyby bowiem przesledzić wspomniane kontaminacje, można by w tej niemal kalejdoskopowej grze tymczasowych identyfikacji i odróżnień dopatrzeć się powtarzalności pewnych motywów, nie sięgającej pułapu stałej prawidłowości, ale noszącej znamiona uchwytniej tendencji. Spora część tych pojęciowych transferów wydaje się bowiem jasno znamionować wysilek zmierzający do zbliżenia oddalonych perspektyw, zwyczajowo polaryzowanych przez antynomie idealności i faktyczności, znaczenia i kontekstu, umysłu i cielesności, a tym samym do przekroczenia granic kartezjańskiego dualizmu.

Cała prawie myśl ostatnich dekad odrzuca możliwość oparcia swoich ustaleń na założeniu punktowej, trwałej i samoprzejrzystej podmiotowości, a poszczególne kierunki i orientacje można by różnicować zależnie od tego, w jaki sposób organizują przestrzeń poznawczą, opuszczoną przez kwestionowane cogito. Z odejściem od absolutyzacji autonomicznej świadomości kojarzony jest choćby sam strukturalizm, który zasadniczo rezygnował z odniesienia do sprawczej mocy podmiotu, akcentując rolę bezosobowych struktur, uprzednich wobec subiektywnej identyfikacji, dopiero umożliwiających konstytuowanie się tożsamości poprzez usytuowanie w sieci znaczących relacji.

Mimo kategoriyczności tego przesunięcia, wskazane powyżej strukturalne modele semiotyki i antropologii, wywiedzione z lingwistycznej matrycy, pod wieloma względami (ściśle definiowanie pojęć, staranna segmentacja zjawisk, szukanie najprostszych elementów, skupienie na wymiernych właściwościach przedmiotu, abstrahowanie od przygodnych okoliczności, formalizacja języka opisu, systemowość wyjaśnień, szukanie powtarzalnych regularności i ogólnych porządków) przypominają kartezjańskie poszukiwania niezawodnej metody i „nauki powszechnej” mathesis universalis, mającej zintegrować całość wiedzy o świecie w jednym systemie, ujętym w sposób możliwie jasny i prosty, more geometrico (wspomnijmy choćby semiotyczny kwadrat Greimasa). Można by nawet odnieść wrażenie, że rezygnując z odniesienia do fundatorskiego podmiotu jako centralnego punktu oparcia, strukturaliści wciąż przechowują jego nostalgiczne wspomnienie, wpisane w implikacje przejrzystych, spójnych procedur.

W nowszych ujęciach kontestacja antynomii res cogitans i res extensa zyskuje na ogół jeszcze bardziej wymierną i namacalną postać – na przykład jako zasada regulatywna, nadająca określony kierunek rekonstrukcjom architektoniki umysłu, bądź jako główna przesłanka reorganizacji dyskursu naukowego zgodnie z dyrektywami alternatywnymi wobec kartezjańskiego prymatu metody. Na przykład w poststrukturalizmie kwestia kartezjańskiej podmiotowości powróciła dzięki dyskusji wokół Historii szaleństwa, w której Derrida i Foucault przedstawili zasadniczo przeciwstawne ujęcia, cała polemika odwoływała się jednak do ujęcia decyzji konstytuującej cogito jako retorycznego gestu o podłożu ideologicznym. Kwestionując mit samoprzejrzystej punktowości „ja” i szukając wypartej

inności, poststrukturaliści zwracali się w stronę psychoanalitycznej koncepcji umysłu (kluczową rolę odgrywają tu komentarze Lacana i Derridy do rozważań Freuda o „magicznym bloku”) jako dynamicznego aparatu psychicznego, zawsze już rozszczępionego, napędzanego przez wielotorowe przemieszczenia, określanego przez nakładanie się głębokich wyzłobień i znikliwych odcisków, uruchamiających równolegle różne „ścieżki dostępu” do treści doświadczenia i nigdy nie osiągających ostatecznego zespolenia. Tej wizji umysłu jako dynamicznego splotu śladów, swoistego „znikopisu”, odpowiadał zaś w pewnej mierze także polimorficzny, silnie zmetaforyzowany, nieraz fragmentaryczny sposób kształtowania wywodu.

Niedaleko sytuuje się kognitywizm ze swą ideą doświadczeniowej bazy postrzeżeń, interpretacyjnego poznania i „umysłu wcielonego”, rozparcelowanego na różne schematy, skrypty, scenariusze, w toku konkretnych oddziaływań projektującego amalgamaty, które stapiają różne sfery doznań, łącząc czynniki intelektualne, wolicjonalne, emocyjne czy wyobrażeniowe. Dokonania obu tych nurtów – poststrukturalizmu i kognitywizmu – były już nieraz szeroko omawiane, także na łamach „Tekstów Drugich”, tym razem więc prezentujemy zespół prac, ujmujących relacje między językiem a umysłem z nieco innych perspektyw. Nie reprezentują one jakiejś jednolitej opcji metodologicznej, obejmując zarówno próbkę interpretatywnej antropologii Clifforda Geertza, jak i omówienie z obszaru neuropsychologii Michaela C. Corballisa, ale przy całej swej różnorodności tworzą dość czytelną konfigurację, skupioną wokół zagadnień z pogranicza semiotyki i neurolingwistyki. Z reguły też wszystkie one rozpatrują kategorie poznawcze w kontekście ludzkiego doświadczenia (jak wprost deklaruje tytuł szkicu Hanny Ulatowskiej). W tekstach tych mniejszą rolę odgrywa żywioł spekulatywnych dywagacji, przewagę zyskuje zaś krytyczne poszukiwanie empirycznie uchwytnych prawidłowości – wyraźnie widać to na przykład w sposobie ujęcia problematyki uniwersaliów językowych na gruncie semantycznych poszukiwań Anny Wierzbickiej, która programowo unika apriorycznych uogólnień, starając się wykroczyć poza przygodną zmienność drogą ostrożnego porównywania faktycznych danych.

W szkicach tych widać też świadectwo wyraźnego zbliżenia nauk ścisłych, przyrodniczych i humanistycznych, prowadzącego do zakwestionowania instytucjonalnych ograniczeń oraz poszukiwania wspólnych zagadnień i kategorii ponad zwyczajowymi podziałami (szczególnie znaczących przykładów takiego podejścia dostarczają prace Wiaczesława Iwanowa i Jana Kordysa). Trzeba oczywiście pamiętać, że badania dotyczące takiej pogranicznej, psychosomatycznej problematyki, mogą wzbudzać pewne niepokoje, związane z ryzykiem naturalistycznego uproszczenia czy manipulacyjnego technokratyzmu, wywołując niekiedy skojarzenia z darwinizmem społecznym, eugeniką itp. (część humanistów faktycznie wypowiada się w tym duchu, ewentualne sojusze z innymi naukami uznając za poważne zagrożenie, wiodące nieuchronnie do podporządkowania wiedzy zabsolutyzowanemu kryteriom doraźnego zysku). Otwarcie na inne dyscypliny nie przenosi nas jednak automatycznie do sytuacji metodologicznej sprzed przelomu antypozytywistycznego, kiedy to Hipolit Taine w scjentyistycznej euforii głosił, że „występek i cnota są takimi samymi produktami, jak cukier i kwas siarkowy”. Prezentowane prace unikają pokusy bezrefleksyjnego redukcjonizmu, nie popadając ani w apodyktyczny pozytywizm, ani irracjonalny

woluntaryzm, i zarysowują w polu refleksji linie chiazmatycznych napięć (pytają bowiem zarówno o biologiczne podłoże zjawisk kulturowych, jak też o kulturowe mechanizmy przekształceń biologicznych; opisują mózgowie ośrodki mowy, a zarazem roztrząsają wpływ struktur języka na kształtowanie myśli). Doprowadzają pracę ścisłej analizy aż do granic artykulacji, zachowując zarazem dyskreję wobec tego, co nie poddaje się prostym objaśnieniom.

Taki kierunek poszukiwań pośrednio dałby się wywieść z myśli autora Rozprawy o metodzie, prowadząc poza jej dogmatyczne ograniczenia, choć bez emfazy właściwej post-strukturalistom. Za inicjatora neurosemiotyki można bowiem uznać pół żartem samego Kartezjusza, który mimo przyjęcia dualizmu duszy i ciała uważał, że obie substancje oddziałują na siebie, a jako miejsce tej interakcji wskazywał szyszynkę, uznając ją za swowistą służbę czy też raczej zawór regulujący przepływ „tchnień życiowych” w ciele. Ten drobny gruczoł (określany przez niektórych jako „trzecie oko”) okazywał się w rezultacie szczególnym punktem transmisyjnym między pozaprzestrzenną rzeczywistością duchową a rozciągłą substancją świata materialnego, paradoksalnym siedliskiem bezcielesnej duszy. Przyczyny owej lokalizacji Kartezjusz uważał za oczywiste – skoro wszystkie receptory (oczy, uszy) są podwójne, musi istnieć jeden organ, który łączy płynące z dwóch źródeł wrażenia zmysłowe, szyszynka zaś zdaniem filozofa nie tylko jest jedynym pojedynczym narządem mózgowym, ale też mieści się w środku głowy, co miałoby jej umożliwiać koordynowanie bodźców i myśli. Dalszy rozwój badań nad mózgiem doprowadził jednak do nieco skromniejszego ujęcia funkcji tego tworu – obecnie uznaje się przede wszystkim, że komórki szyszynki produkują melatoninę, substancję określaną jako „hormon snu”, regulującą dobowy rytm zasypiania, podawaną niekiedy jako lek na bezsenność, a mającą też pewien wpływ na tempo wytwarzania komórek płciowych. W tym kontekście niegdyśjsze oczywistości fizjologiczne autora Namietności duszy mogłyby dziś wywoływać uśmiech jako wymowne świadectwo szaleństwa rozumu i przestroga przed zadufanym triumfalizmem „ostatecznych” ustaleń historycznie zmiennej wiedzy. Choć jednak teoria poruszeń życiowych nie ma większych szans na przetrwanie we współczesnej praktyce naukowej, warto docenić metaforyczną celność przeczucia oraz poetycki walor decyzji, by ten właśnie organ uznać za enklawę nieskończoności, otwartą na interwencje ducha, który zresztą – jak wiemy – i tak tchnie kędy chce.

Grzegorz GROCHOWSKI

Redakcja bardzo dziękuje prof. Janowi Kordysowi za opracowanie koncepcji niniejszego numeru „Tekstów Drugich” poświęconego relacjom język – umysł – mózg, wybór tekstów i merytoryczny nadzór nad ich redakcją, natomiast prof. Wincentemu Grajewskiemu za nieoceniony wkład w weryfikację przekładów.

Wstęp

Abstract

Grzegorz GROCHOWSKI

**The Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences
(Warszawa)**

Cogito and the history of pineal gland

The article briefly reviews main tendencies within contemporary linguistics and philosophy of language, emphasizing growing multiplicity of local subfields and interdisciplinary methodologies. The author presents various concepts of human subject, language and brain to set up conceptual framework for the whole volume, as this issue is designed mainly to present variety of contemporary studies of the neural mechanisms in the human brain that control the acquisition, production, and comprehension of language

Anna WIERZBICKA

Uniwersalia ugruntowane empirycznie

I. Między „relatywizmem” a „uniwersalizmem”

Temat „język, umysł, mózg” stawia nas nie przed trzema pytaniami (o język, o umysł i o mózg), ale przed jednym: jaki jest wzajemny stosunek między językiem, umysłem a mózgiem, czy jeszcze konkretniej, jakie jest miejsce umysłu „między językiem a mózgiem”?

Oczywiście, język to pewna fikcja: nie ma „języka” (w liczbie pojedynczej), są tylko języki w liczbie mnogiej, podobnie jak nie ma „kultury” w liczbie pojedynczej, są tylko kultury w liczbie mnogiej. „Mózg” to nie fikcja, ale abstrakcja, gdyż mózgów (ludzkich) jest tyle, ile ludzi. Wszystkie te mózgi mają jednak w zasadzie tę samą strukturę oraz to samo miejsce w ciele człowieka i o „mózgu” (w liczbie pojedynczej) wiadomo bardzo dużo.

Pytanie o miejsce „umysłu” między „językiem” a „mózgiem” jest więc w istocie pytaniem o jego miejsce między językami i kulturami (w całej ich różnorodności) a biologią ludzką (w jej zasadniczej jedności). Do jakiego stopnia i pod jakimi względami umysły ludzkie kształtowane są przez poszczególne języki i kultury, a pod jakimi względami i do jakiego stopnia są uzależnione od wspólnej ludzkiej biologii?

Ogólnie rzecz biorąc, antropologowie bardziej skłonni są podkreślać różnice między sposobami myślenia i odczuwania związane z różnymi językami i kulturami, a psychologowie i filozofowie – jedność ludzkiego umysłu określoną przez wyznaczniki biologiczne i ewolucyjne. Nie zawsze jednak jest tak, jak pokazuje na przykład ostra wewnętrzna polemika na ten temat między dwoma antropologami, Cliffordem Geertzem i Melfordem Spiro. Ogólnie mówiąc, zakres zgody wśród uczonych reprezentujących różne kierunki i różne dyscypliny jest niewielki.

„Wszystko wskazuje na to, że toczy się teraz zażarta bitwa o duszę nauk społecznych” – czytaj: nauk o człowieku – pisali dziesięć lat temu amerykańscy filozofowie Ron Mallon i Stephen Stich [2001, s. 133]. Według Mallona i Sticha walczące w tej bitwie strony to „konstruktywizm społeczny” i „psychologia ewolucyjna”.

Inni autorzy, którzy zgadzają się, że toczy się teraz ostra walka między dwoma przeciwstawnymi podejściami do nauk o człowieku, używają innych określeń. Wpływowy kognitywista, Steven Pinker, lubi odwoływać się tutaj do frazy Locke’a – *tabula rasa*. Dla tego badacza świat naukowy dzieli się na zwolenników i przeciwników owej Locke’owskiej czystej (niezapisanej) tablicy. Pinker, który swoją książkę z 2002 roku zatytułował *The blank slate. The modern denial of human nature*, co w polskim wydaniu z 2005 roku przetłumaczono na: *Tabula rasa. Spory o naturę ludzką*, także odwołuje się często do pojęcia „natura ludzka” (*human nature*). Jego zdaniem, świat naukowy dzieli się na tych, którzy uznają istnienie „natury ludzkiej”, i tych, którzy odrzucają tę koncepcję.

Sam Pinker nie tylko mocno wierzy w istnienie owej „natury ludzkiej”, ale co więcej, jest przekonany, że wiele już wiemy o tym, jakie są jej istotne i uniwersalne cechy. Jest również przekonany, że nauka kognitywna (*cognitive science*) ustaliła już w zasadzie, jak funkcjonuje umysł ludzki (stąd tytuł innej jego książki, z 1997 roku, brzmi: *How the mind works*, a w wydaniu polskim z 2002 roku: *Jak działa umysł*).

O ile w ostatnich dekadach XX wieku w walce „o duszę nauk społecznych” dominowały terminy „relatywizm” i „uniwersalizm”, o tyle w pierwszej dekadzie nowego stulecia przeważają raczej hasła „kultura” i „biologia” (a także „kultura” i „psychologia ewolucyjna”). Istota sporu pozostaje jednak w zasadzie ta sama – co jest ważniejsze: to, co ludzi psychicznie łączy, czy też to, co ich dzieli? To, co wrodzone, czy to, co ukształtowane przez tę czy inną kulturę?

Dla osób postronnych taki sposób stawiania pytań może się wydawać trochę dziwny: dlaczego koniecznie musimy wybierać między kulturą a biologią (albo psychologią ewolucyjną), między uniwersalizmem a relatywizmem, między naturą ludzką a niezapisaną tablicą? Czy nie możemy raczej przyjąć, że w psychologii ludzkiej są zarówno cechy uniwersalne, właściwe gatunkowi ludzkiemu, jak i cechy nieuniwersalne, ukształtowane przez poszczególne kultury? A kiedy już uznamy, że są i jedne, i drugie, czy nie należałoby podjąć badań zmierzających do ustalenia, które to cechy są naprawdę uniwersalne, a które zależą od kultury danej społeczności?

Faktem jest jednak, że mało jest dzisiaj programów badawczych angażujących się jednocześnie w dwa projekty: poszukiwanie uniwersaliów i analiza różnorodności światów myślowych związanych z różnymi kulturami. Z jednej strony ci, którzy – jak Pinker – opowiadają się za biologicznie zdeterminowaną i ewolucyjnie ukształtowaną naturą ludzką, skłonni są bagatelizować różnice kulturowe i traktować je, według często używanego określenia, jak „lukier na cięcie” (*icing on the cake*). Z drugiej strony ci, którzy – jak Clifford Geertz lub Richard Shweder [1991] – uznają, że różnice w sposobach myślenia związane z różnymi kulturami są

głębokie, a nie trywialne, na ogół bardziej interesują się dokumentowaniem tych różnic i demaskowaniem fałszywych uogólnień na temat ludzkiej natury i psychologii niż poszukiwaniem autentycznych uniwersaliów.

Tę pewną jednostronność adwersarzy dobrze ilustrują właśnie postawy Pinkera i Geertza. „Uniwersalia” psychologiczne postulowane przez Pinkera są często wzięte wprost z jego ojczystej angielszczyzny i uderzają swoim etnocentryzmem. Na przykład wrodzone i jakoby uniwersalne pojęcie ‘story’ jest w istocie wytworem kultury anglosaskiej i nie ma w ogóle odpowiednika w innych językach świata [zob. Wierzbicka 2010b]. Tego rodzaju pseudouniwersalia są znakomitą ilustracją tezy Geertza, że za „uniwersalizmem” kryje się często głęboki „parochializm”. Z drugiej strony, nieufność Geertza wobec rzekomych uniwersaliów posuwa się tak daleko, że nie pozostawia zbyt wiele miejsca dla prawdziwych uniwersaliów.

Pinker cytuje, z polemiczną intencją, wypowiedź antropologa Leslie White’a [1949], że „znaczna część tego, co nazywane jest powszechnie «naturą ludzką», to po prostu «kultura», przepuszczona przez gęsty spłot nerwów, gruczołów, narządów zmysłu, mięśni itp.” [Pinker 2005, s. 47]. Takie wypowiedzi ilustrują, zdaniem Pinkera, przekonanie, że „tablica jest niezapisana” (*the slate [is] blank*). W istocie jednak White nie mówi, że w s z y s t k o, ale że z n a c z n a c z ę ś ć „tego, co nazywane jest powszechnie «naturą ludzką», to po prostu «kultura»”. Książki samego Pinkera są doskonałą ilustracją słuszności słów White’a.

Na tej samej stronie i z tą samą intencją Pinker [2005] cytuje Geertza:

nasze idee, wartości, czyny, a nawet nasze emocje są, podobnie jak sam nasz system nerwowy, produktami kultury – co prawda są to produkty wytworzone na bazie tendencji, zdolności i predyspozycji, z którymi już się urodziliśmy, lecz mimo wszystko zostały one wytworzone. [Geertz 2005, s. 70]¹

Ponieważ Geertz nie pisze „wiele z naszych idei...”, ale po prostu „nasze idee...”, jest w jego wypowiedzi pewna przesada – i ta przesada daje Pinkerowi mocniejszy punkt zaczepienia niż bardziej wyważone zdanie White’a.

Geertz podkreśla, że nie jest pryncypialnie przeciwny programom badawczym skierowanym na poszukiwanie uniwersaliów:

[...] atak, jaki przypuszczam na wysiłki wyprowadzenia koncepcji bezkontekstowej „ludzkiej natury” z badań biologicznych, psychologicznych, lingwistycznych czy w tym przypadku kulturowych (HRAF i tym podobne), nie powinien być mylony z atakiem na same te badania jako programy badawcze. [Geertz 2003, s. 70]

¹ Tłumaczenie cytatu podajemy za przekładem Marii M. Piechaczek [Geertz 2005]. W dokonany przez Agnieszkę Nowak polskim tłumaczeniu książki Pinkera fragment ten brzmi następująco: „Nasze myśli, wartości i czyny, a nawet nasze emocje są – podobnie jak sam układ nerwowy – wytworami kultury. To prawda, powstają ze skłonności, zdolności i predyspozycji, z jakimi przyszliśmy na świat, ale pozostają tylko wytworami” [Pinker 2005, s. 47], co gorzej oddaje myśl Geertza i nie odpowiada temu, jak rozumie ten cytat Anna Wierzbicka. (Przyp. red.).

Jednak w istocie uwaga jego skierowana jest (była) przede wszystkim na badanie różnic, a nie na poszukiwanie punktów zbieżnych między kulturami. Charakterystycznym przykładem jest tutaj pewna niecierpliwość, z jaką Geertz zbył, na przykład, obserwacje innego antropologa, Hortona [1982], że wszystkie języki i kultury zdają się rozróżniać pojęcia czasowe ‘przedtem’, ‘potem’ i ‘w tym samym czasie’ oraz pojęcia przestrzenne takie, jak ‘nad’, ‘pod’ i ‘wewnątrz’, a także kategorie ontologiczne takie, jak na przykład ‘ludzie’ i ‘rzeczy’.

Empiryczne badania nad językami świata [zob. na przykład Goddard, Wierzbicka 2002] wskazują jednak, że te wymienione czterdzieści lat temu przez Hortona hipotetyczne punkty stałe istotnie należą do autentycznych uniwersaliów językowych i pojęciowych, są zatem czymś zupełnie innym niż pseudouniwersalia w rodzaju tych postulowanych na przykład przez Pinkera.

Wizją Hortona był program badań porównawczych nad różnymi „systemami myślowymi” (*thought-systems*) wpisanymi w różne kultury, program oparty na założeniu, że istnieją pewne elementy wspólne wszystkim kulturom. W jego własnym sformułowaniu, te wspólne elementy to „mocny trzon ludzkiej racjonalności poznawczej wspólnej dla wszystkich kultur we wszystkich miejscach na ziemi i we wszystkich epokach od zarania ludzkiego życia społecznego” [Horton 1982, s. 256]. Horton nazywał ten hipotetyczny wspólny trzon poznawczy „ludzką teorią prymarną”. Zdaniem badacza, idea, że istnieje taki „trzon poznawczy” wspólny całej ludzkości, jest konieczną przesłanką dla kogośkolwiek, kto usiłuje podjąć zadanie przekładu międzykulturowego.

Geertz [2003] w swojej obronie „relatywizmu” (a raczej tego, co sam nazywa „anty-antyrelatywizmem”), wspomina Hortona krytycznie, umieszczając go w jednym obozie z uczonymi, którzy widzą różnice kulturowe jako powierzchowne i trywialne („lukier na cieście”). Jednak Horton opowiadał się wyraźnie przeciwko bagatelizowaniu różnic kulturowych i charakteryzował ekstremistyczne przeciwstawianie sobie „uniwersalizmu” i „relatywizmu” jako postawę jałową i niemądrą. Kończącą konkluzję Hortona – „relatywizm jest skazany na fiasko, podczas gdy uniwersalizm ma w przyszłości szanse odnieść sukces” [Horton 1982, s. 62], na którą ostro zareagował Geertz, trzeba, jak sądzę, rozumieć jako sprzeciw wobec skrajnego, a nie wobec umiarkowanego relatywizmu. W wizji Hortona umiarkowany relatywizm i umiarkowany uniwersalizm są w istocie nie antytezy, lecz komplementarne. Horton odrzucał zarówno „stary empiryczny obraz teorii mózgu jako *tabula rasa*, jak i teorie rozwoju kompetencji umysłowej i językowej odwołujące się wyłącznie do uczenia się (*learning*)” [tamże, s. 235] i mówił o „bezowocności i dogmatyczności starej debaty między ekstremistami po obu stronach” [tamże, s. 235].

Taką właśnie integrację „umiarkowanego relatywizmu” i „umiarkowanego uniwersalizmu” postuluje program badawczy zainicjowany w roku 1972 moją książką *Semantic primitives*, projekt rozwijany od przeszło dwudziestu lat w Australii wspólnie z Cliffem Goddardem i znany dziś w świecie pod nazwą NSM (od Natural Semantic Metalanguage – „naturalny metajęzyk semantyczny”). Badania te różnią się

swoim nastawieniem zarówno od powierzchownego uniwersalizmu typu Pinkera, jak i od pryncypialnego antyuniwersalizmu Geertza. Jednocześnie program ten dzieli zarówno wiarę Pinkera w istnienie wrodzonych uniwersaliów poznawczych, jak i przekonanie Geertza o głębokich, można powiedzieć fundamentalnych, różnicach między etnopsychologiami i etnofilozofiami związanymi z różnymi językami i kulturami świata.

Cechą szczególną tego programu jest połączenie głębokiego zaangażowania w poszukiwanie uniwersaliów z równie głębokim zaangażowaniem w badanie i dokumentowanie różnic w sposobach myślenia związanych z różnymi językami i kulturami. Jest atakowany przez jednych za „uniwersalizm”, a przez innych za „relatywizm”. W istocie jednak program ten zakłada, że „uniwersalizm” i „relatywizm” są nierozłączne, że autentyczne uniwersalia znaleźć można tylko drogą badań empirycznych i że nieetnocentryczne badania nad różnorodnością kultur wymagają aparatu pojęciowego opartego na dobrze udokumentowanych pojęciach uniwersalnych.

Artykuł filozofów Mallona i Sticha *The odd couple. The compatibility of social and evolutionary psychology* [2000] głosi w tytule zgodność (kompatybilność) „konstruktywizmu kulturowego” i „biologii ewolucyjnej”, a więc, w innej wersji, „relatywizmu” i „uniwersalizmu”. W istocie jednak treść artykułu jest jedną jeszcze ilustracją twierdzenia Geertza, że uczeni, którzy głoszą istnienie uniwersaliów poznawczych, skłonni są traktować różnice między etnopsychologiami jako różnice w „lurze na cieście”. Na przykład, jeśli badania empiryczne pokazują, że – wbrew twierdzeniom wielu uniwersalistów – pojęcie ‘anger’ (z grubsza, ‘gniew’) nie jest uniwersalne, to zdaniem Mallona i Sticha wystarczy zastąpić słowo *anger* technicznym wyrażeniem ‘core anger’ (z grubsza, ‘proto-gniew’) i dalej podtrzymywać tezę o uniwersalności tego pojęcia i związanego z nim uczucia.

W programie badawczym opartym na teorii NSM nie chodzi o taką „integrację” biologii i kultury, która jest w istocie kapitulacją wobec płytkiego, anglocentrycznego pseudouniwersalizmu. W dalszej części tego artykułu pokażę, w jaki sposób metodologia NSM pozwala nam porównywać kultury emocjonalne związane z różnymi językami w oparciu o autentyczne, empirycznie ustalone pojęcia proste i uniwersalne, bez absolutyzowania pojęć angielskich takich jak ‘anger’ i bez chwytów takich jak zastępowanie słowa *anger* jego modyfikacjami takimi, jak ‘core anger’ [Mallon, Stich 2000], ‘ur-anger’ [Parrott 2010] albo ANGER [Griffith 1997].

2. Teoria NSM: jedność w różnorodności

Perspektywę na język, umysł i mózg, jaką reprezentuje teoria NSM, przedstawia w skrócie tytuł mojej książki z roku 1992 *Semantics, culture, and cognition. Universal human concepts in culture-specific configurations* (*Semantyka, kultura, poznanie. Uniwersalne pojęcia ludzkie i ich różne konfiguracje związane z różnymi kulturami*). Teoria NSM przyjęła za punkt wyjścia hipotezę Leibniza o istnieniu „alfabetu myśli ludzkich” (*alphabetum cogitationum humanarum*) i uczyniła tę hi-

potezę punktem wyjścia do szeroko zakrojonych badań empirycznych nad językami świata.

Pierwsza lista kandydatów na status pojęć, które znaleźć można we wszystkich językach, była przedłożona w mojej książce *Semantic primitives* [1972] i zawierała tylko czternaście elementów. Po upływie lat bez mała czterdziestu mogę powiedzieć, że z tych czternastu potwierdziło się w badaniach empirycznych dziesięć: JA, TY, KTOŚ, COŚ, TEN, CHCIEĆ, MYŚLEĆ, CZUĆ, MÓWIĆ i CZĘŚĆ.

Jednak badania empiryczne nad językami świata pozwoliły tę pierwotną listę znacznie rozszerzyć. Postulowany obecnie zestaw – najprawdopodobniej już pełny – zawiera 64 elementy. Polskie wykładniki tych elementów podaje poniższa tablica.

Tablica pojęć uniwersalnych

JA, TY, KTOŚ, COŚ, LUDZIE, CIAŁO	rzeczy i osoby
RODZAJ, CZĘŚĆ	relacje
TEN, TEN SAM, INNY	determinatory
JEDEN, DWA, DUŻO, MAŁO, NIEKTÓRZY/NIEKTÓRE, WSZYSCY/WSZYSTKO	kwantyfikatory
DOBRY, ZŁY	ewaluatory
DUŻY, MAŁY	deskryptory
MYŚLEĆ, WIEDZIEĆ/ZNAĆ, CHCIEĆ, CZUĆ, WIDZIEĆ, SŁYSZEĆ	predykaty mentalne
POWIEDZIEĆ/MÓWIĆ, SŁOWO, PRAWDA	mowa
ROBIĆ, DZIAĆ SIĘ/STAĆ SIĘ, RUSZAĆ SIĘ, DOTYKAĆ	czynności, działanie się, ruch, kontakt
BYĆ (GDZIEŚ), BYĆ (ISTNIEĆ), MIEĆ, BYĆ (CZYMŚ/KIMŚ)	miejsce, istnienie, posiadanie, identyfikacja
ŻYĆ, UMRZEĆ	życie i śmierć
KIEDY/CZAS, TERAZ, PRZED, PO, DŁUGO, KRÓTKO, PRZEZ PEWIEN CZAS, CHWILA (W JEDNEJ CHWILI)	czas
GDZIE/MIEJSCE, TUTAJ, NAD, POD, WEWNĄTRZ/W, Z (KTÓREJ) STRONY, BLISKO, DALEKO	przestrzeń
BO/Z POWODU, JEŻELI, NIE, BYĆ MOŻE, MÓC	pojęcia logiczne
BARDZO, WIĘCEJ	augmentator, intensyfikator
TAK (JAK)	podobieństwo

- Pojęcia elementarne istnieją jako specyficzne znaczenia pewnych słów (nie jako jednostki leksykalne).
- Wykładnikami pojęć elementarnych mogą być wyrazy, morfemy albo frazy.
- Wykładniki te mogą być morfologicznie złożone.
- Mogą one mieć w różnych językach różne właściwości morfosemantyczne (na przykład należeć do różnych części mowy).
- Mogą one mieć różne warianty kombinatoryczne (alloleksy).
- Każde pojęcie elementarne ma określony zestaw właściwości syntaktycznych (kombinatorycznych).

Patrząc na tę tablicę, łatwo stwierdzić, że na liście pojęć uniwersalnych znajdują się między innymi postulowane przez Hortona elementy PRZEDTEM, POTEM, NAD, POD i LUDZIE. Jednocześnie nietrudno zauważyć, że nie ma na niej większości pojęć proklamowanych jako uniwersalne przez znanych „uniwersalistów”, takich jak Brent Berlin i Paul Kay [1969], Paul Ekman [2004] czy Marc Hauser [2006], a więc ani nazw kolorów (‘czarny’ i ‘biały’), uczuć (‘gniew’, ‘smutek’, ‘radość’ itd.), ani wartości moralnych, takich jak te związane z nieprzetłumaczalnymi na język polski słowami *right* i *wrong*. Nie ma też na niej absolutyzowanego przez Pinkera pojęcia ‘story’ (‘opowiadanie’).

Nie sposób oczywiście uzasadnić tutaj zestawu pojęć postulowanych jako uniwersalne w teorii NSM. Zainteresowany czytelnik może znaleźć szczegółowe omówienie i uzasadnienie tych elementów gdzie indziej [zob. przede wszystkim Goddard, Wierzbicka 2002; Goddard 2008; Wierzbicka 2010c]. Pewne wyjaśnienia są jednak konieczne. Potrzebne są też przykłady.

Skąd wiadomo na przykład, że pojęcia ‘ktoś’ i ‘coś’ są uniwersalne? Udowodnić tego nie można, ale można pokazać, że szeroki wachlarz języków, z najróżniejszych rodzin językowych i kręgów kulturowych, ma takie rozróżnienie, czyli z grubsza rzecz biorąc, ma osobne słowa na ‘ktoś’ i na ‘coś’. Co więcej, można stwierdzić, że nie znaleziono dotychczas ani jednego języka, który by takiego rozróżnienia nie miał. (Pozornym, ale tylko pozornym, wyjątkiem omawianym w literaturze przedmiotu jest tutaj język litewski, zob. Bogusławski 1998.) Istnienie różnych słów jest mocnym dowodem na istnienie (w myśleniu użytkowników danego języka) różnych pojęć [zob. Dixon 2008].

Zatem postulowanie istnienia 64 elementów uniwersalnych znaczy, że tyle właśnie elementów sprawdziło się w badaniach empirycznych opartych na założeniu, iż istnienie słowa oznacza istnienie pojęcia (albo, w wypadku polisemii, kilku pojęć). Niektórzy oponenci teorii NSM oburzają się na takie utożsamianie zestawu pojęć uniwersalnych z zestawem, mówiąc skrótowo, empirycznie udokumentowanych słów uniwersalnych. Jeżeli w jakimś języku nie ma na przykład słowa na ‘kolor’, nie znaczy to, ich zdaniem, że jego użytkownicy nie mają pojęcia ‘kolor’ [zob. na przykład Kay i Kuehni 2008]. Z punktu widzenia teorii NSM takie stanowisko jest niebezpieczne i bardzo często prowadzi do absolutyzowania pojęć an-

gielskich. Oczywiście, teoretycznie rzecz biorąc, jest możliwe, że użytkownicy jakiegoś języka, w którym nie ma słowa na ‘kolor’, mają wszakże pojęcie ‘koloru’. Ale jakie są dane, by twierdzić, że takie pojęcie mają?

Tak jak ja to widzę [zob. Wierzbicka 2005, 2006b, 2008], jeśli w jakimś języku nie można zapytać „jakiego to jest koloru?”, to nie ma podstaw, by twierdzić, że użytkownicy tego języka myślą o świecie (między innymi) w kategoriach kolorów. Nie znaczy to oczywiście, że nie widzą oni różnych kolorów, tylko że interpretują to, co widzą, w innych kategoriach myślowych. Upieranie się, że ludzie, którzy nigdy nie mówią w swoim języku o kolorach, nie mają słowa na ‘kolor’ i nie są w stanie zapytać „jakiego to jest koloru?”, myślą jednak o świecie w kategoriach kolorów, to moim zdaniem rzutowanie na ich język kategorii myślowych wziętych z innych języków (zwykle z naszego własnego), a więc czysty etnocentryzm.

Twierdzenie, że istnieją 64 „słowa uniwersalne”, a zatem, że istnieją (co najmniej) 64 pojęcia uniwersalne, to twierdzenie empiryczne. Może się okazać oczywiście, że wymaga ono korekty, ale wiadomo, w jaki sposób można je weryfikować i jakie nowe fakty mogłyby wskazać na potrzebę poprawek czy uzupełnień. Twierdzenie, że pojęć uniwersalnych jest o wiele więcej, bo mogą istnieć pojęcia uniwersalne, które w wielu językach nie są „wcielone leksykalnie”, to twierdzenie nieempiryczne i nieweryfikowalne.

3. Globalna kultura myślowa i jej aparat pojęciowy

W tomie *Rationality and Relativism* [Hollis, Lukes 1982], z którym Geertz polemizuje, szczególnie uderzający jest rozdział napisany przez filozofa Ernesta Gellnera. Gellner nie chce, żeby ta wizja człowieka, którą jest gotów przyjąć, była na łasce lub niełasce badań empirycznych (lub pseudoempirycznych) nad językami i kulturami w każdym niedostępnym zakątku świata. Pojęciowa unifikacja świata, którą obecnie obserwujemy, jest jego zdaniem sprawą Nauki (przez duże N), której korzenie tkwią w historii myśli europejskiej: „Pojęciowa unifikacja świata jest dziełem jednego, szczególnego stylu myślenia, który wśród ludzi nie jest uniwersalny, tylko specyficzny dla jednej określonej kultury” [Gellner 1982, s. 200]. Zarazem jednak Gellner podkreśla, że ta nowa globalna kultura myślowa, która szerzy się dzisiaj w świecie, „jest najwidoczniej dostępna dla wszystkich ludzi”.

Geertz komentuje wywody Gellnera ironicznie:

Ernest Gellner dowodzi, że fakt, iż inni ludzie nie wierzą w to, w co wierzymy my, dzieci Galileusza, na temat konstrukcji rzeczywistości nie oznacza, że „jedynie prawdziwa wizja”², w którą wierzymy, nie jest poprawna. Jest tym bardziej poprawna, że inni, łącznie z mieszkańcami Himalajów, są gotowi ją zaakceptować. [Gellner uważa za prawie pewne, że wizja ta istotnie jest jedynie słuszna (*correct*)³] [Geertz 2003, s. 83]

² Geertz cytuje tutaj książkę: E. Gellner *Spectacles and predicaments*, Cambridge University Press, Cambridge 1979 [Geertz 2003, s. 68, 83]. (Przyp. red.).

³ Tego zdania nie ma w polskim tłumaczeniu książki Geertza. (Przyp. red.).

Nie podzielając stanowiska Gellnera, uważam jednak, że jego wywody są bardzo pouczające i że warto poświęcić im chwilę uwagi.

Osobiście, ja też jestem przekonana, tak jak Gellner, że wśród różnych wierzeń na temat rzeczywistości jedne mogą być prawdziwe, a inne fałszywe. Rozumiem też i dzielam nieufność badacza wobec trudnych do sprawdzenia doniesień z badań terenowych na temat przysłowiowego języka Bongo-Bongo. Kiedy na przykład czytam, że jakiś język gdzieś w Nowej Gwinei czy Oceanii nie ma słów na ‘przedtem’ i ‘potem’, na ‘chcieć’ i ‘wiedzieć’ albo na ‘dobry’ i ‘zły’, nie jestem skłonna brać takich doniesień za dobrą monetę.

Analiza semantyczna wielu języków prowadzi do wniosku, że wymienione powyżej elementy są cegiełkami pojęciowymi, bez których nie sposób wyeksplikować znaczeń wielu innych słów ani wyjaśnić sensu wielu zrozumiałych intuicyjnie zdań, a przy pomocy których można to zrobić. Fakt, że elementy te da się bez trudu zidentyfikować w wielu tak różnych językach, jak angielski i japoński, malajski i ewe (Afryka), czy chiński i Yankuntjatjara (Australia), sugeruje, że są to istotnie uniwersalne, fundamentalne cegiełki myśli ludzkiej.

Jednak NSM jest programem nie tylko analitycznym, ale i empirycznym, zatem wszelkie doniesienia na temat poszczególnych języków i kultur traktuje jako zadanie i wyzwanie: wszelkie kłopotliwe dane wymagają weryfikacji i są jej w miarę możliwości poddawane. Gdzie tylko jest to możliwe, weryfikacja taka dokonuje się w konsultacji z nosicielami (*native speakers*) danego języka i kultury.

Czy taka weryfikacja empiryczna może stanowić zagrożenie dla Prawdy i dla Nauki? Zdaniem badaczy związanych z programem NSM Prawda nie potrzebuje się obawiać weryfikacji empirycznej. Co do Nauki, odpowiedź jest mniej prosta, ale w zasadzie i Nauka, żeby być wierna sama sobie, powinna być na taką weryfikację otwarta.

Trudno nie zgodzić się z Gellnerem, że nauka uprawiana i lansowana przez Dzieci Galileusza sprawdza się pod wieloma względami w praktyce, a w szczególności w technologii. Trudno się też nie zgodzić, że to właśnie owa nauka wywodząca się, mówiąc skrótowo, z Galileusza, staje się na naszych oczach nauką globalną i podstawą postępującej unifikacji pojęciowej świata.

Niemniej jednak jest również prawdą, że aparat pojęciowy tej globalnej nauki wywodzi się do pewnego stopnia z języków europejskich, a także, że system pojęciowy wpisany w język angielski odgrywa tutaj rolę szczególną. Ilustrują to, między innymi, trzy kluczowe słowa tytułu mojej książki *Evidence, experience, and sense. The hidden cultural legacy of English* [2010a]. W szczególności, słowo *evidence*, które nie ma odpowiedników w innych językach europejskich, odgrywa we współczesnej nauce rolę bardzo istotną. Stwierdzenie, że pojęcie ‘evidence’ (które różni się w sposób istotny od pojęcia ‘proofs’ – ‘dowody’), wywodzi się z historycznie ukształtowanego systemu pojęciowego angielszczyzny, nie oznacza, że pojęcie to jest jakoś podejrzane albo że należałoby się go pozbyć. Jego triumf we współczesnej nauce światowej jest faktem dokonany i nie miałoby sensu próbować je zde-tronizować. Z drugiej strony, fakt, że to pojęcie, wywodzące się z jednej kultury

i jednego języka, jest obecnie tak ważne w nauce światowej, oznacza, że trzeba je wyjaśniać ludziom, którzy go nie rozumieją.

Gellner podkreśla, że ta szerząca się dziś w świecie kultura myślowa jest najwidoczniej (*evidently*) dostępna dla wszystkich ludzi. Jednakże doświadczenie imigrantów w krajach anglojęzycznych pokazuje, że przyswojenie sobie tej kultury jest zwykle dla nich bardzo trudne [zob. na przykład Besemeres, Wierzbicka 2009]. Takie pojęcia, jak na przykład ‘evidence’ czy ‘fairness’ nie są wchłaniane po prostu z powietrza i jeśli mają być przyswojone, wymagają wyjaśnień. Aby wyjaśniać trudne nowe pojęcia w sposób skuteczny, trzeba tłumaczyć je na pojęcia proste i już dla adresatów zrozumiałe.

Takimi pojęciami prostymi i dla wszystkich zrozumiałymi są w moim przekonaniu te, które znaleźć można w postaci odpowiadających im wyrazów we wszystkich językach świata. Pojęcie ‘evidence’ może być teraz pojęciem globalnym, ale nie jest ono pojęciem powszechnie zrozumiałym. Można je jednak wyjaśnić w sposób powszechnie zrozumiały przy pomocy pojęć prostych i uniwersalnych takich, jak ‘wiedzieć’, ‘widzieć’, ‘tak jak’, ‘ludzie’, ‘bo’, i ‘nie’ [zob. Wierzbicka 2010a, rozdział 3].

Zgadzam się więc z Gellnerem, że kultura myślowa wywodząca się, mówiąc skrótowo, z Galileusza (a również z Locke’a, Newtona itd.) jest *potencjalnie* dostępna dla wszystkich ludzi. Ale jest potencjalnie dla nich dostępna tylko dlatego, że w każdym „Bongo Bongo” znaleźć można te same cegielki myślowe, z których są skonstruowane wszelkie kulturowo i historycznie ukształtowane pojęcia szerzące się dziś w świecie poprzez język angielski.

4. Uniwersalia i pseudouniwersalia

Encyklopedia nauk kognitywnych wydana przez MIT [Wilson, Keil 1999] zawiera listę „uniwersaliów ludzkich” (pojęć, wierzeń i praktyk) zaproponowaną przez antropologa Donalda Browna [1991] i powtórzoną z aprobatą przez Pinkera w jego książce *Tabula rasa*. Z punktu widzenia badań prowadzonych przez wiele lat w ramach teorii NSM lista ta to dobry przykład tego, co po angielsku nazywa się *dog’s breakfast*, a co po polsku można by określić jako „groch z kapustą”. Są na tej liście elementy, które w pełni sprawdziły się w szeroko zakrojonych badaniach empirycznych, na przykład słowa ‘dobry’ i ‘zły’, ‘część’, ‘ten sam’, ‘jeden’, ‘dwa’, ‘ja’ i ‘ty’, ‘miejsce’, ‘czas’ i ‘ruch’ (‘ruszać się’). Jednocześnie jest też na niej wiele elementów, o których od dawna już wiadomo, że choć są one szeroko rozpowszechnione w językach świata, nie są bynajmniej uniwersalne, takich jak ‘biały’ i ‘czarny’ czy pojęcie logiczne ‘i’ (‘koniunkcja’). Są też na niej elementy wywodzące się wprost z języka angielskiego i kultury anglosaskiej, niemające swoich dokładnych odpowiedników w innych językach, takie jak na przykład pojęcie ‘fairness’ [zob. Wierzbicka 2006a].

Taki nonszalancki stosunek do empirycznych badań nad językami i kulturami dobrze pokazuje, o co chodziło Geertzowi, kiedy atakował nie tylko „anty-antyrelatywizm”, ale jakby i samo poszukiwanie uniwersaliów:

Mój własny pogląd [...] zakłada, że [...] większość uniwersaliów (ewentualnie wszystkie) jest tak ogólna, że brak im intelektualnej siły i nie są zdolne wzbudzić zainteresowania, są wielkimi banałami pozbawionymi zarówno szczegółowości, jak i elementu zaskoczenia, finezjności czy objawienia i dlatego są niesłychanie mało użyteczne. [Geertz 2003, s. 172]

Przykładem takich banalnych i bezużytecznych zdaniem Geertza uniwersaliów jest m.in. stwierdzenie, iż „ludzie wszędzie mają określone poglądy na temat różnic między płciami” [tamże].

Podzielał niecierpliwość Geertza wobec „uniwersaliów” wyssanych z palca albo mętnych, nieprecyzyjnych i niepoddających się (albo niepoddawanych) weryfikacji empirycznej. Ale odrzucenie w s e l k i h uniwersaliów jako banalnych, mętnych i nikomu do niczego niepotrzebnych, to moim zdaniem wylewanie dziecka z kąpielą.

Geertz odrzuca ze zrozumiałą niecierpliwością doktrynę Chomsky’ego i Fodora [zob. na przykład Chomsky 1987, Fodor 1981], że dziecko przychodzi na świat z „wrodzonymi algorytmami masowo produkującymi syntaktyczne kategorie i gotowe pojęcia” [Geertz 2003, s. 263] i przeciwstawia jej przekonanie, że dla umysłu dziecka charakterystyczne jest „wytwarzanie znaczeń, poszukiwanie ich, zachowywanie i posługiwanie się nimi; jednym słowem, by przywołać określenie Nelsona Goodman⁴, konstruowanie świata” [tamże, s. 263-264]. Jeśli się zważy, że według twórców doktryny o prefabrykowanych pojęciach (Chomsky’ego i Fodora), nawet pojęcia takie jak ‘biurokrata’ i ‘karburator’ są wrodzone, trudno nie odpowiedzieć się po stronie tezy, że dziecko „konstruuje” znaczenia. Pozostaje jednak pytanie: z c z e g o je konstruuje? *Ex nihilo*? Doktryna Chomsky’ego i Fodora, że wszystkie pojęcia, włącznie z ‘biurokratą’ i ‘karburatorem’, są wrodzone, jest tak dziwaczna, że trudno brać ją na serio. Jednakże hipoteza, że parę dziesiątków pojęć prostych i poświadczonych leksykalnie we wszystkich językach, takich jak ‘jeden’ i ‘dwa’ albo ‘ktoś’, ‘coś’ i ‘ludzie’, ma inny status epistemologiczny niż ‘biurokrata’ czy ‘karburator’, ma moim zdaniem oczywisty sens. Jest rzeczą jasną, że większość języków świata nie ma słów na oznaczenie ‘biurokraty’ i ‘karburatora’, podczas gdy badania empiryczne wskazują, że wszystkie języki mają słowa na ‘jeden’ i ‘dwa’ (choć niekoniecznie na ‘trzy’ lub ‘cztery’) oraz na ‘ktoś’, ‘coś’ i ‘ludzie’ (choć wcale niekoniecznie na ‘zwierzę’). Jest również rzeczą oczywistą, że słowa takie jak ‘biurokrata’ i ‘karburator’ dadzą się zdefiniować w pojęciach prostych, podczas kiedy pojęć takich jak ‘ktoś’ i ‘coś’ zdefiniować się nie da.

Nie będę się spierać o to, czy lista 64 pojęć uniwersalnych podana w zamieszczonej wcześniej tablicy jest czy nie jest „zadziwiająca” albo „relewacyjna”. Pracom zawartym w tomach zbiorowych takich, jak *Meaning and universal grammar* [Goddard, Wierzbicka 2002], *Cross-linguistic semantics* [Goddard 2008] czy *Semantic*

⁴ Geertz cytuje tutaj książkę: N. Goodman *Jak tworzymy świat*, przeł. M. Szczubińska, Fundacja „Aletheia”, Warszawa 1997 [Geertz 2003, s. 254, 264]. (Przyp. red.)

primes and universal grammar [Peeters 2006], które są zarówno empiryczne, jak i analityczne, trudno chyba jednak odmówić precyzji, niemal pedantyczności w dociekaniach i argumentacji.

Przed wszystkim jednak chciałabym wyjaśnić, dlaczego lista pojęć uniwersalnych oparta na rzetelnych badaniach empirycznych nie tylko nie jest „nikomu do niczego niepotrzebna”, ale może służyć jako praktyczne narzędzie w komunikacji międzykulturowej, w stosunkach międzynarodowych, w prawie, w oświacie, w kształceniu międzykulturowym zarówno rzesz imigrantów, których pełen jest dzisiejszy przemieszany etnicznie świat, jak i rdzennej ludności krajów, do których owe rzesze imigrantów przybywają itd.

We współczesnym świecie, w którym dominującą rolę odgrywa język angielski, zachodzi przede wszystkim nagła potrzeba „inkulturacji” milionów ludzi w świat myślowy języka angielskiego. Jego uprzywilejowana pozycja w dzisiejszym świecie może się wydawać czymś niesprawiedliwym, ale jest ona niewątpliwie faktem dokonanym. „Inkultuacja” w takie pojęcia, jak ‘evidence’, ‘fairness’, ‘privacy’, ‘reasonable’, ‘story’ czy ‘well...’ i w związane z tymi pojęciami rutyny konwersacyjne, reguły interakcji i praktyki społeczne, jest praktyczną potrzebą dla milionów imigrantów do krajów języka angielskiego, a także dla milionów innych ludzi, dla których angielski nie jest językiem ojczystym, ale którzy muszą się nim posługiwać w kontaktach z ludźmi z innych krajów i innych kręgów kulturowych.

5. Potrzeba wspólnej miary i wspólnego języka

Mosty pojęciowe między ludźmi z różnych kręgów językowych i kulturowych muszą opierać się, w ostatecznym rachunku, na pojęciach prostych i uniwersalnych, które mogą być zarazem *tertium comparationis* i *tertium explicationis*.

Geertz uznaje na przykład, że ani słowo *liget* z języka filipińskich Ilongotów [omawiane szczegółowo przez Michelle Rosaldo 1980] ani słowo *song* [omawiane szczegółowo przez Catherine Lutz 1988] nie znaczą tego samego, co najbliższe im angielskie słowo *anger* (z grubsza ‘gniew’). Według oponentów [na przykład Spiro 1984, Griffiths 1997, Ekman 2004; Mallon, Stich 2000 etc.] różnice semantyczne między tymi słowami, jeśli w ogóle istnieją, są tak niewielkie, że można je po prostu zignorować. Aby pokazać, że różnice te są realne i wcale niebłahe, trzeba je zidentyfikować. Do tego jednak potrzebna jest wspólna miara. Takiej wspólnej miary dostarcza minijęzyk oparty na pojęciach prostych i uniwersalnych [zob. analizę słów *liget*, *song* i *anger* w Wierzbicka 1992].

Tertium comparationis to wspólna miara dla porównywania pojęć; *tertium explicationis* to wspólna miara dla ich wyjaśnienia. Na przykład, żeby wytłumaczyć imigrantom przybywającym do krajów anglojęzycznych, co znaczy niezrozumiałe dla nich pojęcie ‘frustration’ (na temat którego jest już cała literatura), nie wystarczy posługiwać się katalogiem zbliżonych znaczeniem terminów z ich języka ojczystego, skoro naprawdę bliskich odpowiedników w innych językach nie ma. Można natomiast wyjaśnić to znaczenie imigrantom z dowolnego kraju, posługu-

jąc się komponentami, takimi jak „chcę to zrobić”, „przedtem myślałem, że będę mógł to zrobić”, „teraz myślę, że może nie będę mógł tego zrobić, to źle”, czyli komponentami sformułowanymi w słowach prostych i uniwersalnych [zob. Besemeres, Wierzbicka 2009].

Zarówno porównywanie systemów myślowych, jak i porównywanie pojęć wymaga jakiegoś języka. Widział to dobrze cytowany poprzednio Horton:

jakikolwiek program rozumienia różnych kultur (*cross-cultural understanding*) musi zacząć od przekładu wszystkich zespołów idei, o które chodzi, na terminy jednego „światowego” języka. Dopiero kiedy to zostało zrobione, może się wyłonić schemat podobieństw i różnic. Ale bez pewnego repertuaru porównywalnych pojęć [...], których dostarcza *ex hypothesi* teoria prymarna, nie może być „mostu” do przechodzenia od jednego języka do drugiego, nie może być mowy o przekładzie. [Horton 1982, s. 259]

Mówiąc o języku „światowym”, Horton odwoływał się do praktycznej konieczności używania dla porównań międzykulturowych jednego z języków, które w danym okresie mają status „języków światowych”. „W chwili obecnej [pisał to w roku 1982] zachodnie języki angielski i francuski mają taki status. Posługiwanie się nimi jako instrumentami przekładu [międzykulturowego] jest więc nieuniknione” [tamże, s. 202].

Czterdzieści lat później status głównego światowego języka nauki należy już niewątpliwie do angielskiego. Z punktu widzenia teorii NSM nie oznacza to jednak, że angielski jako taki może być używany jako skuteczne i wystarczające narzędzie przekładu międzykulturowego. Globalny status angielskiego nie oznacza, że jest to język neutralny: jak każdy inny język, język angielski nasycony jest kulturą, w ramach której się ukształtował [zob. Wierzbicka 2006, 2010a].

Precyzyjnym, pojęciowo neutralnym, a zarazem praktycznym metajęzykiem dla przekładu międzykulturowego może być nie angielski jako taki, ale tylko miniangielski, a więc to jądro leksykalno-gramatyczne języka angielskiego, które jest izomorficzne w stosunku do jądra leksykalno-gramatycznego wszystkich innych języków. Właśnie to wspólne leksykalno-gramatyczne jądro wszystkich języków spełnia warunki tej Hortonowskiej „teorii prymarnej”, bez której nie może być mostu do przechodzenia od jednego języka do drugiego.

Teoretycznie takim neutralnym językiem-mostem może być oczywiście nie tylko miniangielski, ale równie dobrze minijapoński, minipolski, minirosyjski czy minizulu. Jednak praktycznie rzecz biorąc, obecny status angielskiego jako pierwszej globalnej *lingua franca* oznacza, czy się nam to podoba, czy nie, że najpraktyczniejszym, a przynajmniej głównym metajęzykiem dla „przekładu międzykulturowego” jest w tej chwili miniangielski.

Oczywiście, to, co jest praktyczne w jednej sytuacji, nie musi być praktyczne w innej. Sięgnijmy jeszcze raz do przykładu pojęcia ‘frustration’. Dla Polaków uczących się angielskiego najpraktyczniejszą może być polska wersja NSM, z takimi komponentami, jak „chcę to zrobić, nie mogę tego zrobić”; dla Rosjan, wersja rosyjska („ja хочу это сделать, я не могу этого сделать”) itd. Jednak w wielu

innych sytuacjach – na przykład w nauczaniu imigrantów w kraju takim jak Australia, gdzie w jednej klasie mogą się znaleźć ludzie z dziesięcioma czy dwudziestoma językami ojczystymi, najbardziej praktyczna będzie wersja angielska („I want to do it, I can’t do it”).

6. Doświadczenie osób dwujęzycznych

Językoznawstwo generatywne spod znaku Chomsky’ego nie interesowało się różnymi perspektywami na świat wpisanymi w różne języki i uważało różnice między językami za trywialne i powierzchowne. Odcinając się od takiej postawy, wielu językoznawców popada dzisiaj w drugą skrajność, podkreślając tylko różnice i albo ignorując, albo wręcz negując cechy wspólne, w tym również wspólne cechy semantyczne. Nowe dziedziny językoznawstwa znane jako „dokumentacja językowa” (*language documentation*) i „języki zagrożone” (*endangered languages*) w szczególności skupiają się na dokumentowaniu różnic między językami i są nieraz sceptyczne wobec jakichkolwiek uniwersaliów semantycznych. W praktyce takie stanowisko prowadzi zazwyczaj do absolutyzowania kategorii semantycznych języka angielskiego.

Na przykład językoznawca australijski Nicholas Evans [2009] cytuje słowa Wittgensteina: „Filozofia musi przeorać cały język” i komentuje: „Tak, ale który język (które języki)?”. Zdaniem Evansa, „żeby wyciągnąć głębokie wnioski z językowej różnorodności świata potrzebujemy podejścia, które nam pozwoli zbierać dane z szerokiego zakresu języków i syntetyzować je w jeden ogólny model”.

Z takim wezwaniem do „przeorywania” wielu języków świata trudno się nie zgodzić. Powstaje jednak pytanie: w jakim języku będzie się odbywać samo owo „przeorywanie”? A jeżeli w angielskim, to w jaki sposób zapobiegnie się niebezpieczeństwu rzutowania na języki świata kategorii pojęciowych wpisanych właśnie w język angielski i obcych innym językom?

Niezastąpionym źródłem wglądu w ludzkie myślenie i poznanie jest doświadczenie osób dwujęzycznych. Doświadczenie to pokazuje jasno nieadekwatność „zbierania danych” na temat kategorii poznawczych różnych języków świata dokonywane po prostu poprzez język angielski. Dane, o jakie tu chodzi, muszą obejmować m.in. raporty osobiste (*self-reports*) użytkowników danego języka, a takie raporty będą z konieczności formułowane przy pomocy kategorii „lokalnych” (*indigenous*). Żeby je trafnie zinterpretować, nie możemy polegać wyłącznie na „makroangielskim” (nasyconym kulturą anglosaską), musimy również posługiwać się „miniangielskim”, który można przekładać, bez żadnych zmian w znaczeniu, na inne języki.

Cliff Goddard [2007] zakończył swoją analizę wielu wpisanych w różne języki kategorii psychologicznych (takich jak na przykład „umysł”, „dusza”, „pamięć”) taką oto konkluzją:

konstrukty etnopsychologiczne poszczególnych języków, odpowiednio zanalizowane, pokazują bardzo różne „naiwne” modele doświadczenia wewnętrznego. Ponieważ są one zakodowane w słowach mowy potocznej i ponieważ przedstawiają sobą pojęcia „bliskie

doświadczeniu”, takie modele są częścią tego, jak ludzie rozumieją samych siebie i jak sami sobie tłumaczą swoje doświadczenie życiowe. Nie będziemy mogli zrozumieć subiektywnej jakości doświadczenia wewnętrznego ludzi z innych języków i kultur, jeśli nie uda nam się „rozgryźć” takich konstruktów etnopsychologicznych i docenić ich znaczenia. Równie ważne jest przy tym „rozgryzienie” kategorii etnopsychologicznych języka angielskiego (takich jak ‘mind’, ‘emotion’ i ‘memory’; zob. Amberber 2007⁵), na których opiera się, bez żadnej głębszej refleksji nad ich znaczeniem i statusem, anglojęzyczna nauka kognitywna. Analizowanie takich pojęć w terminach semantycznych jednostek elementarnych [*semantic primes*] to skuteczna nowa technika, przy pomocy której można te cele osiągnąć. [Goddard 2007, s. 29]

Kluczową rolę mogą odegrać tutaj dwujęzyczni nosiciele badanej kultury i języka. Trudno od nich oczywiście oczekiwać, żeby sami analizowali swoje myśli i kategorie w terminach jednostek elementarnych, ale mogą oni rozumieć sformułowane w takich jednostkach eksplikacje, poddawać je intuicyjnej weryfikacji i proponować poprawki. Dzięki temu osoby dwujęzyczne mogą być traktowane przez badaczy jako partnerzy w rozmowie, zdolni do rozumienia sensu swoich własnych słów i zdań, zamiast być redukowani do roli obiektów (opisywanych i analizowanych po angielsku, przez anglojęzycznych badaczy) i dostarczycieli „danych”, które to dane mają być przekodowane przez badaczy na techniczną angielszczyznę.

Poza swoją rolę jako partnerzy w rozmowie o ich własnym języku, osoby dwujęzyczne mogą często wiele wnieść do badań zapisując swoje obserwacje i refleksje. W szczególności, pamiętniki językowe, zapoczątkowane rewelacyjną książką Ewy Hoffman *Lost in Translation* [1989] pokazują, że pisarze dwujęzyczni mogą rzucić wiele światła na ludzkie poznanie i myślenie analizując swoje własne doświadczenie. Jak pisze Mary Besemeres, szczególnie podkreślając rolę Ewy Hoffman:

najbardziej uderzający wkład Hoffman do debaty nad stosunkiem między „ja” [*self*] danego człowieka a jego czy jej językiem to wielki nacisk, jaki kładzie ona na to, że każdy język jest oddzielnym światem kulturowym i że kontury tego świata są niewidzialne dla tych, którzy go dzielą, stają się natomiast widoczne, kiedy następuje kolizja z innym takim światem, innym językiem. [Besemeres 2002, s. 41]

Świadectwa osób takich, jak Hoffman, które emigrowały w sferę innego języka, mogą być tak odkrywcze, ponieważ ich autorzy doświadczyli szoku takiej kolizji. Takie świadectwa mówią nam wiele o tym, co się dzieje nie tylko w głowach ludzi „przenoszących się” z jednego języka do innego, ale także w głowach ludzi, którzy żyją na stałe w sferze jednego języka. Bez owego doświadczenia kolizji ludzie zazwyczaj traktują kategorie swojego języka ojczystego jako kategorie samej rzeczywistości. W świecie globalnego panowania języka angielskiego odnosi się to w sposób szczególnie do angielszczyzny.

⁵ Chodzi o tom zbiorowy *The language of memory in a crosslinguistic perspective*, ed. M. Amberber, J. Benjamins, Amsterdam–Philadelphia 2007.

Ponieważ pojęcia, które są częścią języka angielskiego, są często absolutyzowane we współczesnej nauce, filozof belgijski Jaap van Brakel [2004, s. 3] zauważył ironicznie, że bardzo rozpowszechnione jest przekonanie, iż język angielski jest *hardwired*, to znaczy wmontowany w samą strukturę ludzkiego mózgu. Z tą ironiczną uwagą trudno się nie zgodzić. Jednocześnie można powiedzieć, że pewna część języka angielskiego jest istotnie „wmontowana” w ludzki mózg – ta część mianowicie, która ma swój dokładny odpowiednik w pewnej części każdego innego języka naturalnego. Inaczej mówiąc, to, co jest „wmontowane” w ludzki mózg, to wspólne jądro wszystkich języków. Do tego jądra nie należy ani pojęcie ‘biurokraty’, ani takie pojęcia, jak ‘evidence’, ‘fairness’ czy ‘story’. Należą do niego natomiast proste pojęcia, takie jak ‘ktoś’ i ‘coś’, ‘dobry’ i ‘zły’, ‘chcieć’, ‘myśleć’, ‘wiedzieć’ i około 60 innych, razem z ich inherentną minigramatyką. Wrodzoność takiej bazy pojęciowej tłumaczyłaby fakt, że nie znaleziono dotychczas języka, który nie posiadałby słów (albo morfemów) na oznaczenie pojęć z listy owych sześćdziesięciu kilku. Tłumaczyłaby też ona fakt, że chociaż możliwości przekładu i udanej komunikacji międzykulturowej są ograniczone, jednakże ani przekład ani porozumienie międzykulturowe nie są zupełnie niemożliwe. Na tym wspólnym jądrze pojęciowym wszystkich języków może budować, bez etnocentryzmu, nauka i filozofia – nawet w dobie globalnej dominacji języka angielskiego.

Cytowana literatura przedmiotu

- Berlin B., Kay P., 1969, *Basic color terms. Their universality and evolution*, Berkeley, California University Press.
- Besemeres M., 2002, *Translating one's self. Language and selfhood in cross-cultural autobiography*, Oxford: Peter Lang.
- Besemeres M., Wierzbicka A. (eds), 2007, *Translating lives. Living with two languages and cultures*, St Lucia: University of Queensland Press.
- Besemeres M., Wierzbicka A., 2009, *The concept of frustration. A culture-specific emotion and a cultural key word*, w: *Closer to emotions III*, Błachnio A., Przepiórka A. (eds.), Lublin, Wydawnictwo KUL.
- Bogusławski A., 1998, *The semantic primitives 'someone', 'something' and the russian contradistinction -nibud' vs. -to*, w: Grochowski M., Hentschel G. (Hrsg.), *Funktionswörter im Polnischen*, Oldenburg: BIS Verlag.
- Brakel van J., 2004, *The empirical stance and the colour war*, „Divinatio” 20.
- Brown D., 1991, *Human universals*, New York: McGraw Hill.
- Chomsky N.A., 1987, *Language in a psychological setting*, „Sophia Linguistica” 22.
- Dixon T., 2008, *The Invention of Altruism. Making Moral Meanings in Victorian Britain*, Oxford: Oxford University Press.
- Ekman P., 2004, *Emotions revealed*, New York: Henry Holt.
- Evans N., 2009, *Grammar and psychosocial cognition: What linguistic diversity can tell us about social cognition. A paper presented at the Australian National University (25th March 2009)*.
- Fodor J.A., 1981, *Representations: Philosophical essays on the foundations of cognitive science*, Cambridge (Mass.): MIT Press.

- Geertz C., 2003, *Zastane światło. Antropologiczne refleksje na tematy filozoficzne* (2000), przekł. i wstęp Z. Pucek, Kraków: Universitas.
- Geertz C., 2005, *Interpretacja kultur. Wybrane eseje* (1973), przeł. M.M. Piechaczek, Kraków: Wydawnictwo UJ.
- Gellner E., 1982, *Relativism and universals*, w: Hollis M., Lukes S. (eds.), *Rationality and relativism*, Oxford: Blackwell.
- Goddard C., 2007, *A culture-neutral metalanguage for mental state concepts*, w: Schalley A.C., Khlentzos D. (eds.), *Mental states*, vol. 2: *Language and cognitive structure*, Amsterdam/Philadelphia: John Benjamins.
- Goddard C. (ed.), 2008, *Cross-linguistic semantics*, Amsterdam: John Benjamins.
- Goddard C., Wierzbicka A. (eds.), 2002, *Meaning and Universal Grammar. Theory and empirical findings*, vol. 1-2, Amsterdam: John Benjamins.
- Griffiths P.E., 1997, *What emotions really are. The problem of psychological categories*, Chicago: Chicago University Press.
- Hauser M.D., 2006, *Moral minds. How nature designed our universal sense of right and wrong*, New York: Ecco/Harper Collins.
- Hoffman E., 1989, *Lost in translation. A life in a new language*, New York: Dutton.
- Hollis M., Lukes S. (eds.), 1982, *Rationality and relativism*, Oxford: Blackwell.
- Horton R., 1982, *Tradition and modernity revisited*, w: Hollis M., Lukes S. (eds.), *Rationality and relativism*, Oxford: Blackwell.
- Kay P., Kuehni R.G., 2008, *Correspondence*, „Journal of the Royal Anthropological Institute” 14.
- Lutz C., 1988, *Unnatural emotions. Everyday sentiments on a Micronesian atoll and their challenge to Western Theory*, Chicago/London: The University of Chicago Press.
- Mallon R., Stich S.P., 2000, *The odd couple. The compatibility of social and evolutionary psychology*, „Philosophy of Science” 67.
- Parrott W.G., 2010, *Ur-emotions and your emotions. Reconceptualizing basic emotion*, „Emotion Review” 2(1).
- Peeters B.L. (ed.), 2006, *Semantic primes and universal grammar. Empirical evidence from the Romance Languages*, John Benjamins, Amsterdam.
- Pinker S., 2002, *Jak działa umysł* (1997), przeł. M. Koraszewska, Warszawa: Książka i Wiedza.
- Pinker S., 2005, *Tabula rasa. Spory o naturę ludzką* (2002), przeł. A. Nowak, Gdańsk: Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne.
- Rosaldo M., 1980, *Knowledge and passion. Ilongot notions of self and social life*, Cambridge: Cambridge University Press.
- Shweder R., 1991, *Thinking through cultures. Expeditions in cultural psychology*, Cambridge (Mass.)–London: Harvard University Press.
- Spiro M.E., 1984, *Some reflections on cultural determinism and relativism with special reference to emotion and reason*, w: Shweder R.A., LeVine R.A. (eds.), *Culture theory. Essays on mind, self, and emotion*, New York: Cambridge University Press.
- White L.A. 1949, *The science of culture. A study of man and civilization*, New York: Farrar, Straus and Giroux.
- Wierzbicka A., 1972, *Semantic primitives*, Frankfurt: Athenäum.
- Wierzbicka A., 1992, *Semantics, culture and cognition. Universal human concepts in culture-specific configurations*, New York: Oxford University Press.
- Wierzbicka A., 2005, *There are no ‘colour universals’, but there are universals of visual semantics*, „Anthropological Linguistics”, vol. 47, no 2.
- Wierzbicka A., 2006a, *English. Meaning and culture*, New York: Oxford University Press.

- Wierzbicka A., 2006b, *The Semantics of colour. A new paradigm*, w: Biggam C., Kay K. (eds.), *Progress in colour studies*, Amsterdam: John Benjamins, vol. I: 1-24.
- Wierzbicka A., 2008, *Why there are no 'colour universals' in language and thought*, „Journal of the Royal Anthropological Institute” (N.S.) 14.
- Wierzbicka A., 2010a, *Experience, evidence and sense. The hidden cultural legacy of English*, New York: Oxford University Press.
- Wierzbicka A., 2010b, ‘Story’ – *An English cultural keyword and a key interpretive tool of Anglo culture*, „Narrative Inquiry” 20 (1).
- Wierzbicka A., 2010c, *Semantyka. Jednostki elementarne i uniwersalne* (1996), przeł. A. Gład i in., Lublin: Wydawnictwo UMCS.
- Wilson R., Keil F.C. (eds.), 1999, *The MIT Encyclopedia of the Cognitive Sciences*, Cambridge, Mass.: MIT Press.

Abstract

Anna WIERZBICKA
Australian National University (Canberra)

Empirically grounded universals

One of the central debates in human sciences concerns the relation between human universals and human diversity. Some scholars – for example the cognitivist Stephen Pinker – emphasize the unity of human nature and treat the diversity as more or less superficial. Others – for example the anthropologist Clifford Geertz – emphasize the diversity and are sceptical of any proposed universals. The NSM theory of language, culture and cognition developed by the linguists Anna Wierzbicka and Cliff Goddard rejects the “either-or” approaches to universality and diversity and explores cultural diversity with analytical techniques based on empirically grounded universals.

Through decades of cross-linguistic investigations, NSM researchers have identified a set of universal human concepts, lexically embodied, as evidence suggests, in all languages, together with their inherent grammar. In hundreds of descriptive studies, they have applied this approach to the investigation of culturally-shaped systems of meaning, using as their common measure the set of “universal words”, that is, lexically embodied concepts found in the intersection of all sampled languages.

This article argues that the NSM approach can bring a resolution of the stalemate between universalists such as Pinker and relativists (or “anti-antirelativists”) such as Geertz: NSM provides a conceptual basis on which human sciences can build, without ethnocentrism, even in the era of a global domination of English and its use, in scholarship and in education, can facilitate genuine cross-cultural understanding.

Clifford GEERTZ

Kultura, umysł, mózg¹

Antropologia i Psychologia postanowiły wznieść naukę pozytywną, wybierając jako podstawę dwa obiekty, spośród najgłębiej skrytych: w wersji angielskiej to *Culture* i *Mind*, w niemieckiej *Kultur* i *Geist*, we francuskiej *Culture* i *Esprit*. Twory te odziedziczyliśmy po martwych już filozofach, doświadczyły one wzlotów i upadków, naznaczyła je zarówno historia inflacji ideologicznej, jak i retoryczne nadużycia. Mają rozległe i różnorodne zastosowania, co uniemożliwia stabilizację znaczeń lub przekształcenie w swoiste przedmioty naturalne. Choć niejedną raz oskarżano Umysł i Kulturę o zbliżanie się do mistyki czy metafizyki, wielokrotnie skazywano na wygnanie poza granice rygorystycznie pojmowanej nauki, wciąż powracają, gotowe do użycia.

Gdy pojęcia są ściśle powiązane, problemy nie tylko narastają, lecz grożą wybuchem. Proponuje się więc i rozwija mniej lub bardziej skomplikowane i równie nieprawdopodobne ograniczenia albo opisuje się jeden system o bardzo ścisłych („nasyconych”) relacjach wewnętrznych. Ostatnio, wraz z rozwojem nauk kognitywnych, dała się zaobserwować tendencja, by unikać stosowania tych terminów, zastępując je innymi: obwodami neuronalnymi, przetwarzaniem informacji czy systemami programowania. Taktyka ta polega z jednej strony na unikach, a z drugiej – na utrwalaniu stanu zastanego, zarówno w kwestii uwarunkowania myśli przez społeczny kontekst, jak i podmiotowych podstaw znaczenia.

Jeśli zaś chodzi o antropologię, to od samego początku prześladowały ją dwa problemy: mentalnej natury kultury i kulturowej natury umysłu, źle sformułowa-

¹ C. Geertz *Culture, esprit, cerveau*, w: *Une introduction aux sciences de la culture*, dir. F. Rastier, S. Bouquet, PUF, Paris 2002, s. 228-241.

ne czy też po prostu odsuwane na bok. Od rozważań Tylora na temat braków poznawczych prymitywnej religii, refleksji snutej w latach 70. XIX wieku, poprzez pojęcie partycypacji i myśli prelogicznej Lévy-Bruhla, aż do refleksji Lévi-Straussa o *bricolage'u*, mitemach i „myśli nieoswojonej” w latach 60. XX wieku, problem mentalności prymitywnej (pytania, do jakiego stopnia tzw. tubylcy myślą inaczej od tzw. „cywilizowanych”, „racjonalnych” i „naukowych” ludów) wprowadził do teorii etnografii podziały i niejasność. Boas w *The mind of primitive man*, Malinowski w *Micie, magii religii* i Douglas w *Czystości i zmacie* zmagali się ciągle z tym samym problemem: ustanowienia czytelnej relacji pomiędzy tym, co zewnętrzne, i tym, co wewnętrzne; tym, co prywatne, i tym, co publiczne; tym, co osobowe, i tym, co społeczne; tym, co psychologiczne, i tym, co historyczne, związane z doświadczeniem i zachowaniem.

Być może jednak właśnie przypuszczenie, że chodzi tu o określenie relacji łączącej świat mózgu ze światem zewnętrznym, zadecydowało o wyłonieniu się problemu. Od czasu unicestwienia przez Wittgensteina samej idei języka prywatnego, a także idei socjalizacji dyskursu oraz znaczenia, która z tej pierwszej wynikała, sytuowanie umysłu w głowie a kultury na zewnątrz nie odwołuje się już, jak się zdaje, do bezsprzecznych, zdroworozsądkowych oczywistości. Tym, co znajduje się w głowie, jest mózg oraz cały aparat biologiczny. Na zewnątrz są uprzejmości, królowie i wiele innych rzeczy. Nie ma odpowiedzi na przewrotne pytanie postawione przez Andy'ego Clarka (filozofa kognitywnego): „Gdzie kończy się umysł, a gdzie zaczyna się reszta świata?”, podobnie, jak na równie zniechęcające pytanie z przeciwległej perspektywy: „Gdzie kończy się kultura, a gdzie się zaczyna reszta świata?” [1997, s. 213].

Wiele ostatnich prac z dyscypliny, którą nazwano „psychologią kultury”, opierało się na bardziej lub mniej przekonujących, wykorzystujących materiał pochodzący z różnych dyscyplin, próbach ogarnięcia wskazanego wyżej podwójnego dylematu przez ponowne przemyślenie tego, co mentalne, i kwestii znaczenia, stosując terminy mniej restryktywne niż „to jest tu, a tamto – tam”. Same tytuły prac sygnalizujących wyłonienie się tego gatunku – *Culture in mind* [Shore 1996], *Actual minds. Possible worlds* [Brunner 1986], *Thinking through cultures* [Shweder 1991], *The discursive mind* [Harre 1994], *The inner life. The outer mind* [Toulmin 1985], *How institutions think* [Douglas 1986], *Steps toward in ecology of mind* [Bateson 1972], *Ways of world making* [Goodman 1978] – sugerują, że psychologia ta ogarnia wiele spraw, ale żadnej z nich nie zamyka w ostatecznej formule. Ponowne składanie – by raz jeszcze zacytować Clarka, parafrazując tytuł jego książki [*Beeing there. Putting brain, body and world together again*, 1997] – „mózgu, ciała i świata” nie jest jakąś synekurą, ale ambitnym i ogromnym zadaniem. W dużej mierze jest ono już realizowane, a nawet, jak sugeruje niedawny przegląd tej zróżnicowanej materii dokonany przez Michaela Cole'a [1996], mamy do czynienia z powtórnią inauguracją.

Jak zwykle, gdy zmuszeni jesteśmy odejść od przyjętych procedur, pierwszy etap prac należało poświęcić powiązaniu tego, co psychologowie zajmujący się światem wewnętrznym dowiedzieli się na temat ludzkiego rozumowania, uczuć, pamięci,

wyobraźni i procesów decyzyjnych, z tym, co zatroskani o świat zewnętrzny antropologowie dowiedzieli się na temat kreacji sensu, pojmowania go, zastosowania i przekształcania. Wymóg ten przez jakiś czas wydawał się oczywisty, choć okazał się w zadziwiający sposób trudny w realizacji. Chcemy mówić o porzuceniu idei, że mózg *Homo sapiens* jest zdolny do autonomicznego funkcjonowania, że może skutecznie działać jako system kierowany w sposób endogenny i niezależny od kontekstu. Co najmniej od momentu, kiedy (około pół wieku temu) wraz z odkryciem skamieniałości Pithekanropa i stanowisk z początków plejstocenu zaczęto tworzyć szczegółowy opis przedjęzykowych etapów hominizacji (powstania gatunku *Homo sapiens* z jego najważniejszymi atrybutami: małą czaszką, postawą wyprostowaną, umiejętnością wytwarzania narzędzi), fakt, że mózg i kultura ewoluowały wspólnie, że ich istnienie wzajemnie się warunkowało, zmusił nas do odrzucenia koncepcji, w myśl której mózg umożliwia, określa, wzbogaca proces mentalnego funkcjonowania człowieka i nie ma nic wspólnego z takimi artefaktami kulturowymi, jak język, rytuał, technologia, nauczanie i tabu kazirodztwa. Nasze mózgi nie znajdują się w naczyniu, lecz w ciele. Nasze umysły nie znajdują się w ciele, ale w świecie. Świat bowiem nie znajduje się w naszych mózgach, ciałach czy umysłach, to one w nim się znajdują, podobnie jak bogowie, słowa, skały, polityka.

Wszystko to – wspólna ewolucja ciała i kultury, funkcjonalnie niekompletny charakter ludzkiego systemu nerwowego, ingerencja znaczenia w myśl i myśli w *praxis* – sugeruje, że nie zrozumiemy lepiej tego, co biologiczne, psychologiczne i socjokulturowe, gdy układać je będziemy w pewnego rodzaju hierarchiczny łańcuch bytu, rozciągający się od tego, co fizyczne i biologiczne, ku społecznemu i semiotycznemu, gdzie każdy poziom wyłaniający się z niższego i od niego zależny przy odrobinie szczęścia mógłby zostać do niego zredukowany. Postęp nie dokona się także wtedy, gdy ogniwa łańcucha będzie się uznawać za realności nieciągłe, niezależne, zamknięte i izolowane, choć powiązane w sposób zewnętrzny („interfejsem”, jeśli posłużyć się żargonem) przez różne siły czy przypadkowe i niejasne przyczyny. Chodzi raczej o wzajemne ustanawianie się, współkonstruowanie, traktowanie poszczególnych ogniw jako komplementarnych, a nie jako poziomów; jako aspektów, nie jako całości; chodzi więc o pejzaże, a nie – o zamknięte królestwa.

Oto właściwy przedmiot dyskusji. W mniejszym zakresie interesuje nas, że lepiej rozumiemy mechanizmy mózgu, a więc przetwarzanie informacji, rozwój indywidualny, komunikację i zachowania zbiorowe, postrzeganie, emocje, wyobraźnię, pamięć i kształtowanie pojęć, ale też odniesienia, sens, reprezentację i dyskurs, choć w rozproszonym porządku i tylko mimochodem (a także z pewną podejrzliwością, biorąc pod uwagę ich równoczesną obecność) bardziej istotne jest bowiem, iż możliwość zredukowania tych mechanizmów do jednego, pogrupowania ich w osobnych przegródkach bądź połączenia w zunifikowaną Teorię wciąż się oddala. Wydaje się, że nie zmierzamy do wyznaczonego celu, gdzie wszystko łączyłoby się ze sobą: Babel ma się dobrze, a Ja wraz ze Społeczeństwem nie.

Uczestniczymy natomiast w coraz szybszym upowszechnianiu się, a prawdę powiedziawszy, wręcz w zmasowanym ataku tego, co Thomas Kuhn nazwał matry-

camii dyscyplinarnymi (to niejasne nagromadzenie technik, słownictwa, hipotez, instrumentów i egzemplarycznych rezultatów), z których każda, wbrew swej specyficzności i oryginalności czy nawet niewspółmierności, ma coraz silniejszy i ściślejszy wpływ na prędkość, kierunek i kształt innych. Znajdujemy się i zgodnie z przewidywaniami będziemy się znajdować w polu coraz silniej zróżnicowanym przez na pół niezależne a na pół interaktywne dyscypliny czy matryce dyscyplinarne (podobnie jak wspólnoty badaczy kładących na nie nacisk, celebrujących, krytykujących i rozwijających je), adaptujące takie czy inne podejście do badań poświęconych samemu myśleniu i jego źródłom. Właśnie w tym polu – popękanym, heterogenicznym, podlegającym ciągłym zmianom – musimy nauczyć się realizować coś, co nie będzie wspólnym projektem (Freud i Chomsky, Marshall Sahlins i Edward O. Wilson, Gerald Edelman i Patricia Churchland, Charles Taylor i Daniel Dennett nigdy nie zbliżą się na tyle, aby mogło do tego dojść), ale agregatem wzajemnie uwarunkowanych projektów, połowicznie uporządkowanym i policentrycznym.

To właśnie sugerują powyższe rozważania każdemu, kto próbuje (jak ja czynię to teraz) powiązać pewne odkrycia, oszacować niezmiernie interesujące hipotezy, by objąć całość dziedziny tak podzielonej, nieregularnej i odpornej wobec jakiegokolwiek syntezy. W ostatnich latach przywykliśmy posługiwać się pojęciem systemów złożonych, częściowo tylko połączonych oraz samoorganizujących się, wykorzystywanym przede wszystkim w inżynierii i biologii, a także w takim modelowaniu informatycznym, które tworzy symulacje zarówno mrowiska, jak i układów neuronów, rozwoju embrionu czy postrzegania przedmiotów. Nie jesteśmy natomiast jeszcze przyzwyczajeni do rozważania w ten sposób matryc dyscyplinarnych czy interakcji między nimi. Taka dziedzina, jak „psychologia kultury”, włączona już (bądź – w przyszłości) w interakcje między odmiennymi, pełnymi namietności, a nawet zazdrośnymi i nieprzyjaznymi podejściami w opisie naszych „trybów myślenia jako tubylców”, które przeciwstawiają gorliwych promotorów własnych dyscyplin, powinna być głęboko zainteresowana w przyswojeniu podobnej postawy. Nie poszukujemy ścisłej koordynacji działań (i nie znajdujemy jej) ani też ich rozdzielenia na dyscypliny pilnujące swego za wszelką cenę. Poszukujemy natomiast płaszczyzny debaty (i znajdujemy ją), która wyostrezy naszą myśl i stanie się źródłem pogłębionej refleksji. Jeśli jednak myślicie, że obecna sytuacja jest niepokojąca, przygotujcie się na najgorsze.

Aby nadać sprawom konkretny obrót, nieograniczający się do programu czy zbioru postulatów, pozwolę sobie zacytować kilka przykładów z dyskusji, jakie toczyły się ostatnio w antropologii, psychologii i neurologii, a dotyczyły tej jakże nieuchwytniej i heterogenicznej właściwości naszego bezpośredniego doświadczenia (o którym Hume myślał, że było i zawsze powinno być podporządkowane rozumowi), którą jest „namietność” – „emocja”, „uczucie”, „afekt”, „postawa”, „nastrój”, „pożądanie”, „charakter”, „wrażliwość”.

Słowa te określają pewną przestrzeń, a nie oddzielne byty. Zachodzą na siebie, różnicują, kontrastują i porządkują nie wprost, lecz jako podobieństwa rodzinne,

zgodnie z uświęconym wyrażeniem – w trybie politetycznym; problem polega nie tyle na ustaleniu odniesień (zadanie zawsze trudne: gdzie sytuuje się „pragnienie”? Co to jest „nostalgia”?), ile zasięgu i użycia. Zacznę od antropologii, nie tylko dlatego, że w tej dziedzinie dysponuję wiedzą najbardziej dokładną, lecz także dlatego, że mój wkład w tę dyscyplinę doczekał się oskarżenia o „przyczynienie się do przyznania antropologom kultury i symboliczności prawa do rozwijania antropologii Ja i uczucia”, co – jak się wydaje – jest rzeczą godną pożałowania [Chodorow 1999, s. 144]. Jednakże nie chciałbym rozmawiać o moich dokonaniach, które w tym konkretnym przypadku jakby mimochodem sugerowały takie podejście, a nie autoryzowały je w akcie błogosławieństwa lub dyspensy. Interesują mnie prace tych teoretyków namietności i uczuć, których zwie się „kulturalistami” lub badaczami skupionymi na „działaniu symbolicznym”.

Teoretycy ci, wszyscy prowadzący także badania terenowe, wymieńmy Michela Rosaldo, Catherine Lutz, Jean Briggs, Richarda Shwedera, Roberta Levy i Annę Wierzbicką, są w taki czy inny sposób reprezentantami zasadniczo semiotycznego podejścia do emocji, podejścia ujmującego je poprzez znaki i znakowe konstrukcje nadające im – emocjom – formę, znaczenie i funkcję w komunikacji społecznej. Słowa, obrazy, gesty, znaki na ciele, terminologie, historie, rytuały, zwyczaje, pouczenia, melodie i rozmowy nie są tylko nośnikami (odbiciami, symptomami, emanacjami) kryjących się gdzie indziej uczuć, lecz także miejscem, samym ich mechanizmem.

[Jeśli] pragniemy – niezręcznie pisze Rosaldo, wahając się, ponieważ koncepcje tego typu bywają prowokacyjne, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę nasycenie naszego języka psychologicznego kartezjanizmem – zrozumieć, w jaki sposób piosenki, zniewagi czy zabójstwa potrafią poruszyć ludzkie serca, to musimy opracować ich interpretację, wychodząc od uchwycenia relacji między formami ekspresji a uczuciami, związanymi z kulturą i uzyskującymi określone znaczenie w przeżytym doświadczeniu tych właśnie ludzi, z tego właśnie społeczeństwa. [Rosaldo 1980, s. 222]

Gniew-*mènis* Achillesa i wściekłość-*liget* filipińskich łowców głów, tak podobne w aspektach ogólnych i tak użyteczne przy porównaniu, u Rosaldo zyskują właściwą im substancję z „odmiennych kontekstów i [...] odmiennych form życia”. Chodzi o „modele lokalne rozumienia zapośredniczone przez formy kulturowe i logikę społeczną” [tamże].

Opierając się na takiej podstawie, badania mogą się rozwijać w wielu innych kierunkach, których większość była już przedmiotem próbnych analiz. Istnieją studia nad „słownikiem emocji”, którego celem jest odnalezienie znaczenia specyficznych dla danej kultury terminów używanych do określania uczuć, postaw i mentalności. Tak postępuje Rosaldo z pojęciem *liget* pochodzącym z języka *ilon-go* (w rzeczywistości przekład „wściekłość” jest nieadekwatny; bliższe, choć również niewystarczające są takie znaczenia, jak „energia” czy „siła witalna”). Podobnie ma się rzecz z *mènis* w *Iliadzie*, w przypadku którego potrzebne są rozwinięte komentarze, przykłady użycia, odmiany kontekstowe, implikacje w sferze zachowań, terminy wymienne. Wielu antropologów, także ja sam, w podobny sposób

przekładało słowa danego języka na angielski, czyniąc to w sposób etnocentryczny, tendencyjny lub po prostu z lenistwa, jako terminy-klisze afektów *guilt* [wina] i *shame* [hańba]. Anna Wierzbicka, lingwista kulturowy, zauważając, że takie japońskie terminy, jak *enryo* (*grosso modo* dystans w relacji interpersonalnej), *on* (*grosso modo* dług wdzięczności) i *omoiyari* (*grosso modo* życzliwa empatia) [...] mogą nas doprowadzić do samego rdzenia systemu wartości i postaw kulturowych [...], ujawniając całą specyficzną dla danej kultury sieć zależności [...] do jej scenariuszy [*scripts*]”, wskazuje, że podobnie jest w przypadku rosyjskiego (*toska*, „tęskna melancholia”), niemieckiego (*Heimatliebe*, „miłość do miejsca narodzin”), a także tego, co nazywa „wielkim przymiotnikiem australijskim” – *bloody* [1997, s. 16-17, 157, 218]. Także inni badacze doszli do podobnych objaśnień uszczegółowiających w przypadku samońskiego *alofa* – „miłość lub empatia [...] kierowana od dołu do góry, od jednostek o niskim statusie do indywiduów o statusie wysokim” [Shore 1996, s. 301-302]; arabskiego *niya* – „zamiar” [...], „pożądanie” [...], „bez złośliwości” [...], „bez pomieszania” [...], „szczerzy” [Rosen 1984, s. 48] i jawajskiego *rasa* – „percepcja – uczucie – smak – treść – zmysł” [Geertz 1960, s. 238-241; w Geertz 1959 – zwięzłe omówienie ogólnego podejścia].

Oprócz tych studiów nad słownictwem podjęto szerokie badania nad znaczeniami przypisywanymi emocjom oraz – na ile to możliwe – nad zarysem przestrzeni pojęciowej, w której się one rozwijają. Mamy więc badania etnomedyczne nad pojęciami określającymi chorobę, cierpienie, ból, ozdrowienie i zdrowie. Mamy badania etnometaforyczne nad porządkami figuratywnymi, jak opętanie przez duchy, sprowadzanie czarów, rytuały przejścia, które wywołują takie uczucia, jak „opętanie”, „czary” i „przejścia”, by odwrócić klasyczną procedurę Tarskiego. Istnieją badania etnopsychologiczne dotyczące ważności poszczególnych emocji w różnych kulturach oraz i tego, jak dzieci uczą się je odczuwać. Istnieją wreszcie badania etnoestetyczne mitu, muzyki, sztuki oraz odcieni i subtelnej rzeźby życia codziennego. Każde z tych badań czy raczej każdy typ badań ma wartość tylko jako eksploracja bądź inspiracja. Można niektórym zarzucić, że wprowadzają tylko zamieszanie, zamiast wyjaśnienia. Lecz ich wielość, różnorodność, zakres podejmowanych tematów, a zwłaszcza stale rosnąca subtelność obserwacji potwierdzają w sposób zadowalający, przynajmniej w moim odczuciu, zasadność kulturowych podstaw emocji.

Najsilniejsze i najbardziej rozwinięte zarzuty pod adresem teorii kulturalistycznych czy teorii działań symbolicznych zajmujących się badaniem emocji, uczuć czy namiętności, nie przybierają formy wątpliwości co do empirycznej adekwatności ujęć; to nie kwestia niewłaściwej interpretacji, rozstrzygalna na drodze dokładniejszych obserwacji. Zarzuty przyjmują raczej postać oskarżeń wymierzonych w podstawową, wręcz fatalną słabość teorii, mogącą je całkowicie podważyć: chodzi o domniemane zaniedbanie dynamiki „intrapSYchicznej”, a tym samym o ich domniemany brak zainteresowania i niezdolność do zajmowania się sprawstwem, indywidualnością i podmiotowością. Teorie, pisze szczególnie wyczulona w tej kwestii psychoanalityczka Nancy Chodorow,

nie są w stanie ująć w trybie teoretycznym indywidualnych procesów psychologicznych tworzenia sensu, nawet jeśli czynią to z perspektywy etnograficznej [...]. Uchylają się one przed idiosynkratycznymi i odmiennymi sposobami rozwijania się i postrzegania emocji [...]. Przede wszystkim zaś można zapytać o to, w którym momencie dziecko nabywa zdolności czy też nawyku „czytania” ciał danych w wymiarze kulturowym, jeśli nie dokonuje się to w wewnętrznych i psychobiologicznych obszarach jego istoty? [Chodorow 1999, s. 161]

W koncepcji Chodorow, która wpisuje się w nurt analityczny i tradycję bliższą raczej Melanie Klein, Hansowi Loewaldowi czy wczesnemu D.S. Winnicottowi, głębia nieświadomości i „życie intymne” warunkują tryby, w jakich małe dzieci ze skłonnościami do halucynacji stają się opanowanymi przez fantazmaty dorosłymi. Poza królestwami kultury i biologii, jak mówi, istnieje „trzecie królestwo”, którego nie da się naprawdę pojąć (tu autorka cytuje Rosaldo, będącej wraz ze mną głównym celem ataku), „odwołując się do scenariuszy kulturowych i asocjacji, jakie wywołują” czy do „scen kulturowych powiązanych ze szczególnymi emocjami” [Chodorow 1999, s. 164].

W podejściu dążącym do reifikacji emocji – pisze dalej – brakuje zrozumienia tego, co oddziela uniwersalną instynktowność człowieka czy kulturę ogólnoludzką od jej równie uniwersalnej partykularności, a także tego, w jaki sposób to swoiste „pomiędzy” nimi rozwija się i jest przeżywane w sytuacjach interpersonalnych oraz szczególnych – intrapsychicznych, którym projekcje i introjekcje, transfer i kontrtransfer nadają sens personalny. [...] [To, co] psychologiczne [jest] porządkiem swoistym, [jest] *sui generis* [...]. [Tamże, s. 166, 218]

Jednak ta samopogłębiająca się dyscyplina, samowystarczalna, jak wszyscy wiemy, której despotyczne roszczenia mogą nawet życzliwego obserwatora w uzasadniony sposób skłaniać do rezerwy, nie ma monopolu na ten typ krytyki. Każdy, kto interesuje się rozwojem indywiduum, od Jeana Piageta i Lwa Wygotskiego do Jerome’a Brunera i Roma Harrego, żywi podobny niepokój w odniesieniu do koncepcji, która pozostaje obojętna na ontogenetyczną przeszłość jednostki. Problem nie polega na tym, że kulturowe analizy emocji nie potrafią oddać tego, jak daje do zrozumienia Chodorow („swoisty porządek”, „coś pomiędzy”, „*sui generis*”), na czym naprawdę polega przeżywanie w głębi duszy takiego bądź innego afektu. Pytanie sformułowane w ten sposób musi pozostać bez odpowiedzi; w przypadku bólu (lub „bólu”) dzieje się to, co się dzieje. Problem polega na tym, aby dowiedzieć się, w jaki sposób *ménis*, *liget*, *courroux*, *rage*, *toska*, *Heimatliebe*, *on*, *enryo* czy *omoyari* (a także *bloody*) zyskują taką moc, wywołują wstrząs i takie, a nie inne konsekwencje.

Niedawne badania prowadzone zarówno przez psychologów, rozwojowych i porównawczych (Bruner, Janet Astington, David Premack), jak językoznawców i antropologów zajmujących się psychologią (George Lakoff, Carol Feldman, William Frawley, Roy D’Andrade), przyczyniły się do szybkich postępów w tej dziedzinie. Zauważmy przede wszystkim, że wyłoniła się skorygowana koncepcja dziecięcego umysłu – nie chodzi już o rozkwit pełen szumu i konfuzji, zachłanną wyobraźnię

porywaną wbrew sobie przez wir ślepych pożądań czy endogenne algorytmy produkujące łańcuch kategorii syntaktycznych i pojęć gotowych do użycia, ale o koncepcję umysłu wytwarzającego sens, poszukującego sensu, gromadzącego sens, używającego go, czyli, jak mówił Nelson Goodman, konstruującego świat [Goodman 1978, Bruner 1996]. Badania nad kompetencją i naturalnymi zdolnościami dzieci do kreacji modeli społeczeństwa, innych, natury, siebie, procesu myślenia jako takiego (i oczywiście uczuć) oraz posługiwania się nimi, aby być w zgodzie z otoczeniem, zostały rozwinięte i zyskały przewagę. Badania ukazujące autyzm jako niepowodzenie (bez względu na jego przyczyny) dziecka w konstrukcji sprawnej działającej teorii „innych umysłów”, reprezentacji wyobraźniowych oraz reguł przyswajania rzeczywistości, konstrukcji Ja, podziału ról jako praktyk społecznych, a także podmiotowości ukształtowanej na sposób intersubiektywny, *ergo* kontekstowej, *ergo* kulturowej, nie przekazują wizerunku umysłu jako „reifikującej potęgi terminów określających emocje”, a „podmiotowych mechanizmów kreacji sensu” jako odrębnego „swoistego porządku”.

Rozwój myśli u dziecka – pisał Wygotski, można by powiedzieć, ojciec chrzestny kierunkowi – zależy od opanowania narzędzi myśli społecznej. [...] Używanie znaków prowadzi istoty ludzkie do pewnej struktury zachowania, która zrywa z zachowaniami biologicznymi i tworzy nowe formy procesów psychologicznych o kulturowej podstawie. [cyt. za: Frawley 1997, s. 143]

To samo dotyczy uczuć. Jak zauważył Richard Shweder,

między uszkodzeniem mózgu a tropem literackim jest wiele miejsca dla złamanego serca. [...] Wyrażenia typu kłębek nerwów, zmrożona w żyłach krew, pękająca głowa, złamane serca [są] metonimiami cierpienia; pozwalają wyrazić [...] za pomocą metafor odnoszących się do części ciała formy cierpienia fizycznego doświadczanego za pośrednictwem części ciała służących do wyrażania [...]. [Jednakże] głowa, która pęka, nie pęka, złamane serca – nie łamią się, zmrożona krew nadal skutecznie krąży, a kłębków nerwów nie dotyka żadna strukturalna patologia. [Shweder 1991, s. 324]

Inne stany emocjonalne mają jednak cielesne odpowiedniki lub przynajmniej implikują obserwowalne (i odczuwalne) modyfikacje procesów somatycznych. Przywołanie topiki części ciała w celu scharakteryzowania nie tylko cierpienia, ale emocji w ogóle (jeśli serca łamią się ze smutku, to radość je rozpala) przypomina o tym, że uczucia są odczuwane bez względu na to, w jaki sposób się je oddaje czy jak się ich doświadczają: krew uderza do głowy, która staje się ciepła i czerwienieje, ale głowa wychładza się i blednie, kiedy krew z niej odpływa; żołądek się skręca, dłonie wilgotnieją, oddech staje się nierówny, ręce opadają, by nie wspomnieć o perturbacjach czy palpatacjach wywołanych przez Erosa. Nawet prawdziwe urazy, które uszkodziły mózg, dotykając w ten sposób rzeczywistą osobę i w szczególny sposób zmieniając jej życie, nie są bóstwami pochodzącymi z mózgu, a więc spoza kultury i zasługują na wnikliwą uwagę.

Neurologowie od dawna badali wpływ lezji różnych obszarów mózgu na funkcjonowanie umysłu. Jednakże prawie do dziś w większości prac, ujmujących mecha-

nizmy poznawcze jako aktywność intelektu w bardzo wąskim znaczeniu, chodziło o deficyty i anomalie postrzegania, werbalne, pamięciowe i motoryczne; tak było w przypadku uszkodzenia ośrodka Wernickego (rozpoznawanie mowy) czy ośrodka Broki (wytwarzanie mowy). Natomiast perturbacje emocjonalne, być może dlatego, że ich formy są mniej określone i trudniejsze do oszacowania (być może też dlatego, że z trudem dają się scharakteryzować w terminach deficytu), były raczej przedmiotem – od Williama Jamesa do Olivera Sacksa – błyskotliwych opisów fenomenologicznych, a nie wyjaśnień skupionych na wymiarach somatycznych.

Także i w tym wypadku rzeczy uległy zmianie, jak pokazuje chociażby książka Antonia Damasio *Błąd Kartezjusza*, jedna z licznych ostatnio prac traktujących o tym, co zaczęto określać mianem „wcielonego umysłu”. Damasio powraca w niej do badań osób konkretnych, a wyodrębnionych ze względu na szczególny uraz: uszkodzenia płata czołowego (przebicie go tępym narzędziem, usunięcie oponiaka, udar, lobotomia). Przygląda się ich wysiłkom, subiektywnym doświadczeniom, osobowości, i na tej podstawie gromadzi informacje na temat roli uczucia w konstrukcji ludzkiej egzystencji:

Uczucia pozwalają nam uchwycić choć skrawek obrazu organizmu w pełni jego biologicznej żywotności – przejawu działania mechanizmów życiowych. Gdyby nie możliwości odczuwania stanów ciała, które z natury przyjmowane są jako bolesne lub przyjemne, nie byłoby cierpienia i rozkoszy, tęsknoty i litości, a ludzka egzystencja pozbawiona byłaby tragizmu i chwały. [Damasio 1999, s. 12]

I traci sens. Jego przypadki, ludzi z urazami płatów czołowych, poczynszy od opisanego w literaturze przedmiotu, żyjącego w XIX wieku brygadzysty budowlanego z Nowej Anglii, a następnie: księgowego, agenta giełdowego czy człowieka, który nigdy nie doszedł do siebie po urazie w trakcie porodu – w sumie około dwunastu – cechuje nieobecność afektu, powierzchowność, obojętność, niepewność, niestałość w wyborze celu, niezdolność do podjęcia decyzji, przewidzenia ich konsekwencji, wyciągnięcia nauki z popełnionych błędów, postępowania zgodnie z konwencją, wybiegania w przyszłość czy wreszcie odpowiadania innym w jasny sposób. Wszystko to jednak współistnieje z normalnymi, czasami wręcz nadzwyczajnymi zdolnościami motorycznymi, percepcyjnymi, intelektualnymi czy językowymi.

„Zespół Gage’a”, eponim stworzony przez Damasio od nazwiska Phineasa Gage’a, nieszczęsnego brygadzysty budowlanego z dziurą w przedniej części mózgu, jest zasadniczo dolegliwością afektywną, osłabieniem zdolności emocjonalnych, które tym samym zakłóca zdolność sądzenia, wolę i wrażliwość na więzi społeczne:

w każdym z przypadków [w zespole Gage’a] natrafiliśmy na kombinację zaburzeń procesów decyzyjnych oraz spłylenie emocjonalności i uczuciowości. Siły intelektualne i doświadczenie stanów emocjonalnych podupadają razem, a ich upośledzenie może pojawić się w profilu neuropsychologicznym, w którym zdolność skupienia uwagi, pamięć, inteligencja i zdolności językowe zdają się być w tak dobrym stanie, że trudno byłoby w jakikolwiek sposób obciążać je winą za porażki życiowe pacjenta. [Tamże, s. 72]

Damasio wychodzi więc od zespołu objawów przyjmujących formę ukierunkowanej abstrakcyjnie paraboli, aby rozwinąć teorię o funkcjonowaniu emocji w życiu umysłu – mamy znaczniki somatyczne, dane percepcji, stany ciała gotowego do działania, Ja neuronalne *etc.* Nie będziemy dalej śledzić koncepcji Damasio (pozostaje ona na razie hipotezą badawczą); niemniej jednak możemy na tej podstawie uznać, że lakoniczna sentencja Francisca Bacona – „intelekt człowieka nie ma nic z błysku światła” – zyskuje nowe i mocne potwierdzenie empiryczne. „Emocje i uczucia – mówi Damasio w podsumowaniu swoich badań i swojego punktu widzenia – uczestniczą w tworzeniu umysłu, [...] a najprostsze funkcje organizmu splatają się z najbardziej wyrafinowanymi poziomami intelektu” [tamże, s. 9]. Namiętności – miłość, nienawiść i wszelkie poruszenia duszy – mogą zniszczyć nasze życie. Ale ich utrata czy nieobecność mogą uczynić to samo i to całkowicie.

I tak kończę krótkie wystąpienie na jakże inspirujący temat: emocje w kulturze, umysł i mózg... mózg, umysł i kultura. Wierzę, że to zwięzłe i swobodne podsumowanie badań nad życiem emocjonalnym (choć mogłem równie dobrze podjąć kwestię uczenia, pamięci albo szaleństwa), zróżnicowanych pod względem koncepcji i sposobów ich wykorzystania, pozwala, jeszcze niezbyt co prawda wyrażnie, odsłonić rzecz następującą: bezustanny i wnikliwy przegląd równoważących się matryc dyscyplinarnych oraz fakt zmieniania ogniskowej w przejściu od jednego programu, jednej wspólnoty badawczej do rywalizujących z nimi, mogą wskazać nam dobry kierunek w obszarze badań rozproszonych i rozcłonkowanych. Ataki frontalne, energiczne zwroty ku jedności pojęciowej i metodologicznej zdarzają się okazjonalnie i tylko wtedy, kiedy pozwala na to sytuacja. To samo dotyczy stałego doskonalenia specjalnych technik badawczych, ustalania faktów, oczyszczonych z pasożytujących na nich spekulacji, zamkniętych w ścisłych granicach. Bez tych czynników żadna nauka, nawet społeczna, nie może się rozwijać. Jednak one same nie wytwarzają i nie wytworzą scalonej wizji, której, każdy na swój sposób, szukamy, za którą tęskni nasz umysł.

W takich okolicznościach obiekt naszych badań i sposób postępowania (jak to, czego dokonamy w obliczu siebie samych i naszego życia) został, jak mi się wydaje, precyzyjnie, choć figuratywnie wyrażony przez Richarda Wilbura w gęstym od znaczeń wierszu zatytułowanym, no właśnie, zatytułowanym...

Umysł

Umysł w swej grze najczystszej jest do nietoperza
podobny, co samotnie w jaskini trzepoce,
próbując się ze ścianą kamienia nie zderzać,
nieświadomym rozumem wiedziony w pomroce.

Nie musi wiele błdzić czy sondować,
niejasno rozpoznaje, gdzie jaka zaporą,
może więc kluczyć, wzlatać, nurkować, szybować
w najczarniejszej przestrzeni po właściwych torach.

I czyż to porównanie nie jest doskonałe?
Umysł jest jak nietoperz. Dokładnie. Jedynie
z tą różnicą, że intelekt najbardziej wspaniały
wdzięczną omyłką może sprostować jaskinię.²

Przełożył Adam Dziadek

Przekład zweryfikował Jan Kordys

Cytowana literatura przedmiotu

- Bateson G., 1972, *Steps to an ecology of mind*, Novato (Calif.): Chandler.
- Bruner J., 1986, *Actual minds, possible words*, Cambridge (Mass.): Harvard University Press.
- Bruner J., 1996, *The culture of education*, Cambridge (Mass.): Harvard University Press.
- Chodorov N.J., 1999, *The power of feelings. Personal meaning in Psychoanalysis, gender and culture*, New Haven: Yale University Press.
- Clark A., 1997, *Beeing there. Putting brain, body and world together again*, Cambridge (Mass.): MIT Press.
- Cole M., 1996, *Cultural psychology. The once and future science*, Cambridge (Mass.): Harvard University Press.
- Damasio A.R., 1999, *Błąd Kartezjusza. Emocje, rozum i ludzki mózg*, przeł. M. Karpiński, Poznań: Dom Wydawniczy Rebis.
- Douglas M., 1986, *How institution think*, Syracuse (NY): Syracuse University Press.
- Frawley W., 1997, *Vygotsky and cognitive science. Language and the unification of the social and Computational Mind*, Cambridge (Mass.): Harvard University Press.
- Geertz H., 1959, *The vocabulary of emotion. A study of Javanese socialization process*, „Psychiatry” 22, s. 225-237.
- Geertz C., 1960, *The religion of Java*, Glencoe (Ill.): The Free Press.
- Goodman N., 1978, *Ways of world making*, New York: Hackett.
- Harre R., 1994, *The discursive mind*, Thousand Oaks (Calif.): Sage Publication.
- Rosaldo M., 1980, *Knowledge and passion. Ilongot notions of self and social life*, Cambridge: Cambridge University Press.
- Rosen L., 1984, *Bargaining for reality. The construction of social relation in a Muslim community*, Chicago: University of Chicago Press.
- Shore B., 1996, *Culture in mind, cognition and the problem of meaning*, New York: Oxford University Press.
- Shweder R.A., 1991, *Thinking through cultures. Expeditions in cultural psychology*, Cambridge (Mass.): Harvard University Press.
- Toulmin S., 1985, *The inner life. The outer mind*, Worcester (Mass.): Clark University Press.
- Wierzbicka A., 1997, *Understanding cultures through their keyword*, Oxford: Oxford University Press.

² R. Wilbur *Jasnowidz i inne wiersze*, wyb., przekł. i wstęp. L. Marjańska, PIW, Warszawa 1981, s. 22.

Abstract

Clifford GEERTZ
(1926-2006)

Culture, mind, brain

This article, which tackles many of the issues of the present volume of *Teksty Drugie*, concerns fundamental principles of interdisciplinary research. Geertz focuses on three concepts – culture, the mind, and the brain – that had a significant impact on the disciplines of anthropology and psychology. While discussing the relativity of these notions and their various interpretations, which are often convoluted and indistinct, Geertz also points out possible overlaps of those disciplines.

Prezentacje

Pierre-Yves OUDEYER

Samoorganizacja w ewolucji mowy¹

Systemy fonacji, a więc fizyczne nośniki języka, odznaczają się złożonością form i właściwościami strukturalnymi. Są one kombinatoryczne, oparte na systematycznym powtarzaniu tych samych fonemów, zaś zbiór repertuarów fonemów języków świata odznacza się tyleż wyraźnymi regularnościami statystycznymi o charakterze uniwersalnym, co ogromną różnorodnością. Ponadto są to kody utrwalone kulturowo, ważne w obrębie każdej wspólnoty mówiących. Jak jest źródło form mowy? Jakie są mechanizmy, które w trakcie filogenezy i ewolucji kulturowej pozwoliły tym formom się rozwijać? Jak wspólny kod mowy może się kształtować we wspólnocie jednostek? W tekście tym interesuje mnie to, w jaki sposób zjawiska samoorganizacji i ich interakcje z doбором naturalnym mogą pomóc w wyjaśnieniu tych trzech problemów.

Występująca w wielu złożonych systemach fizycznych tendencja do spontanicznego generowania nowych i zorganizowanych form, takich jak kryształy lodu czy spirale galaktyczne, jest obecna zarówno w świecie nieorganicznym, jak i w świecie żywym. Wyjaśnienie pochodzenia form życia nie może zatem opierać się wyłącznie na zasadzie doboru naturalnego, musi on zostać dopełniony zrozumieniem mechanizmów generowania nowych form, a w tych mechanizmach samoorganizacja zajmuje miejsce centralne. Odnosi się to do społecznych i kulturo-

¹ Zamieszczony tekst pochodzi z tomu zbiorowego *Parole et Musique. Aux origines du dialogue humain*, red. S. Dehaene, C. Petit, Collège de France–Odile Jacob, Paris 2009, s. 84–112.

wych form życia, zwłaszcza zaś do form mowy i języka. Aby zrozumieć ich genezę, zacznę od określenia w sposób ogólny relacji pomiędzy samoorganizacją, doborem naturalnym i neodarwinizmem. Relacje te odniosę następnie do trzech sformułowanych wyżej kwestii. Wyjaśnię wtedy, dlaczego używanie symulacji i modeli informatycznych ma zasadnicze znaczenie dla postępu teorii, które wiążą się ze wskazanymi problemami. Podam także przykład eksperymentalnego modelu informatycznego, który pokazuje, że pewne proste mechanizmy sprzężenia sensoryczno-motorycznego pozwalają generować kombinatoryczne systemy mowy, charakteryzujące się dwoistością uniwersalia/zróżnicowanie i określające kulturową wspólnotę. Zakończę na scenariuszach ewolucyjnych, które ów informatyczny eksperyment uzupełnia lub powtarza.

Samoorganizacja i ewolucja form żywych

Fizyka – tygiel form samozorganizowanych

Natura, zwłaszcza jeśli chodzi o jej część nieorganiczną, tworzy formy i motywy fascynujące swoją organizacją. Zarys gór jest taki sam, kiedy ogląda się skałę, szczyt czy cały łańcuch. Wydmę układają się często w długie, równoległe pasma. W określonej temperaturze woda krystalizuje się w symetryczne, koronkowe płatki. Kiedy płynie w rzekach i spada kaskadami, pojawiają się wiry w kształcie trąbek, a pęcherzyki układają się w struktury polihedralne. Błyskawice rysują na niebie rozgałęzienia podobne do roślinnych. Naprzemienne mróz i odwilż pozostawiają na kamienistych glebach tundry poligonalne odciski. Wielość tych kształtów rywalizuje pod względem złożoności z wieloma artefaktami ludzkimi, jak to unaocznia ilustracja numer 1. A nic i nikt ich przecież nie zaprojektował i nie stworzył. Nawet nie dobór naturalny – ślepy zegarmistrz Dawkinsa². Jakie jest więc ich pochodzenie?

W rzeczywistości wszystkie te zorganizowane struktury mają pewien punkt wspólny: są makroskopowym rezultatem lokalnych interakcji pomiędzy licznymi składowymi systemu, w którym nabierają kształtu. Globalne właściwości ich organizacji nie występują na poziomie lokalnym. Zarówno forma cząsteczki wody, jak i jej jednostkowe właściwości fizyczno-chemiczne nie mają nic wspólnego z właściwościami kryształów lodu, wirów czy też polihedrami pęcherzyków. Poligonalne odciski z tundry nie odpowiadają formie kamieni, z których są skomponowane, a ich organizacja przestrzenna jest całkiem różna od temporalnej organizacji mrozu i odwilży. To jest znak rozpoznawczy samoorganizacji. Zjawiska samoorganizacji w naturze dotyczą bardzo zróżnicowanych systemów fizycznych, ale niektóre typowe właściwości można zidentyfikować. Często pojawiają się nieciągłość, załamanie symetrii i „atraktory”. Jeśli podgrzewamy od spodu cienką warstwę oliwy rozlaną na płaskiej powierzchni, wówczas prądy konwekcyjne nabierające szczególnych kształtów geometrycznych (linie lub kształty poligonalne) samoorgani-

² R. Dawkins *Ślepy zegarmistrz, czyli jak ewolucja dowodzi, że świat nie został zaplanowany* (1986), przekł. i wstęp A. Hoffman, PIW, Warszawa 1994.

zują się, a kiedy przekroczony zostaje pewien próg temperatury, gwałtownie się zmieniają [ilustracja 2]. Pomiędzy tymi progami, przeciwnie, kształty, nawet jeśli się je narusza, pozostają na ogół dosyć stabilne, tworząc atraktory. Inną właściwością wielu systemów samozorganizowanych jest historyczność, często powiązana z wrażliwością na inicjalne warunki systemów chaotycznych: atraktor, któremu system zostaje poddany i który ogranicza formy przez ten złożony system wytworzone, może być bardzo różny w zależności od drobnych zmian w warunkach początkowych. Na przykład – magnetyczne właściwości żelaza. Każdy z atomów żelaznej płytki działa jak pewien rodzaj magnesu, ale w wielu możliwych kierunkach, toteż w wysokiej temperaturze efekt jest zupełnie przypadkowy. Kiedy temperatura spada poniżej pewnego progu, zachodzi zjawisko samoorganizacji: wszystkie atomy przyjmują spontanicznie ten sam kierunek magnetyczny. Jednak ta wspólna orientacja jest początkowo niemal nieprzewidywalna i zgoła niewielkie przypadkowe wariacje inicjalnego ukierunkowania kilku atomów mogą sprawić, że płytka zostanie namagnetyzowana w całkiem odmiennym kierunku. Wariacje warunków początkowych są najczęściej powiązane z przypadkowymi zdarzeniami, które wpływały na metalową płytkę. Właśnie dlatego jej końcowy stan zależy w większym stopniu od jej historii niż od wewnętrznych właściwości fizycznych – stąd termin historyczność.

Pojęcie samoorganizacji systemów złożonych stanowi o istocie paradygmatycznej zmiany, jakiej dokonały nauki o złożoności w XX wieku³. Od czasów Newtona dobra nauka miała być redukcjonistyczna i polegać na badaniu systemów naturalnych poprzez wyodrębnianie w nich prostszych podsystemów. Aby zrozumieć, jak funkcjonuje ludzkie ciało, należało z jednej strony zbadać serce, z drugiej system nerwowy, a jeszcze z innej na przykład system limbiczny. Nie poprzestawano na tym: system nerwowy też musiał być podzielony na badanie kory mózgowej, wzgórza czy obwodowego unerwienia motorycznego. Ta metoda w oczywisty sposób pozwoliła na zdobycie ogromnej wiedzy. Jednak głosiciele złożoności zaciekle ją atakowali. Ich *credo* brzmiało: „Całość jest czymś więcej niż sumą części”.

Wpływ samoorganizacji na pochodzenie form żywych

Systemy złożone, tzn. systemy składające się z wielu współdziałających podsystemów, występują w naturze często i mają bardzo silną tendencję do samoorganizowania się. Wcześniejsze przykłady celowo zostały dobrane spośród systemów nieorganicznych, aby wykazać, że właściwość samoorganizacji może być cechą systemów, których mechanizmy nie mają nic wspólnego z doborem naturalnym. Jed-

³ W.R. Ashby *An introduction to cybernetics*, Chapman and Hall, London 1956; G. Nicolis, I. Prigogine *Self-organization in non-equilibrium systems. From dissipative structures to order through fluctuations*, Wiley, New York 1977; S. Kauffman *At home in the universe. The search for laws of self-organization and complexity*, Oxford University Press, Oxford 1996; P. Ball *The self-made tapestry. Pattern formation in nature*, Oxford University Press, Oxford 2001.

nak samoorganizacja odnosi się w ten sam sposób do systemów występujących w przyrodzie żywej. Jest to zresztą pojęcie szeroko stosowane w wielu działach biologii, kluczowe zwłaszcza w teoriach, które objaśniają zdolności społeczeństw owadów do konstruowania gniazd lub uli, do grupowego polowania czy poszukiwania w sposób zdecentralizowany i skuteczny źródeł pożywienia w otoczeniu⁴. W biologii rozwojowej służy również do wyjaśnienia powstawania kolorowych wzorów na skórze takich zwierząt, jak motyle, zebry, jaguary czy biedronki⁵.

Wydaje się więc możliwe, że w systemach biologicznych właśnie za sprawą samoorganizacji istnieją mechanizmy tworzenia form i wzorów działające inaczej niż dobór naturalny. Dobór naturalny oraz kojarzone z nim wyjaśnienia funkcjonalistyczne to w biologii podstawa większości uzasadnień, kiedy chodzi o wyjaśnianie obecności jakiejś struktury, formy czy wzoru w organizmie. Jaki jest więc wzajemny związek między teorią doboru naturalnego i samoorganizacją?

Niektórzy badacze sądzą, że samoorganizacja zakwestionowała główną rolę doboru naturalnego w wyjaśnianiu ewolucji organizmów żywych. Waldrop rozwija to tak:

Złożone systemy dynamiczne mogą czasami przechodzić samoistnie od stanu nieporządku do stanu porządku. Czy kryje się w tym siła motoryczna ewolucji? Czy brakowało nam czegoś w ujęciu ewolucji – jakiejś kluczowej zasady, która kontrolowałaby rozwój życia w sposób odmienny niż dobór naturalny, zmiany genetyczne i wszystkie inne mechanizmy przywoływane przez całe lata przez biologów? Tak! Tym brakującym elementem jest żywiolowa samoorganizacja: tendencja, jaką przejawiają złożone systemy dynamiczne, do odnajdowania swoich stanów uporządkowanych bez potrzeby żadnego nacisku ze strony doboru.⁶

Jednak nie jest to stanowisko przyjęte w tym artykule. Tutaj nie chodzi bowiem o rozumienie samoorganizacji jako pojęcia, które minimalizuje rolę doboru naturalnego, przedstawiając konkurencyjne mechanizmy tworzenia form, lecz o jej ujęcie z jednej strony jako czegoś sytuującego się na innym poziomie wyjaśniania, z drugiej zaś – jako kategorii dotyczącej tych mechanizmów, które zwielokrotniają siłę doboru naturalnego. W wyjaśnianiu ewolucji form życia mechanizmy mające właściwość samoorganizacji można w całości włączyć w mechanizm doboru naturalnego.

Klasyczne podejście neodarwinistyczne

Aby się w nim rozeznać, trzeba najpierw przypomnieć, na czym polega mechanizm doboru naturalnego w ujęciu neodarwinistycznym. Charakteryzuje on

⁴ S. Camazine, J.-L. Deneubourg, N.R. Franks, J. Sneyd, G. Theraulaz, É. Bonabeau *Self-organization in biological systems*, Princeton University Press, Princeton 2002.

⁵ P. Ball *The self-made tapestry*.

⁶ M. Waldrop *Spontaneous order, evolution, and life*, „Science” 1990 no 247, s. 1543-1545.

system złożony z jednostek, przy czym każda posiada szczególne cechy, formy lub struktury. Jednostki tego systemu są zdolne do replikacji. Replikacja musi niekiedy rodzić jednostki, które nie są dokładnymi kopiami swoich przodków, bo różnią się drobnymi szczegółami. Te zmiany są źródłem zróżnicowania populacji. Każda jednostka ma wreszcie większą lub mniejszą zdolność do replikacji w zależności od swojej struktury i otaczającego ją środowiska. Różnicująca replikacja jednostek umożliwia „dobór” tych jednostek, które lepiej nadają się do replikacji. Kombinacja procesu zmian i procesu doboru sprawia, że w ciągu pokoleń struktury czy cechy, które pomagają jednostkom w reprodukcji, są utrwalane i ulepszone.

Decydującym momentem, o którym teoria doboru naturalnego nie chce się wypowiadać, jest sam sposób, w jaki zmienność powstaje, czy bardziej ogólnie: sposób, w jaki generowane są jednostki wraz ze swoimi formami, cechami i strukturami. Jeśli chodzi o ewolucję form, niektóre rozumowania neodarwinistyczne uznają mechanizmy ich zmienności za wtórne w stosunku do ich zalet reprodukcyjnych. Takie podporządkowanie *implicite* zakłada, że relacja pomiędzy poziomem genów, uznawanym za główną przestrzeń, w której poprzez mutacje i inne przekształcenia dokonują się zmiany, a poziomem fenotypu, uznawanego za izomorficzny obraz przestrzeni genów, jest prosta i liniowa. Z tego punktu widzenia wypróbowywanie przestrzeni form (które wraz ze środowiskiem określają stopień skuteczności replikacji genów) może być prostym odpowiednikiem sposobu, w jaki dokonuje się przemieszczenia w przestrzeni genomów. Mechanizmy mutacji, które umożliwiają te przemieszczenia, mają niewielką skalę (większość mutacji dotyczy jedynie małej części genomów w dokonującej się replikacji), a zatem aleatoryczne wariacje genów pozwalają badać w ten sam sposób całą przestrzeń genomów. Oznacza to, przy założeniu, że przestrzeń genotypowa i fenotypowa mają tę samą strukturę, iż przestrzeń form jest wypróbowywana w sposób *quasi*-ciągły poprzez kolejne drobne modyfikacje form zastanych. Na szczęście nie dotyczy to pojawienia się złożonych form życia. Jeśli bowiem mechanizm drobnych wariacji następujących po sobie form okazał się skuteczny w ustalaniu się struktur organizmów, to czyni on badanie tych form czymś równie złożonym, jak badanie organizmów ludzkich, czymś równoznacznym z szukaniem igły w stogu siana, genomy są bowiem zbyt duże⁷.

Samoorganizacja ogranicza przestrzeń form do sprawdzenia:
nie wszystkie formy dają się równie łatwo wyłonić

W tym właśnie miejscu pojęcie samoorganizacji przychodzi z pomocą mechanizmowi naiwnego przeszukiwania przestrzeni form w ramach teorii neodarwinistycznej. Relacja pomiędzy genami i formami organizmów charakteryzuje się zło-

⁷ A.D. Keefe, J.W. Szostak *Functional proteins from a random sequence library*, „Nature” 2001 no 410, s. 715-718.

żonością i silną nieliniowością, co ujawnia się w czasie rozwoju ontogenetycznego i epigenetycznego każdego organizmu. Organizmy konstruują się, zaczynając od komórki macierzystej, która zawiera genom i może być ujmowana jako system dynamiczny sparametryzowany przez ten genom i zależny od zakłóceń wywołanych przez otoczenie. Stanowi on system samorganizowany, posiadający właściwości tego samego typu, co systemy przedstawione wcześniej. Genom jest zbiorem parametrów analogicznych do temperatur płynów w systemach Bénarda, zaś otoczenie można uznać za analog szumu przy magnetyzowaniu żelaza (jest to jednak szum w wysokim stopniu ustrukturyzowany i strukturujący!). Rozwój organizmu, począwszy od komórki macierzystej, i samoorganizacja systemów fizycznych mają cały szereg wspólnych właściwości: formy, struktury i wzory pojawiają się na poziomie globalnym i są jakościowo odmienne od tych, które określają funkcjonowanie lokalne, czyli tych, którymi charakteryzuje się struktura komórki macierzystej i jej genom. Układ sześciokątny, który może pojawić się w wyniku zwykłej różnicy temperatur w jednorodnym płynie, daje wyobrażenie o sposobie, w jaki prosty ciąg nukleotydów, otoczony przez system molekularny, który przekształca je automatycznie w białka, może wytworzyć organizm dwunożny posiadający parę oczu, uszu i niezwykle złożony mózg.

Podobnie jak systemy Bénarda czy płytki ferromagnetyczne, określone przez genomy systemy dynamiczne i zawierające te genomy komórki charakteryzuje pewien układ atraktorów: istnieją w przestrzeni parametrów rozległe strefy, na które system dynamiczny systematycznie odpowiada jednym zachowaniem o zawsze prawie takiej samej strukturze. W przypadku systemów Bénarda chodzi o pewien przedział temperatury, który pozwala na generowanie równoległych pasm i który jest wystarczająco szeroki, aby można go było łatwo znaleźć. W przypadku płytek ferromagnetycznych przedział temperatury, w jakiej system dochodzi do ogólnej spójności magnetycznej, również jest bardzo szeroki. Natomiast u organizmów żywych możliwe jest nie tylko wygenerowanie struktur samorganizowanych o złożonych właściwościach całościowych, lecz także, co więcej, struktury te są z pewnością generowane przez genomy należące do rozległych podprzestrzeni w przestrzeni genomów nazwanych basenami przyciągania. Strukturuwanie przestrzeni w baseny przyciągania właściwe dla tego rodzaju systemu dynamicznego sprawia, że badanie przestrzeni form jest ułatwione i nie upodabnia się do szukania igły w stogu siana.

W systemach ferromagnetycznych nakładany przez otoczenie na rozwój systemu dynamicznego (ustrukturyzowany) szum może prowadzić do tego, że system będzie rozwijać się w różnych kierunkach. W przypadku kawałków żelaza o niskiej temperaturze odpowiada temu magnetyzacja w takim lub innym kierunku. W przypadku żywego organizmu odpowiadają temu jego formy: dlatego na przykład między bliźniętami jednojajowymi mogą czasem wystąpić wyraźne różnice morfologiczne. Wyjaśnia to również, dlaczego relacja pomiędzy genami i formami organizmów nie charakteryzuje się jedynie złożonością i nieliniowością, ale także niezdeterminowaniem. Jak w systemach Bénarda, gdzie przeszukiwanie przestrzeni

parametru temperatury może czasami prowadzić do szybkich i konsekwentnych zmian w zachowaniu systemu (na przykład przejścia pasm równoległych w kwadratowe komórki), eksploracja przestrzeni genomów może również prowadzić do szybkich i konsekwentnych zmian form. Odpowiada to zapewne wielu obserwacjom bardzo szybkich zmian form w ewolucji, o których świadczą badane przez antropologów skamieliny, stanowiące podstawę modelu punktualistycznego przedstawionego przez Eldredge'a i Goulda w 1972 roku.

Podsumowując, właściwości samoorganizacji systemu dynamicznego składającego się z komórek i ich genomów umożliwiają zasadnicze ustrukturywanie przestrzeni form przez narzucenie ograniczeń, co sprawia, że odnalezienie przez dobór naturalny złożonych form zdolnych do przeżycia staje się o wiele prostsze. Z jednej strony, właściwości te pozwalają genomowi generować formy złożone i wysoko zorganizowane bez potrzeby dokładnej specyfikacji każdego detalu w genomie (tak samo jak formy poligonalne Bénarda nie są dokładnie określone, lub dane w formie planu, we właściwościach molekuł płynu). Z drugiej, organizują pejzaż możliwych form, określając baseny przyciągania, wewnątrz których formy te stają się bardzo do siebie podobne (tu właśnie dokonują się ewolucje gradualne wraz z niewielkimi regulacjami istniejących struktur), a pomiędzy którymi mogą one zasadniczo się różnić (przejście od jednej sytuacji do drugiej sprzyja w ewolucji nieoczekiwanym i mocnym wynalazkom). Można przedstawić taki oto heurystyczny obraz: samoorganizacja dostarcza katalogu złożonych form rozmieszczonych w pejzażu z dolinami, w których i pomiędzy którymi przesuwają się i podejmuje decyzje dobór naturalny; samoorganizacja proponuje, dobór naturalny dysponuje. Oczywiście jest to tylko pewien obraz, ponieważ przemieszczający się dobór naturalny pozwala wyłonić się nowym, również samorganizowanym mechanizmom, które strukturują przestrzeń form przeszukiwanych. Dobór naturalny uczestniczy zatem w kształtowaniu mechanizmów, które pomagają mu w skutecznym poruszaniu się w przestrzeni form i *vice versa* – mechanizm doboru naturalnego z pewnością pojawił się w historii życia dzięki samorganizowanym zachowaniom systemów, które nie były jeszcze z nim związane; dobór naturalny i mechanizmy samorganizowane pomagają sobie wzajemnie w pewnego rodzaju spirali, która pozwala zwiększać złożoność w toku ewolucji.

Konsekwencją ścisłego powiązania doboru naturalnego i samoorganizacji jest to, że wyjaśnianie pochodzenia i ewolucji form życia wymaga co najmniej dwu typów rozumowań. Pierwsze to klasyczne, funkcjonalistyczne rozumowanie neodarwinistyczne, polegające na identyfikacji kontekstu ekologicznego, w którym mogła się pojawić nowa cecha, i dokonaniu bilansu zestawiającego reprodukcyjne zyski i straty. Drugie jest rzadziej używane, ale równie istotne: chodzi o identyfikację mechanizmów rozwojowych/epigenetycznych i przymusów, jakie się z nimi wiążą, mechanizmów, które mogły ułatwić lub utrudnić genezę nowych cech. Pojęcie samoorganizacji jest podstawowe w odniesieniu do sposobu, w jaki te mechanizmy rozwojowe wpływają na genezę form.

Samoorganizacja i ewolucja form mowy i języków

Pytania o to, w jaki sposób mowa i język pojawiły się u istoty ludzkiej, a także o to, w jaki sposób kształtują się i ewoluują nowe języki, należą w nauce do najtrudniejszych. W XX wieku zniknęły one niemal całkowicie ze sceny naukowej w następstwie deklaracji Société de Linguistique de Paris, która w swoim statucie wykluczyła tę problematykę. Jednak zagadnienia te wróciły i dla dużej grupy badaczy sytuują się obecnie w samym centrum zainteresowań. Panuje zgoda co do jednego: badania muszą być interdyscyplinarne. Istotnie, jest to układanka o bardzo wielu rozgałęzieniach, które wykraczają poza kompetencje każdej wziętej z osobna dziedziny badań. Przede wszystkim dlatego, że dwa zasadnicze pytania – pytanie o pochodzenie języka i pytanie o pochodzenie i ewolucję języków – muszą zostać rozłożone na równie trudne i skomplikowane „subpytania”. Co to jest mowa? Co to jest język? W jaki sposób związane są ze sobą dźwięki, słowa, zdania, reprezentacje semantyczne? W jaki sposób mózg odtwarza te dźwięki, zdania i pojęcia w nich zawarte oraz jak się nimi posługuje? Jak uczymy się mówić? Czy możemy rozróżnić wrodzone od nabytego? Do czego służy język? Jaka jest jego rola społeczna? W jaki sposób język kształtuje się i zmienia w ciągu kolejnych pokoleń swoich użytkowników? Co wiemy o historii każdego języka? Dlaczego mowa i język są takie, a nie inne? Dlaczego istnieją tendencje uniwersalne i, równocześnie, wielka różnorodność struktur lingwistycznych? Jaki jest wpływ języka na percepcję i pojęciowe ujmowanie świata? Co wiemy o historii zdolności mówienia u istot ludzkich? Czy jest to wynik ewolucji genetycznej (jak pojawienie się oczu), czy też wynalazek kulturowy (jak pismo)? Czy jest to dostosowanie się do zmieniającego się otoczenia, czy raczej wewnętrzna modyfikacja jednostki, która pozwoliła na wzmocnienie szans na reprodukcję? A może jest to egzaptacja, efekt uboczny zmian, które początkowo nie były związane z zachowaniem komunikacyjnym? Jakie wcześniejsze przekształcenia ewolucyjne wpłynęły na pojawienie się zdolności mówienia? W jaki sposób zaszły one same? Niezależnie? Genetycznie? Kulturowo?

Zróżnicowaniu tych pytań odpowiada jeszcze większa różnorodność dyscyplin i metod. Lingwiści, nawet jeśli nadal dostarczają zasadniczych danych zarówno na temat historii języków, jak i uniwersalnych tendencji struktur językowych, nie są już sami. Psychologia rozwojowa, psychologia kognitywna i neuropsychologia prowadzą badania nad uczeniem się języka oraz nad jego zaburzeniami, często ujawniającymi mechanizmy poznawcze uczestniczące w przetwarzaniu informacji językowej. Nauki o mózgu, zwłaszcza posługujące się aparaturą rejestrującą jego pracę, pozwalają zobaczyć, które strefy są aktywne, kiedy wykonuje się dane zadanie, i próbują odnaleźć neuronalne korelaty zachowań językowych, aby odkryć ich organizację mózgową. Inni badacze studiują fizjologię aparatu głosowego, aby zrozumieć sposób, w jaki wytwarzamy dźwięki. Fizjologia ucha, istotnego czujnika w łańcuchu dekodowania mowy (jest nim

wzrok, kiedy chodzi o język znaków używany przez głuchoniemych), również znajduje się w centrum badań. Archeolodzy badają skamieliny i artefakty, które pozostały po pierwszych ludziach; usiłują oni, z jednej strony, wnioskować na temat morfologicznej ewolucji ludzi (zwłaszcza jeśli chodzi o krtań), z drugiej zaś, wyrobić sobie pogląd na to, czym się zajmowali (jakie produkowali narzędzia? jak ich używali? czego możemy się dowiedzieć na podstawie analiz tych narzędzi o stopniu rozwoju kognitywnego?). Antropolodzy wychodzą na spotkanie ludów odizolowanych i zdają sprawę z różnic kulturowych, zwłaszcza tych związanych z językami oraz koncepcjami, których języki są nośnikiem. Prymatolodzy usiłują wyjaśnić zdolności do komunikowania się naszych przodków szympansov i porównać je z naszymi. Genetycy z jednej strony odczytują sekwencje genomów człowieka i gatunków, które są naszymi domniemanymi przodkami, by – jeśli to możliwe – sprecyzować istniejące między nimi więzi filogenetyczne, z drugiej zaś wykorzystują informacje genetyczne o różnych populacjach, aby pomóc w rekonstrukcji historii języków, która jest często skorelowana z historią genów posługujących się nimi ludzi.

Język implikuje więc mnogość składników, które w złożony sposób współdziałają ze sobą w wielu skalach czasowych: skali ontogenetycznej, która wyznacza rozwój jednostki; skali glossogenetycznej, czyli kulturowej, która obejmuje ewolucję kultur; skali genetycznej, która mierzy ewolucję gatunków [ilustracja 3]. Język uruchamia złożone, jednocześnie fizyczne i funkcjonalne interakcje pomiędzy wieloma połączeniami mózgowymi i narządami, a także wyposażonymi w nie jednostkami i otoczeniem, w jakim żyją. Pokazaliśmy już, że chociaż sprawą zasadniczą jest zbadanie każdego składnika oddzielnie, to w celu ograniczenia złożoności problemu konieczne jest także badanie interakcji. Część badaczy wysunęła ideę, zgodnie z którą liczne właściwości języka i języków nie są zakodowane w żadnym składniku, tzn. ani w pewnych specyficznych strukturach mózgowych, ani we właściwościach aparatów słuchowych czy głosowych, ani też w jednostce rozpatrywanej niezależnie. Mogłyby natomiast okazać się samorganizowanymi rezultatami złożonych i dynamicznych interakcji tych składników oraz jednostek⁸. Zjawiska samoorganizacji są jednak często zbyt skomplikowane, by je zrozumieć, intuicyjnie przewidzieć i sformułować w słowach; stąd właśnie, jak zobaczymy, coraz bardziej znaczące staje się korzystanie z modelowania matematycznego i informatycznego.

⁸ J.R. Hurford, M. Studdert-Kennedy, Ch. Knight *Approaches to the evolution of language. Social and cognitive bases*, Cambridge University Press, Cambridge 1998; B. Lindblom, P. MacNeilage i M. Studdert-Kennedy *Self-organizing processes and the explanation of language universals*, w: *Explanations for language universals*, ed. B. Butterworth, B. Comrie, O. Dahl, Mouton, Berlin-New York 1984, s. 181-203; P.-Y. Oudeyer *Self-organization in the evolution of speech*, Oxford University Press, Oxford 2006.

Informatyczne modele i symulacje ewolucji mowy

Eksperymentowanie na systemach złożonych

Jednym z najbardziej skutecznych sposobów rozwijania naszego rozumienia dynamiki systemów samorganizowanych jest dziś posłużenie się komputerami lub robotami. Pozwalają one wypracowywać modele operacyjne, w których znamy wszystkie hipotezy, uruchomić je i obserwować ich zachowanie, zależne od wartości parametrów ustalonych w ramach tych modeli. To właśnie dlatego nie tylko lingwiści, psychologowie, antropologowie, badacze mózgu, genetycy i fizjologowie, lecz także matematycy i specjaliści od robotyki mają do odegrania kluczową rolę w tych badaniach.

Model operacyjny jest systemem, który w sposób sformalizowany określa zbiór swoich założeń, a co jest szczególnie ważne, pozwala obliczyć konsekwencje, tj. dowiedzieć, że prowadzi do zbioru danych wniosków. Istnieją dwa typy modeli operacyjnych. Pierwszy, wykorzystywany przez matematyków i biologów teoretycznych, polega na wyabstrahowaniu ze zjawiska językowego pewnej liczby zmiennych i praw ich ewolucji w formie równań matematycznych. Często przypomina to systemy układu równań różniczkowych i korzysta z ram teorii systemów dynamicznych. Drugi typ, który pozwala badać niektóre złożone fenomeny, z trudem poddające się modelowaniu matematycznemu, jest wykorzystywany przez badaczy-informatyków: polega na konstruowaniu sztucznych systemów, które instaluje się w komputerach czy robotach. Sztuczne systemy składają się z programów, które najczęściej mają postać sztucznych agensów wyposażonych w sztuczne mózgi i ciała; można je nazwać robotami, nawet jeśli ewoluują w środowiskach wirtualnych. Roboty te wchodzą w interakcje ze środowiskami sztucznymi lub rzeczywistymi, których dynamikę można dzięki temu badać. Nazywamy to „metodą sztucznej inteligencji”. Wykorzystanie maszyn cyfrowych do symulowania i badania zjawisk naturalnych nie jest niczym nowym: Lorenz wykorzystywał pierwsze komputery do badania zachowań modeli klimatologicznych, Fermi do symulowania interakcji pomiędzy cząstkami magnetycznymi, Turing w celu zobrazowania, w jaki sposób mogą się samoorganizować procesy morfogenezy, von Neumann do badania autoreplikacji.

Ostatnio dzięki tej metodzie etologia poczyniła znaczne postępy w rozumieniu zachowań owadów społecznych⁹. Zbudowano informatyczne symulacje społeczności owadów, oparte na pojęciu agensa informatycznego modelującego każdego owada z osobna, co nazywa się czasem modelem indywiduocentrycznym. Pozwoliło to na ustalenie charakterystyk zachowania i zdolności owadów wystarczających do zbadania kształtowania się takich struktur zbiorowych, jak konstruowanie gniazd u termitów, zbiorowe polowania czy poszukiwanie żywności u mrówek, formowanie się ławic ryb, termoregulacja w ulach pszczół czy kształtowanie

⁹ E. Bonabeau, G. Theraulaz, J. L. Donebourg, S. Aron i S. Camazine
Self-organization in social insects, „Trends in Ecology and Evolution” 1997 no 12,
s. 188-193.

struktur społecznych u os. Ogólnie rzecz biorąc, symulacje informatyczne wykazały, że często nie było konieczne wyposażanie owadów w złożone struktury poznawcze, aby mogły kolektywnie kształtować struktury złożone. Modele informatyczne przewidywały nawet sytuacje, które zostały potem potwierdzone w badaniach terenowych.

Również fizycy coraz częściej używają komputerów do konstruowania symulacji systemów złożonych, które pozwalają badaczom weryfikować swoje intuicje. Manipulując automatami komórkowymi – rodzajem kratownic, których pola mogą być podświetlane lub wygaszane i których ewolucja według prostych reguł zależy od stanu pól sąsiednich – odkryli, w jaki sposób w oparciu o struktury całkowicie aleatoryczne czy też całkowicie uporządkowane mogą powstawać skomplikowane motywy z niezwykłymi symetrias. Przykłady są nader zróżnicowane: kryształki lodu, rozkład lawin na piaszkowych kopach czy w górach, wydmy na pustyni, formy delt rzecznych, kształtowanie się galaktyk czy polihedrów pęcherzyków u stóp wodospadu. Dla fizyków automaty komórkowe w oczywisty sposób nie są modelami fizycznymi kryształów lodu czy lawin, pełnią one rolę metafory i analogii, które pozwoliły im w nowy sposób postrzegać te zjawiska.

Informatyka a źródła mowy i języków

Możliwe jest również wykorzystanie komputerów i opierających się na agensach symulacji nie tylko do zrozumienia tych fenomenów, które charakteryzują samoorganizację materii, prostych struktur biologicznych czy społeczności owadów, ale też do badania zjawisk, które charakteryzują człowieka i tworzone przez niego społeczeństwa. Przyszedł czas na włączenie komputerów i robotów do zestawu narzędzi nauk humanistycznych. Konstrukcja sztucznych systemów w ramach badań nad pochodzeniem mowy i ewolucją języków cieszy się wśród naukowców rosnącą popularnością jako narzędzie służące do badania zjawisk językowych związanych ze złożoną interakcją ich składników¹⁰.

Istnieją dwa sposoby wykorzystania tych systemów: 1) ocena wewnętrznej spójności już istniejących niesformalizowanych teorii w celu ujednoznacznienia hipotez i sprawdzenia, czy rzeczywiście prowadzą one do wysuniętych wniosków (często zdarza się, że odnajdywane są w ten sposób luki zarówno w założeniach, jak i w konkluzjach, trzeba na nowo rozważyć); 2) tworzenie nowych teorii czy też zbadanie tych, które często pojawiają się samoistnie, kiedy po prostu próbuje się zbudować sztuczny system odtwarzający zachowania językowe ludzi.

Uzyskano już pewną liczbę istotnych wyników, dających perspektywę rozwiązania problemów, które dotąd pozostają niejasne: zdecentralizowane generowanie konwencji leksykalnych i semantycznych we wspólnotach robotów¹¹, kształtowa-

¹⁰ L. Steels *The synthetic modeling of language origins*, „Evolution of Communication” 1997 no 1(1), s. 1-35.

¹¹ Tamże oraz F. Kaplan *La naissance d'une langue chez les robots*, Hermès, Paris 2001.

nie się repertuaru samogłosek lub sylab w społecznościach agensów wraz z takimi cechami regularności strukturalnej, które przypominają właściwości języków ludzkich¹², kształtowanie konwencji syntaktycznych¹³ – określanie warunków, w jakich dana struktura może być akceptowana¹⁴.

Trzeba podkreślić, że w ramach badań nad pochodzeniem języka metodologia odwołująca się do pojęcia sztucznej inteligencji jest przede wszystkim *metodologią eksploracyjną*. Wpisuje się ona w naukową logikę abdukcji, tzn. logikę, w której szuka się przesłanek mogących prowadzić do danej konkluzji (w przeciwieństwie do dedukcji, w której szuka się konkluzji, do których prowadzą dane przesłanki).

Słowo „model” ma tu znaczenie odmienne od tradycyjnego. W znaczeniu tradycyjnym modelowanie polega na obserwowaniu zjawiska naturalnego, a potem na wyabstrahowaniu podstawowych mechanizmów i zmiennych, aby w oparciu o nie zbudować pewien system formalny pozwalający na przewidywanie rzeczywistości. W przypadku, który nas interesuje, chodzi raczej o jakościowe badanie typów mechanizmów, które natura mobilizuje w celu rozwiązania takiego czy innego problemu. Mowa jest fenomenem na tyle złożonym, że prosta obserwacja nie pozwala na *dedukcję* mechanizmów wyjaśniających. Trzeba wcześniej dysponować dobrą konceptualizacją zakresu mechanizmów i hipotez, które mogłyby wyjaśnić te fenomeny. W tym miejscu przydatne są systemy sztuczne, nazywane niekiedy „modelami”, pozwalające sprecyzować nasze intuicje dotyczące dynamiki kształtowania się mowy i języków oraz naszkicować przestrzeń możliwych hipotez.

Nie chodzi więc o ustalenie listy mechanizmów odpowiedzialnych za pochodzenie takiego czy innego aspektu mowy. Celem jest skromniejsza próba zestawienia listy możliwych kandydatów, ograniczenia przestrzeni hipotez, zwłaszcza przez pokazanie przykładowych mechanizmów wystarczających oraz przykładowych mechanizmów, które nie są konieczne.

Kod mówienia

Zilustruję teraz praktykę informatycznego modelowania ewolucji mowy i języków, opisując eksperyment skupiony na problemie pochodzenia mowy, tzn. sys-

¹² B. de Boer *The origins of vowel systems*, Oxford University Press, Oxford 2001; P.-Y. Oudeyer *Origins and learnability of syllable systems, a cultural evolutionary model*, w: *Artificial evolution. 5th International Conference Proceedings 2001*, ed. P. Collet, C. Fonlupt, J.-K. Hao, E. Lutton, M. Schoenauer, Springer-Verlag, Berlin 2002, s. 143-155.

¹³ J. Batali *Computational simulations of the emergence of grammar*, w: J.R. Hurford, M. Studdert-Kennedy, Ch. Knight *Approaches to the evolution of language*.

¹⁴ S. Kirkby *Spontaneous evolution of linguistic structure. An iterated learning model of the emergence of regularity and irregularity*, „IEEE Transactions on Evolutionary Computation” 2001 no 5(2), s. 102-110.

temów dźwięków jako fizycznych nośników języka (mogą być nimi także gesty w językach, którymi posługują się głuchoniemi). Celem tego eksperymentu jest przyczynienie się do nowego ujęcia problemu poprzez ujednoznacznienie, ocenę i uzupełnienie kilku hipotez naukowych.

Digitalność i kombinatoryczność

Istoty ludzkie posiadają złożony system fonacyjny. Fonacje są digitalne i kombinatoryczne, tzn. są skonstruowane z jednostek elementarnych, „wyrzeźbionych” w kontinuum słuchowym i głosowym, oraz systematycznie rekombinowanych i ponownie używanych. Te jednostki są obecne na wielu poziomach (na przykład elementarne sposoby przerywania przepływu powietrza w kanale fonacyjnym, które nazywane są gestami; koordynacje gestów, nazywane fonemami, na które składają się spółgłoski i samogłoski; sylaby). O ile przestrzeń artykulacyjna jest ciągła i potencjalnie dopuszcza nieskończoną liczbę gestów i fonemów, to każdy język na swój sposób tę przestrzeń dzieli, używając niewielkiego i skończonego zestawu gestów i fonemów¹⁵. To właśnie dlatego nazywamy tę właściwość *k o d o w a n i e m f o n e m i c z n y m*.

Uniwersalia i różnicowanie

Mimo wielkiej różnorodności tych jednostek w językach świata stwierdzamy istnienie wyraźnych regularności. Dla przykładu, niektóre systemy samogłoskowe są znacznie częstsze od innych, choćby system pięciu samogłosek *e, i, o, a, u*. Dotyczy to również spółgłosek. Sposób, w jaki kombinowane są jednostki, również jest bardzo szczególny: z jednej strony nie wszystkie sekwencje fonemów są dopuszczone w danym języku, z drugiej, zbiór kombinacji fonemów jest wyznaczony przez typy rodzajowe. Uporządkowanie ze względu na typy rodzajowe oznacza, że można na przykład określić kombinacje fonemów mogących w języku japońskim kształtować sylaby (dokładnie mówiąc „mory”) za pomocą typów „CV/CVC/VC”, gdzie na przykład „CV” jest typem oznaczającym sylaby złożone z dwóch miejsc, w pierwszym są tylko fonemy z kategorii, którą nazywamy „spółgłoskami”, a w drugim dopuszczone są tylko fonemy z kategorii „samogłoski”.

Podział kulturowy

Trzeba tu dodać, że mowa jest kodem konwencjonalnym. W językach ludzkości istnieją regularności statystyczne, ale każda wspólnota językowa posiada swój własny sposób kategoryzowania dźwięków oraz swój własny zbiór reguł kombinacji tych dźwięków. Japończycy na przykład nie słyszą różnicy pomiędzy angielski-

¹⁵ M. Studdert-Kennedy, L. Goldstein *Launching language. The gestural origin of discrete infinity*, w: *Language evolution. The state of the art*, ed. M. Christiansen, S. Kirkby, Oxford University Press, Oxford 2003.

mi *r* w *read* i *l* w *lead*. W jaki więc sposób społeczność językowa wypracowuje kod, który jest wspólny dla wszystkich jej członków, a nikt tego nie musi pilnować?

Po pracach De Boera czy Kaplana¹⁶ wiadomo już, w jaki sposób nowy dźwięk lub nowe słowo mogą rozpowszechnić się i zostać zaakceptowane w danej populacji. Jednak mechanizmy negocjacji, zwane też „dynamiką uzgodnień”, odwołują się do zastanych językowych konwencji i interakcji. Odpowiednie modele dotyczą więc raczej kształtowania się i ewolucji języków, nie proponują rozwiązań w kwestii pochodzenia języka. Jakim cudem pojawiły się pierwsze konwencje mówienia, skoro nie było jeszcze konwencjonalnych systemów komunikacji?

Model, który przedstawię, skupia się przede wszystkim na tym ostatnim pytaniu. Wiąże się ono w sposób oczywisty z problemem kształtowania języków, ponieważ chodzi o zrozumienie, w jaki sposób kod mówienia mógł zostać ukształtowany i stworzyć podstawę dla najwcześniejszych języków. Zasadnicza różnica między tymi dwoma pytaniami tkwi w właściwościach, które muszą charakteryzować poszukiwany mechanizm. W przypadku pytania o pochodzenie mowy, trzeba szukać takiego mechanizmu wyjaśniającego, który nie zakłada ani istnienia konwencji językowych, ani istnienia specyficznych dla języka struktur kognitywnych. Bo to oznaczałoby, że mamy do czynienia z jednostkami, które już mówią, a więc któryś język już się objawił.

Samoorganizacja i ewolucja mówienia

Naturalne staje się pytanie o to, jak pojawia się organizacja mowy i w jaki sposób taki wspólny i konwencjonalny kod mógł się ukształtować w społeczności agensów, którzy nie posługiwali się jeszcze konwencjami językowymi. Jak już wcześniej wykazałem, istnieją dwa rodzaje odpowiedzi. Pierwszy to odpowiedź funkcjonalna: ustala ona funkcję systemów dźwiękowych i pokazuje, że systemy, które mają wyżej opisaną organizację, mogą z powodzeniem pełnić tę funkcję. Rozwiązanie to zaproponowali Liljencrantz i Lindblöm¹⁷, wykazując, że statystyczne regularności w repertuarach fonemów dają się przewidzieć, jeśli poszukamy optymalnych systemów głosowych. Tego rodzaju odpowiedź jest konieczna, ale niewystarczająca: nie pozwala wyjaśnić, w jaki sposób ewolucja (genetyczna czy kulturowa) potrafiła odnaleźć tę *quasi*-optymalną strukturę ani też tego, w jaki sposób wspólnota językowa dokonuje „wyboru” jakiegoś szczególnego rozwiązania spośród wielu rozwiązań *quasi*-optymalnych. Chodzi zwłaszcza o to, że prostolinijne mechanizmy darwinowskie nawet uzupełnione mutacjami aleatorycznymi nie są na tyle skuteczne, aby móc odnaleźć struktury złożone, takie jak struktury mówienia – teren do przebadania jest zbyt rozległy.

¹⁶ B. de Boer *The origins of vowel systems*; F. Kaplan *La naissance d'une langue chez les robots*.

¹⁷ J. Liljencrantz, B. Lindblöm *Numerical simulation of vowel quality systems. The role of perceptual contrasts*, „Language” 1972 no 48, s. 839-862.

Konieczna okazuje się zatem odpowiedź drugiego typu: trzeba ustalić, w jaki sposób dobór naturalny mógł „odnaleźć” te struktury. Można wykazać, że samoorganizacja jest władna ograniczyć w tym właśnie przypadku przestrzeń poszukiwań i wspomóc dobór naturalny. Wystarczy dowieść, że system o wiele prostszy od struktury, którą staramy się wyjaśnić, samoorganizuje się spontanicznie, generując tę właśnie strukturę.

Przedstawimy teraz taki system i pokażemy, w jaki sposób przesłanki, relatywnie proste z ewolucyjnego punktu widzenia, mogą prowadzić do samorganizowanego kształtowania się kodów mówienia.

Informatyczny eksperyment kształtowania podstawowych struktur mowy

Ten model informatyczny jest indywiduocentryczny: polega na kombinacji robotów wirtualnych, wyposażonych w model aparatów słuchowego i ruchowego oraz w sieć neuronalną, łączącą modalność percepcyjną i modalność motoryczną. Sieci neuronalne determinują ich zachowanie, które polega głównie na imitacji gaworzenia. To gaworzenie sprzężone z plastycznością sieci pozwala robotom nauczyć się ustanawiania odpowiedniości między domeną percepcji słuchowych i domeną ruchów w aparacie głosowym. Roboty są zainstalowane w jednym pomieszczeniu, aby mogły słyszeć nie tylko własne gaworzenie, ale również gaworzenie swoich sąsiadów. W ten sposób będziemy mogli wykazać, że pojawienie się wspólnych właściwości w fonacjach produkowanych przez roboty należące do tej samej populacji ma charakter żywiołowy.

Ujmując rzecz technicznie¹⁸: agensy są wyposażone w sztuczne ucho (jego właściwości dają się modyfikować w celu zbadania ich specyficznej roli, zobacz poniżej), zdolne do przekształcenia sygnału akustycznego w impulsy nerwowe, które pobudzają neurony na mapie sztucznych neuronów percepcyjnych. Posiadają również mapę neuronów motorycznych, której aktywacja przenosi się na ruchy w modelu aparatu głosowego, a ten z kolei wytwarza falę akustyczną (jej stopień realizmu również może być modyfikowany). Mapy neuronalne (percepcyjna i motoryczna) są całkowicie między sobą połączone [ilustracja 4]. W punkcie wyjścia parametry wewnętrzne wszystkich neuronów oraz połączenia między obiema mapami są aleatoryczne. Aby wytworzyć fonację robot uaktywnia aleatorycznie wybrane neurony swojej mapy motorycznej, której wewnętrzne parametry kodują konfiguracje artykulacyjne aż do zbudowania sekwencji, co wytwarza trajektorię artykulacyjną i – za pośrednictwem modelu kanału fonacyjnego – trajektorię akustyczną, postrzeganą dzięki modelowi aparatu słuchowego. Na tym polega gaworzenie robotów. Dlatego na początku doświadczenia roboty wydają odgłosy aleatoryczne co do miejsca w przestrzeni głosowej. Sieci neuronów dysponują nadto dwiema formami plastyczności: 1) połączenia intermodalne ewoluują w ten sposób,

¹⁸ Dajemy tu jedynie ogólny opis systemu; dokładny opis matematyczny zob. P.-Y. Oudeyer *Self-organization...*

że robot uczy się zgodności pomiędzy dostrzeganymi trajektoriami audytywnymi i poleceniami motorycznymi, które je wytwarzają, kiedy gaworzy¹⁹; 2) neurony każdej z map ewoluują w taki sposób, by modelować układ dźwięków, które słyszy robot²⁰; połączenia między dwiema mapami percepcyjnymi są również takie, że układ dźwięków kodowanych przez mapę percepcyjną (mapę dostrzeżonych dźwięków) pozostaje w przybliżeniu taki sam, jak dystrybucja dźwięków zakodowanych na mapie motorycznej (mapie wytwarzanych dźwięków). Inaczej mówiąc, architektura neuronalna agensa polega na tym, że ma on tendencję do wytwarzania takiej samej dystrybucji dźwięków, jak ta, którą słyszy. Jeśli robot wsłucha się w strumień mowy jakiegoś języka, jego gaworzenie wyreguluje się i upodobni do dystrybucji dźwięków w tym języku. Jeśli ten język zawiera samogłoski *a*, *e*, *i*, ale nie *o*, to w gaworzeniu robota częściej będą wymawiane *a*, *e*, *i* niż *o*. To zachowanie jest zgodne z obserwowanym u małych dzieci i czasami określa się je jako *phonological attunement*²¹.

Scalony mechanizm samoorganizacji.

Kombinatoryczność, dwoistość uniwersalia/ różnicowanie
i podział kulturowy

Ten typ konstrukcji był często używany w literaturze przedmiotu do modelowania zjawisk nabywania mowy przez dzieci²² poprzez eksperymenty, w których system uczył wymawiania dźwięków/sylab języka, jaki słyszał. Jednak prezentowane tu doświadczenie jest odmienne: nie zakładamy, że w punkcie wyjścia istnieje ukonstytuowany już system mowy. Umieszczamy jedynie populację gaworzących robotów w jednym miejscu tak, by mogły rejestrować zarówno swoje własne gaworzenie, jak i gaworzenie sąsiadów. Ponieważ rodzaj plastyczności ich mózgów

¹⁹ Połączenia między dwiema mapami neuronów podlegają zmianom zgodnie z prawem Hebb'a: więzi między neuronami, często aktywowanymi w tym samym czasie, stają się silniejsze, a te, które wiążą neurony o nieskorelowanej aktywności, stają się słabsze. Połączenia są początkowo aleatoryczne, a dzięki gaworzeniu agensów organizują się w taki sposób, że każdy z nich staje się zdolny do znalezienia poleceń motorycznych zgodnych z dźwiękiem, który „słyszy”.

²⁰ Neurony dostosowują się do bodźców przez wzrost siły przekazywania synaptycznego: dynamika procesu polega na tym, że jeśli bodziec *S* jest postrzeżony, neurony modyfikują się w taki sposób, by w przypadku szybkiej, powtórnej prezentacji *S* reagować ze zdwojoną siłą.

²¹ M. Vihman *Phonological development. The origins of language in the child*, Blackwell, Cambridge (Mass.) 1996.

²² T. Kohonen *The neural phonetic typewriter*, „Computer” 1988 no 21(3), s. 11-22; V. Sanguineti, R. Laboisière, D.J. Ostry *A dynamic biomechanical model for neural control of speech production*, „Journal of the Acoustical Society of America” 1998 no 103(3), s. 1615-1627.

sprawia, że gaworzą, dostosowując się do tego, co słyszą wokół siebie, i dlatego, że statystycznie rzecz biorąc wszystkie roboty produkują fonacje aleatoryczne co do miejsca w przestrzeni głosów, stan początkowy jest stanem równowagi, czyli maksymalnej entropii.

Jednak w procesie symulacji stwierdzamy, że ta równowaga nie jest stała. Pojawia się szum – „stochastyczność” – który sprawia, przypadkowo i od czasu do czasu, że niektóre typy fonacji będą występowały częściej niż inne. Opisany wcześniej mechanizm wiązania ze sobą map wprowadza pozytywne sprzężenie zwrotne: odchylenia od średniej, kiedy okazują się wystarczająco duże, są wzmacniane i wtedy symetria systemu załamuje się. Mapy neuronalne samoorganizują się w skupione grupy neuronów, kodując bardzo dokładnie konfiguracje akustyczne i artykulacyjne w przestrzeni fonacji [ilustracja 5]. Krótko mówiąc, w ciągłej przestrzeni fonacyjnej wyodrębniono dyskretne segmenty. Fonacje wytwarzane przez agensów nie są już holistyczne, ale zbinaryzowane: są konstruowane systematycznie przez zestawianie w sekwencję kilku kluczowych konfiguracji, które można już nazwać fonemami. Stwierdzamy pojawianie się opisanego wcześniej binarnego kodowania fonemicznego i kombinatorycznego. „Kod fonemiczny”, który uzyskujemy, jest taki sam u wszystkich agensów w tej samej symulacji, różny zaś w innych symulacjach. Tak wygląda kształtowanie się odmiennej dla każdej grupy „konwencji kulturowej”.

Można wykonać nasze doświadczenie w wielu wariantach, co pozwoli sprecyzować wnioski. Przede wszystkim można przeprowadzić to doświadczenie z jednym tylko agensem, który słucha swojego gaworzenia. I w tym wypadku daje się zaobserwować zjawisko krystalizacji jego fonacji: bardzo szybko zaczyna wytwarzać wyłącznie trajektorie głosowe przechodzące przez kilka kluczowych konfiguracji artykulacyjnych, które są systematycznie powtarzane. Można z tego wnioskować, że pojawienie się kodowania fonemicznego, tzn. binarności/kombinatoryczności, nie jest rezultatem interakcji społecznych, ale właściwości wewnętrzznego sprzężenia w każdym automacie percepcyjnych i motorycznych modalności mowy. Jednakże fonacje izolowanych gaworzących robotów krystalizują się w różne systemy fonacji i dopiero, kiedy roboty znajdują się w tym samym miejscu i będą słyszeć się wzajemnie, nastąpi ich ujednolicenie.

Drugi ważny wariant tego doświadczenia wprowadza do modeli różnicowanie właściwości morfofizjologicznych aparatów słuchowych i fonacyjnych w celu określenia wpływu tych właściwości na systemy, które się kształtują (lub nie). Szczególnie ważną cechą aparatów jest nieliniowość funkcji, określającej korelację fali akustycznej i percepcji słuchowej z bodźcami motorycznymi i konfiguracjami aparatu fonacyjnego. Ten ostatni jest u człowieka tak skonstruowany, że w przypadku pewnych konfiguracji artykulacyjnych niewielkie modyfikacje oznaczają niewielkie zmiany wytwarzanego i postrzeganego dźwięku. Jeśli chodzi o inne konfiguracje, to niewielkie modyfikacje prowadzą do wielkich zmian w produkowanym dźwięku. Ta właściwość pełni kluczową rolę w wielu teoriach, które chcą wyjaśnić fonemiczne kodowanie mowy, na przykład w teorii kwantowej

Stevensa²³ czy w modelu DRM²⁴. Możliwe jest zarówno użycie realistycznego modelu aparatów akustycznych i fonacyjnych, uwzględniającego wspomniane typy nieliniowości, jak i skonstruowanie modelu fikcyjnego, celowo liniowego, aby określić znaczenie nieliniowości. Takie doświadczenia zostały przeprowadzone. W przypadku użycia modelu liniowego zaobserwowano w populacji gaworzących robotów opisaną wcześniej krystalizację: ich fonacje samoorganizują się w system kombinatoryczny, w którym pewne konfiguracje artykulacyjne są systematycznie wykorzystywane jako punkty kluczowe trajektorii głosowych. Można z tego wyciągnąć pierwszy wniosek: te symulacje dowodzą, że kodowanie fonemiczne może pojawić się w aparatach fonacyjnych i słuchowych spontanicznie, bez liniowości. Nie oznacza to, że nieliniowości nie przyspieszają kształtowania się kodowania fonemicznego, ale pokazuje, że nie są one konieczne, inaczej, niż twierdzi teoria kwantowa i model DRM.

Jeśli na liniowym modelu audiofonacyjnym wykona się wiele symulacji i jeśli przedmiotem szczególnego zainteresowania jest dystrybucja kluczowych konfiguracji artykulacyjnych (w których można dopatrzeć się pewnego rodzaju fonemów), zauważamy, że wszystkie są rozmieszczone w miejscach aleatorycznych i w ten sam sposób korzystają z przestrzeni możliwych konfiguracji. Jednak kiedy używa się modelu realistycznego, nastawionego na odtworzenie właściwości wytwarzania i postrzegania samogłosek²⁵, dostrzegamy zjawisko dodatkowe. Oprócz krystalizacji, która jest taka sama jak w modelu liniowym, kształtujące się systemy wokalizacji wykazują statystyczne regularności bardzo zbliżone do systemów mowy ludzkiej. Można na przykład dokonać obliczeń statystycznych w odniesieniu do samogłosek, pojawiających się jako kluczowe konfiguracje artykulacyjne w systemach, które wyłaniają się w tym doświadczeniu poprzez wielokrotne symulacje. Rezultaty przedstawiono na ilustracji 6. Pozwalają one stwierdzić, że z jednej strony zachodzi pewne zróżnicowanie systemów samogłosek, z drugiej zaś, pewne systemy pojawiają się o wiele częściej niż inne. Mamy więc tę samą parę uniwersalia/zróżnicowanie, którą widzimy w językach ludzkich. Symulacja pozwala na spójne wyjaśnienie tego podobieństwa:

- 1) system dynamiczny utworzony przez zbiór gaworzących agensów z charakteryzującymi je wewnętrznymi sprzężeniami sensoryczno-motorycznymi zawiera pewną liczbę atraktorów, które są kombinatorycznymi systemami fonacji z kodowaniem fonemicznym wspólnym dla wszystkich członków populacji;
- 2) pod wpływem szumu i niewielkich zmian warunków początkowych system dynamiczny podlega oddziaływaniu określonego atraktora, co pozwala wyjaśnić

²³ K.N. Stevens *On the quantal nature of speech*, „Journal of Phonetics” 1989 no 17, s. 3-45.

²⁴ M. Mrayati, R. Carre, B. Guerin *Distinctive regions and modes: A New theory of speech production*, „Speech Communication” 1988 no 7, s. 257-286.

²⁵ W sprawie dokładnego opisu modelu opartego na pracach B. de Boera (*The origins of vowel systems*) zob. P.-Y. Oudeyer *Self-organization...*

„zdecentralizowany wybór zbiorowy” populacji, kiedy przyjmuje ona taki, a nie inny system;

- 3) nieliniowości aparatów słuchowych i fonacyjnych wprowadzają asymetrie pomiędzy atraktorami: niektóre atraktory mają większy basen przyciągania, zwłaszcza te z fonemami lokującymi się w przedziałach, w których niewielkie modyfikacje artykulacyjne wywołują niewielkie zmiany percepcyjne, czego konsekwencją jest zwiększenie prawdopodobieństwa, że system na nie „wpadnie”.

Mamy tu nie tylko odpowiedniość strukturalną pomiędzy symulacjami i rzeczywistością, okazuje się także, że systemy samogłosek pojawiające się najczęściej w populacjach robotów są prawie identyczne i występują w takich samych proporcjach, jak najczęściej występujące w językach świata systemy. Istnieje więc również pewna zgodność ilościowa. Tym samym można uznać, że nieliniowość zarówno aparatów słuchowych, jak i fonacyjnych jest czynnikiem wyjaśniającym, dla czego niektóre systemy fonemów są statystycznie częstsze od innych. Natomiast samo istnienie fonemów, tzn. istnienie systemu fonacji, w którym inwariantne konfiguracje artykulacyjne lub słuchowe są systematycznie powtarzane, nie wymaga tych nieliniowości.

Trzeba jednak zauważyć, że w tych symulacjach architektury neuronalne określa wiele parametrów i że nie wszystkie wartości tych parametrów pozwalają na uzyskanie takich rezultatów. Zarazem okazuje się, że jeden z tych parametrów ma wielki wpływ na rezultaty²⁶: neuronom przypisana jest mniejsza lub większa wybiórczość σ w odniesieniu do bodźców. Jeśli ta wybiórczość jest zbyt mała, nie dochodzi do żadnej krystalizacji, choć roboty są zdolne do uczenia się relacji pomiędzy przestrzenią słuchową i przestrzenią motoryczną. Jeśli jest za duża, wówczas system krystalizuje się jako system zdegenerowany, w którym wszystkie fonacje są dokładnie takie same i są stacjonarne: istnieje wyłącznie jeden fonem. Jednak pomiędzy tymi dwiema skrajnościami rozpościera się rozległa przestrzeń pozwalająca wyłonić taką krystalizację, przy której w populacji gaworzących robotów kształtuje się system kombinatoryczny z wieloma fonemami.

W stronę nowej wizji ewolucyjnych scenariuszy pochodzenia mowy

Przedstawione uwagi mają ważną konsekwencję, jeśli użyje się tego modelu do wyobrażenia sobie scenariuszy ewolucyjnych, które mogły prowadzić do kształtowania się pierwszych systemów fonacyjnych mających te same podstawowe właściwości, co systemy mowy człowieka współczesnego. Z wyjaśnień tych wynika przede wszystkim że daleko posunięta zmienność parametrów architektury neuronalnej nie przeszkadza w wyłonieniu kombinatorycznych systemów mowy wspólnych dla całej populacji. Dalej wynika z nich, że dzięki takiej architekturze neuronalnej podobny system mowy może wyłonić się bez udziału jakichś szczególnych właściwości aparatów słuchowych i fonacyjnych, wystarczą te, które umożliwiają gaworzenie

²⁶ Zob. P.-Y. Oudeyer *Self-organization...*

disponujące pewną różnorodnością dźwięków. Chodzi zwłaszcza o to, że nie jest konieczna jakiegokolwiek nieliniowość. Wreszcie, sama architektura neuronalna jest relatywnie prosta: używa jednostek neuronalnych, których właściwości wewnętrzne i właściwości plastyczności są nader klasyczne i odpowiadają – na poziomie funkcjonalnym – sposobowi, w jaki funkcjonuje większość jednostek neuronalnych mózgów ssaków²⁷. Specyfiką tej konstrukcji jest to, że słuchowe mapy neuronalne są ściśle i bezpośrednio połączone z mapami motorycznymi i że te połączenia są plastyczne. Ta konstrukcja i te połączenia ukazują się na początku jako elementy istotne wcale nie mowy, lecz zwykłej zdolności uczenia się imitowania dźwięków, nazywamy to tutaj adaptacyjną imitacją głosową²⁸. Prowadzi nas to do następującego scenariusza ewolucyjnego będącego konceptualizacją pochodzenia fonemicznych systemów fonacyjnych wspólnych dla członków danej wspólnoty:

- 1) Adaptacyjna imitacja głosowa pojawia się u wielu zwierząt²⁹, które posiadają wyuczone systemy sygnalizacji głosowej, ale u których nie istnieje język. Etołodzy ustalili zresztą wiele potencjalnych zalet reprodukcyjnych charakteryzujących zdolność głosowej imitacji adaptacyjnej w zbiorowości jednostek (na przykład fakt, że pozwala zaznaczyć przynależność do grupy). Zasadna jest więc myśl, że istoty ludzkie, zanim nauczyły się mówić, mogły dysponować zdolnością głosowego naśladowania się i że ta zdolność imitacji pojawiła się przed językiem.
- 2) Zdolność do adaptacyjnej imitacji głosowej, podobnie jak większość zalet reprodukcyjnych zidentyfikowanych przez etologów w celu wyjaśnienia obecności tej zdolności u niektórych zwierząt, nie wymaga kodowanego fonemicznie kombinatorycznego systemu głosowego. Przedział parametrów, w których parametr wybiórczości σ jest niski, również pozwala robotom nauczyć się bardzo dobrze głosowych odpowiedniości percepcyjno-motorycznych, nie generując przy tym systemu fonemicznego.
- 3) Jeśli odniesiemy się teraz do kontekstu ekologicznego, w którym dysponowanie kombinatorycznym systemem miałooby stanowić zaletę reprodukcyjną, to opisane przez nas eksperymenty upoważniają do stwierdzenia, że zwykła zmiana wartości parametru wybiórczości σ map neuronów słuchowych i motorycznych pozwoliłaby spontanicznie wyłonić się systemom głosowym, mającym wiele podstawowych właściwości wspólnych z współczesnymi systemami ludzkiej mowy, można nawet w przybliżeniu przewidzieć systemy samogłosek, kiedy używa się modelu ich wytwarzania i percepcji u człowieka. Pozwala to zrozumieć, że to, co było wielkim krokiem w narodzinach języka, a więc kształtowanie się kombinatorycznych systemów głosowych, mogło być skutkiem nie-

²⁷ Tamże.

²⁸ Co odpowiada terminologii angielskiej: *adaptive vocal mimicry*.

²⁹ *Social influences on vocal development*, ed. Ch.T. Snowdown, M. Hausberger, Cambridge University Press, New York 1997; M.D. Hauser *The evolution of communication*, MIT Press (Bradford Books), Cambridge (Mass.) 1997.

wielkiej zmiany biologicznej dzięki właściwościom samoorganizacyjnym materii neuronalnej i jej multimodalnych sprzężeń.

Scenariusz, w którym fonemiczne systemy mowy byłyby wybierane dzięki zaletom reprodukcyjnym, jakich mogłyby dostarczyć – wybór możliwy dzięki relatywnej łatwości generowania tych systemów w oparciu o biologiczne podstawy adaptacyjnej imitacji głosowej – nie jest jednak jedynym, jaki ten model może wesprzeć. Nieco wcześniej wyjaśniłem, że w przedziale wartości parametru σ , który pozwala kształtować się systemom fonemicznym, zdolność imitacji głosowej jest nienaruszona i równie produktywna. Jednak przy równych osiągnięciach imitacyjnych przejście parametru σ od tego przedziału do przedziału niskiej wybiórczości nie stanowi kosztu metabolicznego *a priori*. Wynika stąd, że w kontekście ekologicznym, w którym struktury neuronalne wyłaniają się w następstwie selekcyjnego nacisku na adaptacyjną imitację głosową, neutralne mutacje/odmiany mogły się zdarzyć i spontanicznie generować fonemiczne systemy mowy bez lingwistycznego nacisku selekcyjnego. Pewna obserwacja czyni ten scenariusz szczególnie stymulującym: wśród gatunków zwierzęcych zdolnych do nauczania się imitacji głosowych, u których istnieją wspólne kulturowe systemy głosowe, ale które nie mają języka, niektóre wytwarzają wokalizacje lub śpiewy ustrukturuwane wokół jednostek podstawowych, systematycznie powtarzanych. Wśród ptaków dotyczy to na przykład kanarków i zeberek³⁰, z wielorybów zaś humbaków³¹. Funkcja tego *quasi*-fonemicznego strukturuwania jest jeszcze niewystarczająco skonceptualizowana w etologii. Model, który przedstawiłem, ponieważ jest obojętny na wiele właściwości aparatów słuchowych i głosowych, a architektura neuronalna, jaką zakłada, odpowiada minimalnemu wyposażeniu wymaganemu do adaptacyjnej imitacji głosowej, może się odnosić również do kształtowania śpiewów u wspomnianych zwierząt. W tym wypadku pozwala postawić hipotezę, którą wzmacnia niepewność co do funkcji kodowania kombinatorycznego tych śpiewów: kombinatoryka jednostek mogłaby kształtować się spontanicznie jako efekt uboczny wyposażenia biologicznego służącego do adaptacyjnej imitacji głosowej. Równie racjonalne jest wyobrażenie sobie, że coś takiego mogło się zdarzyć u istot ludzkich: systemy kombinatoryczne mowy byłyby dopiero później mobilizowane do spełniania swojej funkcji lingwistycznej. Jeśli tak, to wiele podstawowych właściwości systemów mowy człowieka współczesnego byłoby egzaptacjami.

Konkluzja

Dzięki zbudowaniu i użyciu modelu informatycznego wykazałem, w jaki sposób konstrukcja relatywnie prostego sensoryczno-motorycznego sprzężenia audio-

³⁰ E.A. Brenowitz, M.D. Beecher *Song learning in birds. Diversity and plasticity, opportunities and challenges*, „Trends in Neuroscience” 2005 no 28 (3), s. 127-132.

³¹ P. Tyack *Interactions between singing hawaian humpback whales and conspecifics nearby*, „Behavioral Ecology and Sociobiology” 1981 no 8 (2), s. 105-116.

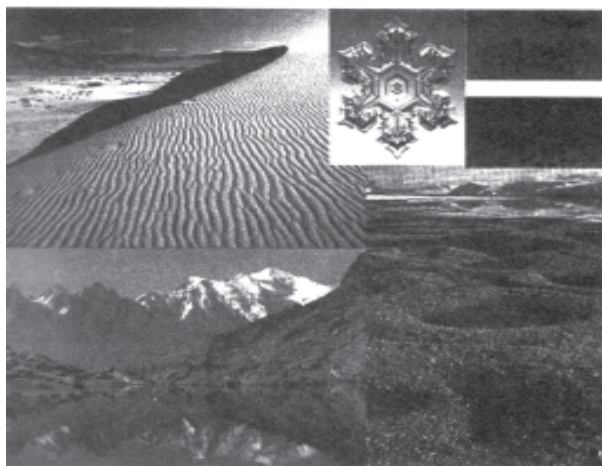
fonacyjnego umożliwiła, zgodnie z dynamiką samoorganizacyjną, spontaniczne kształtowanie się kombinatorycznych i kodowanych fonemicznie systemów głosowych, wspólnych wszystkim jednostkom tej samej zbiorowości i charakteryzowanym przez dwoistość uniwersalia/zróżnicowanie. Pierwsza wartość tego przedsięwzięcia polega na tym, że po raz pierwszy można było zaproponować jednolite wyjaśnienie tych trzech zjawisk.

Co więcej, ta architektura sprzężenia wielomodalnego odpowiada minimalnemu materiałowi neuronalnemu, niezbędnemu do adaptacyjnej imitacji głosowej i nie zawiera żadnego elementu biologicznego swoistego dla mowy ludzkiej. Zjawisko krystalizacji systemu zachodzi dla dużego przedziału parametrów tego modelu, co pokazuje, że biologiczna innowacja, umożliwiająca przejście od systemów głosowych pozbawionych artykulacji do systemów charakteryzujących się szeregiem podstawowych właściwości mowy człowieka współczesnego, mogła być niewielka. Nie wydaje się konieczne, aby struktury neuronalne *a priori* i specyficznie kodujące układ fonemiczny oraz typowe regularności mowy musiały być generowane w sposób wrodzony, bo tylko tak miałoby być możliwe kształtowanie i uczenie się takich kodów mowy. Druga wartość tego przedsięwzięcia polega na tym, że pozwala ono zrozumieć, w jaki sposób właściwości samoorganizacji prostych struktur neuronalnych mogły narzucić przestrzeni form biologicznych mowy ograniczenia i umożliwić ich generowanie, a potem selekcję podczas filogenezy.

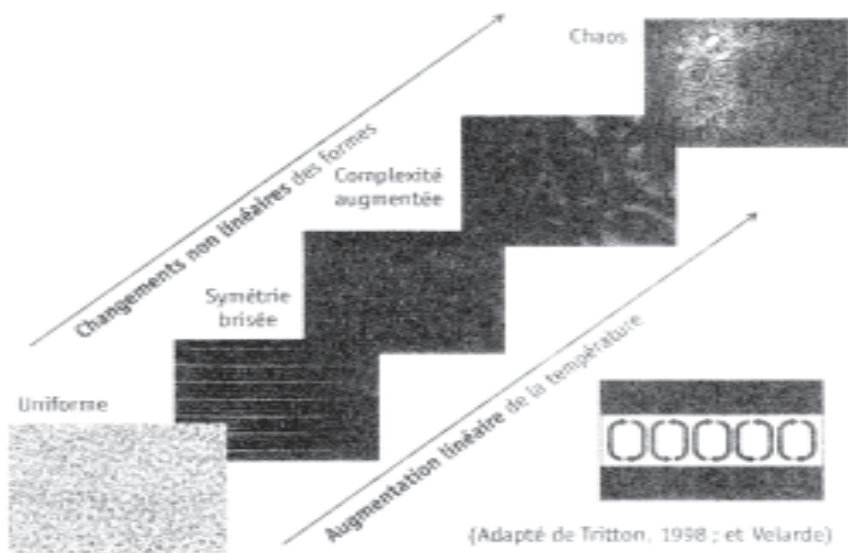
Te nowe hipotezy prawdopodobnie nie mogłyby się pojawić bez wykorzystania symulacji informatycznych, ponieważ dynamiki implikowane przez te hipotezy są złożone i trudne do przewidzenia w pracy poprzestającej na poszukiwaniu formuł słownych. Świadczy to o potencjalnej ważności, jaką mogą mieć te nowe narzędzia metodologiczne w naukach humanistycznych i naukach przyrodniczych. Jednakże modele informatyczne abstrahują od wielu mechanizmów biologicznych i etologicznych, polegają więc przede wszystkim na teoretycznej pracy refleksji nad przestrzenią hipotez: kiedy przestrzeń jest na nowo skonceptualizowana, zaś wewnętrzna spójność hipotez sprawdzona za pomocą symulacji, cała praca potwierdzenia i umocowania hipotez w rzeczywistości obserwacji biologicznych pozostaje do wykonania. Trzecia wartość tego przedsięwzięcia wiąże się nie tyle z wypracowaniem nowych specjalnych hipotez, co z konstruowaniem warsztatu badawczego, znajdowaniem narzędzi pozwalających rozwinąć nowe intuicje i nowe pojęcia przydatne w myśleniu o pochodzeniu i ewolucji mowy³².

Przełożył Adam Dziadek

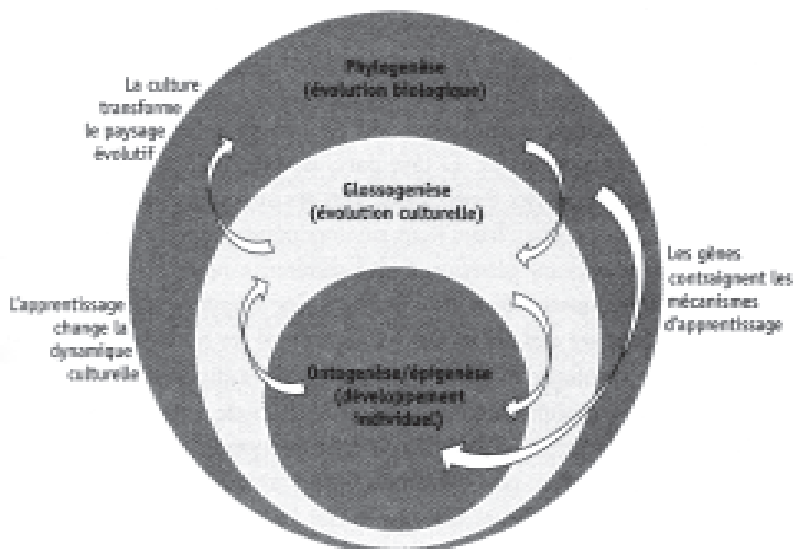
³² Praca ta została zrealizowana w dużej części w Sony Computer Science Laboratory w Paryżu przy wsparciu Luca Steelsa.



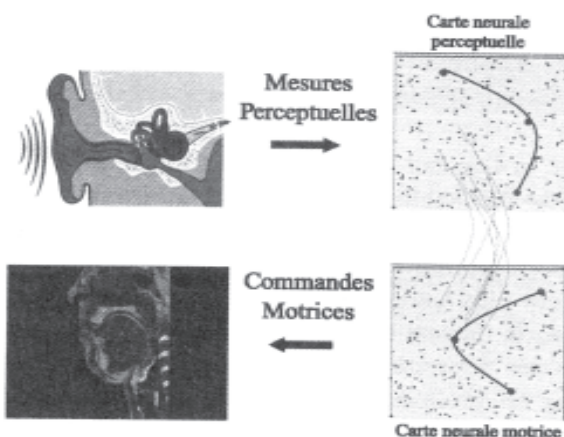
Ilustracja 1. Natura obfituje w formy i motywy zorganizowane, chociaż nigdzie nie znajdziemy planów, które posłużyły do ich zbudowania: dlatego właśnie mówi się, że są one samozorganizowane. Na ilustracji mamy równoległe pasma przebiegające przez wydmy; pęcherzyki wody na powierzchni wstrząśniętego płynu; struktury polihedralne kryształka lodu; góry, których kształty są takie same, bez względu na to, czy ogląda się je z wysokości skał, czy z wysokości szczytu.



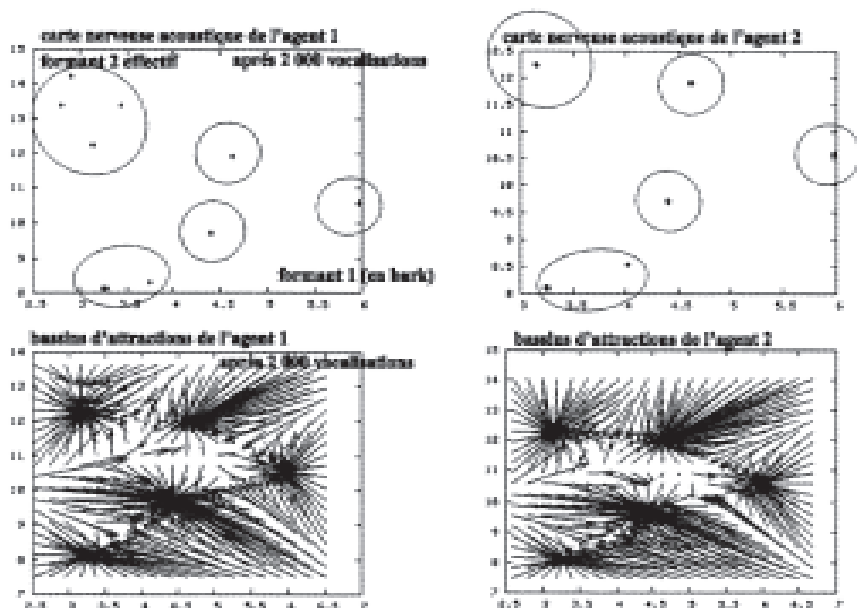
Ilustracja 2. Komórki Rayleigha-Bénarda: jeśli podgrzewamy od spodu cienką warstwę oliwy rozlaną na płaskiej powierzchni, wówczas prądy konwekcyjne, nabierające szczególnych kształtów geometrycznych (linie, kostki heksagonalne), samoorganizują się. Kształty te zmieniają się gwałtownie, kiedy przekroczony zostaje pewien próg temperatury. Ten typ nieliniowości jest właściwy wielu systemom samozorganizowanym zarówno świata nieorganicznego, jak i żywego. Napisy na ilustracji: *Changements non linéaires des formes* – Nieliniowe zmiany form; *Chaos* – Chaos; *Complexité augmentée* – Wzrost złożoności; *Symétrie brisée* – Złamana symetria; *Uniforme* – Jednolite; *Augmentation linéaire de la température* – Liniowy przyrost temperatury. (Zdjęcia z: D.J. Tritton *Physical fluid dynamics*, Oxford University Press, Oxford 1988 i od M. Velarde z Universidad Complutense, Madrid).



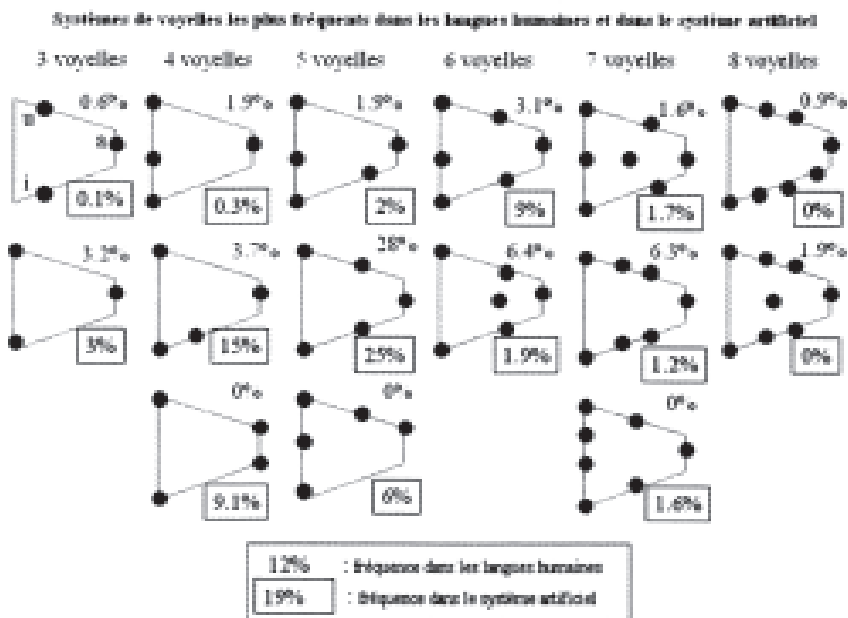
Ilustracja 3. Wielostopniowość interakcji u źródeł mowy. Napisy na ilustracji: *La culture transforme le paysage évolutif* – Kultura przekształca pejzaż ewolucyjny; *L'apprentissage change la dynamique culturelle* – Uczenie się zmienia dynamikę kultury; *Les gènes contraignent les mécanismes d'apprentissage* – Geny wymuszają mechanizmy uczenia się; *Phylogenèse (évolution biologique)* – Filogeneza (ewolucja biologiczna); *Glossogenèse (évolution culturelle)* – Glossogeneza (ewolucja kulturowa); *Ontogenèse/épigenèse (développement individuel)* – Ontogeneza/epigeneza (rozwój jednostki).



Ilustracja 4. Architektura robota w sztucznym systemie. Każdy robot jest wyposażony w sztuczne ucho, w sztuczny kanał głosowy i dwie sieci sztucznych neuronów, jedną percepcyjną, a drugą motoryczną, które łączą te dwa organy. Napisy na ilustracji: *Mesures perceptuelles* – Wskaźniki percepcyjne; *Commandes Motrices* – Instrukcje motoryczne; *Carte neural perceptuelle* – Mapa neuronalna percepcji; *Carte neural motrice* – Mapa neuronalna motoryki.



Ilustracja 5. Początkowa symetria map neuronalnych robotów bardzo szybko ulega załamaniu, a neurony, które początkowo kodowały aleatorycznie konfiguracje głosowe rozłożone w przestrzeni fonacji, kodują teraz niewielką liczbę konfiguracji, które są systematycznie powtarzane przez agensów w czasie ich gaworzenia: przestrzeń głosowa staje się nieciągła. Pojawiające się konfiguracje elementarne są takie same u wszystkich agensów tej samej populacji, ale różne w przypadku różnych populacji. Można to zobaczyć na tym rysunku, który przedstawia mapę neuronów percepcyjnych dwu agensów po 2000 fonacji (u góry), jak i przedstawienie dystrybucji tych fonacji (na dole). Przestrzeń słuchowa jest rzutowana na formanty F1 i F2 mierzone w barksach, co pozwala przedstawić samogłoski systemu głosowego samorganizowanego w tej symulacji. Napisy na ilustracji: *Carte nerveuse acoustique de l'agent 1* – Mapa neuronalna akustyczna agensa 1; *Carte nerveuse acoustique de l'agent 2* – Mapa neuronalna akustyczna agensa 2; *Bassin d'attractions de l'agent 1* – Basen przyciągania agensa 1; *Bassin d'attractions de l'agent 2* – Basen przyciągania agensa 2; *formant 2 effectif* – formant F2; *après 2000 vocalisation* – po 2000 fonacji; *formant 1 (en bark)* – formant F1 (w barksach).



Ilustracja 6. Porównanie dystrybucji samorganizowanych systemów samogłosek w systemie sztucznym i dystrybucji systemów samogłosek w językach ludzkich (na podstawie bazy danych UPSID, zob I. Maddieson *Patterns of sounds*, Cambridge University Press, Cambridge 1984). Systemy samogłosek są przedstawione na trójkącie samogłoskowym, którego wymiar horyzontalny odpowiada formantowi F1, a wymiar wertykalny – F2. Można zauważyć, że najczęstsze systemy tworzone przez sztucznych agensów są również tymi, które najczęściej występują i u ludzi, zwłaszcza system 5 symetrycznych samogłosek *a, e, i, o, u* – w 25% w systemach sztucznych i 28% w językach ludzkich. Napisy na ilustracjach: *Systèmes de voyelles les plus fréquentes dans les langues humaines et dans le système artificiel* – Najczęstsze systemy samogłosek w językach naturalnych i w systemie sztucznym; *fréquence dans les langues humaines* – częstotliwość w językach naturalnych; *fréquence dans le système artificiel* – częstotliwość w systemie sztucznym.

Abstract

Pierre-Yves OUDEYER

Institut National de Recherche en Informatique et en Automatique (Bordeaux)

Self-Organisation in the Evolution of Speech

In this article Pierre-Yves Oudeyer summarises the main tenets of his doctoral thesis, for which he was awarded the prestigious Prix Associations Françaises des Sciences et Technologies de l'Information in 2005. Oudeyer focuses on the origin of speech, and questions how that speech can be spontaneously generated by the coupling of evolutionarily simple neural structures connecting perception and production. He explores this hypothesis by constructing a computational system to model the effects of linking auditory and vocal motor neural nets. His innovative findings are supported by research in robotics, which represent a key contribution to evolutionary phonetics.

Danuta KĄDZIELAWA

Afazja i jej mózgowe mechanizmy

Wprowadzenie

Pierwsze wzmianki o występowaniu zaburzeń językowych pojawiły się w znalezionym przez Edwina Smitha papirusie datowanym na ponad trzy i pół tysiąca lat przed naszą erą. Kolejne pochodzą ze starożytności i z początku naszej ery [patrz: Kądziaława 1996]. Od XV do XVIII wieku powstało wiele opisów i samoopisów zróżnicowanych zaburzeń językowych rozpoznawanych jako afazja po uszkodzeniach mózgu [Goodglass i in. 1988]. Klasyczny okres w rozwoju afazjologii przypada na lata 1860-1950, wtedy to bowiem działali tacy wybitni klinicyści i badacze, jak Fraz Gall, Paul Broca, Arnold Rousseau, Carl Wernicke, John-Huglings Jackson, Pierre Marie, Henry Head, Kurt Goldstein, Aleksander Romanowicz Łuria, a w Polsce: Jerzy Konorski, Mariusz Maruszewski, Marcelli Klimkowski i wielu innych [patrz: Pąchalska 1999; Goodglass i in. 1988].

Dorobek klasycznego okresu w rozwoju afazjologii obejmuje kliniczne charakterystyki zespołów zaburzeń językowych i ogólniej – poznawczych, odnoszących się do ogniskowych uszkodzeń mózgu, oraz propozycje modeli afazji, aleksji i agrafii. W modelach tych znalazły się informacje o miejscu lokalizacji uszkodzenia lewej półkuli mózgu, traktowanej jako półkula dominująca dla funkcjonowania językowego u osób praworęcznych. Równocześnie z rozwojem wiedzy o zaburzeniach językowych powstawały modele funkcjonowania językowego w obrębie normy, których dobrym przykładem jest model funkcji językowych opracowany przez Adolfa Kusmaula w roku 1877, uznawany dziś za prekursorski w stosunku do modeli neuropsychologii poznawczej [omówienie patrz: Kądziaława 1996]. Inną znaczącą propozycję stanowi model dynamicznych układów funkcjonalnych opra-

cowany przez Piotra K. Anochina, a rozwinięty w odniesieniu do funkcji językowych przez Aleksandra R. Łurię [1947, 1966].

Druga połowa XX wieku to okres wyodrębniania się i rozwoju nowych kierunków badań interdyscyplinarnych nad językiem i mową określanych jako: psycholingwistyka, neurolingwistyka, biolingwistyka, psychologia poznawcza, neuropsychologia poznawcza, neuronauka w jej części skoncentrowanej na języku i mowie [Kurcz 2000]. To również okres rozwoju neuropsychologii klinicznej, w ramach której są kontynuowane badania nad związkiem funkcjonowania człowieka w wymiarze poznawczym, emocjonalnym i motywacyjno-osobowościowym ze strukturami mózgowia, przy udziale pacjentów zarówno z patologią ogniskową, jak i rozsianą oraz przy zastosowaniu technik neuroobrazowania funkcjonalnego mózgu.

Pierwsze lata XXI wieku dokumentują dalszy rozwój interdyscyplinarnego podejścia do zagadnień językowych, rozpatrywanych zarówno w odniesieniu do osób zdrowych, jak i pacjentów neurologicznych, co zostanie zilustrowane w dalszych częściach niniejszego tekstu.

Zaburzenia fonologiczno-fonetyczne w afazji

Z badań nad zaburzeniami językowymi na poziomie fonologicznym i fonetycznym u pacjentów z afazją, pacjentów z apraxją mowy oraz osób zdrowych wynika przede wszystkim złożoność anatomiczna i funkcjonalna okolicy wyróżnionej przez Paula Brokę (na podstawie badania klinicznego, a następnie – sekcyjnego mózgu swojego pierwszego pacjenta) w roku 1860, zlokalizowanej w tylnej części dolnego zakrętu czołowego w lewej półkuli mózgu, obejmującej pole BA 44 i BA 45 według mapy cytoarchitektonicznej Korbiniana Brodmanna (skrót BA od ang. *Brodmann's area*). Zróżnicowanie cytoarchitektoniczne okolicy Broki współwystępuje ze zróżnicowaniem czynnościowym, tzn. uszkodzenie pola BA 45 (dokumentacja przy użyciu techniki funkcjonalnego rezonansu magnetycznego – fMRI) powoduje zaburzenia fonologiczne, a wybiórcze uszkodzenie pola BA 44 – łączy się z zaburzeniami płynności mowy i błędami artykulacyjnymi. Uszkodzenie okolicy Broki może powodować zarówno afazję ruchową, jak i apraxję mowy.

W badaniach z 2005 roku [Thompson-Schill, za Buckingham i Christman 2008] pole BA 22 okazało się zróżnicowane również pod względem lokalizacyjnym i funkcjonalnym. Część grzbietowa pola BA 22 jest aktywna w fazie poprzedzającej pełną fonologiczną formę wyrazu, a część przyśrodkowa – odpowiada za reprezentację i przetwarzanie fonologiczne całej formy wyrazu. Powyższe zróżnicowanie może wiązać się z występowaniem neologizmów w różnych formach mowy ekspresyjnej.

W opinii Buckingham i Christman [tamże] badania z ostatnich lat wykazują, że ścisłe przestrzenne i strukturalne oddzielenie mózgowych mechanizmów przetwarzania informacji fonologicznej i fonetycznej nie istnieje. Przyjmując nakładanie się mózgowych mechanizmów fonologicznych i fonetycznych, można lepiej zrozumieć współwystępowanie błędów obu rodzajów w różnych formach afazji i apraksji mowy.

Zaburzenia morfologiczne w afazji

Morfologia – czyli struktura wewnętrzna wyrazów, występujących w słowniku umysłowym człowieka – rozpisuje się na dwie, a według niektórych autorów – na trzy grupy zagadnień:

1. fleksję, czyli zasady tworzenia obligatoryjnych słowoform przy użyciu końcówek fleksyjnych właściwych dla danego języka naturalnego;
2. zasady derywacyjne dotyczące tworzenia nowych słowoform;
3. zasady łączenia istniejących słowoform w nowe złożone wyrazy (ang. *compounding*).

Ad 1. Morfologia fleksyjna

W pierwszym przypadku badania neurolingwistyczne dotyczyły porównań rzeczownika i czasownika [Shapiro i Caramazza 2003] w sytuacji uzupełniania ekspozowanych zdań czasownikami i rzeczownikami homofonicznymi (np. *He judges, the judges*) w porównaniu z pseudoczasownikami i pseudorzeczownikami (*He wugs, the wugs*). Powyższe badanie wykazało największe trudności pacjentów z afazją Broki w tworzeniu czasowników i pseudoczasowników w porównaniu z rzeczownikami i pseudorzeczownikami. Odwrotne relacje charakteryzowały pacjentów z zachowaną płynnością mowy i poprawną, ale pustą treściowo mową ekspresyjną.

W badaniach nad formami regularnymi i nieregularnymi [Ullman i in. 1997, 2005, za: Jarema 2008] w odniesieniu do formy czasu przeszłego czasowników w języku angielskim wyniki wykazały model podwójnej dysocjacji pod względem lizebności błędów:

- pacjenci z chorobą Parkinsona i pacjenci z afatycznymi zaburzeniami płynności mowy popełniali znacznie więcej błędów w posługiwaniu się formami regularnymi czasu przeszłego niż nieregularnymi;
- pacjenci z otępieniem typu Alzheimer'a i pacjenci z afazją zachowujący płynność mowy wykazali odwrotną proporcję błędów.

Wyniki badań zostały powiązane z charakterystykami funkcjonalnymi przednich i tylnych części kory w lewej półkuli mózgu w następujący sposób:

- obwody neuronalne przedniej części półkuli regulują operacje gramatyczne ściśle określone przez reguły języka;
- obwody neuronalne tylnej części półkuli odpowiadają za regulację pamięci deklaratywnej (w tym semantycznej), są swoistym magazynem słowoform o nieregularnej strukturze.

Ad. 2 Morfologia derywacyjna

Analizy neurolingwistyczne językowego funkcjonowania pacjentów neurologicznych wskazują na bardzo rzadkie występowanie trudności w zakresie morfologii derywacyjnej, szczególnie jako objawów wybiórczych. Przykład badań przytoczonych przez Jareme [tamże] dotyczył dwóch pacjentów z uszkodzeniami korowo-podkorowymi w okolicy skroniowo-ciemieniowej w prawej półkuli mózgu. Badanie prowadzone w języku włoskim polegało na:

- nazwaniu rysunków i podaniu derywowanych czasowników;
- słuchaniu czasowników i podaniu derywowanych rzeczowników;

– słuchaniu przymiotników i podawaniu derywowanych rzeczowników. Obie badane osoby miały trudności w tworzeniu derywowanych form rzeczowników, zamiast których tworzyły formy imiesłówów czasu przeszłego.

Wyniki badań interpretowano, uwzględniając charakterystyki czynności prawej półkuli mózgu. Półkula ta jest bardziej zaangażowana w przetwarzanie rzeczowników o szerokiej reprezentacji wyobrażeniowej.

Ad 3. Morfologia wyrazów złożonych

Jak wynika z badań neurolingwistycznych, pacjenci z afazją najczęściej opuszczają jeden ze składników wyrazu złożonego (częściej czasownik niż rzeczownik), jak również zamieniają kolejność składników.

Zaburzenia leksykalno-semantyczne

Słownik umysłowy – czyli „intuicyjna wiedza na temat danego języka, jaką mają użytkownicy tego języka” [Kurcz 2000, s. 106] obejmuje aspekt semantyczny (znaczenie wyrazu), syntaktyczny (rola tematyczna przyjmowana przez wyraz w zdaniu), aspekt fonologiczny (reprezentowany przez fonetyczną postać wyrazu) oraz aspekt ortograficzny (wyrażony przez wzorce graficzne).

W psychologii aspekt semantyczny słownika umysłowego wiąże się ze zróżnicowaniem znaczenia na:

- znaczenie denotacyjne, będące odniesieniem wyrazu do obiektu oznaczanego przez ten wyraz, a upośrednionego poprzez reprezentację mentalną (myśl, ideę, wyobrażenie);
- sens, rozumiany jako miejsce danego wyrazu wśród innych wyrazów słownika, określone przez relacje: synonimiczności, antonimii, homonimii i innych.

Kolejna istotna charakterystyka słownika umysłowego dotyczy dostępu leksykalnego. Ten bywa utrudniony zarówno u osób zdrowych, jak i u pacjentów. Osoby zdrowe doświadczają niekiedy trudności w znalezieniu właściwego słowa dla wyrażenia danej myśli, zapominania dobrze znanego słowa czy zjawiska „mam to na końcu języka” (*tip on the tongue*) itp.

U pacjentów z zaburzeniami językowymi przy patologii mózgowiowej może wystąpić anomia. W afazji trudności z aktualizacją nazwy zależą zarówno od typu zaburzeń, jak i od kategorii gramatycznej wyrazu. U pacjentów z afazją ruchową w mowie ekspresyjnej dominują rzeczowniki przy jednoczesnym ograniczeniu czasowników i innych form gramatycznych. U pacjentów z głębokimi zaburzeniami przeważają rzeczowniki w formach podstawowych, a pomijane są formy fleksyjne. Mechanizm tych zaburzeń odnosi się do trudności w dostępie leksykalnym [Libben 2008].

Pacjenci z afazją Wernickego prezentują płynną mowę ekspresyjną, poprawną składniowo, ale pozbawioną rzeczowników precyzujących znaczenie wypowiedzi. W miejscu rzeczowników pojawiają się partykuły, zaimki czy rzeczowniki o bardzo ogólnym znaczeniu, na przykład na pytanie o nazwę wskazanego obiektu pacjent odpowiada: „...ten ... no taki ... taki... obiekt...”.

Inny rodzaj trudności dotyczy charakterystyk samych wyrazów. Zarówno osoby zdrowe, jak i pacjenci częściej mają trudności z wyrazami abstrakcyjnymi, wyrazami funkcyjnymi i wyrazami niskofrekwencyjnymi niż wyrazami o znaczeniu konkretnym, wyrazami treściowymi czy wyrazami o wysokiej frekwencji. W tym przypadku szczególną kategorię stanowią wyrazy funkcyjne, ponieważ są jednocześnie wyrazami abstrakcyjnymi i wysokofrekwencyjnymi.

Próbę wyjaśnienia powyższych trudności podjął Friedman Pulvermuller [1999], który odwołał się do różnic w lokalizacji i stopniu rozprzestrzenienia sieci neuronalnych powiązanych z rozpatrywanymi kategoriami wyrazów. Wyrazy funkcyjne wiążą się z sieciami neuronalnymi otaczającymi bruzdę boczną w lewej półkuli mózgu, natomiast wyrazy treściowe łączą się z sieciami neuronalnymi w obu półkulach mózgu, reprezentującymi właściwości percepcyjne i motoryczne desygnatów wyrazów treściowych. Leksykalno-semantyczny wymiar wyrazów treściowych przejawia się również w zaburzeniach rozumienia tej kategorii wyrazów i wypowiedzi przez pacjentów z różnymi formami afazji, co zostało udokumentowane w badaniach eksperymentalnych [Jodzio i in. 2008].

Zaburzenia syntaktyczne

Syntaktyczny aspekt jednostek leksykalnych w słowniku umysłowym człowieka dotyczy roli tematycznej, jaką może przyjąć dany wyraz w zdaniu, oraz jego roli w strukturach frazowych i w strukturach predykatywno-argumentowych [Kurcz 2000]. Niniejszy aspekt kategorii gramatycznych wyrazów, analizowanych najczęściej u pacjentów neurologicznych, odnosi się do rzeczowników, przymiotników, czasowników oraz morfemów związanych i wolnych. Zaburzenia w zakresie dostępu do tych kategorii w słowniku umysłowym przejawiają się w zróżnicowanych charakterystykach mowy ekspresyjnej pacjentów z afazją Broki i afazją Wernickego, o czym była mowa w niniejszym tekście.

Postępujące zaburzenia językowe w zwyrodnieniowej patologii mózgowia

Zaburzenia językowe o typie afazji, rozwijające się u pacjentów ze zmianami zwyrodnieniowymi mózgowia, opisywane przez neurologów na przełomie XIX i XX wieku przy użyciu zróżnicowanych określeń, dopiero w roku 1982 zostały objęte wspólną nazwą „pierwotna afazja postępująca” (*primary progressive aphasia* – PPA), wprowadzoną przez Marcela Mesulama. W monografii Henryka Olszewskiego *Otępienie czołowo-skroniowe. Ujęcie neuropsychologiczne* [2008] znajduje się schemat klasyfikacji zespołów zaburzeń wchodzących w skład tytułowej kategorii otępienia, w którym został wyróżniony wariant językowy zaburzeń, obejmujący postać płynną afazji, zwaną też otępieniem semantycznym (ang. *semantic dementia* – SD) oraz postać niepłynną (ang. *progressive nonfluent aphasia* – PNFA). W otępieniu semantycznym w pierwszym okresie choroby dominują trudności w rozumieniu

słów i pojęć w mowie i w piśmie przy względnie zachowanej płynności mowy ekspresyjnej, jej tempa i linii melodycznej. Niektórzy pacjenci przejawiają również objawy dysleksji: czytają tekst fonetycznie, mają trudności z wyrazami nieregularnymi (stąd nazwa: dysleksja z błędami regularyzacji). Zdarzają się również objawy dysgrafii. Zaburzenia rozumienia mowy są przejawem patologii pamięci semantycznej i towarzyszącej jej anomii. Zespół zaburzeń rozwija się w kierunku mutyzmu przy narastających zmianach zwyrodnieniowych tkanki mózgowej zlokalizowanych wokół bruzdy bocznej w lewej półkuli mózgu.

W postępującej afazji niepełnej (PNFA) objawem najbardziej charakterystycznym w pierwszym okresie choroby jest anomia, która po upływie około 2 lat rozwija się w narastające zaburzenia płynności mowy spontanicznej i trudności z aktualizacją słów przy względnie zachowanej strukturze gramatycznej wypowiedzi. U niektórych pacjentów zaburzenia upodabniają się do afazji Broki z nasilającymi się zaburzeniami płynności artykulacyjnej, dominacją rzeczowników nad innymi kategoriami gramatycznymi wyrazów, agramatyzmem aż do postaci afazji całkowitej i mutyzmu. Zaburzenia językowe wiążą się z postępującą patologią zwyrodnieniową w płatach czołowych mózgu, z przewagą w półkuli lewej.

Podsumowanie

Poszerzający naszą wiedzę rozwój badań nad zaburzeniami językowymi u osób z patologią mózgowia dowodzi, że interdyscyplinarne analizy zespołów zaburzeń językowych i ich charakterystyk na poszczególnych poziomach systemu językowego odgrywają coraz większą rolę, zwłaszcza ze względu na swoją efektywność. Badacze wiążą wyodrębnione zaburzenia z wyjaśnieniami mózgowiowych mechanizmów patologii rozpoznawanych coraz częściej przy użyciu technik neuroobrazowania funkcjonalnego mózgowia oraz z uwzględnieniem modeli sieci neuronalnych, wskazujących na rozproszoną reprezentację mechanizmów językowego funkcjonowania człowieka w patologii i w normie.

Załącznik: Przykłady wypowiedzi pacjentów z afazją¹

Skróty: P – pacjentka
T – terapeuta

I. Przykład wypowiedzi pacjentki K.R. z afazją Broki
po udarze w lewej półkuli mózgu:

T: Proszę opowiedzieć o historii swojej choroby.

P: Dobrze, chodziłam do szkoły do do liceum w Radomsku. Rodzice m pracują i i y y uczy się y m brat, y w technikum y e elektrycz-nym. I chodź ... i ... y czwar-

¹ Jest to roboczy, własny zapis rozmów prof. Danuty Kądzielawy z pacjentami z afazją. (Przyp. red.).

tej klasie byłam. W październiku m stało się już ... w sobotę m był y y brat w sobotę rano ... niep... y zazoniłam do mamusi, bardzo bolała mnie głowa i i ... i y położyłam się do łóżka, na versalk-tse*. I nie pamiętam ... nie mam ... nie byłam y ... nieprzytom-na byłam ile dwa tygodnie temu. Y w-o-budzi-łam się w szpitalu w klinice m m medycznej ve* w Łodzi. I. Po opo operacji ... byłam niepst-y byłam ... nie mówiłam ... i nie słyszałam nic. (*Pacjentka śmieje się.*) ... I potem ... cały czas y y mam-musia-o u mnie była w Łodzi. M-wi rano pstjezaw pstje-zdza-wa...
T: Tak?

P: Przyjże-dżała mamusia rano i i wieczorem wyjechała do cioci do łodzi. I. y ćwiczyłam różne y sposoby y ćwiczenia ręki i nogi ... i. I z panem rehabilitantem ćwiczyłam. M miałam krótkie włosy takie m na na na ... (*Pacjentka śmieje się*) obciął mi e fryzjer na. Na na...

T: Na je... na je...

P: Nie wiem. Na języka (*Pacjentka śmieje się*).

T: Tak.

* Zapis z literą „v” oznacza, że pacjentka miała problem z artykulacją spółgłoski „w” na początku wyrazu.

2. Przykład wypowiedzi pacjenta J.S. z afazją Wernickego
po udarze w lewej półkuli mózgu:

T: Proszę opowiedzieć, jak przebiegał Pana wczorajszy dzień na oddziale, możliwie najdokładniej.

P: Ja nie wiem nie wiem, co można przyjąć za przyjąć za dzień.

T: Od momentu obudzenia się, możliwie najdokładniej, proszę.

P: Umyłem się, ubrałem się, zjadłem śniadanie i poszedłem na lekcję. Na lekcji ... myśmy przerabiali nowe nowe y y ... nową lekcję tyzącą pająka bodajże, tak pająka i motyla. Następnie była przerwa. Ubrałem się i chodziłem po lesie ... no koło godziny, przeszło godzinę. Potem był obiad ... potem zdrzemnąłem się. Potem był ... Co było? ... a nie, potem nic nie było i potem wieczorem normalna kolacja. Potem oglądałem telewizję.

T: Czy mógłby Pan opowiedzieć o programie telewizyjnym?

P: No nie ... był jakiś pas-pas-paskudny. Wszyscy raczej przyszli na „Kobrę” niż na sam program...

T: Nie rozumiem – „program telewizyjny”, co to było?

P: Program tzn. dziennik telewizyjny.

T: A czy pamięta Pan, co było podawane na kolejne posiłki wczoraj?

P: Co? ... A chyba kawa...

T: Na śniadanie co było?

P: Na śniadanie puszczone y y chleb z kaszą z z z mlekiem. To było śniadanie, na śniadanie była zupa. Nie pamiętam, jakaś zupa a ... ahe! A drugie danie, danie to

bodajże bodajże była y...y takie gęste, nie pamiętam. W tej zupie jakieś gęste, jakaś gęsta surówka i jakieś wdziwienie do nadzienia do nadzienia. Nadzienie, które gdzieś, nie zostało tam gdzieś tam zakręcone. Na deser był były był był ... chleb oraz ... kielbasa.

T: A na kolację? Pan powiedział to o deserze.

P: A nie to to na kos-kolację, Tak to przedzielało e e przedzielał ... kompot.

T: Na kolację był chleb, wędlina, a co do picia?

P: Herbata.

Cytowana literatura przedmiotu

- Buckingham H.W., Christman S.S., 2008, *Disorders of phonetics and phonology*, w: Stemmer, Whitaker 2008.
- Goodglass H., Boller W.F., Grafman J. (eds.), 1988, *Handbook of neuropsychology*, t. 1, Amsterdam: Elsevier.
- Jarema G., 2008, *Impaired morphological processing*, w: Stemmer, Whitaker 2008
- Jodzio K., Biechowska D., Leszniewska-Jodzio B., 2008, *Selectivity of lexical-semantic disorders in Polish-speaking patients with aphasia. Evidence from single-word comprehension*, „Archives of Clinical Neuropsychology” 23.
- Kądziaława D., 1996, *Afazja*, w: Herzyk A., Kądziaława D. (red.), *Zaburzenia w funkcjonowaniu człowieka z perspektywy neuropsychologii klinicznej*, Lublin: Wydawnictwo UMCS.
- Kurcz I., 2000, *Psychologia języka i komunikacji*, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR.
- Libben G., 2008, *Disorders of lexis*, w: Stemmer, Whitaker 2008.
- Łuria A.R., 1947, *Trawmatyčeskaja afazija*, Moskwa: Izd. Akad. Med. Nauk SSRR.
- Łuria A.R., 1966 *Higher cortical functions in man*, New York: Basic Books.
- Olszewski, H., 2008, *Otępienie czołowo-skroniowe. Ujęcie neuropsychologiczne*, Kraków: Impuls.
- Pąchalska M., 1999, *Afazjologia*, Warszawa–Kraków: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Pulvermuller F., 1999, *Words in the brain's language*, „Behavioral and Brain Sciences” 22.
- Shapiro K., Caramazza A., 2003, *The representation of grammatical categories in the brain*, „Trends in Cognitive Sciences” 7.
- Stemmer W.B., Whitaker H.A. (eds.), 2008, *Handbook of the neuroscience of language*, Amsterdam: Elsevier.

Abstract

Danuta KĄDZIELAWA
University of Warsaw

Aphasia and its cerebral mechanisms

Human linguistic disorders have been studied since the earliest stages of natural history. The classical phase of 'aphasiology' was initiated in 1860, when Paul Broka presented a neurological patient with profound disorders of expressive speech, and is said to have come to an end in 1950, preceding the dynamic development of new interdisciplinary research on speech and language. Subsequently, disciplines like neurolinguistics and cognitive neuroscience led to investigations into the relations between language, speech acts, and mechanisms related to the brain (encephalon), which were explored in both neurological patients and healthy individuals. Development of theoretical approaches together with further research on the cognitive representation of language as a system and its application in social communication, led to a change in perspectives. As a result, the relationship between these representations and cerebral structures has been re-examined, and the activity of the encephalon is now more frequently considered in terms of neuronal network models.

Katarzyna KACZMARCZYK

Ogród – neurosemiotyka – ideologia

|

Z poszczególnymi sztukami wiązane są charakterystyczne dla nich sposoby percepcji. Większość wymaga swoistego „zawieszenia” codziennego odbioru rzeczywistości – wzięcia w nawias posiadanej wiedzy o świecie lub skupienia się tylko na pewnym wycinku rzeczywistości, wyłączenia dzieła z naturalnego otoczenia. Teorie sztuki starają się odpowiedzieć na pytanie, co powoduje, że oddzielamy dzieło od świata i w jaki sposób nam się to udaje, a następnie opisują, czym różnią się od siebie percepcja sztuki i percepcja rzeczywistości¹. Jednak jakkolwiek silne byłyby argumenty „separacjonistów”, nie ulega wątpliwości, że odbiór

¹ W estetyce wyrażano opinię, że percepcję sztuki od percepcji rzeczywistości różni szczególne podejście, które opisuje się jako kontemplację, zdystansowanie czy Kantowskie *Interesselosigkeit* – brak praktycznego zainteresowania przedmiotem. Podobne opinie pojawiają się w teorii literatury. Roman Ingarden stwierdzał, że wypowiedzenia w dziele literackim nie są sądami, bo mają zawieszoną referencję. Richard Ohmann, adaptując teorię aktów mowy Johna L. Austina, uznał, że dzieło literackie, naśladując rzeczywiste akty mowy, tworzy odrębny świat fikcji, który zależy wprawdzie od tego, czy odbiorca zrozumie te akty, ale nie dotyczą go one wprost. Dla Romana Jakobsona kluczem do różnicy pomiędzy językiem codziennym a językiem sztuki jest odmienna hierarchia funkcji. Funkcja poetycka osłabia funkcję referencjalną. Teorie te można sprowadzić do różnicy w dystrybucji uwagi odbiorcy i zahamowania jego reakcji na informację. Współcześni badacze, inspirując się najnowszymi odkryciami w neurologii, wskazują miejsca w mózgu, które są odpowiedzialne za funkcje związane z odbiorem sztuki. Za wspomniane zahamowanie reakcji odpowiedzialna jest kora oczodołowa. (Zob. N.N. Holland *Literature and the brain*, Gainesville 2009, s. 51-53).

świata i odbiór sztuki bazują na tej samej aparaturze percepcyjnej, na tych samych możliwościach człowieka. Percepcja sztuki i percepcja rzeczywistości są sobie bliższe, niż przedstawia wiele wpływowych teorii.

Dla takiego ujęcia odbioru sztuki analiza ogrodów wydaje się bardzo obiecująca. Percepcja ogrodu jest jednocześnie odbieraniem sztuki i rzeczywistości. Ogród funkcjonuje zarówno jako miejsce praktycznych działań jednostek, jak i jako dzieło sztuki, otacza odbiorcę jako fizyczna przestrzeń, a jednocześnie zanurza go w symbolicznym świecie *sacrum*. Równie skutecznie oddziałuje na jednostkę w obu swoich wcieleniach – bardzo płynnie pozwala przechodzić z jednego do drugiego lub jest oboma w tym samym czasie. Inaczej niż to się dzieje w literaturze, w ogrodzie przechodzenie od zanurzenia w symbolicznym świecie do rzeczywistości, a także jednocześnie rejestrowanie obu poziomów, nie jest problemem². Dzięki łatwości zestawiania świata ogrodu z rzeczywistością codzienną można wyraźniej zobaczyć podobieństwa i różnice pomiędzy tymi dwoma rodzajami odbioru. Tym bardziej uzasadnione jest szukanie właśnie w ogrodach określonych motywów przestrzennych, wzorców kompozycyjnych i szablonów percepcyjnych, nieobcych też innym sztukom.

Bliskość dwóch planów percepcyjnych sprawia, że ogród stanowi interesujący obiekt badań i wzorcowy przykład dla tych, według których odbiór sztuki nie jest opozycyjny wobec postrzegania rzeczywistości i nie różni się od niego pod względem swoich głównych cech, możliwości i praw nim rządzących.

Takie właśnie przekonanie leży u podstaw koncepcji neuroestetycznych. Różnych badaczy łączy traktowanie konstrukcji dzieła jako bodźca, który ma wpływ na odbiorcę, modeluje jego reakcje i działania. Vilayanur Ramachandran, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli neuroestetyki, twierdzi, że artysta mniej lub bardziej świadomie posługuje się wiedzą o tym, jak pobudzić określone obszary mózgu.

Sztuka, według badacza, nie obrazuje bezpośrednio rzeczywistości, lecz raczej ją wyolbrzymia czy inaczej zniekształca – po to, aby mocniej pobudzić obszary mózgu pobudzane zwykle podczas percepcji obiektu obrazowanego (możliwe są

2 Norman Holland tłumaczy fenomen zanurzenia w dziele literackim zasadami rządzącymi naszą uwagą (dysponujemy ograniczoną ilością energii, a gdy większość poświęcamy czytaniu dzieła, mniej możemy skierować ku światu zewnętrznemu), habituacją (gdy siedzimy i czytamy książkę, nasze położenie fizyczne nie zmienia się, a więc dociera do nas mniej bodźców, niż gdybyśmy się poruszali, natomiast powtarzające się bodźce stopniowo tracą siłę oddziaływania na nas), uczuciem przepływu i stanem podobnym do medytacji (podczas wykonywania angażującej czynności wzgórze może zablokować część informacji pochodzących z receptorów zmysłowych). Zanurzenie w świecie przedstawionym wymaga zablokowania bodźców zewnętrznych, jednak każdy wystarczająco silny czy nagły sygnał z otoczenia może podmiot z tego zanurzenia wyrwać. Inną sytuację mamy w ogrodzie, gdzie sztuka nakłada się na rzeczywistość – stają się jednym wieloznacznym światem (tamże, s. 47-56).

także sytuacje odwrotne, gdy zadaniem zabiegu artystycznego jest pobudzenie innych obszarów mózgu niż te, które są zwyczajnie pobudzane)³. Ramachandran za szczególnie istotny uważa efekt przesunięcia szczytowego. Efekt ten został opisany przy okazji badań nad rozpoznawaniem przedmiotów przez zwierzęta⁴, które reagują silniej na bodźce wyolbrzymione niż na prototypowe. Neurolog twierdzi, że takimi wyolbrzymionymi bodźcami – „superbodźcami” – dla mózgu człowieka są dzieła sztuki, w szczególny sposób pobudzające różne obszary mózgu⁵.

||

Ramachandran stworzył zestawienie podstawowych zasad, które sprawiają, że dzieło sztuki staje się „superbodźcem”:

1. Efekt przesunięcia szczytowego, polegający na wzmocnieniu różnic i uwypukleniu elementów charakterystycznych, widoczny szczególnie w sztuce pierwotnej i karykaturach.
2. Izolowanie pojedynczych modułów wzrokowych, pozwalające na lepsze skupienie oraz intensywniejsze pobudzenie obszaru mózgu odpowiedzialnego za dany rodzaj informacji:

Odizolowanie pojedynczego wymiaru pozwala na bardziej efektywne nakierowanie uwagi na jedno źródło informacji, umożliwiając w ten sposób zauważenie „wyolbrzymienia”

3 V.S. Ramachandran, W. Hirstein *Nauka wobec zagadnienia sztuki. Neurologiczna teoria doświadczenia estetycznego*, w: *Mózg i jego umysły*, red. W. Dziarnowska, A. Klawiter, Zysk i S-ka, Poznań 2006, s. 330.

4 „Jeśli nauczy się szczura odróżniać kwadrat od prostokąta (którego stosunek boków wynosi, powiedzmy, 3:2) oraz będzie on nagradzany za rozpoznanie prostokąta, nauczy się on wkrótce trafnie reagować z większą częstotliwością na prostokąt. Paradoksalnie reakcja szczura na prostokąt, który jest dłuższy i bardziej smukły (którego stosunek boków wynosi, powiedzmy, 4:1) będzie silniejsza niż reakcja na prototypowy, treningowy prostokąt. Ten dziwny rezultat implikuje, że szczur uczy się rozpoznawać nie tyle sam prototyp, ile pewną regułę, na przykład prostokątności” (tamże, s. 333).

5 Obrazy postrzegane przez człowieka nie są przetwarzane ani na siatkówce, ani w jakimś jednym miejscu w mózgu. W korze wzrokowej znajdują się specjalne ośrodki odpowiedzialne za przetwarzanie poszczególnych aspektów obrazu: kora V1 reaguje na krawędzie i kierunek poruszania się linii, tworząc pierwotny szkic widzianego obrazu, kora V4 odpowiada za postrzeganie koloru, a kora V5 przetwarza informacje o bodźcach ruchowych. Dzieło sztuki może mocniej stymulować konkretny obszar kory wzrokowej, na przykład sztuka kinetyczna stymuluje szczególnie obszar V5. Z kolei dwuznaczne dzieła sztuki (takie, na których w zależności od sposobu fiksacji oka możemy zobaczyć różne obrazy) szczególnie angażują korę czołową. Zachodzą w niej procesy *top – down*. Dzięki nim powstają różne hipotezy na temat bodźca.

wprowadzonego przez artystę (zwrotnie mogłoby to prowadzić do zwiększenia aktywności limbicznej i do wzmocnienia spowodowanego przez takie wyolbrzymienie).⁶

3. Grupowanie percepcyjne (*Gestalt*), które pozwala na oddzielanie obiektów od tła i odkrywanie abstrakcyjnych relacji podobieństwa: „Sam proces odkrywania korelacji i «wiązania» skorelowanych aspektów tak, by tworzyły one jednolite obiekty lub zdarzenia, musi być korzyścią dla organizmu – po to, aby dostarczać bodźca do odkrywania tego typu korelacji”⁷. Odkrycie figury i oddzielenie jej od tła wywołuje wrażenie typu „aha”. To przyjemne wrażenie sugeruje, że muszą istnieć jakieś połączenia pomiędzy procesami grupującymi obiekty a okolicami limbicznymi mózgu, które odpowiadają za emocje, zapaływanie i motywację. Ramachandran sądzi, że

nawet jeśli grupowanie może być początkowo autonomicznym procesem odbywającym się w każdym z modułów, to kiedy zespół cech staje się percepcyjnie widoczny jako „kawałek” ze swoimi granicami (tj. staje się przedmiotem), może on wysłać sygnał do obszarów limbicznych, które z kolei powodują „podtrzymanie przy życiu” danego kawałka tak, aby ułatwić dalsze procesy obliczeniowe.⁸

4. Wzmocnienie sygnału przez kontrast.
5. Postrzeganie symetrii jako atrakcyjnej, gdyż wiele istotnych obiektów w świecie (partnerzy, napastnicy, ofiary) ma budowę symetryczną⁹. Jesteśmy zaprogramowani, aby zwracać większą uwagę na obiekty symetryczne i aby bardziej nam się one podobały.
6. Unikanie nienaturalnych punktów widzenia i przypadkowych koincydencji konturów. Zasada ta wiąże się z Bayesowską logiką percepcji, według której w procesie percepcji odrzucamy interpretacje zakładające niepowtarzalne kąty widzenia i wybieramy zwykle najbardziej zgeneralizowany, najbardziej prawdopodobny punkt widzenia¹⁰.
7. Zasada będąca pozornie w sprzeczności z poprzednią: nieoczekiwane grupowanie oraz wyzwania dla percepcji wywołują zaciekawienie i są przez to atrakcyjne. Mechanizm działania tej zasady został dokładniej opisany przez Piotra Markiewicza i Piotra Przybysza¹¹. Według nich, bodźce niejednoznaczne angażują pozawzrokowe obszary mózgu, w szczególności te odpowiedzialne za

⁶ V.S. Ramachandran, W. Hirstein *Nauka wobec zagadnienia sztuki*, s. 346.

⁷ Tamże, s. 341.

⁸ Tamże, s. 344.

⁹ Tamże, s. 351.

¹⁰ Tamże, s. 352-353.

¹¹ P. Markiewicz, P. Przybysz *Neuroestetyczne aspekty komunikacji wizualnej i wyobraźni, w: Obrazy w umyśle. Studia nad percepcją i wyobraźnią*, red. P. Francuz, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2007, s. 124-127.

procesy decyzyjne. Niejednoznaczność pozwala na doświadczanie dzieła na wiele sposobów oraz zwiększa gratyfikację w momencie, gdy podmiot zdecydowuje się na konkretną interpretację.

8. Aluzje i metafory zwiększają zainteresowanie poprzez pobudzenie kory skojarzeniowej. Wykrywanie podobieństw pomiędzy różnymi konceptami pobudza układ limbiczny, który stabilizuje stworzone połączenia¹².

Ramachandran sformułował powyższe wnioski na podstawie analizy procesów neuronalnych. Za ich pomocą wytłumaczył neurologiczne podłoże zasad estetycznych opisanych już dawno temu. Z wyjątkiem aluzji i metafor opisanych w punkcie ósmym wspomniane prawa określają percepcję dzieł sztuki niezależnie od ich wartości symbolicznych, dotyczą zarówno sztuk figuratywnych, jak i abstrakcyjnych, sytuacji, gdy odbiorca rozumie symboliczne znaczenie dzieła i gdy go nie rozumie.

III

Za materiał ogrodu można uznać naturę lub, patrząc szerzej, całość dostępnego twórcom świata rzeczywistego. Podstawową czynnością w tworzeniu ogrodu jest takie przeobrażenie naturalnego otoczenia, aby oddziaływało na odbiorcę silniej niż przestrzeń naturalna. Przyjrzyjmy się, jak jest to realizowane w praktyce.

Ramachandran za podstawowy przykład efektu przesunięcia szczytowego w sztuce uznał karykaturę – obraz wyolbrzymiony w stosunku do prototypu. Co ważne, w karykaturze elementy wyolbrzymione są bardzo często najistotniejszymi cechami obiektu. Aby móc ująć efekt przesunięcia szczytowego w terminach semiotycznych, trzeba cofnąć się na chwilę do problemu znaku ikonicznego.

Zdefiniowanie za Peirce'em znaku ikonicznego jako znaczącego, pozostającego w stosunku podobieństwa do przedmiotu oznaczanego¹³, wprowadziło do świata semiotyki dużo zamieszania. Niejasna jest bowiem idea podobieństwa. Ze względu na liczne wątpliwości, które wywoływała, była wklana w różne teorie, na przykład miejsc niedookreślenia Ingardena¹⁴, teorię podobieństwa odniesienia znaku

¹² Ciekawe spojrzenie na problem neuronalnej interpretacji metafory daje teoria przestrzeni mentalnych, według której powstawanie metafory wiąże się z tworzeniem neuronalnych przestrzeni w pamięci krótkotrwałej przy aktywnym udziale pamięci długotrwałej. Elementom kognitywnych przestrzeni mentalnych opisanych przez badaczy odpowiadają wiązki neuronów, a powiązaniom między różnymi przestrzeniami – inne rodzaje połączeń neurobiologicznych (A. Libura *Amalgamaty kognitywne w sztuce*, Universitas, Kraków 2007, s.14-16).

¹³ Zob. M.R. Mayenowa *Poetyka teoretyczna. Zagadnienia języka*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1979, s. 121.

¹⁴ R. Ingarden *Obraz i jego konkretyzacja. Malarski przedmiot estetyczny*, w: R. Ingarden *Studia z estetyki*, t. 2, PWN, Warszawa 1959, s. 97-104.

i przedmiotu, nie zaś podobieństwa samego znaku i przedmiotu Władysława Ławniczaka¹⁵ czy teorię konwencjonalności u Izydory Dąbskiej¹⁶. W interesujący sposób problem podobieństwa w znaku ikonycznym rozwiązał Umberto Eco: stwierdził, że znak jest uznawany za ikoniczny na podstawie cech istotnych przedmiotów oraz konwencji graficznych¹⁷. Oczywiście to, jakie cechy są podstawowe dla stworzenia znaku ikonicznego danego obiektu, trzeba określić dla każdego obiektu oddzielnie, ale są to głównie tzw. punkty największych zmian, czyli źródła największej ilości informacji o obiekcie, na przykład kontury, krawędzie, węzły. Dzięki wyodrębnieniu i wzmocnieniu podstawowych cech przedmiotów oraz ich konwencjonalnej stylizacji powstaje znak ikoniczny, który bardzo często może wywołać efekt przesunięcia szczytowego – jest bodźcem silniejszym niż obiekt przez niego oznaczany. Za taki rodzaj znaku – jednocześnie znaku ikonicznego i bodźca wywołującego efekt przesunięcia szczytowego – mogą zostać uznane strzyżone drzewa i żywopłoty. Występowały one bardzo często w ogrodach renesansowych i barokowych. W zależności od inwencji architekta mogły stać się znakami ikonicznymi form naturalnych, na przykład drzew, lub form architektonicznych, na przykład kolumnad. Takie obiekty można opisać więc zarówno jako znaki ikoniczne, jak i znaki symboliczne relacji natury i kultury. Strzyżone drzewa lub żywopłoty, pozostając obiektami naturalnymi, wchodzą w relację ikoniczną z innymi drzewami. Strzyżone drzewo jest w ogrodzie jednocześnie rośliną i znakiem rośliny.

W kulturze powstają prototypowe obrazy kategorii heterogenicznych, na przykład drzew czy ptaków. Z konfrontacji obrazów prototypowych i nieprototypowych wyłania się zespół cech dla danej kategorii typowych, które tworzą prototyp danej kategorii, teraz w znaczeniu zbioru cech charakterystycznych¹⁸. Dokonywany w ogrodzie zabieg nie przypomina procesu powstawania prototypu, polega bowiem na upraszczaniu i ekspozowaniu cech charakterystycznych już istniejących prototypów, w ten sposób przeistaczających się w superbodźce. Tak samo dzieje się z całym krajobrazem danego kraju, ponieważ zarówno dla krajów, jak i kultur powstają „krajobrazy prototypowe”. Projektowanie ogrodu jest przetwarzaniem krajobrazu naturalnego przy świadomości krajobrazu prototypowego (częściej krajobrazu prototypowego swojego kraju, ale istnieją także ogrody, których celem jest przetwarzanie krajobrazu innych krajów). Nie polega na przetwarzaniu krajobrazu w prototyp, lecz na transformacji prototypu w superbodziec zbudowany z materiału przestrzeni naturalnej. Ogród jest metatekstem natury.

15 W. Ławniczak *Uwagi o pojęciu znaku ikonicznego*, „Studia Semiotyczne” 1971 t. 2.

16 I. Dąbska *O konwencjach semiotycznych*, „Studia Semiotyczne” 1973 t. 4.

17 U. Eco *Pejzaż semiotyczny*, przedm. M. Czerwiński, PIW, Warszawa 1972, s. 163.

18 R. Grzegorzczkova *O rozumieniu prototypu i stereotypu we współczesnych teoriach semantycznych*, w: *Język a kultura*, t. XII, *Stereotyp jako przedmiot lingwistyki. Teoria, metodologia, analizy empiryczne*, red. J. Anusiewicz, J. Bartmiński, Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej, Wrocław 1998, s. 109-115.

To, czy w przestrzeniach ogrodowych starano się unifikować krajobraz kraju – wydobyć jeden wzorzec przestrzeni charakterystyczny dla jego całości – czy podkreślano jego różnorodność, świadczy już o konkretnym ideologicznym nastawieniu.

Zadaniem Parku Cumberland w Toronto jest pokazanie różnorodności krajobrazu kanadyjskiego w jego najbardziej prototypowych odsłonach. W jednej jego części sosny wyrastają z okrągłych ławek, w innej stworzono podmokłą łąkę, a do jeszcze innej przetransportowano skały z Tarczy Kanadyjskiej. Park w swojej idei nawiązuje do XIX-wiecznej tradycji kolekcjonowania roślin i minerałów, a jego całość ma być mozaiką reprezentującą kraj w jego różnorodności.

Współcześni projektanci ogrodów mają coraz większą wiedzę o historycznych i współczesnych stylach ogrodowych całego świata. Dlatego ich „tekst ogrodowy” może być semiotycznie bardzo skomplikowany, sięgać do wielu kultur oraz stylów i prowadzić bardziej świadomy dialog z wybranym stylem¹⁹. Tego typu prace także są modyfikacją prototypów. Nie musi ona przebiegać w materiale naturalnym. Współautorka przywołanego Parku Cumberland, Marta Schwartz, stworzyła na dachu Instytutu Whiteheada w Cambridge, Massachusetts, ogród, w którym nie użyła żadnych materiałów naturalnych. Ogród ten jest przykładem modyfikacji prototypowego obrazu ogrodu francuskiego i japońskiego ogrodu zen. W Splice Garden znajdują się elementy, które można uznać za typowe: zagrabiony piasek i kamienie ogrodu zen, strzyżone drzewa i żywopłoty ogrodu francuskiego, jednak wszystkie są wykonane ze sztucznego materiału i są modyfikacjami elementów wyjściowych – ich uproszczeniem i wzmocnieniem. Jeżeli typowy ogród sytuuje się na poziomie meta, o Splice Garden można powiedzieć, że tworzy poziom metametasemiotyczny, jednocześnie bardzo konsekwentnie korzystając z efektu przesunięcia szczytowego.

W punkcie drugim swoich zasad Ramachandran mówi o izolowaniu poszczególnych modułów wzrokowych. W sposób naturalny ogród silnie oddziałuje na obszar V4 mózgu odpowiedzialny za postrzeganie koloru. Ten naturalny silny wpływ można jeszcze spotęgować. W Splice Garden użyto materiałów tylko w jednym, jaskrawym odcieniu zieleni, który oprócz pobudzania odbiorcy kolorem w bardzo

¹⁹ Na współczesne postrzeganie ogrodów mają wpływ dwa czynniki. Z jednej strony coraz większy staje się dostęp do informacji na temat stylów ogrodowych, a znane ogrody na całym świecie są traktowane jako obowiązkowe atrakcje turystyczne. Z drugiej zaś strony – nasila się proces pozbawiania ogrodów wartości semantycznych, zanika wiedza o historycznie ukształtowanych kodach symbolicznych przestrzeni, przewagę we współczesnych ogrodach zdobywa funkcjonalizm. A nowo powstałe ogrody i parki nieuchronnie wpływają na percepcję przestrzeni historycznych. Chociaż więc odbiorcy mają coraz większe szanse na dotarcie do rzetelnych informacji na temat stylów oraz symboliki ogrodów, coraz mniej są zainteresowani dotarciem do tej wiedzy i postrzegają ogrody jako zielone odpowiedniki funkcjonalnej architektury. Wiedza i przyzwyczajenia przeciętnego spacerowicza warunkują decyzje artystów, sprawiając, że projektują oni ogrody częściej wchodzące w dialog ze stylem niż symbolem.

zręczny sposób, poprzez sam swój odcień, mieszał kategorie naturalności i nienaturalności – zielony jest kolorem natury, wybrany jednak jaskrawy zielony bardziej kojarzy się z zielonymi zakreślaczami niż naturą. Korę V1, reagującą na krawędzie i tworzącą pierwotny szkic obrazu, mocno pobudzają japońskie ogrody zen z ich kompozycjami kamiennymi na monochromatycznym tle. Kora V5 natomiast mocno reaguje na założenia wodne w ogrodach. Przykładem przestrzeni, w której elementy wodne zostały wysunięte na pierwszy plan, jest Villa d'Este we Włoszech. Jednym z głównych elementów estetycznych jest tu system fontann.

Ramachandran pisze tylko o izolowaniu modułów wzrokowych, ponieważ swoje zasady konstruuje na potrzeby malarstwa. Ogrody mają dużo cech malarskich, dlatego tak skutecznie realizują cechy opisane przez badacza. W wyniku koncentracji Ramachandrana na obrazie, opis izolowania pojedynczych modułów wzrokowych nie uwzględnia wzmacniania przekazu innych zmysłów. W codziennym życiu to wzrok jest zmysłem dominującym. Od czasu do czasu w ogrodzie udaje się wzmocnić inne zmysły. Robert Irwin zaprojektował w Los Angeles, w Getty Center, ogród, który oddziałuje nie tylko poprzez barwy i kształty, lecz także, w dużym stopniu, poprzez dźwięki i zapachy.

Grupowanie percepcyjne (*Gestalt*) odgrywa bardzo dużą rolę w odbiorze ogrodów zen. Ich podstawowymi elementami są grupy kamieni i monochromatyczne tło zagrabionego piasku, toteż oddzielanie figury od tła jest podstawową czynnością odbioru. Zasada ta w mniejszym bądź większym stopniu dotyczy wszystkich ogrodów, na przykład drzewa od zawsze stanowiły element bardzo sprawnie służący zarówno jako zielone tło dla innych obiektów, jak i jako obiekty na innym tle. W ogrodzie w Blenheim w Anglii bardzo znana jest kompozycja drzew i krzewów posadzonych na wyspie pośrodku stawu. Została ona idealnie skomponowana zarówno pod względem odcieni, jak i kształtów.

Role grupowania percepcyjnego w doświadczeniu estetycznym świetnie wykorzystał Enzo Enea w zaprojektowanym przez siebie, a otwartym w 2010 roku w okolicach Zurychu, Muzeum Drzew. Poszczególne drzewa zostały wyeksponowane na tle białych ścian zbudowanych z brył piaskowca. Taka aranżacja przestrzeni pozwoliła na jej podział, zasłanianie i odsłanianie perspektywy, ale przede wszystkim na uwypuklenie różnicy pomiędzy figurą a tłem, a tym samym na wzmocnienie reakcji mózgu.

Przyjemność oglądania większych fragmentów ogrodów z punktów widokowych i odczytywania ich kompozycji, ram stworzonych przez roślinność, podziału ogrodu na fragmenty przez ścieżki, jest wywołana przez możliwość grupowania obiektów w przestrzeni. Samo już interpretowanie żywopłotu jako ramy albo ścieżki jako przecięcia wiąże się z prawami percepcyjnymi odkrytymi przez szkołę *Gestalt*. Wszelkie malarskie teorie ogrodów, mówiące, że przestrzeń musi być skomponowana jak obraz, opisują krajobrazy, w których relacja figura – tło odgrywa niezwykle ważną rolę. Bardzo często jako trzeci element otaczający taki obraz-*Gestalt* wprowadza się ramę, którą mogą tworzyć: kolumnada, okno altany lub, jak w ogrodach chińskich, okrągłe przejścia w murach przecinających ogrody.

Ramachandran za istotny dla wzmocnienia sygnału uznaje kontrast. Ogród w swojej istocie opiera się na zestawieniach kategorii opozycyjnych i kontrastach, takich jak góra – dół, zamknięcie – otwarcie, wewnątrz – zewnątrz. Podobne kategorie można jeszcze bardziej rozwinąć i uznać je za podstawowe cechy, które w różnych konfiguracjach wyznaczają całą historię ogrodów. Można do tego rozwinięcia zaadaptować kategorie Wölfflina stworzone do opisu sztuki: linearyzm – malarstwo, płaszczyznowość – głębia, forma zamknięta – forma otwarta, jasność – niejasność oraz wielość – jedność²⁰. Ogrody odsłaniają się przed spacerowiczem w czasie. Gry jakościowe i kontrasty pomiędzy wymienionymi kategoriami stanowią podstawę zmienności przestrzeni. Ta właśnie zmienność utrzymuje odbiorcę w postawie skupienia.

Oprócz kontrastów w – by tak rzec – strukturze głębinowej przestrzeni pojawiają się w ogrodzie kontrasty bardziej oczywiste – choćby pomiędzy dużymi a małymi elementami, w ogrodach angielskich pomiędzy bujną, gęstą roślinnością a jasnymi, klasycyzującymi budynkami altanek i świątyń, w ogrodach barokowych pomiędzy strzyżonymi zielonymi szpalerami a barokowymi fantazyjnymi rzeźbami ustawionymi na ich tle.

Kontrast tak silnie wzmacnia sygnał ze względu na kilka cech ludzkiej percepcji: (a) jej prognostycznego charakteru – założeniem percepcyjnym jest, że kolejne elementy będą kontynuować wzór wyznaczony przez dotychczasowy układ²¹; (b) zależności od zapowiedzi i nastawienia²²; (c) znaczenia kontekstu – z badań psychologicznych wynika, że oceny wrażeń są subiektywne i mają znaczenie w sekwencji, dlatego głównym punktem odniesienia dla każdego osądu jest osąd poprzedni, co jest nazywane autokorelacją kolejnych osądów²³.

Z zasad tych wynika, że postrzegane wartości nie są zależne od faktycznych cech bodźca, lecz od jego otoczenia. To zostawia projektantowi dużo swobody w tworzeniu wrażeń poprzez manipulowanie kolejnością bodźców i kontrastem pomiędzy nimi.

Kolejna atrakcyjna cecha przestrzeni, symetria, pojawia się nie we wszystkich ogrodach. Jednak ogrody renesansowe czy francuskie mogą być przykładem użycia jej jako głównej zasady organizacji przestrzeni. Szczególnie silnie oddziałuje na spacerowicza zabieg spiętrzenia symetrii różnych poziomów kompozycyjnych ogrodu w jeden widok panoramiczny. Trzeba pamiętać, że w innych typach ogrodów symetria także się pojawia, jednak nie w takim natężeniu. Jest ona matema-

²⁰ Zob. H. Wölfflin *Podstawowe pojęcia historii sztuki. Problem rozwoju stylu w sztuce nowożytnej*, przeł. D. Hanulanka, przedm. L. Kalinowski, wstęp W. Podlacha, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1962.

²¹ Zob. E.H. Gombrich *Zmysł porządku. O psychologii sztuki dekoracyjnej*, red. D. Folga-Januszewska, Universitas, Kraków 2009, s. 106.

²² Zob. E. Nęcka, J. Orzechowski, B. Szymura *Psychologia poznawcza*, Wydawnictwo Naukowe PWN–Academica Wydawnictwo SWPS, Warszawa 2006, s. 296.

²³ Zob. D. Laming *Psychofizyka*, w: *Czucie i percepcja*, red. R.L. Gregory, A.M. Colman, przeł. M. Siemiński, Poznań 2002, s. 154-157.

tycznym sposobem porządkowania przestrzeni, który dominuje w ogrodach europejskich i tych, które pozostają pod ich wpływem, w odróżnieniu od modelu symbolicznego, najlepiej chyba wyrażającego się w organizacji przestrzeni ogrodu według zasad *feng shui* w Chinach i Japonii.

Dwie z opisanych przez Ramachandrana zasad pozornie stoi ze sobą w sprzeczności: unikanie nienaturalnych punktów widzenia i nieoczekiwane grupowanie. W ogrodach odnaleźć możemy przejawy obu.

Zasadniczo w ogrodzie, który wykorzystuje przestrzeń naturalną jako tworzywo, bardzo trudno o nienaturalny punkt widzenia. Na jednocześnie unikanie niefortunnych zestawień brył i wprowadzanie co jakiś czas grup elementów wywołujących efekt zaskoczenia pozwala z kolei sama natura ogrodowej przechadzki, która jest dla spacerowicza częściowo przynajmniej zaplanowana. Gdy porusza się on wytyczonymi ścieżkami, dostrzega zmieniające się widoki przeznaczone do oglądania pod określonym kątem.

Ta sama właściwość ogrodów, która pozwala uniknąć nieatrakcyjnych punktów widzenia, pozwala zaplanować dla odbiorcy zaskoczenie nieoczekiwanym zgrupowaniem obiektów. Oczywiście, wyzwania percepcyjne w pełni rozwijają swój potencjał w malarstwie, na przykład w obrazach o podwójnym przekazie wizualnym, w których w zależności od tego, co w obrazie uzna się za bryłę, a co za tło, lub w zależności od miejsca fiksacji oka widzi się różne obiekty. W różnych teoriach kompozycji ogrodu pojawiają się jednak zabiegi mające uzupełnić ten brak, na przykład *miegakure* – zasada wymiennego zasłaniania i odsłaniania perspektywy przed odbiorcą oraz wytyczanie w tym celu krętych, pełnych załamów ścieżek. Dzięki temu te same elementy ogląda się w coraz to innych ujęciach. Swego rodzaju zagadkę percepcyjną można skonstruować dzięki pożyczonemu krajobrazowi, czyli elementom krajobrazu spoza granic ogrodu, które zostają wkomponowane w całość ogrodu. Odnalezienie granicy między tym, co naturalne, a tym, co jak naturalne wygląda, staje się wtedy nie lada wyzwaniem (dodatkowo może wywołać iluzję nieskończonej przestrzeni ogrodu).

Za ogrodową wersję nieoczekiwanego grupowania można uznać „efekt tu-tam” stosowany szczególnie często w Chinach. Polega on na ustawieniu dwóch punktów widokowych naprzeciw siebie tak, by „spoglądały na siebie nawzajem”, i po prowadzeniu ścieżki od jednego do drugiego. Spacerowicz, przeszedłszy z jednego punktu do drugiego, patrzy na miejsce, gdzie przed chwilą był i skąd podziwiał ten fragment ogrodu, w którym znajduje się teraz²⁴.

W ogrodzie element zmiany i zaskoczenia bazuje na ruchu człowieka. To on integruje uprzednio przygotowaną dla niego kompozycję widoków, doświadczeń zmysłowych i symbolicznych.

Oczywiście, od czasu do czasu można w ogrodach spotkać nieoczekiwane grupowanie elementów w stylu malarskim, jak kompozycje kwiatowe czy układające się

²⁴ Zob. A. Lu, F. Penz *Narrative form in chinese garden*, w: <http://www.cnerc.co.uk/xtra/PDF/Lu%202006.pdf>, (30.03.2008).

w obrazie ornamenty. Elementem wprowadzającym nieoczekiwane kompozycje jest woda. Im bardziej spektakularne widoki odbija, tym większe wrażenie wywiera poprzez ich podwajanie. Przykładem takiej kompozycji jest grupa drzew nad stawem w Parku Sheffield w Wielkiej Brytanii. Drzewa specjalnie zostały posadzone tak, aby jesienią tworzyły wielobarwną, złoto-czerwono-brązową kompozycję, która, odbijając się w wodzie, tworzy zaskakujący i spektakularny widok. Nie mniejsze wrażenie mogą wywołać odbijające się w wodzie elementy architektoniczne. W ogrodzie Joururiji w Japonii, w świątyni nad stawem, za przesuwanymi ścianami zostało ustawionych 9 złotych posągów Buddy. Ich położenie sprawia, że po przesunięciu ścian idealnie odbijają się w wodzie.

W ostatnim ze swoich wniosków Ramachandran stwierdza, że aluzyjność i metaforyczność sztuki, pobudzając korę skojarzeniową i układ limbiczny mózgu, wywołują uczucie przyjemności.

Bardzo prostym przykładem aluzyjności w ogrodach jest, popularny szczególnie w ogrodach japońskich, zabieg odtwarzania w ich przestrzeni znanych miejsc w kraju. Jednym z najbardziej znanych imitowanych miejsc jest Amanohashidate – wąska, porośnięta gęsto sosnami mierzeja łącząca brzegi zatoki Miyazu.

Ogród sam w sobie jest metaforą i jednym z miejsc, w których w dawniejszych epokach występowało (obok świątyń) chyba największe zagęszczenie symboliki. Niestety, dla odbiorcy współczesnego języki dawnych symboli są w większości nieczytelne. Jednak brak zrozumienia symboliki nie eliminuje przyjemności estetycznej.

IV

Przywołanie zebranych przez Ramachandrana zasad i ich ogrodowych realizacji daje wgląd w funkcjonowanie ogrodu jako dzieła sztuki. Nobilituje też rodzaj sztuki, który nigdy nie doczekał się własnej muzy. Jednak wniosek, że głównym celem ogrodowej organizacji przestrzeni jest pobudzenie limbicznego obszaru mózgu, byłby wielkim uproszczeniem. Aby zobaczyć więcej, trzeba obrać szerszą perspektywę: perspektywę krajobrazu.

Krajobraz nie jest neutralny. Jednostkom na co dzień w nim zanurzonym wydaje się czymś oczywistym, faktycznie jednak jest nasycony znaczeniami. James S. Duncan porównuje go do dyskursu rozumianego w duchu Foucaulta, czyli jako procesu negocjowania znaczeń. W takiej interpretacji krajobraz z natury jest ideologiczny:

Jeżeli uznamy, że głównym celem ideologii jest to, co Mary Louise Pratt nazwała „redukcjonistycznym normalizowaniem”, czyli próbą przedstawienia zarówno podmiotu, jak i przedmiotu jako z góry danego, urzeczowionego, próbą sprawienia, aby to, co potencjalnie kulturowe, wydawało się naturalne, to rola krajobrazu w ideologii wydaje się trudna do przecenienia.²⁵

²⁵ J.S. Duncan *The City as Text. The Politics of Landscape Interpretation in the Kandyian Kingdom*, Cambridge University Press, Cambridge (England) 1990, s. 19.

Analizując semantykę ogrodów, skupiam się na ukazywaniu relacji pomiędzy kulturą a naturą. U podstaw znaczenia krajobrazu stoi ideologia bardzo silnie z tą relacją związana – ideologia władzy, której zasadą jest przecież ukazywanie jednego z wielu możliwych porządków jako jedyne i naturalnego. W rozumieniu wielu przedstawicieli tzw. nowej geografii kultury²⁶ krajobraz jest tekstem – historią do odczytania.

W tym miejscu należy wprowadzić porządek w wielość przywołanych do tej pory terminów semiotycznych. W rozumieniu takich badaczy, jak Duncan, krajobraz konstytuują znaki (Duncan używa terminologii Peirce'a), z nich budowane są narracje tworzące dyskurs, w którym zanurzeni są ludzie go kształtujący. Jednak oni sami określaní są najpierw przez zawartą w nim ideologię. Do tej pory mówiłam o znakowości ogrodu. Ogród jest znakiem i składa się ze znaków. Narracja natomiast to siła spajająca, odnajdujemy ją jako potencję i w znakach, i w sposobie, w jaki człowiek znaki odczytuje. Zaproponowane rozumienie ogrodu nie kłóci się z definicjami Duncana. Ogród jest znakiem sytuującym się na innym poziomie semiotycznym. Krajobraz to tekst podstawowy, ogród natomiast jest dziełem sztuki już interpretującym krajobraz jako tekst (relacje są więc paralelne do tych pomiędzy dziełem literackim a rzeczywistością językową, z której powstaje, którą opisuje i którą współtworzy, wzmacniając ją i kontestując).

W stosunku do koncepcji traktowania krajobrazu jako tekstu wysuwane są, częściowo słusznie, pewne zastrzeżenia:

Gdy zamieszkuje się znane środowisko, to pamięć i przyzwyczajenie znacząco wpływają na „odczytanie” krajobrazu. Brian Stock pisał: „w lekturze krajobrazu nie wszystko jest odczytane: duża część tekstu znana jest wcześniej. Odbiorca bardziej przypomina recytatora niż czytelnika”.²⁷

Jeżeli odbieramy miejsce w sposób zrutynizowany, kształtowany bardziej przez przyzwyczajenia niż świadome pragnienia, ikonografia krajobrazu jawi nam się bardziej jako „kakofonia” niż „retoryka”.²⁸

²⁶ Nurt badań geograficznych, który wyłonił się pod koniec lat 80. XX wieku z tradycyjnych badań reprezentowanych przez Szkołę Berkeley i jej naśladowców. Inspiracją dla badaczy były pisma m.in. Michela Foucaulta, Gillesa Deleuze'a i Michela de Certeau. Kultura była pojmowana jako holistyczne i dynamiczne zjawisko – jako proces. Przestrzeń geograficzną wykorzystywano do rekonstruowania kultury i tożsamości. W ramach tego nurtu krajobraz był interpretowany przy użyciu wielu nowych dla geografii narzędzi teoretycznych – postkolonializmu, poststrukturalizmu, semiotyki czy *gender*. Krajobraz jako tekst interpretowali tacy badacze, jak Trevor Barnes, James S. Duncan, Martin Lewis i Marie Price.

²⁷ T. Boogaart *The power of place. From semiotics to ethnogeography*, „Middle States Geographer” 2001 vol. 34, s. 39.

²⁸ Tamże, s. 42.

Wobec ogrodu jako tekstu takie zarzuty postawić jest dużo trudniej. Jako me-taznak ogród manifestuje bowiem, wzmacnia i interpretuje cały dyskurs krajo-brazu. Jednocześnie jako dzieło sztuki wyostreza rozmyte często znaczenia, uwy-pukla istotne punkty, nadaje spójność i ma wartość estetyczną.

Jakie funkcje ma ogród jako tak rozumiany znak?

Niewątpliwie jest obiektem estetycznym, wykorzystującym jako materiał śro-dowisko naturalne – chodzi zarówno o pewien określony wycinek rzeczywistości, który przekształca, ale też o idee rodzimego lub obcego krajobrazu oraz inne idee religijno-społeczno-polityczne. Przekształcenie środowiska uwypukla elementy dla odbiorcy atrakcyjne, a wiele z nich wpisuje się w zasady opisane przez Rama-chandrana. Bardzo ważnym elementem atrakcyjności krajobrazu jest jego rodzi-mość – badania wykazały, że cechy krajobrazu właściwe dla danej kultury są przez jej przedstawicieli faworyzowane, na przykład mieszkańcy środowisk o dużym stop-niu zalesienia wyżej cenili krajobraz leśny niż mieszkańcy środowisk pustynnych²⁹.

Elementy, z którymi odbiorca często styka się w swoim otoczeniu kulturowym, niosą ze sobą konkretne doświadczenia emocjonalne i znaczenia, zakodowane w pa-mięci zbiorowej społeczeństwa w postaci mitów, historii, form sztuki i religii. Ste-py kojarzą się z melancholią, smutkiem, ale też wolnością, lasy z tajemniczością, góry z niebezpieczeństwem. Kultura tworzy w ogrodach wyobrażenia zarówno swojej własnej przestrzeni, jak i przestrzeni obcych, szczególnie nacisk kładąc na wywoływanie emocji, które są bliskie doświadczeniu świata jej przedstawicieli, a także na elementy procesu percepcyjnego charakterystycznego dla ich doświad-czeń. Największe różnice między ogrodami pojawiają się na poziomie symbolicznym, poziom percepcji jest bowiem bardziej uniwersalny, jednak nadal widoczne są w nim różnice między kulturami³⁰, ponieważ w poszczególnych kręgach kultu-rowych pewne bodźce są bardziej podatne na wzmocnienie³¹. Wzmacniane są

²⁹ Zob. P. Wolski *Rozpoznanie i ocena wartości krajobrazu*, w: *Ocena i wycena zasobów przyrodniczych*, red. J. Rylke, J. Szyszko, P. Jeżewski, Wydawnictwo SGGW, Warszawa 2002.

³⁰ Cywilizacja zachodnia przyzwyczaiła jednostki do dostrzegania wszędzie określonych przestrzeni geometrycznych – głównie prostopadłościanów. Ale projekt kultury zachodniej nie jest przecież jedynie słusznym. Przedstawiciele niektórych plemion afrykańskich, które nie stykały się z cywilizacjami europejskimi i amerykańskimi, początkowo nie potrafiały sprawnie radzić sobie w geometrycznych przestrzeniach. Różne cywilizacje kładą bowiem nacisk na różne aspekty przestrzeni. Na przykład Indianie Pueblo dostrzegają wokół siebie formy geometrii prostokątnej, a Indianie z Dakoty zwracają uwagę na formy kuliste (zob. Y.F. Tuan *Przestrzeń i miejsce*, przeł. A. Morawińska, wstęp K. Wojciechowski, PIW, Warszawa 1987, s. 29).

³¹ Dobrym przykładem jest różnica pomiędzy kulturami zachodnimi i wschodnimi w zakresie postrzegania pustej przestrzeni. Dla ludzi Zachodu pusta przestrzeń nie jest obiektem, lecz przerwą między obiektami – nie dostrzega się jej, nie zwraca się na nią uwagi. W Azji natomiast stanowi ona oddzielny, pozytywnie waloryzowany

emocje związane zarówno z charakterem krajobrazu naturalnego, jak i ze wzorami percepcji sztuki.

Podążając za tym tokiem myślenia, można zdefiniować ogród jako wzmocniony bodziec, którego podstawą jest doświadczanie świata danej społeczności. Można by nawet nazwać ogród superbodźcem wizji świata danej kultury. Właśnie dzięki temu ogród jest przestrzenią mediacji pomiędzy tym, co naturalne, a tym, co kulturowe. Wszakże mediacja taka nierzadko staje się manipulacją.

Podstawą dokładniejszego opisu ogrodu jako mediacji byłyby bardzo dokładne badania stosunku społeczeństw w różnych kulturach i okresach do natury oraz zestawienie wyników z wiedzą na temat ówczesnych ogrodów. Bez takich badań można zaledwie zasugerować kilka prawidłowości.

Wygląd ogrodu jest definiowany przez stosunek do natury w ogóle, a także stosunek do rodzimego krajobrazu naturalnego. Ogród odcina się od tego, co na zewnątrz, zarówno przestrzennie, jak i jakościowo, szczególnie w sytuacjach, gdy środowisko naturalne danej kultury jest nieprzyjazne i trudne dla człowieka lub gdy naturę postrzega się jako niebezpieczna i złą. Oddziela się wtedy ogrody od reszty świata i tworzy się przestrzeń skrajnie różne.

Przykładem reakcji na trudne dla człowieka środowisko mogą być ogrody perskie. Okolice dzisiejszego Iranu są głównie górzyste i wyżynne, klimat – suchy, a duża część kraju pustynna i półpustynna, tymczasem ogrody Persji były pełne drzew i kwiatów, szczególnie tych silnie pachnących, ryb w zbiornikach wodnych, kolorowych papug przelatujących między różnobarwnymi kwiatami i zwierząt. Ogrody te były oddzielone od reszty świata wysokimi murami³². Stanowiły antytezę wszystkich głównych cech środowiska go otaczającego: zamknięcie i gęstość przeciwstawiały się otwartości i przejrzystości, wielość bodźców, kolorów i zapachów stała w sprzeczności z ich deficytem w standardowym środowisku kultury, a rześkie powietrze, cień i założenia wodne dawały odpoczynek od gorąca klimatu podzwrotnikowego.

Średniowieczne ogrody europejskie także bardzo skrupulatnie oddzielano od natury na zewnątrz: otaczano je wysokimi murami, część z nich chowano wręcz we wnętrzach pałaców i klasztorów³³. Ich budowniczowie nie korzystali z estetycznych walorów zestawiania wnętrza ogrodu z krajobrazem na zewnątrz, co wykorzystywane było w późniejszych założeniach ogrodowych. Także na licznych ówczesnych obrazach przedstawiających ogrody nie uwzględnia się świata za ich murem. Można to tłumaczyć tym, że dzika przyroda w średniowieczu budziła odrazę i lęk, prawdopodobnie spowodowany potencjalnymi zagrożeniami, z którymi człowiek nie potrafił sobie poradzić. Właśnie z powodu tych uczuć średniowieczni podróżni często

obiekt. W sztuce znaczenie pustki widać szczególnie w malarstwie tuszowym, wśród ogrodów natomiast jej znaczenie jest największe w ogrodach zen.

³² L. Majdecki *Historia ogrodów*, t. 1: *Od starożytności po barok*, zmiany i uzup.

A. Majdecka-Strzeżek, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2008, s. 33-36.

³³ Tamże, s. 61-88.

prosił o zawiązanie im oczu, żeby nie musieli patrzeć na dzikie lasy i góry³⁴. Relacja pomiędzy ogrodem a dziką przyrodą w myśleniu chrześcijan ma rodowód biblijny: ogród jest przyrodą ujarzmioną, tak jak ogród rajski, a dzika przyroda to pełen cierpienia i znoju świat, na który wygnani zostali pierwsi ludzie³⁵.

Późniejsze ogrody, na przykład angielskie parki krajobrazowe, mogły tak mocno czerpać inspiracje ze środowiska naturalnego i tak naturalnie się z nim zlewać tylko dlatego, że zmienił się stosunek człowieka do dzikiej przyrody – odrazę zastąpiła fascynacja³⁶. W takiej sytuacji raczej nie wywoła zdziwienia informacja, że razem ze zniknięciem strachu zniknęły również szczerze otaczające ogrody mury, a ogrodzenia konstruowano tak, aby były niewidoczne³⁷.

V

Ogród odzwierciedla relacje człowieka i natury. Wydaje się niewinny – trudno zobaczyć subtelne niekiedy zmiany, które z mediacji czynią go narzędziem manipulacji. W takim rozumieniu ogród jest celebracją i ukoronowaniem tego, czym politycznie jest krajobraz na różne sposoby legitymizujący władzę.

Ogrody od zawsze były wyrazem statusu, symbolizując wartości reglamentowane: władzę, zbawienie, piękno, a czasem i bardziej przyziemne udogodnienia, takie jak upragniony w gorące dni cień. Ogród bardzo często był symbolem raj – był to jednak raj, do którego wstęp mieli tylko wybrani.

Symbolika i narracje wpisane w przestrzeń ogrodową miały legitymizować władzę określonej osoby lub klasy społecznej. Wersal był wyrazem potęgi Ludwika XIV i Francji. Ekspansywność tego ogrodu, widoczna chociażby w ciągnących się po horyzont alejach, wskazuje na zakres, niezniszczalność i potęgę władzy. Pałac wersalski stanowi centrum osiowej, promienistej kompozycji ogrodu, ustanawiając centrum świata – centrum władzy. Symbolice słonecznej w ogrodzie zostały podporządkowane zarówno układ całości, jak i dzieła sztuki, szczególnie rzeźby. Ogród ukazuje naturę władzy – oświeconej, potężnej i nieskończonej.

Wersal jest manifestacją potęgi władcy, istnieją jednak także ogrody, które powstały jako legitymizacja władzy jeszcze nieumocnionej, ale pewnej przyszłego sukcesu. Ogród krajobrazowy Stowe w Buckinghamshire w Wielkiej Brytanii

³⁴ Por. P.A. Bell *Psychologia środowiskowa*, przeł. A. Jurkiewicz, Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne, Gdańsk 2004, s. 47, za: M. Liszewska *Idea natury a przestrzeń ogrodu*, w: *Przestrzeń ogrodu, przestrzeń kultury*, red. G. Gazda, M. Gołąb, Universitas, Kraków 2008, s. 32.

³⁵ Zob. M. Liszewska *Idea natury a przestrzeń ogrodu*, w: *Przestrzeń ogrodu...*, s. 32-33.

³⁶ Zob. L. Majdecki *Historia ogrodów*, t. 2: *Od XVIII wieku do współczesności*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2008, s. 87.

³⁷ Zob. D. Lichaczow *Poezja ogrodów. O semantyce stylów ogrodowo-parkowych*, przeł. K.N. Sakowicz, red. J. Trzynadłowski, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1991, s. 231-233.

powstał w pierwszej połowie XVIII wieku na bazie istniejącego wcześniej ogrodu barokowego. Nad jego powstaniem pracowali najwięksi architekci krajobrazu XVIII wieku: Charles Bridgeman, William Kent, Lancelot „Capability” Brown i Humphry Repton. Z inspiracji swojego właściciela – Richarda Temple’a, pierwszego wicehrabiego Cobham, aktywnego działacza Partii Wigów – ogród stał się narracyjną ilustracją brytyjskiego kolonializmu i mitologiczną legitymizacją władzy Wigów w kraju. Kluczowym miejscem w ogrodzie są Pola Elizejskie z rzeką wyobrażającą Styks oraz świątynią brytyjskiego dziedzictwa. Miejsce to odsyła do Pól Elizejskich z *Eneidy*, na których trojańscy herosi czekają, aby odrodzić się jako założyciele rzymskiego imperium.

Analogia w Stowe jest prosta: imperium brytyjskie zajmuje miejsce imperium rzymskiego, a szanowane postaci upamiętnione w świątyni oraz politycy Partii Wigów odgrywają rolę trojańskich herosów. W czasie powstawania ogrodu styl palladiański, w którym zbudowano Stowe, także był kojarzony z wartościami Wigów. W XVIII wieku należał do najświetniejszych ogrodów kraju i tym skuteczniej mógł działać jako narzędzie ideologii politycznej³⁸.

Ogród jest wyrazem ideologii, ale jednocześnie idee determinują sposób patrzenia na przestrzeń, na to, jak się ją widzi, jak się ją zwiedza. Ludwik XIV – władca absolutny – sam zaprojektował krok po kroku spacer po swoim ogrodzie. Nie wyraża w nim idei swojej wielkości bezpośrednio, przebija ona jednak przez każde jego słowo. Ostatni punkt zwiedzania opisuje tak:

Podejdź do piramidy i zatrzymaj się na chwilę. Następnie wróć do pałacu po marmurowych stopniach pomiędzy statunami *Szlifierza* i *Wenus Pudica*. Na szczycie schodów odwróć się, by spojrzeć na ogród północny, statuy, wazy i fontanny wraz z widoczną częścią *Fontanny Neptuna*. Następnie opuść ogród tym samym wejściem, którym się do niego dostałeś.³⁹

Opis ma oddawać wielkość przestrzeni, a także władzę – zarówno nad nią samą, jak i nad spacerowiczem. Król pozwala podziwiać stworzoną na jego cześć przestrzeń, po czym rozkazuje opuszczenie jej, a tu wszystko dzieje się zgodnie z jego wolą.

Także ogrody angielskie wyrażały idee imperializmu, jednak nie z perspektywy jednego władcy, lecz klasy właścicieli ziemskich. Te idee były także bardzo dobrze zamaskowane, ukrywając się za filozofią powrotu do naturalności tak skutecznie, że współcześnie pamięta się tylko tę naturalność przestrzeni, a nie politykę. Tymczasem poprzez tworzenie parków krajobrazowych właściciele ziemscy próbowali powiązać naturalny krajobraz angielski – a więc i ideę „angielskości” – ze sobą jako jej strażnikami i szafarzami.

³⁸ Zob. K.R. Olwig *Landscape, nature and the body politic. From Britain's Renaissance to America's new world*, University of Wisconsin Press, Madison, Wis.–Londyn 2002, s. 99–112.

³⁹ Louis XIV *Manière de montrer les jardins de Versailles*, w: *The Faber book of gardens*, ed. P. Robinson, Faber, London 2007, s. 97.

Tak jak władza miała się szeroko rozciągać i jednoczyć pod sobą naród, tak krajobraz ogrodu niepostrzeżenie przechodził w krajobraz naturalny: „Ogród przekracza swoje granice i obejmuje wszystkie warte uwagi obszary z połowy hrabstwa”⁴⁰. Dla porównania – idea wolności jednostki i poszanowania dla własności, która przyświecała narodzinom Stanów Zjednoczonych, także wyrażała się w sposobie patrzenia na krajobraz: „Czarujący krajobraz, który widziałem dziś rano, niewątpliwie składa się z około dwudziestu, trzydziestu farm. Miller jest właścicielem jednego pola, Locke innego, a Manning z kolei lasu za nimi. Jednak nikt z nich nie posiada na własność krajobrazu”⁴¹.

Gdy w latach 40. XIX wieku w Anglii zaczęły powstawać publiczne parki, głównym ich celem było łagodzenie skutków przeludnienia i biedy. Jednak nawet spełniając funkcję edukacyjną, także podkreślały patriarchalne relacje w społeczeństwie. Klasa rządząca, edukując, przekazywała społeczeństwu swoją wizję świata, utrwalając jego dotychczasowy porządek⁴².

Wydawałoby się, że współcześnie trudno byłoby znaleźć przykłady przypominające te z przeszłości. Spójrzmy jednak na społeczeństwo brytyjskie: emblematem klasy średniej jest tam posiadanie domu z ogrodem, który się projektuje i w którym się pracuje. Trudno o zadbane ogrody w dzielnicach imigrantów⁴³.

W przeszłości posiadanie ogrodu i doglądających go pracowników było oznaką statusu. Współcześnie jego oznaką stał się czas wolny, który można poświęcić na pracę w ogrodzie.

Powyższe przykłady wskazują na legitymizującą funkcję ogrodów w stosunku do istniejących porządków ideologicznych. Siłą ogrodów jest pozorna naturalność, neutralność oraz pewna stałość, którą zawdzięczają swoim rozmiarom i długiemu okresowi wzrostu. Jednak to, że ogrody powstają w długim czasie, nie znaczy, iż nie mogą zostać w krótkim czasie zniszczone. Agresja wobec przestrzeni jest agresją wobec ideologii przez nią reprezentowanej.

Praktycznie przez cały XVIII wiek toczyła się zaciekle batalia o kształt ogrodów. Wzięły w niej udział tak wielkie umysły ówczesnej Europy, jak Voltaire, Rousseau, Kant, Goethe, Schiller, Pope, Addison czy Chambers: „Była to batalia zbyt gwałtowna, byśmy mogli przypuszczać, że chodziło w niej tylko o sposób spędzania czasu albo o kształt klombów i drzew. Spór toczono, oczywiście, o nowy model natury”⁴⁴.

⁴⁰ W. Gilpin *A Dialogue upon the gardens of the right honorable the Lord Viscount Cobham at stow in Buckinghamshire*, w: <http://faculty.bsc.edu/jtatter/gilpin.html>, 04.01.2011.

⁴¹ R.W. Emerson *Nature*, w: *Nature/Walking*, ed. J. Elder, Boston 1991, s. 7.

⁴² Zob. H.A. Taylor *Urban public parks, 1840-1900. Design and meaning*, „Garden History” 1995 vol. 23 no 2, s. 203-206.

⁴³ Zob. C. Rishbeth *Gardens of ethnicity*, w: *Vista. The culture and politics of gardens*, ed. T. Richardson, N. Kingsbury, Frances Lincoln, London 2005, s. 39-51.

⁴⁴ J.M. Rymkiewicz *Mysli różne o ogrodach*, Sic!, Warszawa 2010, s. 44.

Za rok zwycięstwa ogrodu krajobrazowego można uznać 1775. Wtedy to Ludwik XVI rozkazał wyrąbać strzyżone drzewa w Wersalu. Scenę ścinki utrwalił Hubert Robert na obrazach o tytułach *Coupe d'arbres à Versailles* oraz *Les Bains d'Apollon à Versailles en 1775*. Nad leżącymi na ziemi starymi pniami unosi się nastroj grozy, a robotnicy wyglądają jak kaci. Śmierć drzew jest śmiercią pewnej wizji świata.

Miejszem tych XVIII-wiecznych polemik była literatura i prasa. Przestrzenie zmieniano dopiero wtedy, gdy wygrała któraś ze stron konfliktu. Później jednak protesty wielokrotnie przenosiły się bezpośrednio do ogrodów, których niszczenie stało się sposobem wyrażenia sprzeciwu. W 1764 roku grupa robotników zerwała płoty ogrodów Veuxhall Pleasure Gardens w proteście przeciwko prywatnej własności i opłatom za wejście do ogrodów. Podobne wydarzenia rozegrały się w Hyde Parku w 1866 roku, gdy członkowie Reform League, zniszczywszy ogrodzenie, wdarli się do niego siłą. W 1872 roku parlament przegłosował *Ustawę o królewskich parkach i ogrodach*. Nowe przepisy pozwalały władzy kontrolować zgromadzenia publiczne w parkach. Zostały natychmiast oprotetowane właśnie w Hyde Parku⁴⁵.

Tablica „Nie deptać trawników” jest symbolem prawa w ogrodzie – prawa, którego istnienia na co dzień się nie zauważa. Jednak można je wyraźnie dostrzec, gdy w ogrodzie padają drzewa, walą się ogrodzenia i rozbrzmiewają krzyki protestujących.

VI

Specyfika ogrodu – jego długie trwanie, powolne zmiany związane z dynamiką wzrostu roślin i czasem potrzebnym na założenie ogrodu, jego mediacyjny charakter, położenie między naturą a kulturą, domem a państwem – sprawia, że jest łakomym kąskiem dla ideologii. W innych, bardziej dynamicznych sztukach, takich jak malarstwo i literatura, dzieła mogą powstawać względnie szybko jako bezpośrednie reakcje na wydarzenia i najnowsze tendencje, toteż łatwiej stają się narzędziem zmian. Ogrody, które są tworzone zamiast (a nie obok) starych ogrodów, na ich dawnej przestrzeni, są zwykle ukoronowaniem tendencji zwycięskiej, ugruntowania się nowego światopoglądu.

Wcielona w organizację przestrzeni ideologia jest niezwykle silna głównie dlatego, że trudno ją natychmiast zauważyć, zinterpretować i zdemaskować. Jej bronią jest tworzenie i ugruntowywanie pewnej wizji świata zespolonej z krajobrazem rozumianym jako rodzimy.

Ogród znajduje się na granicy natury i kultury. Tam, gdzie jego naturalna władza mogłaby zmniejszyć się wraz ze zwiększeniem świadomości przestrzeni jako sztucznie wykreowanej, wkracza jego siła oddziaływania estetycznego – połącze-

⁴⁵ Zob. G. McKay *Radical gardening. Politics, idealism and rebellion in the garden*, London 2011. Książka zostanie opublikowana nakładem wydawnictwa Frances Lincoln w maju 2011. Fragmenty uzyskane dzięki uprzejmości autora.

nia w przestrzeni ogrodu estetycznej mocy środowiska naturalnego i dzieła sztuki. Na mózg oddziałuje jednocześnie krajobraz naturalny i wzmocniony bodziec sztuki.

David Cooper, szukając głównych różnic pomiędzy ogrodami a innymi dziełami sztuki, wymienia trzy główne:

- Podziwiając ogród, jest się w nim zanurzonym, objętym przez dzieło sztuki.
- Ogród jest mniej wyraźnie oddzielony od otoczenia niż inne dzieła sztuki; jego granice są mniej szczelne niż ramy obrazów, mniej zdefiniowane niż brzegi rzeźby; często następuje inkluzja świata zewnętrznego w ramy ogrodu (pożyczony krajobraz, niebo).
- Odbiór ogrodu angażuje więcej zmysłów niż inne sztuki (można porównać go do niektórych sztuk multisemiotycznych, na przykład opery).⁴⁶

Większość cech, które wyróżniają ogród spośród innych sztuk, zbliża jego percepcję do odbioru środowiska naturalnego, krajobrazu. Ogród ma pozorną przejrzystość ideologiczną krajobrazu, a jednocześnie jednak jest wyposażony w narzędzia neuroestetycznego oddziaływania innych sztuk. Wydaje się niewinny i ta dobrobrze udawana niewinność stanowi jego największą siłę.

Abstract

Katarzyna KACZMARCZYK
University of Warsaw

Garden – neurosemiotics – ideology

This article presents 'the garden' in two ways: on the one hand, as a stimulus that shapes the recipient's responses and actions by acting on specific areas of his or her brain; and on the other hand, as an instrument that affects society. The two perspectives, neuro-aesthetic and ideological, complement one another. They disclose the persuasive power of the garden in its perceived proximity to the natural environment: the meanings that are created in the garden are interpreted as immanent to nature. Kaczmarczyk discusses how something saturated with meaning can be perceived as semantically transparent.

⁴⁶ D.E. Cooper *Art, garden, nature*, w: *Vista...*, s. 7.

Jerzy BARTMIŃSKI

Droga naukowa Anny Wierzbickiej.
Od składni polskiej prozy renesansowej
do semantyki międzykulturowej

|

Formuła tematyczna tego numeru „Tekstów Drugich”, relacje „język – umysł – mózg”, do pewnego stopnia przypomina formułę, którą wybrała Anna Wierzbicka dla zatytułowania antologii swoich prac w polskich przekładach: *Język – umysł – kultura*¹. Wspólne w obu formułach jest wiązanie języka z umysłem w duchu współczesnego kognitywizmu², ale już trzeci różnicujący człon przytoczonej triady sygnalizuje wybór: mózg czy kultura? Czy język jest determinowany przez uniwersalne mechanizmy biologiczne, czy przez zmienne uwarunkowania historyczne i kulturowe? Wskazanie na jeden z tych czynników nie oznacza co prawda negacji drugiego, bo nie ma między nimi rozłączności, dopuszczalne jest ich współistnie-

¹ A. Wierzbicka *Język – umysł – kultura*, red. J. Bartmiński, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1999, odwołania i cytaty z tej pozycji lokalizuję w tekście po skrócie JUK. Odwołania do pozostałych książek Anny Wierzbickiej, których bibliografia znajduje się w środku artykułu, będą umieszczane w tekście z podaniem tytułów, a do artykułów i studiów w przypisach. Odwołania do publikacji innych autorów – zgodnie ze znajdującą się na końcu tekstu cytowaną literaturą przedmiotu.

² „Semantic structures is conceptual structure: semantic structure (the meanings conventionally associated with words and other linguistic units) can be equated with conceptual structure (i.e. concepts)” – tak jedną z zasadniczych idei lingwistyki kognitywnej formułują autorzy tomu *Cognitive linguistics reader* [Evans, Bergen, Zinken 2007, s. 7].

nie czy współdziałanie (o czym w swoim artykule w tym numerze „Tekstów Dru-
gich” pisze sama Autorka), ale wyznacza jednemu z nich rolę priorytetową.

Nurt kognitywny w lingwistyce angloamerykańskiej (korzystający z inspiracji psychologii kognitywnej) akcentuje głównie rolę mózgu czy – bardziej ogólnie – mechanizmów neurofizjologicznych w konceptualizacji doświadczenia i opartego na nim obrazu świata wskazuje także na rolę „cielesności” [*embodiment* – „ucieleś-
nienia”; Lakoff, Johnson 1988, Langacker 2005] w konstruowaniu pojęć³, a nawet w kształtowaniu całego systemu wartości [Krzeszowski 1994]⁴. Polski kognitywizm czerpiący z tradycji badań etnolingwistycznych [zob. Tabakowska 2004, s. 24-25], wiąże język i zawarty w nim obraz świata przede wszystkim z historią i kulturą poszczególnych wspólnot narodowych, stawia też pytania o związek języka z ideologią i o jego rolę w kształtowaniu poczucia tożsamości wspólnotowej [Pias 2006, Zinken 2009].

Anna Wierzbicka i stworzona przez nią szkoła semantyki międzykulturowej, znana w świecie pod nazwą NSM (*Natural Semantic Metalanguage*) przyjmuje jako wyznaczniki języka zarówno biologię, jak kulturę, zarówno to, co wrodzone, jak i to, co nabyte, zakładając, że „uniwersalizm i relatywizm są nierozłączne” – jak czytamy w artykule drukowanym w tym numerze. Nie znaczy to jednak, że to, co wrodzone i uniwersalne, jest dla Wierzbickiej determinowane biologicznie.

Od początku swojej naukowej działalności, co wszakże widoczne jest zwłaszcza w jej ostatnich książkach (*The English. Meaning and culture* 2006; *Experience, evidence, and sense. The hidden culture of english* 2010) badaczka konsekwentnie wpisuje się w nurt lingwistyki antropologiczno-kulturowej. Szkoła lingwistyczna Wierzbickiej – choć aktualnie zlokalizowana w dalekiej przestrzeni Australii, w Canberze – wyrasta z tradycji europejskiej (Leibniz, Bogusławski, Apresjan) i mimo że aktywnie dialoguje z angloamerykańską lingwistyką kognitywną Lakoffa i Langackera, nosi wyraźne piętno sławistyczne, polskie. Należy w istocie do „kręgu europejskiego”, zarówno mentalnie, jak i genetycznie [określenie z: Grzegorz-
czykowa 2010, s. 70].

Sama Anna Wierzbicka po otrzymaniu nagrody Fundacji Nauki Polskiej 2010 „za stworzenie teorii naturalnego metajęzyka semantycznego oraz odkrycie zbioru znaczeń elementarnych wspólnych dla wszystkich języków” wyznała: „Jestem wdzięczna za dziedzictwo myślowe i duchowe wyniesione z Polski”. I dalej: „Pol-

³ „Nasze ciało wchodzi w interakcje ze światem. Ponieważ fizyczny organ, zwany mózgiem, osadzony jest w ciele, a z kolei aktywnością mózgu jest umysł, wszystkie fasety konstruowanych przez nas światów mentalnych biorą się ostatecznie z doświadczenia ciała, jakie ma istota fizyczna umieszczona w świecie realnym” [Langacker 2005, s. 81].

⁴ „Przedpojęciowe doświadczenia cielesne leżą u podłoża zarówno pojęć materialnych (konkretnych), w sposób bezpośredni, jak i pojęć abstrakcyjnych, w sposób pośredni, poprzez rozszerzenie metaforyczne. Tym sposobem pojęcia abstrakcyjne znajdują swoje podłoże i motywacje w doświadczeniach cielesnych” [Krzeszowski 1994, s. 31].

ska była i pozostała dla mnie ojczyzną duszy, glebą, z której czerpałam i czerpię soki żywotne, krajem rodzinnym nie tylko w sensie życiowym i uczuciowym, ale i w sensie myślowym” [Laureaci 2010, s. 16].

Podobnie na temat swojej drogi naukowej mówiła w Lublinie 23 października 2004 roku, odbierając doktorat *honoris causa* przyznany jej przez senat Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej:

Myślę ze szczególną wdzięcznością o świętej pamięci Pani Profesor Marii Renacie Mayenowej, która wprowadziła mnie w życie naukowe i która zrobiła wszystko, co mogła, żeby stworzyć mi możliwość kształcenia się i rozwoju naukowego. Myślę też o całym środowisku warszawsko-lubelskim [...], które Pani Renata stworzyła, i które było dla mnie bezcennym domem rodzinnym w życiu naukowym.

Myślę z wdzięcznością o świętej pamięci Profesorze Leonie Zawadowskim, do którego [...] nasza warszawska IBL-owska grupka jeździła co miesiąc do Wrocławia, żeby się od niego uczyć językoznawstwa ogólnego. Myślę o przyjaciółach Moskałach, przede wszystkim Igorze Mielczuku i Jurze Apresjanie, którzy obudzili we mnie pasję do dociekań semantycznych i których przyjaźń – naukowa i ludzka – była i jest jednym z najcenniejszych darów mojego życia.

Przed wszystkim jednak myślę o moim przyjacielu i mentorze Andrzeju Bogusławskim, którego wykład *O założeniach semantyki*, wygłoszony na Uniwersytecie Warszawskim równo czterdzieści lat temu, był dla mnie rewelacją i nadał kierunek całemu mojemu życiu. Kluczowym słowem w tym wykładzie było słowo „indefinibilia”, a kluczową ideą była hipoteza o istnieniu kilkudziesięciu pojęć elementarnych, wrodzonych i uniwersalnych, z których zbudowane są znaczenia wszystkich słów we wszystkich językach i w ogóle wszelkie ludzkie myśli. Co za porywająca hipoteza! [...] Dla mnie był to moment ośnienia i idea tego wykładu stała się dla mnie ideą przewodnią całego mojego życia naukowego.⁵

Życiorys Anny Wierzbickiej w najbardziej zwięzłej i kompetentnej wersji przedstawiła jej starsza córka, Maria Besemeres:

Dzieciństwo Anny Wierzbickiej przebiegło pod znakiem wojny i okupacji. Urodzona w Warszawie w 1938 roku, miała zaledwie 6 lat, kiedy ją rozdzielono z ojcem podczas powstania warszawskiego i wywieziono wraz z matką (Marią) i starszą siostrą (Martą) do obozu dla kobiet i dzieci w Niemczech, w mieście Hameln. Matka Anny i towarzyszy jej niedoli były tam zmuszone do pracy w fabryce, gdzie produkowano koce dla żołnierzy niemieckich. Podczas bombardowań Hameln w 1945 roku Anna omal nie zginęła. Po wojnie rodzina odnalazła się i zamieszkała najpierw w Bytomiu, na Śląsku, a od roku 1947 ponownie w Warszawie.

Od dziecka Anna interesowała się językiem. Ojciec (Tadeusz Smoleński), z zawodu inżynier, miał żywe zainteresowania językowe i wprowadzał jedenastolatkę w tajniki słowników frazeologicznych i etymologicznych. Później, jeszcze w szkole, sama natrafiła na *Kryteria poprawności językowej* Doroszewskiego. Wybierając polonistykę jako studia, myślała zarówno o literaturze, jak i o języku. [...]

Po ukończeniu studiów i wyjściu za mąż za nauczyciela i początkującego pisarza Piotra Wierzbickiego Anna Wierzbicka została przyjęta do Instytutu Badań Literackich Pol-

⁵ A. Wierzbicka *Lectio doctoris*, w: *Anna Wierzbicka – Doktor honoris causa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2004, s. 24.

skiej Akademii Nauk. Promotorem jej pracy doktorskiej w IBL-u była Profesor Maria Renata Mayenowa, która miała ogromny wpływ na ukształtowanie się zainteresowań naukowych Anny i na jej dalszą drogę życiową. Anna Wierzbicka obroniła pracę doktorską o polskiej prozie renesansowej w roku 1963. W rok później z inicjatywy Profesor Mayenowej pojechała na pół roku do Moskwy, gdzie była gościem Instytutu Słowianoznawstwa Akademii Nauk. W Moskwie Anna Wierzbicka znalazła się w dynamicznym kole młodych językoznawców, do którego należeli m.in. pionierzy nowoczesnej semantyki – Jurij Apresjan, Igor Mielczuk i Aleksander Żółkowski.⁶

Streścimy pozostałą część biogramu. W roku 1966 Anna Wierzbicka pojechała na rok do Stanów Zjednoczonych na staż w Massachusetts Instytut of Technology, kolebki lingwistyki generatywnej i miejsca pracy Noama Chomsky’ego, którego koncepcji jednak nie przyjęła. Poznała natomiast Romana Jakobsona i środowisko Oxfordu, gdzie utwierdziła się w przekonaniu o centralnej pozycji semantyki w badaniach nad językiem. Tam też poznała swojego obecnego męża Johna Besemeres, politologa i tłumacza historii estetyki Tatarkiewicza na język angielski. Wyjechała z Polski w roku 1972 do Australii, gdzie do dziś zamieszkuje z mężem i dwiema córkami w Canberze. W domu Państwa Besemeresów na co dzień mówi się po polsku.

II

Droga naukowa i życiowa Anny Wierzbickiej dzieli się na dwa dość wyraźne etapy: polsko-warszawski, przypadający na lata 1961-1972, gdy badaczka mieszkała w kraju i pracowała w Instytucie Badań Literackich PAN w Warszawie, i zagraniczny, australijski, a właściwie światowy, zaczynający się po wyjeździe z Polski w roku 1972, kiedy to objęła stanowisko wykładowcy, a później profesora na wydziale lingwistyki w Australian National University (Canberra), z którym jest związana do dziś. Mieszka tam już prawie 40 lat, więc ponad trzykrotnie dłużej niż w Warszawie.

Żyjąc jednocześnie na styku dwóch kultur, polskiej i anglosaskiej, a także dwóch światów, Australii i Polski, obie wzbogaca swoimi ideami i swoją obecnością. Występuje podkreślić, że chociaż od dawna pracuje i mieszka za granicą, nigdy nie zerwała naukowych i osobistych więzi z krajem rodzinnym. Szczególnie bliskie związki łączą ją z Warszawą i Lublinem, nieprzypadkowo zatem tamtejsze uniwersytety – UMCS i UW – nadały jej tytuł doktora *honoris causa*.

Z Lublina wyszła pierwsza inicjatywa tłumaczenia na język polski jej prac anglojęzycznych, a zbiór zatytułowano *Język – umysł – kultura* (1999), tu także dokonano tłumaczenia jednego z jej najważniejszych dzieł *Semantics. Primes and universals* (1996), które ukazało się w Wydawnictwie UMCS pt. *Semantyka. Jednostki elementarne i uniwersalne* w roku 2006 (drugie wydanie w roku 2010). Kiedy w roku 2004 senat Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej nadał jej godność doktora ho-

⁶ M. Besemeres *Biogram Anny Wierzbickiej*, w: JUK, s. 11-12.

noris causa, laureatka opublikowała z tej okazji rozprawę *Jak można mówić o Trójcy świętej w słowach prostych i uniwersalnych* (2004). Gdy w roku 2006 otrzymała także doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego, warszawskie środowisko naukowe zadbało o polskie przekłady dwóch kolejnych książek: *Co mówi Jezus. Objasnienie przypowieści ewangelicznych w słowach prostych uniwersalnych* (2002) oraz *Słowa klucze. Różne języki – różne kultury* (2007).

Kontakt Anny Wierzbickiej z nauką polską to nie tylko publikacje jej książek i artykułów, zarówno tłumaczonych z angielskiego, jak i pisanych po polsku, drukowanych na łamach polskich pism naukowych, zwłaszcza „Etnolingwistyki”⁷; to także kontakty bezpośrednie, częste przyjazdy, wygłaszanie referatów na spotkaniach i konferencjach. Wspomnę tylko, że od roku 1998 badaczka jest członkiem rady redakcyjnej lubelskiej „Etnolingwistyki”, od 2004 członkiem zagranicznym krakowskiej Polskiej Akademii Umiejętności, od 2008 uczestniczy zebraniach rady naukowej międzynarodowego konwersatorium EUROJOS (związanego z projektem badawczym *Językowo-kulturowy obraz świata Słowian i ich sąsiadów na tle porównawczym*), akredytowanego przy Instytucie Sławistyki PAN. Powstały w Lublinie „Klub Przyjaciół Anny Wierzbickiej” przygotowuje przekład jeszcze jednej jej książki *Lexicography and conceptual analysis* (1985), która jest szczególnie bliska polskim etnolingwistom, pracującym nad słownikiem stereotypów ludowych i symboliki ludowych⁸. We wrześniu 2010 roku wielkim wydarzeniem na piątej konferencji EUROJOS w Lublinie był jej referat na temat semantyki wybranych polskich słów-wartości (‘dobroć’, ‘prawość’, ‘odwaga’, ‘ludzkość’) w perspektywie porównawczej, a niedługo potem – 8 grudnia 2010 – uroczysty odbiór na Zamku Królewskim w Warszawie nagrody Fundacji Nauki Polskiej, „polskiego Nobla”.

Anna Wierzbicka jest zarówno ambasadorem polskości w świecie, jak i kimś, kto Polakom otwiera okno na świat. Wytrwale zabiega o to, by polski język i polskie doświadczenie językowe, kulturowe, historyczne, ostatnio też – religijne uobecnić w międzynarodowej wymianie informacji, wprowadzić do obiegu międzynarodowego.

⁷ W piśmie „Etnolingwistyka” (1991) ukazały się m.in.: rozprawa *Uniwersalne pojęcia ludzkie i ich konfiguracje w różnych językach* (t. 4, 1991); szkic *Między modlitwą a przekleństwem* (t. 8, 1996); studium *Współczesne dylematy moralne przez pryzmat dwóch języków – polskiego i angielskiego* (t. 18, 2006); w dwu innych lubelskich pracach zbiorowych – rozprawy *Nazwy zwierząt* (w: *O definicjach i definiowaniu*, red. J. Bartmiński, R. Tokarski, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2003) oraz *Semantyka i Ewangelia. Odczytując na nowo przypowieść o Faryzeuszu i Celniku* (w: *W zwierciadle języka i kultury*, red. J. Adamowski, S. Niebrzegowska, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1999, s. 539).

⁸ Wypracowana w środowisku etnolingwistycznym koncepcja „definicji kognitywnej”, stosowana w *Słowniku stereotypów i symboli ludowych* (konc. całości i red. J. Bartmiński, współpr. S. Niebrzegowska, Wydawnictwo UMCS, Lublin, t. 1, 1996; t. 2, 1999) wykorzystuje koncepcję fasetowych eksplikacji semantycznych stosowanych przez Wierzbicką we wspomnianej książce.

Jeśli spojrzeć na prawie pięćdziesięcioletnią działalność naukową Anny Wierzbickiej (pierwszy jej artykuł, „*Bajki i przypowieści*” Krasickiego, ukazał się w „Pamiętniku Literackim” w roku 1961) z perspektywy współczesnego językoznawstwa, otrzymujemy obraz nieustannego, a równocześnie harmonijnego i niezwykle dynamicznego rozwoju, którego szlak – najogólniej mówiąc – prowadził od strukturalizmu do kognitywizmu i lingwistyki antropologicznej⁹. Jest to zarazem szlak rozwojowy całej współczesnej polskiej (i nie tylko polskiej) lingwistyki. Anna Wierzbicka należy do tych badaczy, którzy wyznaczali główne kierunki tego rozwoju. Na wszystkich uprawianych polach badawczych odcisnęła znaczący ślad, pracując z imponującą regularnością, wydając niemal co dwa lata nową książkę. W ciągu półwiecza pracy uzbierało się ich ponad 20, łącznie kilka tysięcy stron druku. A każda jej książka stawała się natychmiast wydarzeniem naukowym.

Po polsku ukazały się następujące książki:

- 1965: *System składniowo-stylistyczny polskiej prozy renesansowej*, Warszawa: PIW.
- 1965: *O języku dla wszystkich*, Warszawa: Wiedza Powszechna (wyd. 2. 1967).
- 1967: *Praktyczna stylistyka* (współautor: Piotr Wierzbicki.), Warszawa: Wiedza Powszechna.
- 1969: *Dociekania semantyczne*, Wrocław: Ossolineum.
- 1971: *Kocha – lubi – szanuje. Medytacje semantyczne*, Warszawa: Wiedza Powszechna.
- 1984: *Mały portret języka polskiego dla młodzieży w krajach anglosaskich*, Adelaide: South Australian Department of Education.

W języku angielskim ukazały się:

- 1972: *Semantic primitives*, Frankfurt: Athenäum.
- 1980: *The Case for surface case*, Ann Arbor: Karoma.
- 1980: *Lingua mentalis. The semantics of natural language*, Sydney: Academic.
- 1985: *Lexicography and conceptual analysis*, Ann Arbor: Karoma.
- 1987: *English speech act verbs. A semantic dictionary*, Sydney: Academic.
- 1988: *The semantics of grammar*, Amsterdam: John Benjamins.
- 1991: *Cross-cultural pragmatics. The semantics of human interaction*, Berlin: Mouton de Gruyter (second edition, revised and expanded 2003).
- 1992: *Semantics, culture and cognition. Universal human concepts in culture-specific configurations*, New York: Oxford University Press
- 1994: (eds. with Cliff Goddard) *Semantic and Lexical Universals*. Amsterdam–Philadelphia, John Benjamins.
- 1996: *Semantics. Primes and universals*, Oxford (England), New York: Oxford University Press.
- 1997: *Understanding cultures through their key words: English, Russian, Polish, German, Japanese*, New York: Oxford University Press.

⁹ Szerzej o tym zob. Bartmiński 2004.

- 1999: *Emotions across languages and cultures. Diversity and Universals*, Cambridge: Cambridge University Press.
- 2001: *What did Jesus mean? Explaining the Sermon on the Mount and the parables in simple and universal human concepts*, New York: Oxford University Press.
- 2001: (eds. with Jean Harkins) *Emotions in crosslinguistic perspective*. Berlin: Mouton de Gruyter.
- 2002: (eds. with Cliff Goddard) *Meaning and universal grammar. Theory and empirical findings*, vol. 1-2, Amsterdam: John Benjamins.
- 2006: *English. Meaning and culture*, New York: Oxford University Press.
- 2010: *Experience, evidence, and sense. The hidden cultural legacy of English*, Oxford (England), New York: Oxford University Press

Od dziesięciu lat publikowane są także przekłady na język polski¹⁰ jej książek prac pisanych po angielsku:

- 1999: *Język – umysł – kultura*, wyb. i red. J. Bartmiński, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- 2002: *Co mówi Jezus? Objaśnianie przypowieści ewangelicznych w słowach prostych i uniwersalnych*, przeł. I. Duraj-Nowosielska, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- 2006: *Semantyka. Jednostki elementarne i uniwersalne*, przeł. A. Głaz, współpr. K. Korzyk, R. Tokarski, Lublin: Wydawnictwo UMCS (wyd. 2. 2010).
- 2007: *Słowa klucze. Różne języki – różne kultury*, przeł. I. Duraj-Nowosielska, Warszawa: Wydawnictwo UW.

Prace Anny Wierzbickiej obejmują niezwykle szeroki wachlarz tematów i problemów. Wręcz trudno znaleźć w językoznawstwie pole badawcze, na którym Anna Wierzbicka nie byłaby obecna poprzez swoje prace i przywołania. Zainteresowania uczonej zataczały coraz szersze kręgi na zasadzie koncentrycznej – od gramatyki, więc fleksji, słowotwórstwa i składni, poprzez słownictwo, po tekst i jego wzorce gatunkowe oraz reguły komunikowania oparte na „skryptach kulturowych” – integrując je wszystkie na poziomie semantyki; a w planie empirycznym, materiałowym – od języka polskiego przez języki słowiańskie i europejskie po japoński, chiński oraz egzotyczne języki Australii, Nowej Gwinei i rejonu Pacyfiku.

Pierwszy, warszawski okres jej pracy upłynął pod znakiem zainteresowań składnią. Tej właśnie dziedziny dotyczyła rozprawa doktorska *System składnio-*

¹⁰ Prace Wierzbickiej tłumaczono też na inne języki. Po rosyjsku ukazały się: *Język, kultura, poznanie*, red. M. A. Krongauz, wstąpiłelnaja statja E.W. Paduczewa, Russkie Słowniki, Moskwa 1996; *Semantyczne uniwersalia i opisanie jazykow*, Języki Roskiej Kultury, Moskwa 1999; *Ponimanie kultur czerzez posredstwo kluczeowych slow*, Moskwa 2001. Natomiast książka *Understanding cultures (Słowa klucze)* ukazała się w roku 2009 w przekładzie japońskim (*Kirwaado ni yoru ibunkarikai*, Jiritsu Shobo, Tokyo).

wo-stylistyczny polskiej prozy renesansowej, napisana pod kierunkiem prof. Marii Renaty Mayenowej (wydana w 1966 roku) i seria znakomitych artykułów o szyku wyrazów, o hipotaksie i konstrukcjach nominalnych w rozwoju polszczyzny, o zdaniach bezpodmiotowych. Do problemu podmiotu w zdaniu i w tekście wracała w późniejszych pracach. W rozprawie *Etnoskładnia i filozofia gramatyki*¹¹, tezę, że „składnia danego języka musi w znacznym stopniu wyznaczać jego profil kognitywny” (JUK, s. 341) ilustrowała przykładem rosyjskich konstrukcji bezpodmiotowych typu *Jego zasypało śniegom* (tamże, s. 392), które wiązała z ugruntowanym w kulturze rosyjskiej przekonaniem o niepoznawalności i nieprzewidywalności losu człowieka, jego *sud’by* (tamże, s. 401). Artykuł *O spójności semantycznej tekstu wielozdaniowego* (*Dociekania semantyczne*, rozdz. 7) dał początek ożywieniu prac tekstologicznych w środowisku warszawskim skupionym wokół prof. Mayenowej. Na trwałe weszło do nauki inspirujące studium *Metatekst w tekście*¹². W kolejności Wierzbicka zajęła się aktami mowy i gatunkami mowy¹³, a stworzony przez nią semantyczny model opisu gatunku jest stale przywoływany przez badaczy zainteresowanych tą problematyką.

Już w połowie lat 60. podstawową dziedziną zainteresowań Wierzbickiej i terenem jej największych sukcesów stała się s e m a n t y k a. Zainteresowania te przybrały kształt bardzo określonego programu realizowanego z żelazną konsekwencją, ale i twórczą weną przez ponad 40 lat. Po *Dociekaniach semantycznych*, które stanowiły podstawę habilitacji 30-letniej badaczki, opublikowała jeszcze błyskotliwy zbiór analiz *Kocha – lubi – szanuje. Medytacje semantyczne*, będący ostatnią książką wydaną przez nią przed wyjazdem z Polski¹⁴. Swego rodzaju naukowym

11 M. Wierzbicka *Etnoskładnia i filozofia gramatyki* (1979), przeł. K. Korzyk, w: JUK, s. 341-404.

12 A. Wierzbicka *Metatekst w tekście*, w: *O spójności tekstu*, red. M.R. Mayenowa, Ossolineum, Wrocław 1971.

13 A. Wierzbicka *Genry mowy*, w: *Tekst i zdanie*, red. T. Dobrzyńska, E. Janus, Ossolineum, Wrocław 1983.

14 Jeden szczególnie interesujący dla etnolingwisty fragment tej książki dotyczy zaproponowanej przez autorkę definicji człowieka. Kim jest człowiek, kim są ludzie? Co warto są takie definicje, jak przypisywana Platonowi „żywina mająca dwie nogi a nieopierzona”, jak klasyczna definicja „animal rationale” – „istota rozumna”, „zwierzę rozumne śmiertelne”, czy scjentystyczna „istota żywa z rzędu naczelnych mająca zdolność myślenia, mówienia, wytwarzająca narzędzia produkcji i posługująca się nimi w pracy kolektywnej”? Wierzbicka proponowała, by definiować człowieka jako członka wspólnoty ludzkiej, czyli w liczbie mnogiej, i pytać o to, kim są ludzie? Doszła do bardzo prostej formuły definicyjnej: „Ludzie – istoty takie jak my”. I jest to definicja zadziwiająco zbieżna z tym, co funkcjonuje na gruncie tradycyjnej mądrości ludowej, którą wyraża – na przykład – znana w Polsce z przekładów z języka francuskiego bajka *Agnieszka skrawek nieba*. Bajka opowiada o tym, że w pewnej miejscowości ludzie żyli w przekonaniu, że za lasem odgradzającym ich od świata mieszkają niebezpieczne i groźne potwory.

manifestem Wierzbickiej stała się wydana w roku 1972 książka *Lingua mentalis*, która weszła na trwałe w obieg międzynarodowy i od której sama autorka datuje rozwój teorii NSM. Praca zawierała pomysł rozkładania znaczeń złożonych na proste, wedle zasady sformułowanej przez Gottfrieda Wilhelma Leibniza (1646-1716), autora koncepcji „alfabetu myśli ludzkiej”. Koncepcja ta stanowi fundament przyjętej przez nią teorii znaczenia i *leitmotiv* wszystkich jej prac semantycznych, zarówno tych, które dotyczyły wybranych grup słownictwa (*Lexicography...*, *Semantics, culture...*, *Understanding cultures...*, *Emotions...*), jak tekstów przypowieści ewangelicznych (*What did Jezus mean*) czy interakcji międzyludzkiej (*Cross-cultural pragmatics*).

Zwornikiem i koroną wszystkich tych tematów stała się semantyka porównawcza, międzykulturowa. Teza podstawowa Wierzbickiej głosi, że we wszystkich językach istnieje pewien wspólny zespół niedefiniowalnych pojęć, z których poszczególne języki układają swoiste konfiguracje. Indefinibilia są uniwersalne, ich konfiguracje – uwarunkowane kulturowo. Na użytek tych badań Wierzbicka i liczna już dziś grupa jej współpracowników, uczniów i naśladowców w Australii i w innych krajach stosuje przemyślaną metodologię określaną mianem NSM – *Natural Semantic Metalanguage* – naturalny metajęzyk semantyczny.

III

Trudno ogarnąć ogromne bogactwo omawianych przez Wierzbicką zjawisk i problemów. W tym krótkim szkicu można co najwyżej wypunktować najważniejsze idee jej twórczości naukowej.

I. Lingwistyczny „semantycyzm”

„Językoznawstwo to poszukiwanie sensu” – to zdanie Whorfa umieściła Wierzbicka w przedmowie do tomu *Język – umysł – kultura* (JUK, s. 5). Znaczenie jest podstawą i racją bytu języka, dlatego semantyka języka stanowi fundament i centrum lingwistyki, wspólną płaszczyznę odniesienia nie tylko dla badaczy słownictwa, lecz także dla badaczy struktur gramatycznych i użycia języka w aktach mowy. Obok tradycyjnie wyróżnianej semantyki leksykalnej istnieje też semantyka gramatyki – co wyraża użyta w tytule książki z roku 1988 formuła *semantics of grammar* – i semantyka zachowań komunikacyjnych – *semantics of human interaction* (w podtytule książki *Cross-cultural pragmatics*). Istnieje też semantyka tekstu, na przykład przypowieści ewangelicznych (były one przedmiotem analiz w tomie *What*

Kiedy jednak zdarzyło się małej dziewczynce zabłądzić w lesie i trafić do owych rzekomych potworów, gdzie przyjęto ją życzliwie, nakarmiono i odesłano do domu, ta wróciwszy do swojej wsi obwieściła rodzinie i sąsiadom nowinę, że „po drugiej stronie lasu żyją istoty takie same jak my”. Wątek ten jest dostępny w opracowaniu telewizyjnym (zob. <http://www.film.polski.pl/fp/index.php/d521146>).

did Jezus mean). Ogólna teza głosząca semantyczność wszelkich form językowych i zakładająca, że wykładnikami tej samej treści mogą być zjawiska zarówno słownikowe, jak gramatyczne, morfologiczne i składniowe, łączy Wierzbicką z nurtem kognitywnym we współczesnej lingwistyce.

2. Uniwersalizm języka na poziomie semantycznych „atomów”

Wierzbicka, nawiązując do Leibnizowskiej koncepcji „alfabetu ludzkich myśli” (*alphabetum cognitionum humanarum*), przyjęła założenie istnienia „elementarnych jednostek semantycznych” (ang. *primes*), semantycznych atomów oraz pewnego zasobu reguł gramatycznych. Jest ich stosunkowo niewiele, są wrodzone, a występując we wszystkich językach świata, umożliwiają międzykulturowe porozumienie.

Jak można dojść do ich wykrycia, ustalenia? W odróżnieniu od prób opartych na logicznym rachunku predykatów (M. Hallidaya, Ch. Fillmore’a) Wierzbicka, zmierzając do rekonstrukcji *lingua mentalis*, wybrała drogę opartą na „zawężaniu języka naturalnego” [Apresjan 1980, s. 49] i nastawiła się na najprostszą słownikowo i składniowo część języka naturalnego. Narzuciła sobie ostre rygory co do ich ilości. W pierwszej wersji swojej teorii przedstawionej w książce *Lingua mentalis* (1980) zaczęła od 13 jednostek: JA, TY, TO, KTOŚ, COŚ, ŚWIAT, CHCIEĆ, NIE CHCIEĆ, MÓWIĆ, STAWAĆ SIĘ, MYŚLEĆ O, WYOBRAŻAĆ SOBIE, BYĆ CZĘŚCIĄ CZEGOŚ. Z czasem stopniowo powiększała ich zasób do 37 (1993), potem 55 (1996), a lista przedstawiona w książce *Experience, evidence and eens* (2010, s. 18) obejmuje takich jednostek 64:

Ta ostatnia (z roku 2010) lista, którą sama autorka prezentuje w zamieszczonym w niniejszym numerze „Tekstów Drugich” (w wersji już znowu lekko zmodyfikowanej!), obejmowała jednostki następujące:

JA, TY, KTOŚ, COŚ, LUDZIE, CIAŁO	rzeczy i osoby
RODZAJ, CZĘŚĆ	relacje
TEN, TEN SAM, INNY	determinatory
JEDEN, DWA, DUŻO, MAŁO, NIEKTÓRZY/NIEKTÓRE, WSZYSCY/WSZYSTKO	kwantyfikatory
DOBRY, ZŁY	ewaluatory
DUŻY, MAŁY	deskryptory
MYŚLEĆ, WIEDZIEĆ/ZNAĆ, CHCIEĆ, CZUĆ, WIDZIEĆ, SŁYSZĘĆ	predykaty mentalne
POWIEDZIEĆ/MÓWIĆ, SŁOWO, PRAWDA	mowa
ROBIĆ, DZIAĆ SIĘ/STAĆ SIĘ, RUSZAĆ SIĘ, DOTYKAĆ	czynności, działanie się, ruch, kontakt

BYĆ (GDZIEŚ), BYĆ (ISTNIEĆ), MIEĆ, BYĆ (CZYMŚ/KIMŚ)	miejsce, istnienie, posiadanie, identyfikacja
ŻYĆ, UMRZEĆ	życie i śmierć
KIEDY/CZAS, TERAZ, PRZED, PO, DŁUGO, KRÓTKO, PRZEZ PEWIEN CZAS, CHWILA (W JEDNEJ CHWILI)	czas
GDZIE/MIEJSCE, TUTAJ, NAD, POD, WEWNĄTRZ/W, Z (KTÓREJ) STRONY, BLISKO, DALEKO	przestrzeń
BO/Z POWODU, JEŻELI, NIE, BYĆ MOŻE, MÓC	pojęcia logiczne
BARDZO, WIĘCEJ	augmentator, intensyfikikator
TAK (JAK)	podobieństwo

Listę indefinibiliów – jak widać – Wierzbicka traktuje elastycznie, potwierdzając niejako opinię Jurija Apresjana, który w swoim komentarzu do „wczesnej Wierzbickiej” trafnie przewidywał, że „elementarnych jednostek semantycznych” wypadnie przyjąć więcej, jego zdaniem „przynajmniej o rząd wielkości” [Apresjan 1980, s. 50]. Sama badaczka, zastanawiając się nad tym, ile jednostek powinno się znaleźć na takiej liście, napisała:

Myszę, że trzeba w tym zakresie wyznawać pokorny agnostycyzm. Chciałabym jednak przypomnieć, że kiedy Bogusławski zainicjował poszukiwanie elementarnych jednostek semantycznych w roku 1965, wymienił listę sto (o ile dobrze sobie przypominam, powiedział: „prawie na pewno mniej niż sto”). Mimo iż wciąż uważam, że liczba ta będzie bliższa pięćdziesięciu niż stu, przyznaję, iż – jak podkreślił to Cliff Goddard podczas *Adelaide Workshop* w roku 1986 – pierwotnie proponowane przeze mnie zestawy czternaśtu i trzynastu jednostek były nierealistycznie małe.

W miarę jak rozrasta się zbiór jednostek elementarnych i jak nabiera kształtu ich gramatyka, Naturalny Metajęzyk Semantyczny zyskuje na plastyczności i ekspresywności. Wzrost liczby jednostek elementarnych jest więc zasadniczo zmianą na lepsze.

Przyglądając się owemu rozszerzonemu zestawowi i porównując go z wersjami starszymi, nie sposób nie zauważyć, że nowa lista jest mniej „surowa” nie tylko pod względem długości, lecz także zawartości. (*Semantyka*, s. 135-136)

Autorka podkreślała wielokrotnie, że poszerzanie listy musi jednak być wynikiem konkretnych analiz i rzeczowych dyskusji. Takie analizy i dyskusje autorka prowadzi ze swymi współpracownikami (zwłaszcza Cliffem Goddardem) i znawcami „egzotycznych” języków.

3. Metoda definiowania znaczeń

Przyjęcie tezy o istnieniu elementarnego języka semantycznego ma istotne znaczenie dla praktyki objaśniania znaczeń wyrażeń, dla definiowania. Wierzbic-

ka wniosła znaczący wkład do teorii i praktyki definicji leksykograficznych, łącząc tradycję z innowacyjnością i stawiając definicjom wysokie wymagania zarówno teoretyczne, jak i praktyczne, ważne dla praktyki leksykograficznej. Przede wszystkim broni dwóch zasad: metodyczności i zrozumiałości. Przestrzega przed błędnym kołem w definiowaniu, walczy z częstymi w pracach naukowych błędami definicji typu *ignotus per ignotius*, wystrzega się jak ognia wszelkiej sztuczności oddalającej od pojęć naturalnych, wprowadzania do eksplikacji języka specjalistycznego, wzorów matematycznych czy schematów graficznych, które zamiast wyjaśniać, zaciemniają. Odrzuca „definicje” synonimiczne.

Anna Wierzbicka jednoznacznie rozstrzyga kwestię typu wiedzy, do której definicja słownikowa powinna się odwoływać. Ma to być wiedza j ę z y k o w a, a n i e n a u k o w a, encyklopedyczna. Wiedza językowa, utrwalona w języku potocznym, jest wiedzą wspólną, a nie specjalistyczną. Wierzbicka zwróciła uwagę na pewien paradoks, polegający na tym, że definicje odwołujące się do wiedzy potocznej są bardziej obiektywne niż definicje oparte na wiedzy naukowej, bowiem te pierwsze zdają sprawę z tego, co jest silniej społecznie utrwalone, podczas gdy definicje naukowe, od których roi się w słownikach, są stale dostosowywane do aktualnego stanu badań i zależą od zmiennych paradygmatów badawczych. W efekcie – jak pisze – „to hasło słownikowe, a nie encyklopedyczne, można uznać za «obiektywne» i niearbitralne, reprezentujące «niezaprzeczalny fakt». Naturalnie, fakt psycho-kulturowy, a nie biologiczny”¹⁵.

Po drugie – w swojej koncepcji objaśniania znaczeń Wierzbicka konsekwentnie przestrzega zasady r e d u k c y j n o ś c i, sprowadzania znaczeń złożonych do prostych. Takie postępowanie ma w refleksji badaczy języka tradycję sięgającą Arystotelesa, jednak badaczka, stosując z konsekwentnie metodę „elementarnych jednostek semantycznych”, doprowadza analizy semantyczne do samego końca, do pojęć najprostszych, dalej niedefiniowalnych. Autorka *Semantyki*, definiując człowieka, duszę, wolność, ojczyznę, przyjaźń i koleżeństwo, nazwy gatunków mowy, nazwy uczuć i emocji, nazwy owoców i warzyw, nazwy artefaktów w rodzaju naczyń, pojazdów, przestrzega rygorystycznie zasad przekładu złożonych znaczeń ukształtowanych w ramach tej czy innej kultury na język prostych (elementarnych) jednostek semantycznych, znanych i rozumianych przez wszystkich.

4. Dowartościowanie potoczności

Operowanie pojęciami elementarnymi prowadzi nieuchronnie w stronę wiedzy potocznej, w stronę subiektywnego doświadczenia i intuicji przeciętnego użytkownika języka. Wierzbicka jest zwolenniczką stosowania w definicjach języka naturalnego, p o t o c z n e g o i oddawania potocznej konceptualizacji zjawisk. Znaczenia mają być ustalane na podstawie wiedzy potocznej, stać blisko tego, co jest przyjęte powszechnie, a nie jest tylko dostępne ekspertom.

¹⁵ A. Wierzbicka *Nazwy zwierząt*, s. 264.

Najdobitniej powiedziała to w wielokrotnie już wspominatej książce *Lexicography...*, w której pokazywała, że nazwy gatunków potocznych można, trzymając się zasad NSM, definiować w sposób niearbitralny, podczas gdy encyklopedyczne, naukowe definicje są arbitralne. Na przykład *tiger* ma naukową definicję w *Encyclopaedia Britannica*¹⁶, która nie wyraża potocznego znaczenia wyrazu *tiger*, bo wprawdzie definicja ta zawiera kilka elementów, które są częściami potocznego pojęcia *tiger* (takich jak „paskowany”), to równocześnie zawiera informacje, które nie występują w pojęciu potocznym. Dane dotyczące wagi, wysokości i długości tygrysów oraz o ich rozprzestrzenieniu geograficznym stanowią oczywistą „wiedzę książkową”, wiedzę o tygrysach. Hasło encyklopedyczne zawiera więcej treści niż pojęcie potoczne, a jednocześnie pojęcie potoczne jest bogatsze, bo odzwierciedla jawnie antropocentryczne nastawienie użytkowników języka, pewne podzielane przez nich uprzedzenia, podczas gdy encyklopedia próbuje być obiektywna i bezstronna. (*Lexicography...*, s. 193-195).

W efekcie Wierzbicka sytuuje się w tym nurcie nowoczesnej myśli humanistycznej, która doszła do głosu w dziele Charlesa Taylora *Źródła podmiotowości. Narodziny tożsamości nowoczesnej*, z głoszoną przez niego „Zasadą Najlepszego Objaśniania” (*The Best Account Principle*). Jak pisze Agata Bielik-Robson

Zasada Najlepszego Objaśniania, która każe trzymać się – za Geertzem – możliwie blisko pojęć używanych w codziennej praktyce i skupiać się na ich pogłębionej artykulacji, usuwa wątpliwy moralnie podział na interpretatorów i interpretowanych, na krytyków i tych, którzy stają się bezbronnymi ofiarami społecznej krytyki. Jak zwykle u Tylora, nie jest ona li tylko elementem neutralnej teorii, ale wypływa z koncepcji etycznej, za którą stoi chrześcijański humanizm Zachodu, z jego naciskiem na wartość, jaką stanowi powszechna równość. [Bielik-Robson 2001, s. XXX-XXXI]

¹⁶ „TIGER (*Panthera tigris*), centkowane zwierzę mięsożerne, największe z rodziny kotów (*Felidae*), pod względem siły i dzikości rywalizuje tylko z lwem, a różnica pomiędzy nimi polega głównie na ich wyglądzie zewnętrznym. Tygrys występuje tylko w Azji, przede wszystkim na południe od linii biegnącej na północny-wschód od Eufratu, przekraczając południowe wybrzeża Morza Kaspijskiego, Morza Aralskiego i jeziora Bajkał do Morza Ochockiego i sięgając daleko na południe od wysp Sumatra, Jawa i Bali. Jest on jednak nieobecny na płaskowyżu Tybetańskim, a tylko szczątkowo na archipelagu Indo-Malajskim. Charakterystyczne dla tygrysa paski i podstawowy kolor zmienia się pod względem wyrazistości i jasności w zależności od lokalizacji i podgatunków. Tygrysy bengalskie i z wysp południowo-wschodniej Azji mają podstawową barwę jasną, czerwoną i płową na wierzchnich i zewnętrznych częściach głowy, ciała, kończyn i ogona; części te są pięknie zaznaczone ciemnymi, prawie czarnymi poprzecznymi paskami, natomiast dolne partie, wewnętrzne części nóg, szczęki i szerokie łaty nad każdym okiem są prawie białe. Z kolei tygrysy północnych Chin i ZSRR mają dłuższą, delikatniejszą i jaśniej ubarwioną sierść. Z rzadka, występuje biały i czarny zestaw barw. Samce mogą ważyć ponad 500 lb. (227 kg), wysokość w łopatkach 5 ft (1,5 m), a długość 14 ft (4,3 m). Tygrys nie ma grzywy, lecz u starych samców włosy na policzkach są raczej dłuższe i rozpostarte” (wydanie z roku 1969).

5. Antropocentryzm

To, że język naturalny jest antropocentryczny i antropometryczny, wiemy od czasów starożytnych, kiedy to Protagoras z Abdery powiedział słynne zdanie „Anthropos metron panton” – „człowiek jest miarą wszechrzeczy”. Anna Wierzbicka na niezliczonych przykładach pokazała i udowodniła podmiotowy charakter znaczenia i przyjęła odpowiadającą temu stanowisku metodologię semantyczną. Przyjęty przez nią model opisu semantycznego stawia w centrum JA, które coś czuje, myśli, wyobraża sobie, mówi – pozostając w relacji do TY, do którego się zwraca i z którym dialoguje. Jej definicje na przykład aktów i gatunków są budowane z perspektywy pierwszej osoby.

Wierzbicka ideę definiowania słów (*verba dicendi*, czasowniki illokucyjne) w pierwszej osobie rozwijała w opozycji do strukturalistycznej i generatywistycznej bezosobowości semantyki Chomsky’ego. W rozprawie *Przypadki gramatyczne a natura człowieka*¹⁷, polemizując z głoszoną przez Silversteina i Dixona koncepcją podmiotu jako przede wszystkim wykonawcy czynności, a także w książce *Lexicography and conceptual analysis* udowodniła, że u podstaw języka stoi „podmiot doświadczający”.

6. Kulturowa specyfika języków narodowych

Konkretne języki z tych prostych elementów wytwarzają pojęcia złożone, których liczba idzie już w tysiące, a są wśród nich twory niekiedy bardzo specyficzne, odpowiadające zróżnicowanym doświadczeniom historycznym i aspiracjom kulturowym poszczególnych narodów. Język jest eksponentem wartości kulturowych. Znaczenia słów są kulturowymi artefaktami. Specyficzne znaczenia mają w różnych językach i kulturach pozornie synonimiczne słowa *ojczyzna* – *Vaterland* – *rodina*¹⁸, *Wolność* – *libertas* – *freedom* – *svoboda*¹⁹, ros. *duśa* – ang. *soul*²⁰.

Wierzbicka badała całe serie takich wyrażen, pokazując ich związek z kulturą i historią poszczególnych wspólnot narodowych; w książce *Semantics, culture and cognition* były to wyrażenia odnoszące się między innymi do ‘duśzy’, ‘losu’, ‘odwagi’, ‘pokory’. W sferze kultury szczególnie wiele uwagi poświęca takim wartościom, jak ‘serdeczność’ (w sferze języka polskiego), ‘fairness’ (w sferze języka angielskiego), ‘żałost’ (w sferze języka czeskiego). Na konferencji w Lublinie 2010 pokazywała

¹⁷ A. Wierzbicka *Przypadki gramatyczne a natura człowieka* (1981), przeł. A. Kochańska, w: JUK, s. 303-340.

¹⁸ A. Wierzbicka *Słownik kluczem do historii i kultury. „Ojczyzna w językach niemieckim, polskim i rosyjskim* (1995), w: JUK, s. 450-489.

¹⁹ A. Wierzbicka *Wolność – libertas – freedom – svoboda. Uniwersalne ideały czy specyficzne dla danej kultury jednostki leksykalne?*, przeł. M. Abramowicz, w: JUK, s. 490-521.

²⁰ A. Wierzbicka *Duśa – soul i mind. Dowody językowe na rzecz etnopsychologii i historii kultury* (1989), przeł. J. Szypra, w: JUK, s. 522-544.

polskie słowa-wartości – ‘dobroć’, ‘ludzkość’, ‘prawość’, ‘odwaga’, ‘serdeczność’ – w perspektywie porównawczej, na tle wyobrażeń o polskim charakterze narodowym.

Łącząc w swojej teorii języka tezę o istnieniu elementarnych jednostek semantycznych z analizą bogatych materiałów empirycznych z różnych języków, Wierzbicka rozwiązała problem antynomii między uniwersalizmem a absolutnym relatywizmem, stając niejako „pośrodku”, jak podkreślał Andrzej Bogusławski [1993].

7. Program badań komparatystycznych.

„Aby badania były owocne, muszą być podejmowane z perspektywy uniwersalnej, niezależnej od języka i kultury” (JUK, s. 138) – taką zapewnia tylko NSM, wolny od wpływu specyficznych właściwości poszczególnych języków. Wypracowany przez Wierzbicką wspólnie z Goddardem uniwersalny metajęzyk semantyczny pozwala dokonywać komparacji języków, ujawniać elementy wspólne różnym kulturom, odkrywać te ich składniki, które przybliżają do siebie różne języki i kultury. Stanowi najlepszą pod względem metodologicznym propozycję dla semantyki międzykulturowej. Dodam od razu – propozycję niełatwą do zastosowania w wersji ortodoksyjnej, lecz niezwykle inspirującą i zobowiązującą.

Wierzbicka w swoich pracach omawiających pojęcia dla kultury kluczowe, takie jak ‘ojczyzna’, ‘wolność’, ‘łos’, ‘dusza’, funkcjonujące w różnych językach europejskich, a także w serii prac dotyczących języków dla Polaka egzotycznych, stworzyła teoretyczne podstawy dla teorii przekładu, semantyki międzykulturowej i filozofii dialogu. Wsparła dialog międzykulturowy, otworzyła też pole badawcze dla „semantyki wartości”, pole, którego badanie stało się w ostatnich latach pilną potrzebą i które okazało się interesujące także dla grupy młodych badaczy, którzy w roku 2008 utworzyli międzynarodowe konwersatorium EUROJOS. Profesor Anna Wierzbicka przyjęła (jak wspominałem wyżej) członkostwo w radzie naukowej tego konwersatorium i zgodziła się konsultować jego prace.

8. Przeciw angloamerykańskiemu etnocentryzmowi

Wierzbicka uznała amerykańskie psychologiczne badania nad emocjami ludzimi za obciążone grzechem etnocentryzmu, ponieważ mówią o uniwersalnych emocjach za pomocą jednego tylko języka, języka angielskiego. Tymczasem rozumienie uczuć tak zdawałoby się uniwersalnych, jak strach, gniew czy szczęście, jest zróżnicowane i zdeterminowane kulturowo, utrwalone w postaci „skryptów kulturowych”. Dlatego mówienie o emocjach w psychologii amerykańskiej i pojmowanie ich zgodnie ze znaczeniami nazw angielskich (*happy, enjoy, fun* itp) jest obarczone grzechem etnocentryzmu – traktuje o tym rozprawa *Mówienie o emocjach. Semantyka, kultura, poznanie*²¹. Dobrze uczucia i ich okazywanie są wymo-

²¹ A. Wierzbicka *Mówienie o emocjach. Semantyka, kultura, poznanie* (1992), przeł. P. Kornacki, w: JUK, s. 138-162.

giem w kulturze amerykańskiej (mowa o tym w szkicu *Emocje. Język i „skrypty kulturowe”*²²), lecz nie jest to zjawisko powszechne. Wiele angielskich nazw emocji – *anger* (‘gniew’), *happiness* (‘szczęście’), *fear* (‘strach’) czy *disgust* (‘obrzydzenie’) – niesie konotacje charakterystyczne tylko dla tego języka, gdy inne języki nazywają i interpretują emocje po swojemu. Dotyczy to także nazw aktów i gatunków mowy (*Akty i gatunki mowy w różnych językach i kulturach*²³). Twórczość Anny Wierzbickiej – zwłaszcza jej dwie ostatnie książki – daje naukowe podstawy do, jak to określiła Teresa Dobrzyńska, „rozbijania mitów etnocentryzmu”.

IV

Niezwykle bogata i inspirująca twórczość naukowa Anny Wierzbickiej, podejmująca centralne zagadnienia lingwistyki jako nauki humanistycznej, skłania do refleksji i dyskusji, wywołuje także głosy krytyczne. Co budziło najczęściej wątpliwości? Zatrzymam się nad jedną kwestią: wystarczalnością proponowanego zestawu indefinibiliów do eksplikowania znaczeń złożonych.

Pierwszy przypadek, kiedy metoda oparta elementarnych jednostkach semantycznych okazuje się niewystarczająca, to nazwy przedmiotów konkretnych, jak ‘jabłko’, ‘dom’, ‘pies’ itp., których znaczenia nie można sobie przyswoić bez doświadczenia zmysłowego, bez zobaczenia przedmiotu²⁴; drugi – to wyrażenia o wysokim stopniu abstrakcji, jak ‘ojczyzna’, ‘lud’, ‘matka’, ‘dola/los’, ‘wolność’, ‘demokracja’, które mają bogatą konotację kulturową i podlegają w społecznej komunikacji silnemu zróżnicowaniu ideologicznemu, sytuacyjnemu i społecznemu.

W odniesieniu do wymienionych dwóch grup wyrażen operacyjna wydolność NSM jest ograniczona. Na swój sposób potwierdziła to sama Wierzbicka, podejmując ich eksplikacje, które albo wykraczały poza przyjęty zespół jednostek elementarnych, albo okazywały się bardzo (za bardzo) ubogie.

Rzućmy okiem na niektóre przykłady zawarte w książce *Lexicography...* z 1985 roku. Definiując owoce²⁵ autorka wprowadza wyrażenia spoza listy „jądrowej”, takie jak ‘rosnąć’, ‘gotować’, ‘jeść’, ‘wyglądać’, ‘ziemia’, ‘drzewo’, ‘skórka’, ‘sok’, ‘usta’, ‘zielony’, ‘twardy’, ‘słodki’, ‘kwaśny’, ‘ciepło’, ‘łatwo’, ‘ładnie’; definiując białka – wyrażenia ‘trzymać’, ‘spadać’, ‘gryźć’, ‘zielony’, ‘żółty’, ‘czerwony’, ‘ciemny’, ‘brązowy’, ‘okrągły’, ‘twardy’, ‘słodki’, ‘gałąź’, ‘ręka’, ‘palec’, ‘kciuk’, ‘odgłos’, ‘cukier’; eksplikując kolory – ‘niebo’, ‘słońce’, ‘ogień’, ‘krew’, ‘woda’, ‘ziemia’, ‘niebieski’, ‘żółty’, ‘czerwony’, ‘biały’, ‘czarny’; przy eksplikacji ojczyzny – ‘kraj’.

²² A. Wierzbicka *Emocje. Język i „skrypty kulturowe”* (1994), przeł. J. Szpyra, w: JUK, s. 163-192.

²³ A. Wierzbicka *Akty i gatunki mowy w różnych językach i kulturach* (1991), przeł. P. Kornacki, w: JUK, s. 228-269.

²⁴ Zwraca na to uwagę Renata Grzegorzczak [2010, s. 123].

²⁵ Przekład 4. rozdziału tej książki zob. A. Wierzbicka *Owoce i warzywa. Semantyka kategoryzacji ludzkiej* (1985), przeł. J. Bartmiński, w: JUK, s. 83-137.

‘matka’, ‘dzieci’ itd. Użyte w funkcji definiensów przytoczone wyrażenia to nazwy podstawowych czynności i zdarzeń oraz przedmiotów konkretnych. Podane eksplikacje rozsądziły ramy założonego zespołu indefinibiliów. Oczywiście, to było 25 lat temu. Od tej pory analizy zawarte w *Lexicography* zostały wielu wypadkach zrewidowane i skorygowane²⁶. Jednak zasadniczy problem złożoności semantycznej słownictwa konkretnego pozostał.

Nie wydają się wystarczające także eksplikacje ‘matki’, ‘ojczyzny’, ‘wolności’. Ograniczenie się do cech jądrowych²⁷ pozwala ująć tylko część treści semantycznej składającej się i utrwalonej w języku naturalnym. Eksplikacja ‘matki’ w języku polskim musi objąć znacznie więcej cech niż podane przez autorkę *Semantyki* (s. 185-187)²⁸. Zbyt ubogie, nieoddające pełnej, ustabilizowanej w języku naturalnym złożonej treści semantycznej, są też eksplikacje ‘nieba’, ‘słońca’, ‘chmury’ (tamże, s. 254) i ‘ognia’ (tamże, s. 258), a także części ciała – ‘głowy’, ‘oczu’, ‘nosa’ (tamże, s. 252-253).

Wierzbicka więc dodaje komentarz: „Jest [...] pożądane, a być może nawet konieczne, by nasze definicje pojęć konkretnych, odnoszących się na przykład do części ciała lub różnych aspektów środowiska naturalnego, zawierały poza semantycznymi «atomami» również semantyczne «częsteczki» (*semantic modules*)” (*Semantyka*, s. 255)²⁹. Teoria molekuł semantycznych jest obecnie w centrum uwagi badaczy pracujących w ramach NSM³⁰.

Zwróć jeszcze uwagę na dwie inne kwestie sporne.

Proponowane przez Wierzbicką definicje części ciała, są oparte na topologii (miejsce w całym ciele: ‘głowa’ – część ciała człowieka; ta część jest nad wszystkimi innymi częściami ciała; kiedy ktoś myśli, coś dzieje się w tej części), a nie funkcji

²⁶ Zob. na przykład Goddard 2011, A. Wierzbicka *Semantic analysis*, second edition.

²⁷ Por. eksplikacje matki (*Semantyka* 2010, s. 185-187):

X jest matką Y-a. =

(a) kiedyś [w pewnym czasie], przed czasem obecnym, Y był bardzo mały

(b) Y kiedyś był wewnątrz ciała X-a

(c) w tym czasie ciało Y-a było jakby częścią ciała X-a

(d) dlatego ludzie mogą myśleć o X-ie coś takiego:

„X chce zrobić dobre rzeczy dla Y-a

X nie chce, żeby Y-owi zdarzały się złe rzeczy”

²⁸ W artykule o polskim stereotypie MATKI wydobywam ich ponad 30 [Bartmiński 2006, s. 151-166].

²⁹ Ten postulat Anny Wierzbickiej spełnia „definicja kognitywna” stosowana w *Słowniku stereotypów i symboli ludowych*; korzystająca zwłaszcza z uzasadnień zawartych w książce *Lexicography*....

³⁰ Zob. na przykład A. Wierzbicka *The theory of the mental lexicon*, w: *The slavic languages. An international handbook of their structure, their history and their investigation*, eds. S. Kempgen, P. Kosta, T. Berger, K. Gutschmidt, vol. 1, Mouton de Gruyter, Berlin–New York 2009, s. 848-863; Goddard 2011.

(‘głowa’ – część ciała, która stanowi organ/narzędzie myślenia). Potoczona konceptualizacja części ciała opiera się na ich funkcjach, zaś ich miejsce jest dla konceptualizacji potocznej ważne, ale ustępuje wagą funkcji³¹.

Definicje ‘ojczyzny’, ‘wolności’ i ‘losu’ – pomyślane kontrastywnie w stosunku do innych języków, są uogólniane, sprowadzane do wariantów podstawowych, dominujących w danej kulturze narodowej – polskiej, rosyjskiej, niemieckiej itd., podczas gdy w poszczególnych wspólnotach funkcjonują obocznie różne ich warianty, uwarunkowane ideologiczne. W przypadku polskiej ‘ojczyzny’ są to – obok podstawowego wariantu romantyczno-narodowego – także warianty lokalny, regionalny, państwowy, społeczno-obywatelski i kulturowy, w przypadku ‘wolności’ – obok jej romantycznego wariantu wspólnotowego – także wariant nowy, indywidualistyczny, młodzieżowy; w przypadku szlachecko-legionowego ‘losu’ – także plebejska ‘dola’ [por. Bartmiński 2006].

V

Anna Wierzbicka zdobyła sobie pozycję światową. Z polskich językoznawców udało się to tylko nielicznym: Janowi Baudouin de Courtenay, Bronisławowi Malinowskiemu, Jerzemu Kuryłowiczowi. Prace Anny Wierzbickiej są doceniane nie tylko w jej ojczyźnie (o czym wspomniałem wyżej), ale też zyskały duży rezonans zarówno na Zachodzie (Nagroda im. Aleksandra Humboldta w roku 1995, członkostwo Australian Social Sciences i Australian Academy of the Humanities), jak na Wschodzie (członkostwo Rosyjskiej Akademii Nauk od 1999, nagroda Dobruszyna za całokształt pracy naukowej w roku 2010).

Miarą uznania dla wypracowanej przez nią koncepcji elementarnych jednostek semantycznych i naturalnego metafizyka semantycznego stało się poświęcenie jej osobnego hasła w cenionej 4-tomowej *International encyclopedia of linguistics* wydanej w Nowym Jorku pod redakcją Williama Brighta (1992, t. 4, s. 403, hasło *Semantic primitives*) czy powierzenia jej autorstwa rozdziału *Język, kultura i znaczenie. Semantyka międzykulturowa* w europejskim podręczniku *Kognitywne podstawy języka i językoznawstwa*³². M.A. Kronhauz we wstępie do opublikowanego w Moskwie w 1996 roku tomu przekładów prac Wierzbickiej na język rosyjski stwierdza, że od lat należy ona w Rosji do „najchętniej czytanych, cytowanych i lubianych lingwistów zachodnich”. Bardziej szczegółową prezentację idei Wierzbickiej w tymże tomie dała Jelena Paduczewa w artykule pod wymownym tytułem *Fenomen Anny Wierzbickiej*.

³¹ Udowodniła to w swojej książce *Frazeologia somatyczna w gwarach polskich. Związki frazeologiczne o znaczeniach motywowanych cechami części ciała* (Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1987) Anna Krawczyk-Tyrpa.

³² Wydanie polskie: *Kognitywne podstawy języka i językoznawstwa*, red. E. Tabakowska, Universitas, Kraków 2010.

VI

Język, jakim Wierzbicka pisze swoje prace, zarówno polski, jak i – zdaniem anglistów – także angielski jest piękny w swojej prostocie i krystalicznej przejrzystości. Nie ma w nim fałszów myślowych, retorycznych popisów, stawiania terminologicznych barier, tego „puszenia się”, które w rozprawach „polskich światłych humanistów” tak ostro piętnował Czesław Miłosz³³. Język Wierzbickiej jest – mówiąc słowami poety – „dzielny zapaśnikiem”, który „zmaga się z rzeczami i pojęciami, próbując je nazwać”³⁴. Jest pełen intelektualnej energii. Widać to w doborze słów, w harmonijnej budowie zdania, w układzie całych tekstów. Są one przeniknięte duchem poszukiwania. Wierzbicka w swoich książkach rozmawia też sama z sobą, jako „podmiot polifoniczny”. Stawia pytania i formułuje odpowiedzi. W swoich wywodach Wierzbicka nie podaje gotowych rozwiązań, proponuje raczej sekwencję „deliberatywnych” pytań i replik. Tajemnica jej warsztatu pisarskiego, źródło atrakcyjności czytelniczej jej tekstów, tkwi w zastosowaniu reguły, którą sama autorka przytoczyła kiedyś z Platona (*Gorgiasz*): „Ja przecież nie mówię tego, co mówię, dlatego, jakobym wiedział, tylko szukam razem z wami” (*Kocha, lubi...*, s. 9). Wyznawana przez Wierzbicką zasada dialogowości wykracza poza ramy poszczególnych tekstów, organizuje otwartą przestrzeń intertekstualną. Badaczka szanuje inteligencję i wrażliwość czytelnika, wychodzi mu naprzeciw, wciąga do wspólnoty myślowej, dialoguje.

Twórczość naukowa Anny Wierzbickiej jest inspirowana ideą poszukiwania prawdy. Mówiła o tym w Lublinie w wykładzie doktorskim, powołując się na św. Augustyna: „do prawdy nie można dążyć w pojedynkę. Z innymi ludźmi można się zgadzać lub nie zgadzać, ale trzeba z nimi rozmawiać. Być może wiedzy można szukać samemu, ale nie prawdy. A dla mnie prawda jest ideałem większym niż wiedza”.

Cytowana literatura przedmiotu

- Apresjan J., 1980, *Semantyka leksykalna. Synonimiczne środki języka* (1974), Wrocław: ZNIO.
- Bartmiński J., 2004, *Droga naukowa Anny Wierzbickiej*, w: *Anna Wierzbicka – Doktor honoris causa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej*, Wydawnictwo UMCS: Lublin.
- Bartmiński J., 2006, *Językowe podstawy obrazu świata*, Wydawnictwo UMCS: Lublin.
- Bielik-Robson A., 2001, *Wstęp*, w: Ch. Taylor *Źródła podmiotowości. Narodziny tożsamości nowoczesnej*, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Bogusławski A., 1991, *Lingwistyczny relatywizm względny. Anny Wierzbickiej rozwiązanie problemu różnorodności języków*, „Etnolingwistyka” 4.
- Evans V., Bergen B.K., Zinken J. (eds.), 2007, *Cognitive linguistics reader*, London: Equinox.

³³ Cz. Miłosz *Ogród nauk*, Instytut Literacki, Paryż 1981, s. 126.

³⁴ Tamże, s. 126.

- Goddard C., 2011, *Semantic Analysis*, 2nd edition, Oxford–New York: Oxford University Press,
- Grzegorzczkowa R., 2010, *Wprowadzenie do semantyki językoznawczej*, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Krzeszowski T., 1994, *Parametr aksjologiczny w przedpojęciowych schematach wyobrażeńiowych*, „Etnolingwistyka” 6.
- Lakoff G., Johnson M., 1988, *Metafory w naszym życiu* (1980), przekł. i wstęp T.P. Krzeszowski, Warszawa: PIW.
- Langacker R., 2005, *Wykłady z gramatyki kognitywnej*, przeł. H. Kardela, P. Łozowski, Lublin: Wydawnictwo UMCS.
- Laureaci nagród Fundacji na rzecz Nauki Polskiej 2010*, 2010, Warszawa: Wydawnictwo Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.
- Nowakowska-Kempna I., 1991, *Na marginesie książki Anny Wierzbickiej „Lexicography and conceptual analysis”*, „Etnolingwistyka” 4.
- Plas P., 2006, *Slavic ethnolinguistics and Anglo-American linguistic anthropology: convergences and divergences in the study of the language-culture nexus*, „Etnolingwistyka” 18.
- Tabakowska E., 2004, *Kognitywizm po polsku – wczoraj i dziś*, Kraków: Universitas.
- Zinken J., 2004, *Metaphors, stereotypes and the linguistic picture of the world. Impulses from the Ethnolinguistic School of Lublin*, „metaphoric.de” 7.
- Zinken J., 2009, *The Ethnolinguistic School of Lublin and Anglo-American cognitive linguistics*, w: J. Bartmiński *Aspects of cognitive ethnolinguistics*, ed. J. Zinken, London: Equinox.



John Besemeres, Anna Wierzbicka, Jerzy Bartmiński na Zamku Królewskim w Warszawie 8 XII 2010, po odebraniu przez prof. Wierzbicką nagrody Fundacji Nauki Polskiej 2010

Abstract

Jerzy BARTMIŃSKI

Maria Curie-Skłodowska University (Lublin)

Anna Wierzbicka: from polish renaissance prose syntax to intercultural semantics

This article emphasises how Anna Wierzbicka's scholarly career is rooted in the European tradition (Leibniz, Bogusławski, Apresian) while also bearing a clear mark of Slavonic and Polish studies – in terms of its intellectual set-up as well as its academic tradition. Wierzbicka's work also stands in dialogue with Anglo-American cognitive linguistics by Lakoff and Langacker. Bartmiński presents the two stages of Wierzbicka's research: first, the Polish/Warsaw phase of 1961–1972, and then, the foreign/Australian phase, which began in 1972, when Wierzbicka received a professorship at University of Canberra. Bartmiński lists Wierzbicka's major scholarly contributions: she recognised semantics as the foundation and key research area in linguistics; established the existence of both semantic atoms known as 'primes' and a system of elementary grammatical rules known to all languages; she postulated lexicographic definitions based on simple (elementary) semantic units, and valorised everyday usage and the average language user's intuition; she consistently demonstrated the subjective nature of meaning, for instance by defining speech acts from the perspective of the grammatical first person; she solved the problem of the antinomy between universalism and absolute relativism, and finally she created the methodological foundation for intercultural semantics. Bartmiński underlines Wierzbicka's critical attitude toward Anglo-American ethnocentrism, and indicates questions for further research.

Roztrząsania i rozbior

Propheta in patria sua

*Zwrot polityczny*¹ (opublikowany przez Wydawnictwo Krytyki Politycznej) spotkał się raczej z niechętnym przyjęciem krytyki. Przykładem może być tekst Krzysztofa Vargi, który dość nieoczekiwanie oskarżył autora o cenzorskie i likwidatorskie zapędy, nawiązując przy tym do niesławnej i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie do końca miłej sercu Stokfiszewskiego postaci ministra Giertycha: „Miejmy nadzieję, że jak Igor zostanie kiedyś ministrem edukacji, to wykreśli ją [poezję przed zwrotem politycznym] z podręczników. Znajdzie się tam miejsce tylko dla dobrych poetów. Zwróconych politycznie w odpowiednią stronę” („Gazeta Wyborcza” 20 września 2009). Głos rozsierzonego Vargi, jakkolwiek niepozabawiony protekcjonalnego tonu, może tylko Stokfiszewskiego ucieszyć: przerwał dogmatyczną drzemkę, przyspieszył puls spokojnej lektury, wytrącił z błogostanu przeżuwania w kółko tej samej papki. Z pewnością książka ta zasługuje na więcej niż ironiczne warknięcia, kwaśne przytyki i grymasy.

Autor ma spore ambicje, nie zamierza pokornie przyglądać się światu, towarzyszyć literaturze pół kroku za nią, potulnie przytakiwać wcześniejszym rozpoznaniom i diagnozom. Przeciwnie, głosi dobrą nowinę, chce przerazić, wstrząsnąć i poruszyć. Przerazić luminarzy polskiego liberalizmu, wstrząsnąć tymi, którzy stale jeszcze myślą w kategoriach demokratycznych, a wreszcie pobudzić tych, którzy chcą być za pan brat ze współczesnym światem. Oto dopełnił się czas, perspektywa została wyznaczona, po epoce hegemonii paradygmatu liberalno-demokratycznego, który w planie estetycznym koresponduje z postmodernizmem, nastąpił czas

¹ I. Stokfiszewski *Zwrot polityczny*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2009. Cytaty lokalizuję w tekście.

nowy: uniwersalizmu i powrotu do wspólnoty. Dokonał się zwrot polityczny, prawda przybyła do nas na gołębih nóżkach. Rewolucja nie dmie w trąby, ale podmywa brzeg i rzeźbi grunt myśli, zanim świat zdąży się jeszcze rozpoznać w jestestwie swoim.

Zwrot polityczny polega bowiem na zrekonstruowaniu nowej, uniwersalnej wspólnoty, na odrzuceniu dominującej w latach 90. postpolityki, posttradycji i ideologii konsensusu. W starej i szczęśliwie przezwyciężonej epoce postmodernizm kroczył ramię w ramię z globalizacją, dialog był na ustach wszystkich, a moi i kulturalni tego świata wielbili złotego cielca indywidualizmu i prywatności. Zdaniem Stokfiszewskiego, pod koniec lat 90. postępowy potencjał paradygmatu ponowoczesnego stracił swój impet i „doprowadził do konserwatywnej reakcji na odśrodkową, atomizującą i dekonstrukcyjną potęgę liberalizmu [...] Na arenę wkracza konserwatyzm jako *nemesis* ponowoczesności” (s. 23). Zwrot polityczny to moment, w którym sztuka i krytyka zdystansowały się od postmoderny lat 90. jako ideologii i wykształciły „opozycyjną wyobraźnię”, rozpoczęły „akt kreacji nowego porządku” (s. 25), zmiana dokonała się „na wszystkich polach ekspresji i krytycznego głosu” (s. 29). Sygnuje się nazwiskami Klaty, Demirskiego, Masłowskiej, Witkowskiego, Cyranowicz i Lipszyca. Po zwrocie triumfują wspólnotowość, jednia, polityczność, materializm i performatywność.

Stokfiszewski uderza w ton apokaliptyczno-mesjański. W zakłopotanie i zdumienie wprawić on może jednak tylko tych, którzy ostatnie parę lat przespalili i najświeższe nowinki to dla nich Umberto Eco i Merleau Ponty. Ton ten wydaje się bowiem całkiem naturalny u gorliwego czytelnika Agambena (por. choćby *Czas, który zostaje*²) i Badiou (*Święty Paweł*³ wydany także w serii opracowanej przez „Krytykę Polityczną”; Stokfiszewski jest członkiem redakcji pisma), autorów, którzy pojawiają się na każdej niemal karcie *Zwrotu politycznego*. Co i rusz napotykamy też nazwiska Ranciera i Giddensa, może nie do końca najnowszych, ale z pewnością szalenie popularnych bohaterów naszych czasów. Prorocza dykcja jak najbardziej pozostaje w dobrym tonie. Jak na proroka przystało, Stokfiszewski nie ma zamiaru niczego ułatwiać, upraszczać i uprzystępniać.

Wypada nadmienić, że na książkę składają się teksty pisane na przestrzeni kilku lat, przeznaczone do druku w czasopiśmie, a niekiedy także okolicznościowe. Nie jest więc to przemyślana od początku do końca całość, ale krytyka literacka, która rozwija się w czasie, pełna niekiedy fragmentarycznych i gorączkowych zapisów, rozpoznań, diagnoz i olśnień. Nie oznacza to jednak, że tekstowi Stokfiszewskiego brak porządku, idei przewodniej, przemyślanego projektu czy wyrazistej wizji. Przeciwnie, przesłanie, które płynie z wypowiedzi autora wydaje się silne i rewolucjonizujące.

² G. Agamben *Czas, który zostaje. Komentarz do Listu do Rzymian*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2009.

³ A. Badiou *Święty Paweł. Ustanowienie uniwersalizmu*, przeł. J. Kutyla, P. Mościcki, przedm. K. Dunin, post. P. Mościcki, Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2007.

Czas na liryczne wyznanie czytelniczki: przeczytanie tego tekstu nie należy do zadań najłatwiejszych. Frazy gęste, metaforyczne, urywają się nagle i nieoczekiwanie, czasem pisane są w telegraficznym skrócie, niekiedy zaś przeciwnie: wiją się długo, meandrują, gubią w kolejnych wtrąceniach, złożeniach, komentarzach. By nie pozostać gołosłowną, oto próbka:

Reżyser bezrefleksyjnie staje po stronie symbolicznej większości (film opowiada o tym, że ład świata musi się opierać na przekazywaniu tradycji w męskim kontinuum, kobiety są w nim pozbawione głosu, jak matka, lub ignorowane w swych pragnieniach, jak siostra), stara się łagodzić ostrze ukazywania wykluczenia [sic! – K.Ch.], stosując kategorię losu (wykonawcą gestów losu czyni Jakimowski żebraka, sugerując tym samym, że nasza pozycja społeczna jest wynikiem przypadku, z którym powinniśmy się pogodzić); konstruuje fabułę w sposób uporządkowany tak, że cała ta „gra z losem” jest tu jedynie pozorem (ojciec musi wrócić do rodziny, taka jest bowiem logika „zbiorowej nieświadomości mieszczaństwa”). (s. 159)

Ufff... Trudno Krzysztofowi Vardze kategorycznie odmówić racji, gdy mówi, że lektura tej książki stawia niejaki opór. Styl, stanowiący melanz żargonu socjologiczno-naukowego, gazetowej publicystyki i metaforycznych aktów strzelistych, może również wystawić czytelnika na ciężką próbę: „Kasprzak (nie pozostaje mu nic innego) wpisuje ową deklarację w technologii podważania jednoznaczności, która sytuuje się w centrum sporu Kopyta ze spetryfikowaną kulturą dobrobytu” (s. 127).

Wszystko to jednak są błahostki, dużo trudniejszą przeszkodą wydaje się niejasność sformułowań, nieuleczalna skłonność do niedopowiedzeń i niekiedy zawieszanie rozważań w próżni. Wiele do życzenia pozostawia zwłaszcza klarowność podstawowych kategorii i głównej tezy. Czym bowiem właściwe jest zwrot polityczny? Jaki zasięg ma to zjawisko? Czy zmienił się klimat polityczny kraju? Czy Stokfiszewski sądzi, że „masy ludowe” sprzyjają wreszcie ideom egalitarnym? Tak daleko chyba autor *Zwrotu politycznego* się nie posuwa. Można raczej przypuszczać, że zwrot polityczny dokonać się ma wśród jajogłowych, a więc że zmieniło się przede wszystkim nastawienie intelektualistów i twórców, a co za tym idzie – treść i forma niektórych dzieł wysokiej kultury. Czy to jednak oznacza, że kultura się zmienia? Bohaterami Stokfiszewskiego nie są przecież klasycy czy mainstreamowe gwiazdy (może z wyjątkiem Witkowskiego, Klaty i Masłowskiej), to raczej wstępujące pokolenie literatów i reżyserów teatralnych, a szerokie spektrum kultury pozostaje poza obserwacją (i prawdopodobnie to właśnie zezłościło Krzysztofa Vargę najmocniej).

Powróćmy jednak do pytań, a jest ich niemało. Jak właściwie zmiana ta przekłada się na przekształcenie życia społecznego? I wreszcie: z jakiej perspektywy Stokfiszewski mówi? Kim jest „my”, w imię którego występuje? Z pewnością ma na myśli swoje najbliższe środowisko, skupione wokół „Krytyki Politycznej” (większość autorów i autorek, których traktuje jako przedstawicieli przełomu, jest w różny sposób z „Krytyką” związana), ale byłaby to odpowiedź zbyt skromna

i niewyczerpująca kwestii. Zapytajmy wprost: czy Stokfiszewski wypowiada się z marginesu? Czy wieszczy rewolucję, która – jeszcze niewidoczna dla oczu świata – rodzi się na obrzeżach, kielkuje w ciemnościach, skrycie przetwarza paradygmat naszego życia społecznego, przygotowuje nowe formy i lada chwila wybuchnie? Czy fala rewolucji dopiero wzbiera, czy też przeciwnie – świat już jest „nasz”, dawno zdobyty i samo serce społeczeństwa, jego instytucje, formy, treści, sposoby działania i rytuały uległy przemianie? Pierwszej możliwości przeczy tryb dokonany, w którym się Stokfiszewski wypowiada, drugą podważa – jakkolwiek prozaicznie i zdroworoządkowo to brzmi – zwykła obserwacja uczestnicząca. Wątpliwości budzi też sama istota owej zmiany. Sprzeciw wobec liberalizmu, kapitalizmu, demokracji oraz ideologii indywiduum to wizja bardzo ogólna, obejmująca wiele zjawisk, które mają odmienną genezę i całkowicie różny ładunek ideowy, estetyczny i społeczny. Wystarczy porównać obrazy wspólnoty (najważniejsza kategoria zwrotu politycznego), które wyczytać można z dzieł Witkowskiego i z powieści Horubały, żeby posłużyć się dwoma przykładami zaczerpniętymi z tej książki, aby zrozumieć, że niewiele jednak łączy subwersywną wspólnotę gejońską z antykomunistyczno-katolicką wizją narodu polskiego w szczególny sposób podkreślającą parszywy los skrzywdzonego przez „Gazetę Wyborczą” pokolenia pampersów.

Problematiczny wydaje się także schemat historii, w którą Stokfiszewski wpisuje swój zwrot polityczny. Model ten jest następujący: po latach panowania paradygmatu postpolitycznego, postmodernistycznego i liberalnego (lata 90.) doszło do silnej reakcji zwrotnej i zatriumfowała wspólnota: czy to jako konserwatywna „nemezis ponowoczesności”, czy to jako głos reprezentujący wykluczonych, subwersywnych, złańionych nowej uniwersalności przedstawicieli, jak to się kiedyś mówiło, postępu. Niełatwo zgodzić się z tą tezą. Po pierwsze, konserwatyzm, nie tylko jako postawa polityczna, ale również jako wizja kultury (zaciekle nacjonalna lub łagodnie katolicka), był popularny w licznych środowiskach opozycji antykomunistycznej jeszcze przed przełomem 1989 roku i w nowej sytuacji politycznej od samego początku miał się doskonale. Startował razem z liberalizmem, dobrze osadzony i raczej trudno go traktować jako reakcję na alienujące rozpasanie kapitalizmu, zwłaszcza że w większości znakomicie się z nim komponował. Skądinąd opowieść, że konserwatyzm jest naturalną odpowiedzią na szalony i niszczący wspólnotę liberalizm, należy do popularnego repertuaru narracji konserwatywnych i aż dziw bierze, że Stokfiszewski ten obraz powiela. To raczej paradygmat postmodernistyczno-liberalny był od początku słaby, chwiejny i właściwie z wyjątkiem kilku ekscentryków i ludzi z uniwersytetów nie cieszył się wielkim poparciem, również w sferze kultury i sztuki. Rzec można: chmurka bitej śmietany dekonstrukcji nad górą ciężkostrawnego zakalca narodowego. I jeszcze jedno. Opór wobec praktyki i ideologii liberalnej również towarzyszy zwycięskiej transformacji niemal od samego początku, a przynajmniej od połowy lat 90., choć – i tu trzeba Stokfiszewskiemu przyznać rację – nigdy nie płynął głównym nurtem ani nie zdobył poklasku.

Zgłaszam te zastrzeżenia, choć zdaję sobie sprawę, że żądanie od proroka ścisłości może wydawać się małostkowe. Skoro Stokfiszewski nie sili się na tryb sprawozdawczy, to czy wypada mu zarzucać niedociągnięcia, uproszczenia i przeoczenia? Jego książka ma charakter głęboko performatywny, jest manifestem, a więc nie tyle przedstawia, co głosi zwrot, tworzy go, jest jego elementem. A nuż rzeczywistość podąży we właściwym kierunku, da się zakląć w słowa? Prorok chce przecież zarysować nową perspektywę, domknąć czas, w którym się znaleźliśmy, zapowiedzieć nowe wspólne, zanim jeszcze ujrzą je oczy profanów. Rewolucja u bram, ale bycie prorokiem to ciężki kawałek chleba.

Katarzyna CHMIELEWSKA

Abstract

Katarzyna CHMIELEWSKA

**The Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences
(Warszawa)**

Propheta in patria sua

Review: Igor Stokfiszewski *Zwrot polityczny* ['A political turn'], Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2009.

Stokfiszewski's title refers to a change in Polish social and cultural life, namely the process by which liberal-democratic paradigm (which in aesthetics corresponds with postmodernism, post-politics, post-tradition, and the ideology of consensus) comes to be replaced by a perspective of universalism, as well as a return to community. Stokfiszewski's work functions as a political manifesto. However, Chmielewska questions the scope, status, and effectiveness of the transformation discussed by Stokfiszewski, as well as the diachrony into which he inscribes his discourse of a paradigm shift.

Bachtin i powszechna abolicja

Każdy humanista powinien wpisać wybitne studium Galina Tihanova¹, pochodzącego z Bułgarii profesora University of Manchester, na listę swych obowiązkowych lektur, tak wiele bowiem *Pan i niewolnik* mówi o historii intelektualnej pierwszej połowy XX wieku. Niezwykle uczona, inteligentnie skomponowana, opatrzona znakomitą bibliografią i przejrzystymi indeksami – zasługa przypada redaktorowi i tłumaczowi – książka ma także tę zaletę, że prowokuje nawet nie tyle do komplementowania, ile do myślenia – i sprzeciwu. Jakiegokolwiek jednak zarzuty i tezy postawię poniżej, nie zmieni to faktu, że nie sposób byłoby ich sformułować, gdyby nie poprzedziła ich benedyktyńska i wirtuozowsko lekka praca Tihanova.

| .

Porównanie Lukácsa z Bachtinem nie jest autorskim pomysłem Tihanova. Jak sam przyznaje, pierwszy z projektem podobnego studium wystąpił w roku 1976 Vittorio Strada, którego – Włocha! po aferze z *Doktorem Żywago* – rolę w ponownym odkryciu Bachtina i wznowieniu książki o Dostojewskim we wstępie napisanym specjalnie do polskiego wydania i poświęconym recepcji autora *Autora i bohater*a Tihanov niestety pomija... (choć przywołana tam anegdota o Wadimie Kożynowie imitującym niemiecki akcent Güntera Grassa, który dzwoni niby do sekretariatu Związku Pisarzy, by dopytywać się o *Problemy poetyki Dostojewskiego* spra-

¹ G. Tihanov *Pan i niewolnik. Lukács, Bachtin i idee ich czasów*, przeł. M. Adamiak, red. nauk. D. Ulicka, Oficyna Naukowa, Warszawa 2010. Cytaty lokalizuję w tekście

wia, że wybaczymy autorowi to opuszczenie). Jednak zasługę przeprowadzenia paraleli Lukács – Bachtin trzeba przypisać wyłącznie Tihanowowi, zwłaszcza że zestawienie to wychodzi mu imponująco, choć momentami mechanicznie, a w całości raczej niezgrabnie. Im mniej przekonująca okazuje się zależność jednego myśliciela od drugiego, tym większe pokłady erudycji trzeba uaktywnić, by zależność tę stwierdzić i obronić, przez co najwspanialsze momenty tej książki bywają też najbardziej zawstydzające.

Tihanov stara się jakimś cudownym sposobem połączyć neoheglizm (kontrheglizm) poststrukturalistów z pocziwą pozytywistyczną wpływologią. Cuda przydarzą się tym czytelnikom, którzy w nie uwierzą, innym pozostają wątpliwości, czy rzeczywiście najlepszym sposobem prezentacji idei jakichkolwiek czasów jest analiza tak dogłębna, że wykluczająca z góry możliwość syntezy. Mniej interesuje Tihanova oddziaływanie Bachtina i Lukácsa na późniejszą humanistykę, skupia się on raczej na tym, co na jego bohaterów wpłynęło. Narracja stara się zgłębić ów problem, rozprzestrzeniając się w dwóch kierunkach: 1. śledzi rozwój myśli samego Lukácsa i samego Bachtina, aby wydobyć łączące ich ukryte więzi; 2. zestawia ich pisma z poprzednikami i współczesnymi, umieszczając je w tym dialogu idei, w którym krystalizowały się propozycje obu myślicieli (s. 19). U Tihanova brakuje więc trzeciego wymiaru czasu – przyszłości, a skutki tego są poważne: stanowiska Lukácsa i Bachtina rozpadają się przez to na agregat wpływów, które przyjęły. Charakterystyczne cechy pewnego stanowiska widać przecież dopiero z perspektywy jego oddziaływania na myśl następców. Recepcji Bachtina poświęca Tihanov po latach – żeby nie powiedzieć poniewczasie – wstęp do wydania polskiego, ale nie po to, by uzupełnić brak pierwszego wydania książki – a wyszła ona w roku 2000 – ale by uwierzytelnić swe destrukcyjne podejście do idei Bachtina i Lukácsa: pokazać, że również recepcja – tak jak przedtem przedmiot recepcji – rozpada się w kakofonię sprzecznych opinii. A przecież Tihanov musi milcząco zakładać istnienie mającej jakiś określony kształt koncepcji, spoza którego wystają groteskowo różne odrósłe myśli. Nie ratuje sytuacji wezwanie na pomoc heglowskiej dialektyki pana i niewolnika: jeszcze zobaczymy, że niczego nie czyni ona naprawdę spójnym i sensownym, a nawet utrudnia dostrzeżenie specyfiki myśli zarówno Bachtina, jak autentycznego heglisty Lukácsa. W każdym razie skupienie się przede wszystkim na wpływach, którym podlegali nasi bohaterowie, sprawia, że w książce Tihanova wiele, bardzo wiele ciekawych spostrzeżeń nie tworzy nowej całości i dryfuje w różne strony.

Wiele wskazanych przez Tihanova podobieństw, które łączyć mają Bachtina z Lukácssem, to zwykłe banały, które można spotkać w 90% poświęconej tym myślicielom produkcji naukowej i esejistycznej. Zależność Bachtina od obiegowej opinii, ale nie od Lukácsa, przejawia się najdobitniej w rozdziale poświęconym Goethemu, wypełnionym raczej hasłami, takimi jak ogłód, równowaga, kształcenie (*Bildung*) (por. s. 261), niż analizami. Poza tym liczne odkrycia Tihanova odnoszą się nie tyle do tego środowiska i tego momentu historycznego, w których przyszło tworzyć Lukácsowi i Bachtinowi, ile raczej do ich reakcji na te warunki:

„Spora część ich wczesnych pism kształtowała się w «kołach» i innych wąskich kręgach przyjacielskich (w typowej więc społecznej sytuacji powstawania wiedzy we wczesnych latach XX wieku w Środkowej i Wschodniej Europie)” (s. 15-16); „obaj przeszli od mocnego programu estetyki i teorii literatury rodem z niemieckiego romantyzmu, filozofii życia (*Lebensphilosophie*) i neokantyzmu, do heglizmu i marksizmu (do którego Lukácsowi było bliżej niż Bachtinowi)” (s. 15), czytaj: jak zrazu tworzyli w środowisku przepełnionym heterogenicznymi wpływami (filozofia życia i neokantyzm? Po prostu „i”?), tak dalej pisali wśród zmieniających się mód intelektualnych. Mieli też wielu kolegów, z którymi wymieniali poglądy. Bachtin czytał Lukácsa, Lukács nigdy nie czytał prac Bachtina (s. 19-23). Pan nie wiedział, że jest panem, więc nie był panem w sensie heglowskim, bo w *Fenomenologii ducha* państwo oznacza dokładnie to, że się ma świadomość własnego panowania.

Nie przejmując się zatem zbytnio teoretycznym rusztowaniem, którego jedynym celem jest maskowanie własnej znikomości, wymienić należy i pochwalić najciekawsze tezy, spostrzeżenia i odkrycia Tihanova. Przede wszystkim – wspomnieć trzeba trzeciego bohatera tej książki, Georga Simmla, którego ważną rolę w rozwoju obu myślicieli słusznie badacz podnosi (zob. zwłaszcza s. 34, 42). Niezwykle istotna w tym kontekście okazuje się koncepcja „tragedii kultury” Simmla: tragedia kultury rozgrywa się między podmiotem a obiektywnymi formami kultury. Miały one zapewnić mu harmonijny rozwój i przyjazne środowisko, jednak przytłaczają go i wciągają w zautomatyzowany rozwój kultury, wskutek czego traci on życie, zamiast je zachować i rozplenić. Kiedy filozofia życia – jednostkowego życia – zderza się z neokantowskimi obiektywnymi wartościami, okazuje się, że życie jednostki zależy od martwych, irrealnych, rozwijających się własną dynamiką i pożerających życie form kultury. Jednak Tihanov nie wspomina, że ostatecznie o rozwoju Bachtina – chociaż Lukácsa już nie – rozstrzygnęła odpowiedź Ernsta Cassirera na koncepcję tragedii kultury. Przeciw Simmlowskiemu patologicznemu, atomowemu „ja”, które konfrontuje się z formami kultury, Cassirer przywołał koncepcję *indivi-duum*, podmiotu relacyjnego, istniejącego tylko w ramach intersubiektywnej kultury i wyłącznie dzięki innym podmiotom zobiektywizowanym w formach kultury. Taką wizję indywiduum opracowywał Hermann Cohen w swojej lekturze tragedii greckiej. Tihanov wszakże jednostronnie zadowala się „tragedią kultury” Simmla, poprzestaje na „neokantowskim przeciwstawieniu kultury i cywilizacji” nieco bałaganiarsko zestawionym z przejętym z *Lebensphilosophie* przekonaniem o „podporządkowaniu kultury życiu” (s. 28) i ni stąd, ni zowąd okazuje się, że trywialny fragment *Kultury estetycznej* (1910) Lukácsa, gdzie czytamy – parafrazując – iż samolot to jeszcze nie kultura, bo istnieją też poeci, stanowi „kluczowy fragment zawierający załączki niemal wszystkich poglądów podtrzymywanych także w dojrzałych dziełach” (s. 34).

Błyskotliwie natomiast przedstawia Tihanov wpływ Simmla na rosyjską debatę o ideologii i psychologii społecznej – od recepcji Labrioli w Rosji poprzez Plechanowa po Bucharina i wreszcie Wołoszynowa. Simmel dostarcza intelektualnego rusztowania Bucharinowi, gdy ten wprowadza podział na psychologię społeczną

i ideologię: „dwoisty podział nadbudowy na sferę ciągłej zmiany i przepływu oraz dziedziny, która samodzielnie nie może się zmieniać ani przetrwać” (s. 101). Tym sferom odpowiada u Wołoszynowa ideologia życiowa i ideologia *tout court*, a u młodego Lukácsa – dodajmy – odpowiadałyby pewnie „dusza” i „formy” (*Die Seele und die Formen*, 1911), gdyby tak wysoko nie cenił heroicznego czynu formotwórczego, który wyrzeka się zwykłego bezkształtnego życia. Innym ciekawym wątkiem pracy Tihanova jest pokazanie, jak heglizm obiecywał wyjście z klinczu neokantyzmu i filozofii życia – w końcu młody Hegel, aby móc przekroczyć kantyzm, też pracował na pojęciu życia. Z kolei przykład Hermana Cohena – myśliciela ważnego zwłaszcza dla Miedwiediewa – każe domyślać się następującej prawidłowości: kiedy kantysta zabiera się za określanie warunków możliwości form sztuki, niepostrzeżenie dla samego siebie zaczyna myśleć dialektycznymi paradoksami (por. *Ästhetik des reinen Gefühls*, 1913). Bachtin też ma godzić „neokantowskie, aksjologiczne pojęcie chronotopu [...] z Heglowską fenomenologią rozwoju świadomości czasu” (s. 177).

Niezwykle klarownie przedstawia też Tihanov radziecką dyskusję o powieści z lat 30. (zob s. 126 i nast.) oraz różnice dzielące proponowane przez Lukácsa ujęcie powieści, od filozofii powieściowości Bachtina, którego *notabene* badacz bardzo pewnie plasuje w nurcie w rosyjskiej tradycji teorii powieści (por. s. 150 i nast., zwł. s. 167). Tihanov nie skupia się na fakcie, że Lukácsa i Bachtina interesowało w powieści coś zupełnie innego – jednego „realizm”, drugiego „słowo” – woli bowiem demaskować odmienne historiografie, które z ukrycia sterowały ich ruchami. Późniejszy marksistowski Lukács okazuje się bardziej naiwny – z wyrachowania? – od młodego autora *Teorii powieści*, kiedy nie tylko uznaje epopeję za wzorzec i miarę gatunków „ekstensywnych”, chwytających całość życia w jego rozległości, lecz także zapowiada powtórne przyście epopei na czas skruszenia przez komunizm „epoki grzeszności spełnionej”, której formą jest powieść (s. 135, 143). Bachtin nie uzależnia bez reszty powieści od kapitalistycznych form własności środków produkcji, co najwyżej wykrywa źródła powieściowości w społeczeństwie przedklasowym: „O ile Lukács przewiduje upadek kapitalizmu, który pociągnie za sobą odrodzenie eposu, o tyle Bachtin woli życzliwie przyglądać się procesowi rozwoju powieści aż po utopijny etap całkowitego upowieściowienia literatury” (s. 173). Obaj zdają się mieć nadzieję na jakieś eschatologiczne wydarzenia, tyle że dla jednego spełnieniem dziejów byłoby odejście tego, czego nadejścia spodziewa się drugi.

Na osobne wspomnienie zasługuje przeprowadzona przez Tihanova misterna analiza losów pojęć „dialog” i „dialogowość” w kolejnych wersjach książki o Dostojewskim. Wbrew stereotypom Bachtin w pierwszej wersji książki, w *Problemach twórczości Dostojewskiego* z 1929 roku, traktuje dialogowość jako symptom kryzysu tożsamości, symptom, który należy przewalczyć, a nie hołubić. Pozytywnie wartościuje jedność i jednoznaczność (zob. s. 213 i nast., zwł. s. 220, 221-222). Dopiero w notatkach do nowej wersji pracy dialog staje się jednocześnie uniwersalnym orzecznikiem procesów kultury i eschatonem, ale ostatecznie w *Problemach poetyki Dostojewskiego* (1963) Bachtin osłabia pozycję dialogu, czyniąc go epifenome-

nem karnawału: „pełne urzeczywistnienie dialogu wymaga bezwzględnego podporządkowania go karnawałowi” – podsumowuje paradoksalnie Tihanov (s. 232).

2.

Termin, który najlepiej określa *Pana i niewolnika*, wymyślił sam Tihanov. To „(nie)spójność”. Przeprowadza tutaj – jak pisze – „próbę reinterpretacji pism Bachtina w kontekście prac Lukácsa i innych współczesnych myślicieli, [próbę] która wyjaśnia zarazem wewnętrzną (nie)spójność jego własnego dorobku” (s. 23). Cała książka Tihanova nastawiona jest na szukanie (nie)spójności u Bachtina i Lukácsa: poststrukturalistyczna retoryka dziwnie współgra z pozytywistyczną metodologią w procesie rozbijania tego, co autorzy usiłowali spoić, na różnorodne nurty, które niegdyś złożyły się na nową całość, obecnie znów niewidoczną spoza szczegółów. *Pan i niewolnik* przeprowadza zatem pogładową lekcję, dlaczego w Polsce i świecie neopozytywizm tak gładko wślizgnął się na miejsce derridianizmów. Zdziwienie leżące u podstaw tej filozofii wzbudza prosty fakt, że człowiek może czytać autorów, którzy nie zgadzają się jeden z drugim, a nawet może się nimi inspirować. Bachtin nie staje się chyba jakimś *space oddity*, ceniąc na równi Dostojewskiego i Goethego. Niemniej Tihanov twierdzi, że „powieści polifonicznej nie da się logicznie powiązać z chronotopem” (s. 255), a ponieważ Bachtin nie zdecydował, kogo wyżej stawia, jego myśl pozostaje rozbita, strzaskana, wewnętrznie rozdarta itp. W innym miejscu badacz zdaje się wszakże znajdować jakiś kompromis: „Bachtinowska lektura Goethego i Rabelais’go głosi zatem równie żarliwie przeciwstawne wartości – nowoczesnego indywidualizmu i przednowoczesnego kolektywizmu, zawsze z poważnym przekonaniem, że kultura rodzi się bezkolizyjnie z fizycznej natury człowieka, poddając się nieustannej konstrukcji i dekonstrukcji w procesie jego naturalnej egzystencji” (s. 317).

Upodobanie do różnych autorów to tylko wierzchołek góry lodowej, o którą rozbija się Bachtin. A książka Tihanova zaraża się (nie)spójnością, którą tropi. Jest z wierzchu gładka, jak gdyby dyskurs zalaminowano, ale ta gładkość pokrywa – ale tak jak pokrywa się zmieszanie – coś, co wyłuskane z folijki, w wielu miejscach rozłazi się w szwach. Zdania wielokrotnie złożone, elegancko złamane, sztywna górna warga, mały palec wyprostowany wyrażają nie tyle skrupulatną, ile małostkową analizę. Tihanov popisuje się erudycją i sprawnością językową, uparcie szukając niekoherencji w dziele dwóch geniuszy, i dlatego napisał książkę, która imponuje, inspiruje i porywa, a zarazem sprawia jak najgorsze wrażenie, bo jest też pretensjonalna, irytująca – i po prostu niespójna.

Tihanov wszędzie znajduje „rozziwy” i momenty, gdy wywód zwraca się przeciwko samemu sobie, a zwłaszcza przeciwko intencji autora (Tihanov skądś ją zna): „W Lukácsowskim pojęciu kultury pozostaje skutek tego rozziwy między rozumieniem aktywistycznym (kultura jako siła twórcza) a poglądem ekspresjonistycznym (kultura jako symbol bogactwa życia i właściwej mu jednorodności)” (s. 34). Nie dowiemy się jednak, dlaczego ekspresja nie może być aktywnością i twórczością.

W innym miejscu czytamy: „Pomimo że Bachtin wprowadza ideę powieści jako Innego literatury, i to Innego włączonego do samej literatury, i bardzo tej idei bro- ni, to obdarzając gatunek powieści ponadczasowymi cechami, a co za tym – zdol- nością życia niezależnego od rozwoju historycznego, pozostaje o wiele większym tradycjonalistą” niż Lukács (s. 180). Lektura *Pana i niewolnika* przenosi nas żyw- cem w lata 90. XX wieku, z ich gorączkową produkcją coraz nowych paradoksów, które teraz, seryjne i tanie w wyniku nadpodaży, zalegają półki biblioteczne i żad- nemu Tarskiemu nie chce się nimi zajmować: na przykład Bachtinowski „śmiej” to „albo najwyższy i całościowy światopogląd, co unieważnia jego status genolo- giczny (powieść), albo [powiązany z powieścią] traci atrakcyjność i wypada z Bach- tinowskiej teorii” (s. 308). Oczywiście Tihanov nie może obyć się bez politycznej denuncjacji, bo poetyka poststrukturalistycznego doniesienia o nieuświadamia- nej samemu sobie nieprawomyślności prostowała ścieżki dzisiejszym czy wczoraj- szym postkolonializmom i postuciskom, których zwolnienie sprawia, że krew ude- rza do głowy: „Wskutek stłumienia podejścia socjologicznego i przyznania pierw- szeństwa analizie fenomenologicznej [w *Problemach twórczości Dostojewskiego*] oraz metagatunkowej [w *Problemach poetyki Dostojewskiego*] teksty Bachtina o Dosto- jewskim zdają się raczej osłabiać różnicę i inność, niż je szerzyć” (s. 236). Oto szczytowe osiągnięcie autora *Pana i niewolnika*: badacz pokazuje, że Bachtin, cham- pion dialogu, paradoksalnie sabotuje Inność. Oczywiście, nie przeszkadza to pro- fesorowi przeprowadzać w innym miejscu analiz – czy raczej przytaczać cytatów – z których wynika, że Bachtin mistrzowsko demaskuje cały ten rzekomo nowocześ- niejszy od jego propozycji historyzm czy socjologizm, przeciwstawiany przez Tihanova antydemokratycznej z ducha fenomenologii i metagatunkowości. Wed- ług niego Bachtin demonstruje, że historyzm nie jest ocaleniem ludzkości przed złem fono-fallo-logo-centryzmu, ale symptomem pewnej epoki i środkiem wyrazu pewnej klasy (zob. np. s. 212).

Skoro argumentacja Tihanova, gorączkowo szukając rozziwów, zaczyna roz- jeżdżać się w różne strony, zadanie utrzymania jej w ryzach spełnić ma tytuł-wo- rek, czyniący aluzję do najpopularniejszej figury myślowej z *Fenomenologii ducha*. Heglowi przypadła też funkcja listka figowego dla zwykłego pozytywizmu Tiha- nova. Stanowczo jednak lepiej byłoby dla czytelnika i omawianych autorów, gdy- by Tihanov przyznawał się otwarcie do metodologii, którą uprawia: nie powstawa- łyby wówczas bardzo dziwne hybrydy. Tytuł *Pan i niewolnik* ma pokazać

wysiłek Bachtina, by wyzwolić się spod często oficjalnie bronionej myśli Lukácsa, i od- powiedzieć na nią w sposób, który ujawni oryginalność własnych poglądów, niezależnie od surowego klimatu społecznego i życia prywatnego... Usiłując obalić poglądy Lukácsa, Bachtin często grzązł w polu wyznaczonym przez mistrzowsko sformułowane tezy ryw- ala. (s. 24)

Cytat ten pokazuje każdemu, kto kiedykolwiek miał z *Fenomenologią ducha* do czy- nienia, że relacja Bachtina i Lukácsa nie ma nic wspólnego z sytuacją pana i nie- wolnika, a zwłaszcza takiego niewolnika, który właśnie rezygnuje z prób walcze- nia z panem i wyzwalania się spod jego wpływu – i tylko dlatego osiąga wyższą

wolność, także od lęku przed wpływem. Dalej jest nie tylko gorzej dla faktów, ale też dla Hegla: „Bachtin, uświadamiając sobie znaczenie myśli Lukácsa i dopowiadając na postawione przez nią zagadnienia teoretyczne, poniekąd dobrowolnie wybrał sobie pana, a co za tym – także przedmiot intelektualnej fascynacji, krytyki i rezerwy” (s. 25). Ani Lukács nie był najważniejszym myślicielem dla Bachtina (w każdym razie książka Tihanova tego nie dowodzi), ani Hegłowski niewolnik nie wybiera sobie „niejako dobrowolnie” pana – w ogóle pana się nie wybiera, to przeciwieństwo wszystkiego, co Hegel pisze o walce na śmierć i życie i jej skutkach.

Tihanov idzie jednak dalej i stwierdza, że w „metaforze pana i niewolnika zawiera się sama istota problemów zajmujących Lukácsa i Bachtina” (s. 25). Niestety, nie potrafi tego dowieść ani nawet nie próbuje. Pod koniec książki wydaje się, że istotą problemów zajmujących obu myślicieli jest „sens odwrócenia i zaskoczenia, odzierania z oczywistości gwoźli osiągnięcia wglądu w istotę, «przechytrzenia» oczekiwanego doświadczenia”, sens, który „nigdzie nie jest przedstawiony z większą siłą i bardziej fascynująco niż w analizie pana i niewolnika oraz nieszczęścia świadomości z *Fenomenologii ducha*” (s. 278). Zawieszenie zdrowego rozsądku i codziennego doświadczenia nie dotyczy wyłącznie Lukácsa i Bachtina, ale wszystkich w ogóle naukowców. Marks pisze, że jego teoria wartości dodatkowej może wydawać się paradoksalna, ale równie paradoksalny jest fakt, że woda składa się z dwóch wysoce palnych gazów. Einstein nazwał zdrowy rozsądek zbiorem przesądów, które nabywa się do 16. roku życia. Czy istota problemów zajmujących Bachtina pokrywa się z zainteresowaniami Einsteina i Marksa? Prawdziwy problem z książką Tihanova polega na tym, że istoty problemów zajmujących Bachtina nie da się opisać za pomocą alegorii pana i niewolnika. Przeciwnie – myśli Bachtina pęd i kierunek nadaje pragnienie wyjścia poza ów schemat samoświadomości, który na niższym poziomie umieszcza Hegłowską walkę na śmierć i życie, rozdającą role panów i niewolników, a na wyższym – Hegłowską dialektykę tragedii.

Aby zawiązał się dialektyczny stosunek między panem a niewolnikiem, niewolnik nie może – jak chciałby Tihanov – „niejako dobrowolnie” wybrać sobie pana. Przyszły niewolnik musi bowiem bać się „pana absolutnego”, czyli śmierci – tylko tak popada się w istotowe poddaństwo. Za jedną z największych zasług „realizmu gotyckiego”, karnawału i karnawałowości uznaje Bachtin likwidację śmierci indywidualnej czy raczej likwidację strachu przed śmiercią jednostki i włączenie śmierci w wielką metamorfozę, gdzie śmierć staje się koniecznym i radosnym momentem nieskończonego rozwoju. Myśl karnawałowa cofa nas do rajskiego stanu, kiedy wina nie zrodziła jeszcze śmierci rozumianej jako nieprzekraczalny horyzont istnienia jednostki. Nie ma jeszcze pana i niewolnika – jest społeczeństwo przedklasowe. Tym bardziej dziwi, że Tihanov za wszelką cenę chce zestawiać *Młodego Hegla* Lukácsa z *Twórczością Franciszka Rabelais’go* Bachtina. Wszelkie próby imputowania książce o Rabelais’u heglizmu są z góry skazane na bzdurność. „U Bachtina [...] Duch urzeczywistnia się w anachronicznym i idyllicznym ciele homogenicznej społeczności i zdecydowanie pierwotnej wspólnoty” (s. 301), a więc na początku, a nie na końcu drogi. Widać, że Bachtinowi bliżej do Herodo-

ta albo Hezjoda niż do Hegla, ale Tihanov uporczywie dalej wmawia mu heglizm: „Jeśli Bachtinowskie pojęcie śmiechu powstało na przecięciu ducha i ciała, to historia śmiechu powinna odtwarzać nieodwracalny postęp ducha. Nie z tym jednak mamy do czynienia w *Twórczości Franciszka Rabelais’go*” (s. 311) – dodaje zdziwiony niekonsekwencją myśliciela. W końcu zrezygnowany badacz podsumowuje: „widać, jak mało Hegłowska jest podjęta przez Bachtina próba uhistorycznienia idei ludzkiego ciała” (s. 312). Tymczasem obowiązek uhistoryczniania czegokolwiek akurat po heglowsku obowiązuje wyłącznie w książce Tihanova, który nie dającą się podporządkować dialektyce pana i niewolnika myśl usiłuje wcisnąć w ten schemat. A chodzi o jedną z tych XX-wiecznych myśli, które wyjątkowo wyraźnie nie pozwalają się tej dialektyce podporządkować.

Teoria powieści Bachtina jest wymierzona wprost w dialektykę samoświadomości (dialektykę pana i niewolnika), gdyż rewolucja, którą proponuje, oznacza ostatecznie wyrwanie estetyki z pola grawitacyjnego tragedii, w którym naukę o sztuce umieścił właśnie Hegel. Spełnieniem sztuki w ogóle miała być tragedia grecka i tragiczność, oparte na tym samym schemacie konfliktu, na którym rozpisana była dialektyka walki na śmierć i życie. W tym właśnie kontekście Lukács nabiera szczególnego znaczenia dla Bachtina – zwłaszcza *Teoria powieści*. Pierwszy jej rozdział poświęcono tyleż porównywaniu eposu z powieścią, ile oddzielaniu obu form epickich od tragedii starożytnej i nowożytnej. Tihanov dostrzega to wyraźnie – „Widać jasno, że kluczowe dla teorii Lukácsa zestawienie epopei z powieścią zrodziło się właśnie z powiązania epiki z dramatem” (s. 60) – lecz nie potrafi wyciągnąć z tego wniosków naprawdę istotnych dla historii estetyki. Zbyt przejmując się alegoriami pana i niewolnika, by dostrzec, że u Bachtina powieść wślizguje się na pozycję, którą dotąd zajmował dramat, i oto cały system ulega radykalniej przemianie, może nawet przestaje być systemem. A już figury pana i niewolnika z pewnością przestają obowiązywać.

O ile u Lukácsa powieść zastępuje epos, a przemiany w dramacie odpowiadają dalekim echem temu, co odbywa się w dziedzinie epiki, o tyle teoria Bachtina pragnie powtórzyć w dziedzinie estetyki to, co Wiesiołowski opisywał jako zjawisko historyczne: powieść, gdy tylko nastaje jej epoka, zawsze kładzie kres dominacji dramatu i tragedii (por. s. 145, 146). Lukácsa należałoby zestawić nie z Bachtinem, ale ze starszym kolegą Bachtina, Lwem Pumpiańskim, który w *Dostojewskim i antyczności* (1922) obszernie opisywał tragiczne źródła powieściopisarstwa Dostojewskiego. W ogóle Dostojewski, zanim Bachtin uczynił go pisarzem polifonicznym, był stereotypowo postrzegany jako pisarz tragiczny. Pod koniec *Teorii powieści* Lukácsa jasne staje się, że Dostojewskiemu udaje się wykroczyć poza upadłą formę powieściową tylko dlatego, że spośród powieściopisarzy osiąga najwyższe stężenie tragizmu. W późniejszej *Spowiedzi Stawrogina* Lukács niezmiennie przypisuje Dostojewskiemu tragiczną maskę:

W rozpaczliwej walce o przekształcenie społecznego pierwiastka egzystencji człowieka w pierwiastek czysto duchowy, Dostojewski musi ponieść klęskę, która jednak przedzierzga się w potężne zwycięstwo pisarskie, ponieważ przed Dostojewskim nikt nigdy aż tak

dogłębnie nie prześledził społecznych korzeni tragizmu pewnych typów ludzkich aż do ich duchowych przejawów, nikt ich tam dotąd nie odkrył i nie wydobył na światło dzienne. (cyt. za *Pan i niewolnik*, s. 203)

Lukács rzeczywiście wydaje się na tym etapie niewolnikiem kategorii tragiczności i tych akrobacji myślowych, dla których każda porażka, byle odpowiednio gruntowna, oznacza triumf i pojednanie. Bachtinowska teoria powieści zdaje się uparcie ignorować estetykę tragizmu. Dopiero utwierdziwszy przewagę powieści nad dramatem, będzie Bachtin chwalić dobrą powagę tragiczną – jako zubożoną wersję prawdy powieściowej wyzwalającej ze strachu przez panem absolutnym. Bachtin bezpośrednio polemizował z Pumpiańskim, lecz to przecież Hegel tragicznie nastroił estetykę i historiozofię. Autor *Twórczości Franciszka Rabelais'go* uprzejmie i skromnie dziękuje twórcy *Fenomenologii ducha*, ale nie ma zamiaru mieścić się w dialektyce pana i niewolnika.

Michał MRUGALSKI

Abstract

Michał MRUGALSKI
University of Warsaw

Bakhtin and general abolition

Review: Galin Tihanov, *Pan i niewolnik. Lukács, Bakhtin i idee ich czasów* ['The Master and The Slave: Lukács, Bakhtin, and the Ideas of Their Time'], transl. into Polish by M. Adamiak, ed. by D. Ulicka, Oficyna Naukowa, Warsaw 2010.

In his review of Galin Tihanov's comparative study of Lukács and Bakhtin, Mrugalski argues that the work, while attentive to details, is rather weak in its general concept. Key passages are devoted to Georg Simmel's influence on both thinkers, on Russian theory of ideology, discussions on the novel, and the notion of dialogism. On the whole, the work represents a bizarre amalgam of positivism and deconstruction – a mix of perspectives that was prevalent in the 1990s. Tihanov disassembles an oeuvre into its constituent influences, which, combined with his quasi-hysterical search for aporias, renders it effectively impossible to appreciate the originality and the *significance* of both thinkers' concepts. Tihanov's central allegory of Hegel's master-slave dialectics is particularly misfortunate, and for a number of reasons: not only does it fit ill with the two thinkers' mutual relationship, but also it stands in the way of appreciating Bakhtin's subversion of the model of mastery and bondage. It was in fact this questioning of master-slave dialectics that informed the most groundbreaking theses of Bakhtin's aesthetics.

Głos, czyli wszystko

Herbert poeta, eseista i epistolograf doczekał się wielu opracowań i zepchnął na zupełny margines Herberta dramatopisarza, który zresztą nigdy nie cieszył się zbyt wielkim zainteresowaniem. Ani historycy literatury do niego się raczej nie odwoływali, ani teatry po te teksty nie sięgały, można by w zasadzie uznać, że lepiej o nich zapomnieć, skoro nie odniosły sukcesu wtedy, kiedy był na nie czas. W *Nasłuchiwanie*¹, książce o dramatach Zbigniewa Herberta, Jacek Kopciński postanowił jednak z wyteżoną uwagą przyrzeć się teatralnej propozycji pisarza. Utwory te zazwyczaj lekceważono, traktując jako dzieła marginalne, powstałe we wczesnym okresie twórczości i coraz bardziej anachroniczne, ewentualnie jako pozbawione akcji antydramaty, jeszcze jeden dowód poświadczający współczesny kryzys tego gatunku. Tymczasem w rozdziale poświęconym głosom krytyków je komentujących, autor książki pokazuje, że czytano je na ogół wyłącznie kontekście czasu, w którym powstawały, czyli w sposób aktualizujący, jako literaturę raczej użytkową, o której z góry wiadomo, że nie przetrzyma próby czasu, próby poezji też nie.

Kopciński, na przekór stereotypowym opiniom, upiera się, że warto podejść do tych tekstów z całą powagą. Przekonany o istnieniu odrębnego fenomenu dramatów pisanych przez poetów, głównie z inspiracji dynamicznie rozwijającego się w Polsce na przełomie lat 50. i 60. teatru radiowego, postanawia równolegle czytać teksty dramatów i wiersze, wydobywając ich dialogiczność, konfrontując z konstrukcją dialogu i akcji dramatycznej. Utwory te, nieograniczone poetyką słuchowiska radiowego, stworzyły oddzielny, bardzo zróżnicowany nurt dramatu poetyc-

¹ J. Kopciński *Nasłuchiwanie. Sztuki na głosy Zbigniewa Herberta*, Towarzystwo „Więź”, Warszawa 2008.

kiego, odkrywający środki estetyczne radia albo raczej wartość dźwięku i głosu dla potrzeb dialogu dramatycznego. Nurt rozwijający się równolegle do teatru inscenizatorów, penetrujący możliwości zapisanej w słowie teatralnej metafory i wielowymiarowości poetyckiej funkcji dialogu scenicznego. Kopciński, za Herbertem, mówi o tych tekstach „sztuki na głosy”, to znaczy takie, w których głos, mówienie, stają się sposobem istnienia bohatera dramatu. Równocześnie jednak odwołują się one do pierwotnej koncepcji poezji. Głos jako pierwotne źródło poezji jest odkrywany i stematyzowany także przez Herberta dramatopisarza i Herberta poetę. Jego monografista poddaje więc te dramaty próbie poezji i odnajduje ten sam, co w wierszach sposób budowania świata, zapis wypowiedzi lirycznej, która w każdej chwili może stać się monologiem dramatycznym włączonym w sytuację dialogową. Bez wahania konstatuje więc, że są to równorzędne sposoby wypowiedzi artystycznej. Dramaty stanowią więc niezbywalny element w dorobku twórczym Zbigniewa Herberta.

Dla opisu tych dramatów Kopciński nie szuka wzorów i punktów odniesienia. Żeby uniknąć gotowych schematów i upraszczających kwalifikacji, tworzy narzędzia, które będą przydatne do lektury tych właśnie tekstów. Po części wyprowadza je z rekonstrukcji metody twórczej samego Herberta, równolegle z odwagą stawiając na nowo pytania o wyznaczniki dramatu poetyckiego, kategorii pojemnej, rozciągliwej, uznawanej już raczej za martwą i zużytą. Sięga po narzędzia wypróbowane w szkole New Criticism i przypomina ciągle w niewystarczającym stopniu włączoną w badania dramatologiczne sformułowaną przez Eliota i Fry’a koncepcję języka poetyckiego w teatrze. Tworzy z nich jednak własną, oryginalną teorię rozwoju tego gatunku dramatu, od antyku po największych poprzedników Herberta, po to, żeby uchwycić te elementy, które stanowią o przynależności tych utworów do świata teatru, interpretowanego również według od nowa sprawdzanych reguł teatralności. Z klarowną precyzją, rekonstruuje historię kształtowania się pojęcia, buduje obszerny rozdział teoretyczny, który jest nie tylko precyzyjnym wprowadzeniem do części interpretacyjnej poświęconej poszczególnym dramatom, lecz także całkowicie nową propozycją definiowania gatunku. Ta propozycja pozwala dostrzec rangę dialogu dramatycznego wykorzystującego sytuację mówienia i słuchania, głosu i brzmienia, które okazują się nie tylko narzędziami ekspresji, lecz także drogami do poznania człowieka – jego wielogłosowości i wielokondygnacyjności jego istnienia. Istnienia, którego nie sposób zamknąć w jednym wymiarze. Herbert i twórcy dramatu poetyckiego, inaczej niż Leśmian, powiedzieliby: skoro był głos, było wszystko. Teoretyczne rozważania, zajmujące blisko jedną trzecią książki, same w sobie mogą stać się istotnym elementem współczesnej teorii dramatu i punktem wyjścia do jej dalszego rozbudowywania.

Jacek Kopciński weryfikuje odpowiedzi na pytania zwykle stawiane tekstom dramatycznym, to znaczy pytania o dialog, akcję, wyznaczniki napięcia. Od nowa podejmuje problem funkcji monologu, wskazując na jego kluczową rolę w pisanym dla teatru dziełach – od Szekspira po Wyspiańskiego. Za Wyspiańskim, czy-

tającym Szekspira, traktuje monologi jako etapy rozwoju myśli postaci. Punktem wyjścia są dla niego wiersze Herberta czytane jako dialog z milczącym partnerem. Następnie opisuje fascynację poety monologiem dramatycznym tworzącym istotne ogniwa akcji. Bohaterem dramatu poetyckiego staje się zatem język, a raczej jego niespójność, uniemożliwiająca nawiązanie kontaktu między postaciami, i wielość języków, jakimi mówi jeden człowiek. W obrębie postaci tworzy się napięcie między głosem skonwencjonalizowanym, zafalszowanym, zdegradowanym a „głosem ponownie odzyskanym, autentycznym, nasyconym pięknem i poznawczą potencją” (s. 93). Herbert mówił o swoich dramatach, że są to sztuki na głosy, świadomie odchodził więc od wąskiego określenia „dramat radiowy”. Kopciński, ufając intuicji poety, subtelnie pokazuje, że istota dramatyczności leży w tym, co wyraża przede wszystkim głos, nie obraz. To znaczy, że zbliżymy się do dramatu drugiego człowieka wtedy, kiedy go usłyszymy, wysłuchamy, a nie wtedy, kiedy mu się przyglądamy. Wyczytując z tekstów Herberta opozycję między słuchaniem a oglądaniem, między słuchaczem a widzem, kimś, kto wysłucha, a kimś, kto się tylko przygląda, opisuje równocześnie słuchanie jako postawę bardziej aktywną, zakładającą współuczestnictwo i współodczuwanie. Dotyka tu jednego z najważniejszych problemów XX-wiecznego teatru – rozróżnienia między postawą widza, podglądacza a postawą uczestnika wydarzenia. Wbrew ponowoczesnym tendencjom wybiera w sztuce teatru głos, nie ciało, przypominając tym samym jej istotną tradycję.

Wracając do problemu widowiska jako formy teatru zdegradowanego, podważa Kopciński główne tezy badaczy i krytyków piszących o Herbercie i innych współczesnych dramatopisarzach. Na ogół twierdzą oni, że mamy do czynienia z rozpadem arystotelesowskiej formuły dramatu. Tymczasem autor *Nastuchiwania* wraca do definicji Arystotelesa. Odświeżając lekturę jego *Poetyki*, pokazuje, że widowisko było dla niego najmniej ważnym elementem dramatu, najistotniejsza bowiem była sztuka poetycka. Rozumienie działania jako podstawowego elementu kształtującego akcję wymaga więc przeformułowania, gdyż działanie może obejmować także cały obszar myśli i samopoznania. Podstawową zasadę angielskiej nowej krytyki – *close reading* – przekształca więc Jacek Kopciński w zasadę *close listening*. Tak definiuje teatralną specyfikę utworów Herberta:

Obcując z dramaturgią Herberta, mamy do czynienia ze sztuką pisania na głosy, czyli inicjowania szczególnej sytuacji teatralnej, która za pośrednictwem głosu postaci i aktora (skrywających głos autora) zamienia poezję w działanie, a odbiorcę sztuki w uczestnika zdarzenia o charakterze artystycznym, poznawczym i etycznym. (s. 124)

W ten sposób, całkowicie od nowa i z pełnym przekonaniem, wskazuje istotny, choć chętnie odsuwany na margines nurt XX-wiecznego teatru, sytuujący się przecież w samym centrum przemian, które teatr ten ukształtowały. Nurt, będący dziś wyzwaniem dla praktyków teatru, nie mam bowiem wątpliwości, że w końcu będą musieli się z nim zmierzyć. A istotnym elementem tego wyzwania stanie się pytanie o kształt sceniczny dramatów Herberta.

Sformuławszy precyzyjne podstawy teoretyczne, Jacek Kopciński zamieszcza w swojej książce obszernie studia poświęcone wszystkim tekstom dramatycznym poety, a po omówieniu dramatów opublikowanych przez autora dodaje krótkie uwagi na temat dwu tekstów ukończonych, ale pozostawionych w rękopisie, *Przewodnika* i *Mai*, wydrukowanej dopiero w najnowszym wydaniu *Dramatów*. Warto tu na marginesie dodać, że *Nasłuchiwanie* Jacka Kopcińskiego ukazało się równocześnie z opracowanym na nowo przy jego udziale starannym wydaniem dramatów Herberta, oczyszczonych tym razem z błędów druku i skonfrontowanych z zachowaną dokumentacją rękopiśmienną.

Z pełną drobiazgowością, docierając do najgłębszych warstw dialogu dramatycznego, odkrywa Kopciński brzmiące w nich różne głosy, odsłaniające różne fazy świadomości postaci. Z jednej strony rekonstruuje inną dla każdego tekstu zasadę kompozycyjną, z drugiej – wydobywa wspólne im wszystkim podstawowe tematy: śmierć, cierpienie, zło i mechanizm przekraczania jego granicy. Aksjologiczny porządek, w który interpretator wpisuje świat tych dramatów, prowadzi go do oddzielenia pustki dramatu toczącego się na zewnątrz bohaterów od tajemnicy bytu. Tajemnicy, której w warstwie najgłębszej dotyczą bohaterowie dramatów Herberta. Autor *Nasłuchiwania* z ogromną subtelnością tropi ślady tej tajemnicy w ledwie brzmiących echem zmieniającej się składni zdania, w ledwie widocznych nawiązaniach do duchowego wymiaru świata.

W proponowanych przez badacza interpretacjach pojawił się wszakże jeden zgrzyt, jakby nagle autor zapomniał o swoich narzędziach badawczych. Ostatni opublikowany dramat, *Listy naszych czytelników*, Jacek Kopciński komentuje językiem antypeerelowskiej publicystyki, odbierając temu tekstowi wymiar uniwersalny i sprowadzając mechanizmy międzyludzkich zależności do zideologizowanego schematu życia w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Tak jakby po całej serii subtelnych dociekań postanowił wskazać winnego zła i znalazł go w systemie totalitarnym, nie dostrzegając, że to nie system ponosi wyłączną odpowiedzialność za aksjologiczną pustkę i odtwarzającą się niezależnie od warunków społecznych deformację stosunków międzyludzkich. Konstrukcja *Nasłuchiwania* nagle się więc załamuje – po części dlatego, że w końcu doszedł do głosu dydaktyczny i publicystyczny temperament autora, po części z powodu nieco na siłę doklejonego rozdziału o tekstach wydobytych z rękopisów. To załamanie obejmuje na szczęście niewielki fragment pracy i nie odbiera wartości istotnym ustaleniom dotyczącym nowej formuły dramatu poetyckiego i nowego rozumienia teatralności. Teatralności polegającej na wsłuchiwaniu się, a nie na oglądaniu.

Maria PRUSSAK

Abstract

Maria PRUSSAK

**The Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences
(Warszawa)**

The voice that is everything

Review: Jacek Kopciński, *Nasłuchiwanie. Sztuki na głosy Zbigniewa Herberta* ['Listening. Zbigniew Herbert's voice plays'], Towarzystwo 'Więź', Warszawa 2008.

The poet Zbigniew Herbert's dramatic output is usually represented as marginal to his oeuvre. Jacek Kopciński, however, resists this trope and offers a penetrating reconstruction of Herbert's model of poetic drama, contextualising it within theatrical traditions

Ekscesy (andro)tekstu

Zdaniem Tadeusza Bujnickiego geneza sporów o Sienkiewicza, których początek sięga wydania *Ogniem i mieczem*, wskazuje, że powstały one „obok pisarza i ku jego zdumieniu”. W kolejnych kampaniach antysienkiewiczowskich nikał twórca, a powracał konflikt starych i młodych. Sienkiewicz „dostarczył jedynie pretekstu do dyskusji ideologicznej, natomiast jego utwór nie stał się przedmiotem pogłębionej refleksji. Ten rodzaj myślenia utrwalił się na dziesiątki lat”. Nie oznacza to, że należy lekceważyć wystąpienia Gombrowicza czy Miłosza – świadczą one bowiem, że autor *Trylogii*, „nawet jeśli jest traktowany pretekstowo, dotknął jakiegoś newralgicznego punktu w naszej kulturze”. Bujnicki postuluje jednak, by zamiast spierać się o pisarza, zacząć go czytać – by „uważnie odczytać jego teksty”¹.

Ryszard Koziołek w *Ciałach Sienkiewicza*² proponuje zaś ponowne czytanie, z którego wylania się różnica tekstu³, przeciwstawiona lekturze stereotypizującej. Badacz określa swoją metodę jako dopowiadanie, czyli podjęcie wypowiedzi pisarza w miejscu, w którym „nie chce ona biec dalej lub broni się przed konsekwen-

¹ T. Bujnicki *Zamiast się spierać – czytać*, w: *Po co Sienkiewicz? Sienkiewicz a tożsamość narodowa: z kim i przeciw komu?* Warszawa, Kiejdany, Łuck, Zbaraż, Beresteczko, red. T. Bujnicki, J. Axer, Wydawnictwo DiG, OBTA, Warszawa 2007, s. 119-121.

² R. Koziołek *Ciała Sienkiewicza. Studia o płci i przemocy*, Wydawnictwo UŚ, Katowice 2009. Cytaty lokalizuję w tekście.

³ Por. B. Johnson *Różnica krytyczna*, „Pamiętnik Literacki” 1986 z. 2.

cją własnej potencjalności” (s. 56). „Semantyczne przesilenia” i „zacięcia” tekstu (s. 50), w których autor blokuje „energię znaczenia” (s. 50) stanowią punkt wyjścia analizy „dyskursu powstrzymanego” (s. 56). Odnosząc się do interpretacyjnej tradycji i korzystając z bogatego zaplecza krytycznego, Koziółek dokonuje przesunięcia, które w nowy sposób oświetla wcześniejsze rozpoznania. Interesuje go bowiem konflikt, który znajduje się w samym tekście. Badacz podejmuje ugruntowany w sienkiewiczologii przesąd o wielkim talencie narracyjnym powieściopisarza, który miał zostać zmarnotrawiony miałością głoszonych przezeń idei. Lektura Koziółka koncentruje się na „złożonej powierzchowności tekstu” (s. 50), na narracyjnej grze często wykluczających się, różnych pisarskich języków. Odsłania to heterogeniczność dzieła, która niknie zarówno w krytycznej, jak i apologetycznej recepcji twórczości Sienkiewicza.

Według Koziółka zerwanie z obowiązkami publicysty i przejście na stronę fikcjonalnego dyskursu literackiego stanowiło wybawienie dla „rozchwianej osobowości ideowej” (s. 23) Sienkiewicza. Literatura okazała się przestrzenią wolności, gdzie mógł się on wypowiadać „za i przeciw równocześnie” (s. 37). Koziółek nawiązuje tym samym do Gombrowicza, który określił Sienkiewicza mianem pisarza przyjemności⁴. Tekst przyjemności zaś toleruje logiczne sprzeczności⁵. Autor *Ciał Sienkiewicza* odkrywa powieściowe wcielenia pisarza, którego twórczość potwierdza Freudowską wykładnię literatury jako sfery kompensacji. Za sprawą fikcji Sienkiewicz zaspokajał swoje fantazje i kompleksy, choćby z powodu nieuczestniczenia w powstaniu 1863 roku. Badacz określa Sienkiewicza mianem „weterana powieściowych wojen” (s. 258) – w jego twórczości można dostrzec związek między wojenną szermierką a pisanem, między popędem tworzenia a popędem zabijania. Dla pisarza „kipiącego energią opowiadania” (s. 259) opisy wojennych zmagkań stanowiły doskonałą okazję do zaspokojenia „popędu języka” (s. 55). W sposobach opisywania świata przedstawionego oraz losów i charakteru postaci dostrzec można także niepokoję samego twórcy. Na przykład obawy przed utratą twórczej krzepy znajdują odzwierciedlenie w słabnącej ręce Michała Wołodyjowskiego. Życie i twórczość wzajemnie się uzupełniają: literatura okazuje się autorskim symptomem, a życie niejednokrotnie inscenizowane jest na jej kształt, co potwierdzają listy wymieniane z Jadwigą Janczewską, „pochwyconą przez swego szwagra [Sienkiewicza] w literaturę” (s. 154) i wykreowaną na równi z fikcjonalnymi bohaterkami jego powieści.

W *Ciałach Sienkiewicza*, będących próbą zrozumienia twórcy, uchwycenia jego skomplikowanej tożsamości, dochodzi do spotkania badacza i pisarza. Koziółek pokazuje nam trud interpretacji świadczący o obcowaniu z tekstem angażującym i pochłaniającym. Smakowanie tekstu współgra z sygnałami o jego up(i)orności

⁴ W. Gombrowicz *Dziennik 1953-1956*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004, s. 352-364.

⁵ Por. R. Barthes *Przyjemność tekstu*, przeł. A. Lewańska, Wydawnictwo KR, Warszawa 1997.

(s. 53). Koziołek na marginesie przywołuje słowa Husserla: „I raptem odkrywamy ciemny punkt, który coraz bardziej się powiększa, rośnie niczym jakiś okropny potwór, połyka wszystkie nasze argumenty, zaś dopiero co skoszutowane sprzeczności obdarza nowym życiem. Trupy znów ożywają i naigrawają się z nas szyderczym śmiechem”⁶. Język zwodzi pisarza, badacz zaś pozwala prowadzić się tekstem po jego niebezpiecznych meandrach. Koziołek skupia się na zgłębieniu retorycznych mechanizmów pisarza i opanowaniu jego języka symbolicznego. Pozwala to dostrzec marginesy głównej narracji, pozornie nieistotne drobiazgi. Miejsca pęknięć, szczeliny produkują nieoczekiwane znaczenia, odsłaniają nieświadomości tekstu, z których wyłania się Sienkiewicz niekiedy kontrowersyjny, na przykład wówczas, gdy okazuje się, że *Autorki. Humoreska o dzieciach, nie dla dzieci* stanowi zapis kompleksu Lota, męskiej projekcji o byciu pożądanym i wykorzystanym przez córki lub dużo młodsze kobiety. Badacz, zaznaczając swoją kontrsygnaturę, nie zawłaszcza głosu pisarza – poszukując idiomu literackości Sienkiewicza, temu, co okazjonalne, jednostkowe, przyznaje miejsce nadrzędne. Możliwe staje się więc wyemancypowanie języków, które są „niewidoczne, wycofane, zapomniane” (s. 46), a także samego pisarza – rozwarstwionego w wielości nakładających się dyskursów.

Lektura *Ciał Sienkiewicza* skłania do refleksji nad *écriture masculine*, nad płciową organizacją tekstu literackiego i związkiem między męskością a poetyką. Hélène Cixous, konceptualizując specyfikę kobiecego pisarstwa, zmysłowego i cielesnego, zauważyła, że również przed mężczyznami stoi konieczność „napisania siebie”, że mają oni „wszystko przed sobą w dziedzinie mówienia i pisania o własnej seksualności”⁷. Analiza Koziołka pozwala na odkrycie cielesności zakodowanej w twórczości Sienkiewicza operującego „poetyką erotyzmu kneblowanego, która musi szukać ujęcia w figurach pośrednictwa – dowcipie, aluzji, peryfrazie, metonimii” (s. 128). Sygnatura Sienkiewiczowskiego pisarstwa konstytuuje się bowiem w geście wyparcia, powstrzymania nieoczekiwanych znaczeń, które mogłyby zakłócić uporządkowaną narrację. Potencjalności tekstu, jego otwarcie na eksces, są przez pisarza tłumione, transgresje zaś pozostawione są do aktualizacji w wyobraźni odbiorcy. Koziołek przywołuje rozpoznanie Kazimierza Wyki, którego zdaniem, mimo witalności i biologiczności przedstawienia, autor *Trylogii*, „zarówno w układzie poszczególnego zdania, jak w kompozycji całych tomów, jest spokojny, opanowany, przemyślany, klarowny”⁸. Sienkiewicz-„szciciel logosu” (s. 54) wierzył bowiem w słowo porządkujące chaos. Dzięki szczegółowej analizie można jednak

⁶ E. Husserl *Wykłady z fenomenologii wewnętrznej świadomości czasu*, przeł. J. Sidorek, współpr. i wstęp A. Połtawski, PWN, Warszawa 1989, s. 6, cyt. za: R. Koziołek *Ciała Sienkiewicza*, s. 51.

⁷ H. Cixous *Śmiech meduzy*, „Teksty Drugie” 1993 nr 4/5/6, s. 149.

⁸ K. Wyka *Sprawa Sienkiewicza*, w: *Trylogia Henryka Sienkiewicza. Studia, szkice, polemiki*, red. T. Jodelka, PIW, Warszawa 1962, cyt. za: R. Koziołek *Ciała Sienkiewicza*, s. 54.

dotrzeć do, wypieranego w fallogocentrycznym dyskursie, języka emocji i lęków, zakrywanych wymogami powieści przygodowej, która „preferuje sytuację zamiast studium uczuć” (s. 122).

Z *Ciał Sienkiewicza* wyłania się obraz pisarza, który naznacza swoją twórczość poczuciem straty, żałobą po ukochanych kobietach i tym, co Krystyna Kłosińska za Cixous nazywa męskim „żałowaniem siebie”⁹. *Ogniem i mieczem* powstało w najszcześniejszym okresie życia twórcy, dlatego też powieść afirmuje małżeństwo i macierzyństwo. W kolejnych częściach *Trylogii* jednak „prokreacyjny impet stygnie” (s. 153). *Pan Wołodyjowski*, pisany już po śmierci żony, Marii Szetkiewiczówny, staje się „gmacchem autożałoby” (s. 175). Dzięki literaturze Sienkiewicz opłakuje siebie: czyni Michała Wołodyjowskiego obiektem straty Baśki, nie mogącej znaleźć pocieszenia „innym, żywym ciałem: dziecka bądź mężczyzny” (s. 175). Być może, zastanawia się badacz, Sienkiewicz winił nowo narodzone dziecko za osłabienie zdrowia żony. Według Koziółka, od tego czasu dla pisarza, kojarzonego z „dyskursem krzepy” (s. 415), przejawiającym się w utworach płodnością kobiet i tężyzną mężczyzny, przedmiotem fascynacji stają się dziewczynki, kobiety bezpłodne czy martwe. Uwolnienie bohaterów od „fatalizmu prokreacji” (s. 175) wskazuje na traumę różnicy seksualnej, dlatego też w prozie pisarza można odnaleźć również fantazje androginiczne. Sienkiewiczowskie kreacje kobiecości podporządkowane są nie tylko zapewnieniu „terapii regresywnej” (s. 164) strudzonym mężczyznom, lecz odsyłają do jego lęku przed własną skończonością. Uśmiercanie kobiet, częste w twórczości Sienkiewicza, okazuje się rodzajem zabawy w *fort-da* – pozwala za sprawą twórczości choć na chwilę zapanować nad śmiercią/kobiecością.

Koziółek interesująco odsłania sposób i przyczyny konstruowania przez Sienkiewicza mitu heroicznego. Brak „muskul myślenia” (s. 372), dekadencję zaobserwowaną przez pisarza w czasach mu współczesnych można uznać za kryzys męskości. Ideał męskości zostaje więc przez Sienkiewicza, „dandysa ukrytego w rycezu”¹⁰, ulokowany w przeszłości. „Dyskurs krzepy” (s. 415) stanowi reakcję na traumę wywołaną doświadczeniem XIX-wiecznej historii. U Sienkiewicza nie ma „edypalnego” konfliktu z przeszłością. Dochodzi raczej do „przekroczenia «ojca martwego» w stronę «ojca silnego»” (s. 85). Naśladując w powieściach historycznych „głos ojca” (s. 85) Sienkiewicz-syn próbuje ustanowić się w męskim-ojcowskim kontinuum, do którego pretenduje uzurpator-zaborca.

Roger Caillois, porównując wojnę do święta, twierdził, że zapewnia ona społeczeństwu regenerację¹¹. Oswobodzenie żywotności narodu odbywa się więc u Sienkiewicza w kaźni (literackiej) wojny. Jak wskazuje bowiem Koziółek, pisarz wierzył w twórczą moc sztuki, w możliwość stymulowania woli życia, choćby tylko na czas samej lektury. Literackie przedstawienie miało być „iluzoryczne i sugestyw-

⁹ K. Kłosińska *Czytać na marginesie, pisać na marginesie*, „Katedra” 2001 nr 3, s. 143.

¹⁰ J. Axer *Dyskusja*, w: *Po co Sienkiewicz?*, s. 111-112.

¹¹ R. Caillois *Żywiół i ład*, wyb. A. Osęka, przeł. A. Tatarkiewicz, wstęp M. Porębski, PIW, Warszawa 1973, s. 162.

ne, żeby zrodziło w czytającym poczucie, że doświadcza tej innej historii, że ona jest naprawdę jego własna, bo jako własną ją przeżywa” (s. 376). Jak zauważył Gombrowicz, „tortury sienkiewiczowskie opisane są «dla przyjemności», tu nawet ból fizyczny staje się cukierkiem”¹². Badacz odkrywa abiektalność tej przyjemności. Koziółek zapytuje również: „kim jest ten, kto czyta [...] sceny [przemocy] powtórnie? Filologiem czy kryptosadystą?” (s. 273). Analiza pisarskiego warsztatu podważa jednak przekonanie o sadyzmie wpisanym w Sienkiewiczowskie spektakle siły. Pisarz nie dopuszcza bowiem do głosu ofiary, która mogłaby zaświadczyć o własnym cierpieniu.

Wojna, mitologizowana przez Sienkiewicza, jest nie tylko przygodą ujętą w ramy westernu¹³, ale również, jak wskazują *Ciała Sienkiewicza*, świętą, patriotyczną pracą mężczyzn w służbie ładu i ojczyzny. Podobnie jak związek z kobietą, funkcjonalizuje ona ich „instynkty folgi” (s. 320) i „popęd przemocy” (s. 320). Wydobywa ona najlepsze męskie cechy, pełni funkcje prospołeczne, gdyż za jej sprawą, jak zapisał to Sienkiewicz w *Ogniem i mieczem*, „«towarzystwo» stawało się wojskiem”¹⁴, a więc strukturą hierarchiczną, zdyscyplinowaną, istniejącą mocą zewnętrznych sankcji. Dla pisarza bowiem „namiętność, która nie zмага się z zakazem, niszczy samą siebie” (s. 334).

Zdaniem Gombrowicza typowym bohaterem Sienkiewiczowskim „nie jest ryzmianin Skrzetuski, ale grzesznik Kmicic”¹⁵. Koziółek w błyskotliwy sposób ukazuje retoryczną konstrukcję płci „typowego” Sienkiewiczowskiego herosa. Damskie nazwisko – Babinicz – będące oznaką występku popełnionego względem wspólnoty sytuuje bohatera na marginesie normy męskości zakreślonej przez narodowy paradygmat. Kmicic traci *virtus*, a cnotę tę w powieści przejmuje Oleńka – męska dziewczyna. Staje się ona wzorem przemiany Kmicica. Utrwalony w prozie Sienkiewicza motyw sieroctwa, braku ojców realnych i symbolicznych, a także tłumienie przez niego silnej pozycji władcy, która mogłaby prowadzić do *absolutum dominium*, powoduje, że alternatywą okazują się atrybuty macierzyńskie. Autorytet

nader często reprezentują w tych powieściach kobiety, a wzorce moralne sugerowane męskim bohaterom są oparte na typowo kobiecych cechach kulturowych. Zwłaszcza w tekście *Potopu* rozpoznana właściwie przez bohaterów funkcja mężczyzny polega na wcieleniu cnót matczynych, takich jak: ofiarność, wierność, lojalność, pokora, wyrzeczenie się egoizmu, poświęcenie dla słabszego. (s. 65)

Sienkiewicz nie pozwala jednak Oleńce, kobiecie, na ostateczną dominację nad mężczyzną. Wykorzystane matryce symboliczne prowadzą w finale powieści do

¹² W. Gombrowicz *Dziennik 1953-1956*, s. 360.

¹³ Por. K. Wyka *O nową drogę do Sienkiewicza*, „Miesięcznik Literacki” 1967 nr 1.

¹⁴ H. Sienkiewicz *Ogniem i mieczem*, t. 1, Warszawa 1964, s. 156, cyt. za: R. Koziółek *Ciała Sienkiewicza*, s. 307.

¹⁵ W. Gombrowicz *Dziennik 1953-1956*, s. 358.

sakralizacji męskości. Mimo rozpoznania kryzysu tradycyjnych ról płciowych, zostają one podtrzymane i zreprodukowane. Wojna okazuje się rytuałem męskich narodzin¹⁶, wymagającym ustanowienia różnicy płci, wyparcia kobiecości. Na wspomniany zestaw cech matczynych w pełnej paradoksów twórczości Sienkiewicza można by równocześnie spojrzeć jako na typowe wyznaczniki (męskiego) bohatera heroicznego. Pokora, lojalność konotowane są przez hierarchiczną strukturę armii. Kodeks rycerski zakładał poświęcenie dla słabszego, męską ofiarność, łącznie z ofiarą z życia. Wojna zaś w szczególny sposób skłania do podporządkowania się wspólnotowym racjom. Koziołek wspomina, że miejsce „po nieobecnym Ojcu można zająć legalnie tylko jako reprezentant Matki (ukrytej pod synonimicznymi imionami, np.: ojczyzny, Matki Boskiej, narodu)” (s. 65). Potwierdza to homospołeczność wspólnoty opisywanej w *Trylogii*, opartej na męskich więziach przyjaźni, które legitymizuje relacja z matką, niebędąca, w przeciwieństwie do miłosnej czy erotycznej relacji z kobietą, zagrożeniem dla męskiego braterstwa¹⁷. W analizie Koziołka można odnaleźć fragmenty świadczące o „miłowaniu [się] mężczyzn na wojnie” (s. 286) czy męskiej fascynacji o homoseksualnych konotacjach.

Sienkiewiczowski „dyskurs krzepy” (s. 415) Koziołek określił mianem farmakonu – powoduje on równocześnie krzepienie i krzepnięcie. W istocie zaś krzepienie mężczyzn wiąże się z „krzepnięciem” kobiet, ich zastyganiem w formach alegorycznych czy wzorach matczynych, z tęsknotami Sienkiewicza za kobietą sprzed emancypacji, nieskażoną cywilizacją, historią (s. 164). „Ozdrowianie” przeszłością możliwe było dzięki mityzacji. W ten sposób kanoniczne powieści Sienkiewicza, mimo pęknięć w kreacjach kobiet i mężczyzn, na które wskazuje Koziołek, utrwalają binarny model płci. Sienkiewicz zdawał sobie jednak sprawę z ograniczeń swojego projektu (męskości). Zdaniem Koziołka, „nie był ani naiwny, ani cyniczny” (s. 391). W powieściach podejmujących tematykę militarną, pisanych po *Trylogii* wojna pozostaje już u Sienkiewicza jedynie horyzontem wydarzeń. Nie stanowi ona głównego kryterium męskości, pojawia się ponadto zupełnie odmienny motyw żołnierza-panny, będący również rodzajem pisarskiej autoafirmacji. W samej zaś już *Trylogii* Zagłoba, postać obdarzona mocą subwersywnego śmiechu, obnaża wojnę jako spektakl.

Lektura Koziołka wpłątana jest w uwodzicielską sieć, na którą wskazał Gombrowicz¹⁸. Interpretacja przeciwstawia się jednak grze pozorów¹⁹. Zachwyt nad

¹⁶ Por. np. B. Ehrenreich *Rytuały krwi. Namiętność do wojny – geneza i historia*, Wydawnictwo Jacek Santorski, Warszawa 2001.

¹⁷ Por. np. E. Ostrowska *Matki Polki i ich synowie. Kilka uwag o genezie obrazów kobiecości i męskości w kulturze polskiej*, w: *Gender. Konteksty*, red. M. Radkiewicz, Rabid, Kraków 2004.

¹⁸ Por. W. Gombrowicz *Dziennik 1953-1956*, s. 359.

¹⁹ Por. J. Baudrillard *O uwodzeniu*, przeł. J. Margański, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2005, s. 55.

talentem narracyjnym pisarza współgra z krytyczną analizą jego dyskursu. Pozytywna zaś czytelniczki *Ciał Sienkiewicza* okazuje się dylematyczna: waha się między fascynacją kunsztownością i oryginalnością rozbierania Sienkiewicza a nieustannym oporem wobec polityki seksualnej pisarza, wyłaniającej się z jego „polityki języka” (s. 30).

Agnieszka WRÓBEL

Abstract

Agnieszka WRÓBEL

**The Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences
(Warszawa)**

(Andro-)textual frolics

Review: Ryszard Koziółek, *Ciała Sienkiewicza. Studia o płci i przemocy* [‘Sienkiewicz’s bodies. Studies on gender and violence’], Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2009.

Ryszard Koziółek re-evaluates the canonical Polish author by drawing attention to the gender-related determinants of his works. Koziółek’s analysis highlights the concept of *écriture masculine* – masculine narrative techniques – and focuses on the symbolic language and rhetorical mechanisms behind Sienkiewicz’s writings. The margins of the narrative, he argues, reveal the text’s unconscious. Exploring the subdued language of Sienkiewicz’s emotions, Koziółek points out the author’s literary incarnations. The use of fiction allowed Sienkiewicz to live out his fantasies and complexes. Consequently, his work bears the marks of his personal experience.

Komentarze

Paweł ZAJAS

Wokół Kapuścińskiego non-fiction.
Próba podsumowania i ewaluacji dyskusji

Drugiego marca 2010 roku do polskich księgarń trafiła biografia Ryszarda Kapuścińskiego napisana przez Artura Domosławskiego. Wywołała impulsywne reakcje, których omawianie w tym miejscu nie ma najmniejszego sensu. Na łamach prasy, w radio i telewizji rozbrzmiewały frenetyczne głosy oburzenia znanych autorytetów, pojawiały się dywagacje na temat, czy uczeń i przyjaciel Kapuścińskiego miał prawo napisać taką (w domyśle: demaskatorską) książkę, stawiano pytania jak daleko w życie intymne powinien wchodzić biograf, w końcu roztrząsano poruszane w *Kapuściński non-fiction* wątki lustracyjne (wczesne komunistyczne fascynacje, polityczny konformizm i domniemaną współpracę pisarza z wywiadem). Poniekąd na marginesie toczonej debaty pozostała kwestia, którą Paweł Goźliński – szef działu reportażu „Gazety Wyborczej” i jej reporterskiego dodatku „Duży Format” – ujął w następujących słowach: „Chodzi o reportaż. O polską szkołę reportażu. O granice gatunku. O prawdę, rzeczywistość, formę i zmyślenie”¹. Domosławski poruszył w kontekście pisarstwa Ryszarda Kapuścińskiego rzecz niezwykle istotną: czy i jak autor może przekraczać ową cienką linię demarkacyjną pomiędzy literaturą niefikcjonalną i czystą fikcją? A jeśli ową linię przekracza, jakie są tego konsekwencje?

Domosławski przypomina słynną sprawę o plagiat, która rozgrywała się w roku 1961 pomiędzy Ryszardem Kapuścińskim i Bohdanem Drozdowskim. Poszło o tekst zatytułowany *Szturwiny*, opublikowany pierwotnie w *Polityce* w połowie 1959 roku. Obraz konwoju trumny ze zwłokami górnika, który w wyniku usterki ciężarówki zamienia się w pieszego pochód, a następnie w nocny piknik z ukrytym na ten

¹ P. Goźliński *Życie na bombie*, „Gazeta Wyborcza” 6-7.03.2010.

czas w krzakach zmarłym, został przez Drozdowskiego przekształcony w sztukę teatralną *Kondukt*. Ukazała się ona w listopadzie 1960 roku w czasopiśmie „Dzialog”. Drozdowski wykorzystał materiał Kapuścińskiego, ufając etykietce „reportaż”, tymczasem w atakującym pisarza liście Kapuściński zmienił klasyfikację gatunkową tekstu, nazywając go opowiadaniem.

Drozdowski bronił się w następujący sposób:

Rzecz ta mogła zostać odczytana jako reportaż, do tego reportaż prawdziwy... Fakty zaś podawane w reportażach nie bywają niczyją własnością i mogą być uznawane za własność publiczną, podobnie jak anonimowe wiadomości agencyjne, zawierające przecież niekiedy gotowe fabuły dramatyczne... Nikt z normalnych ludzi, nie mając żadnej podkreślonej uwagi, że rzecz jest fikcją – nie mógł na to wpaść...²

Polubowne załagodzenie konfliktu (współautorstwo w momencie inscenizacji) nie doszło do skutku, do awantury na łamach prasy włączyły się literackie autorytety, w końcu Zarząd Główny Związku Literatów Polskich powołał komisję, która orzekła, iż Drozdowski nie jest winien plagiatu, wystąpiła jedynie „zbieżność pomysłów”³. Domosławski komentuje całą sprawę w kontekście przekraczania granicy pomiędzy literaturą niefikcjonalną i fikcją w następujący sposób:

Spór o plagiat ma w biografii Kapuścińskiego inne – zupełnie niepolityczne – znaczenie. Ogniskuje pytania o zasady i granice wprowadzania elementów fikcji do dziennikarstwa. W jakim stopniu wolno deformować rzeczywistość, by uzyskać głębszą prawdę oddającą „istotę rzeczy”? Gdzie przebiegają linie demarkacyjne między *fiction* i *non-fiction*? Czy wprowadzając elementy zmyślenia, poddając rzeczywistość obróbce, przesuwamy tekst z półki „dziennikarstwo” na półkę „literatura”? [...] Autorska deklaracja, że *Sztetywny* to opowiadanie, będzie obfitowała w rewolucyjne konsekwencje dla dalszej twórczości i wychylania się dziennikarstwa Kapuścińskiego w stronę szczególnego rodzaju literatury faktu, która nie gardzi fikcją. Fikcja wedrze się zarówno do świata przedstawionego jego utworów, jak i do wątków autobiograficznych, co nieraz jest jednym i tym samym: Kapuściński to przecież bohater większości swoich książek. (s. 178)

Podczas gdy Domosławski zadaje pytanie o odpowiedzialność pisarza, zawierającego pakt referencjalny z czytelnikiem poprzez ofiarowanie mu obietnicy „prawdy”, poprzedni biografowie Kapuścińskiego, Beata Nowacka i Zygmunt Ziątek, próbowali ową odpowiedzialność przesunąć na czytelników, którzy często nie są przygotowani do odbioru tego „hybrydycznego” gatunku. Autorzy twierdzili, że polemiki w sprawie plagiatu na trwałe dokumentują dzieje walki reportażu o usamodzielnienie gatunku, przyznanie mu autorskiej i literackiej rangi równej fikcji. Zdaniem biografów Kapuściński jako pierwszy miał odwagę czynnie nie zgodzić się na upatrywanie w utworze dziennikarskim dzieła niczyjego. Według No-

² A. Domosławski *Kapuściński non-fiction*, Świat Książki, Warszawa 2010, s. 176. Cytaty lokalizuję w tekście.

³ B. Nowacka, Z. Ziątek *Ryszard Kapuściński. Biografia pisarza*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2008, s. 66.

wackiej i Ziątka winny niewłaściwego odczytania *Konduktu* był nie sam balansujący na granicy beletrystyki i nie-fikcji pisarz, lecz czytelnicy i krytycy nieprzygotowani do praktyki zacierania różnic gatunkowych. Przedstawiciele środowiska pisarskiego byli niewystarczająco elastyczni i kierowali się zbyt tradycyjnymi kryteriami „literackości”, co dawało im podstawy do orzekania o samodzielności sztuki Drozdowskiego⁴.

W biografii napisanej przez Artura Domosławskiego znajdziemy próby przedstawienia niezgodności faktograficznych, pisarskich imaginacji Kapuścińskiego. Pisząc o kontrowersjach wokół *Cesarza*, Domosławski cytuje Abbasa Milaniego, kierownika studiów irańskich na Uniwersytecie Stanforda: „Gdyby Kapuściński sprzedawał tę książkę jako *faction* – zbeletryzowaną opowieść o rewolucji, osnutą wokół prawdziwych wydarzeń, można by mu przyklasnąć. Kłopot w tym, że sprzedaje ją jako dziennikarstwo” (s. 422-433). Dla równowagi autor biografii przywołuje opinie dwóch innych akademików, Lawrence’a Weschlera i Marka Dannera, mówiących z kolei: „Cóż za różnica, na której półce postawimy *Cesarza* i *Szachin-szacha: fiction* czy *non-fiction*? To i tak będą wspaniałe książki” (s. 423). Pozostałe literackie „ubarwienia” prezentowanych przez Kapuścińskiego historii to m.in. ugandyjski okno nilowy pasący się rzekomo trupami ofiar Adi Amina, „wąska, pełna dziur i kolein laterytowa droga” w północnej Ugandzie, opisywana przez innych świadków jako szeroka i równa szosa, czy też boliwijskie opowieści dotyczące konkretnych osób, które okazały się w konfrontacji z nimi fikcją (s. 432, 433). Domosławski cytuje obszernie fragmenty z dokonanej przez Johna Ryle’a krytyki afrykańskiego pisarstwa Kapuścińskiego, autorstwa, zamieszczonej w 2001 roku w „The Times Literary Supplement”:

Wszechświat Afryki to dla niego [Kapuścińskiego] obszar skrajności – skrajnej biedy, klimatu, przemocy i niebezpieczeństw... W tym tropikalnym barokowym stylu nic nie może być zwyczajne albo znane. Wszystko jest wyolbrzymione, przerysowane, nietypowe. [...] Z tego miejsca – wymaginowanej Afryki – pisarz może powrócić z dowolną opowieścią. (s. 436-437)

W swoim dziennikarskim „śledztwie” Domosławski przypomina, że Kapuściński nie był jedynym wybitnym reporterem, krytykowanym za brak precyzji, błędy, tudzież konfabulacje. Podaje przykład Gabriela Garcíi Márqueza, który w swoich młodościennych latach również uprawiał reportaż literacki. W reportażu *Caracas sin agua* (*Caracas bez wody*) zmyślił postać niemieckiego badacza Samuela Burkarta, który z powodu braku wody w mieście miał przy goleniu używać soku brzoskwiniowego. Liczni krytycy – wśród których głównym atakującym był Enrique Krauze, wpływowy i znany w całej Ameryce Łacińskiej historyk i redaktor wychodzącego w Meksyku miesięcznika „Letras Libres” – zarzucali Márquezowi brak wiarygodności. Ich przeciwwagę stanowili reporterzy-pisarze, uprawiający reportaż literacki – między innymi Juan Villoro, Martín Caparrós – którzy bronili sto-

⁴ Tamże, s. 66-67.

sowanej przez noblistę *licentia poetica*. Twierdzili oni, relacjonuje Domosławski, iż pisarz-reporter ma prawo do modyfikacji szczegółów w celu zwiększenia siły opowieści, przekazania „prawdy” bądź „istoty prawdy” w sposób bardziej atrakcyjny i przekonujący. Jest to szkoła oparta na reportażu literackim, która zezwala – dla dobra tekstu, przekazania „wyższej prawdy” – na budowanie fikcyjnej postaci scalonej z kilku postaci rzeczywistych. Autor *Kapuściński non-fiction* odnotowuje, iż w ten sam sposób postępowali niektórzy dziennikarze w okresie PRL-u, nie chcąc narażać na niebezpieczeństwo bohaterów swoich reporterskich opowieści. Identycznie postępował również Wojciech Jagielski w *Nocnych wędrowcach* (2009), książce o dzieciach wojny w Ugandzie. Istotna różnica polegała jednak na swoistej uczciwości wobec czytelnika, który już we wstępie dowiadywał się, że postaci są fikcyjne. Sam autor w wywiadach towarzyszących premierze książki zastrzegał, że jest ona opowiadaniem, a nie reportażem. Zdaniem Domosławskiego kłopot z Kapuścińskim polega na tym, że niektóre z jego dzieł stanowią dla adeptów dziennikarstwa wzór *non-fiction*, choć z warsztatowego punktu widzenia powinny raczej znaleźć swoje miejsce na półce z napisem „literatura piękna”. Nawet jeśli znaczną część materiału zebrano reporterskimi metodami, a autor posługuje się reporterskimi instrumentami narracyjnymi, teksty te pozostają *fiction*, „prawdą kłamstw”, by posłużyć się formułą noblisty Marii Vargasa Llosy (s. 438-439).

Nie chcę się wdawać w zasadność powyższej argumentacji ani tym bardziej stawiać pytań o motywację biografa odbrązawiającego „mistrza”. Rekapitułując te fragmenty książki, które dotyczą pytań o granicę pomiędzy nie-fikcją i fikcją, zwracam jedynie uwagę na fakt, że *Kapuściński non-fiction* wywołał – oprócz wątków obyczajowo-lustracyjnych – również dyskusję na temat reguł, jakimi rządzi się czy powinna się rządzić literatura niefikcjonalna. Pomimo dużej polaryzacji dyskusji, podniesionej temperatury sporów i ich prasowego charakteru, poszczególne głosy wiele mówiły o estetyce recepcji literatury niefikcjonalnej oraz postulowanych dyrektywach genologicznych. Publicyści zajmowali w tej kwestii dwa przeciwstawne stanowiska: zwolenników hybrydyczności gatunkowej oraz obrońców etyki warsztatowej literatury faktu. Zaczniemy od przeglądu opinii wygłaszanych w pierwszym obozie.

Piotr Bratkowski uważa, iż nonszalancki stosunek do faktów „nie zmieniał sensu jego [Kapuścińskiego] tekstów. Po prostu u «cesarza reportażu» pisarska miłość do soczystej anegdoty bywała silniejsza od dziennikarskiej dbałości o fakty”. Nie ma więc znaczenia „czy trawa opisywana przez Kapuścińskiego miała metr, a nie dwa, albo że droga była prosta, a nie – jak opisywał – wyboista”⁵. Nie ma to również znaczenia dla Katarzyny Janowskiej, która wie „że Kapuściński pisał reportaże literackie, w których świat skraplał w opowieści”⁶. Marcin Wojciechowski twierdzi, że Kapuściński stworzył „nowy gatunek literacki”, będący „reportażem, ale zarazem parabola”. Dlatego też „żądanie, by te opowieści były czyste gatunkowo,

⁵ P. Bratkowski *Ani bajka, ani lincz*, „Newsweek” 23.02. 2010.

⁶ K. Janowska *U Domosławskiego trawa też miewa po dwa metry*, „Przekrój” 2010 nr 8.

trzymały się ściśle faktów, jest absurdem. Gdyby tak je Kapuściński napisał, nie przeszedłby do historii. Pisarza [...] nie można rozliczać jak dziennikarza agencji informacyjnej”⁷. Dla Romana Kurkiewicza przepuszczanie książek Kapuścińskiego przez filtry krytyki zarówno literackiej, jak i dziennikarskiej, jest „śmieszne”. Wydaje się on powątpiewać w słuszność jakichkolwiek systematyzujących ustaleń wobec twórczości autora *Cesarza*, który „nieustannie poszerzał gatunek, rozwijał reportaż, znajdował formę bardziej pojemną”. „Etykietka” przypinana do jego pisarstwa nie ma sensu, ponieważ każde widzenie świata jest indywidualne, osobiste, pojedyncze. Dla podparcia tego isticie postmodernistycznie relatywistycznego stanowiska Kurkiewicz sięga po argument z najwyższej półki: „Dlaczego każda ewangelia opisuje innego Jezusa? A dlaczego jedne są kanoniczne, a inne apokryficzne?”⁸. Martin Pollack – pisarz, dziennikarz oraz tłumacz książek Ryszarda Kapuścińskiego na język niemiecki – uważa, że miał on prawo do „domniemanych wspomnień i na które nakładały się inne obrazy i opowiadania. Rozgrzesza to autora *Cesarza*, zdaniem Pollacka, zarówno z nieścisłości faktograficznych, jak i z konstruowania przez niego osoby Ryszarda Kapuścińskiego jako fikcyjnej postaci występującej w książkach realnego autora. Na zasadzie analogii Pollack podaje przykład ze swojej własnej twórczości – niefikcyjną książkę *Śmierć w bunkrze*⁹, w której konfabulacją zawodnej pamięci okazuje się scena pogrzebu ojca¹⁰. Agata Tuszyńska twierdzi, że żaden reporter nie „przepisuje rzeczywistości, ponieważ jest to po prostu niemożliwe”. W reportażu chodzi więc o to, „by jak najlepiej przedstawić istotę zdarzenia. Chodzi o obraz, o literaturę”¹¹.

Holenderska tłumaczka Kapuścińskiego, Ewa van den Bergen-Makała, nie widzi problemu w zamieszczonym w *Hebanie* pojemnym obrazie olbrzymich nigeryjskich okoni, żywiących się rzekomo trupami ofiar Amina. Domosławski rozmawia o tym fragmencie z mieszkającym w Kampali brytyjskim dziennikarzem Williamem Pikiem, według którego sugestia Kapuścińskiego to czysta fantazja, choć świetnie pasuje do opowieści pisarza o horrorze dyktatury. W rzeczywistości okoń nilowy wprowadzony do Jeziora Wiktorii (co okazało się fatalne w skutkach dla ekologii jeziora) nie upadł się na trupach, lecz żywił się głównie małymi rybkami. Tłumaczka słusznie przypomina, że demistyfikacja Domosławskiego jest nieco wtórna. Ona sama bowiem wskazywała na ten fakt w tekście *Sześć podróży w czasie i przestrzeni między kulturą i naturą*, zamieszczonym w tomie *Podróże z Ryszardem*

⁷ M. Wojciechowski *Bez tabu i złej woli*, „Gazeta Wyborcza” 5.03.2010.

⁸ R. Kurkiewicz *Podróż transkapuścińska*, „Przekrój” 2010 nr 9.

⁹ M. Pollack *Śmierć w bunkrze. Opowieść o moim ojcu*, przeł. A. Kopacki, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2006.

¹⁰ M. Pollack *Nie przetłumaczę Domosławskiego*, „Gazeta Wyborcza” 2.03.2010.

¹¹ A. Tuszyńska *Każdy czytał inną książkę* [rozmowa podsumowująca debatę na temat biografii Ryszarda Kapuścińskiego autorstwa Artura Domosławskiego], „Gazeta Wyborcza” 27-28.03.2010 [podkreślenie moje – P.Z.].

*Kapuścińskim. Opowieści czternastu tłumaczy*¹². Cała historia destabilizacji ekosystemu Jeziora Wiktorii została zaś opisana w pracy holenderskiego biologa Tjisa Goldschmidta *Wymarzone jezioro Darwina. Dramat w Jeziorze Wiktorii*¹³. Bergen-Makala zaznacza, że temu samemu Williamowi Pike'owi opis sceny w Kampali nie przeszkadzał wcześniej w entuzjastycznej ocenie książek Kapuścińskiego. We wstępie do *Hebanu*, wydanego w „Kolekcji Biblioteki Gazety Wyborczej”, pisał: „Dla mnie *Heban* jest inny niż wszystkie inne książki o Afryce. To najbardziej fantastyczny opis jej nastrojów i mentalnego klimatu”. I dalej: „I tak przez całe lata poznawał tę jego Afrykę, zbierając wiedzę u zwyczajnych ludzi, którzy dla niego byli równie ważni, a niekiedy ważniejsi niż prezydenci i ministrowie”¹⁴. Tu – zdaniem holenderskiej tłumaczki – dochodzimy do sedna sprawy: Kapuściński „słuchał zwykłych ludzi i to zapewne od nich usłyszał opowieść o rybie żywiącej się trupami. [...] Właśnie ten specyficzny świat zwyczajnych Afrykańczyków, którym na co dzień rzeczywistość miesza się z fantazją, opisywał Kapuściński w swoich książkach”¹⁵. Broni i prawa pisarza do tworzenia gatunkowej hybrydy z pogranicza fikcji i nie-fikcji, tłumaczka podkreśla, że „*Heban* nie jest zbiorem reportaży, lecz książką literacką”, zaś w holenderskich księgarniach książki Kapuścińskiego nie leżą na półkach z *non-fiction*; dla przykładu *Wojna futbolowa* „nie była promowana jako zbiór reportaży, tylko esejów literackich”¹⁶.

Gatunkowa (re)klasyfikacja książek Kapuścińskiego stosowana przez tłumaczkę z Holandii jest dalece subiektywna i dotyczy raczej jej osobistego odbioru książki. Ani autor, ani wydawnictwa promujące *Heban* nie przedkładały czytelnikowi owego tekstu w kategorii „powieści”, lecz wskazywały każdorazowo na jego niefikcyjny charakter, swoistą sumę afrykańskich doświadczeń reportera. Zresztą krótki odautorski wstęp, prezentujący *Heban* jako rezultat „jeżdżenia przygodnymi ciężarówkami, „wędrówek z koczownikami po pustyni” oraz „bycia gościem chłopów z tropikalnej sawanny”¹⁷ nie pozostawia wątpliwości, iż mamy do czynienia z elementem paktu referencyjnego. Wskazywanie na holenderskie ustalenia genologiczne, rzekomo zwalniające pisarza z obowiązku dotrzymywania owego paktu i przesuujące jego pisarstwo w stronę fikcji, jest równie mylące. Niderlandzkójzyczne podróźopisarstwo, zarówno to sytuujące się w obszarze fikcji, jak i o charakterze niefikcyjnym, reporterskim, odznacza się bowiem niezwykłą nieprzej-

¹² *Podróże z Ryszardem Kapuścińskim. Opowieści czternastu tłumaczy*, red. B. Dudko, Wydawnictwo Znak, Kraków 2009, s. 113-115.

¹³ T. Goldschmidt *Wymarzone jezioro Darwina. Dramat w Jeziorze Wiktorii*, przeł. M. Betley, Prószyński i S-ka, Warszawa 1999.

¹⁴ W. Pike *On tylko rozmawiał*, w: R. Kapuściński *Heban*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2008, s. 5.

¹⁵ Tamże.

¹⁶ Tamże.

¹⁷ R. Kapuściński *Heban*, Czytelnik, Warszawa 1998, s. 5.

rzystością terminologiczną. Marijke Barend-van Haften, podejmując próbę uściślenia genologicznego słownika w odniesieniu do XVII-wiecznych trawelogów, uzałała się na chaos panujący w tej kwestii w słownikach literaturoznawczych i historiach literatury. Terminy, takie jak „sprawozdanie z podróży” (*reisverslag*), „opis podróży” (*reisbeschrijving*), „dziennik podróży” (*reisjournaal*), „powieść podróżnicza” (*reisroman*), opowiadanie podróżnicze (*reisverhaal*) czy też „literatura podróżnicza” (*reisliteratuur*), są często używane zamiennie, nie mają ściśle wytyczonych granic z powodu braku jasnych kryteriów klasyfikacyjnych¹⁸. Z podobną, jeśli nie identyczną sytuacją mamy do czynienia w przypadku współczesnej literatury podróżniczej. Choć użycie terminu „sprawozdanie z podróży” (*reisverslag*) w miejsce „powieści podróżniczej” (*reisroman*) sugeruje teoretycznie, że autor trzyma się faktów i że wszystko, o czym pisze, rzeczywiście się wydarzyło, to praktyka jest znacznie bardziej skomplikowana. Jeśli przyjrzymy się całości holenderskiego pola wydawniczego – od autorskim komentarzom, wywiadom, informacjom od wydawcy umieszczanym i okładkach, klasyfikacji książek na stronach internetowych wydawnictw oraz towarzyszącym im opisom – szybko zorientujemy się, że podstawowe kryterium dotyczące (nie)fikcjonalności danego tekstu ulega niepokojącemu rozmyciu.

Za przykład może posłużyć twórczość Adriaana van Disa (ur. 1946), oparta w dużej części na doświadczeniach zebranych podczas wypraw do Chin, Afryki, Japonii, Maroka i Mozambiku. Afrykańskie impresje van Disa zostały zebrane w dwóch książkach: *Het beloofde land. Een reis door de Karoo* (*Ziemia obiecana. Podróż przez Karoo*)¹⁹ oraz *In Afrika* (*W Afryce*)²⁰. Choć obie książki na początku były opatrywane jednoznacznie etykietą „powieść podróżnicza” (*reisroman*) i jeszcze w 2003 roku całość podróżopisarstwa van Disa została wydana w tomie zbiorowym pod takim właśnie tytułem (*De reisromans*, czyli *Powieści podróżnicze*)²¹, to wznowienie obu tekstów w roku 2008 zostało pozbawione tej wskazującej na ich możliwy fikcjonalny charakter klasyfikacji gatunkowej²². „Utrata” powieściowego charakteru tych dwóch książek nie wydaje się przypadkowa. W tym samym roku Adriaan van Dis wyprodukował emitowany na holenderskim kanale VPRO siedmioczęściowy program telewizyjny o Afryce Południowej *Van Dis in Afrika* (*Van Dis w Afryce*), wyróżniony prestiżową nagrodą Zilveren Nipkofschijs. *Het beloofde land* oraz *In Afrika* zostały ponownie wydane na fali popularności telewizyjnej serii dokumentalnej, „gubiąc” jednocześnie swoją fikcjonalność. Na tylnej stronie

¹⁸ M. Barend-van Haften *Van scheepsjournaal tot reisverhaal: een kennismaking met zeventiende-eeuwse reisteksten*, „Literatuur” 1990 nr 7, s. 223.

¹⁹ A. van Dis *Het beloofde land. Een reis door de Karoo*, Augustus, Amsterdam–Antwerpen 1990.

²⁰ A. van Dis *In Afrika*, Augustus, Amsterdam–Antwerpen 1991.

²¹ A. van Dis *De reisromans*, Augustus, Amsterdam–Antwerpen 2003.

²² A. van Dis *Het beloofde land. In Afrika*, Augustus, Amsterdam–Antwerpen 2008.

okładki autor został zarekomendowany przez wydawcę jako „nieustraszony podróżnik, niezależny, wyczulony na ideologie, które w opisie Afryki są nierzadko przyczyną kłamstwa”²³. Wydawnictwo Augustus raz jeszcze wznowiło oba teksty w roku 2009. Tym razem na okładce książki umieszczono kadr z filmu przedstawiający autora z jedną z bohaterek jego opowieści dokumentalnej²⁴. Czytelny pakt referencyjny przekreślił tym samym wcześniejsze ustalenia gatunkowe i umieścił południowoafrykańskie narracje van Disa w trudnym do zdefiniowania obszarze „gatunków zmaconych”.

Pozycja Ryszarda Kapuścińskiego na holenderskim rynku wydawniczym jest więc zbliżona do tej zajmowanej przez van Disa. Kategoria „powieści podróżniczej”, którą wydawca, De Arbeiderspers, opatrzył chociażby *Heban*, stoi w opozycji do strategii reklamowej prowadzonej na okładce książki oraz stronach internetowych wydawnictwa. Dopuszczalna gatunkowo (przynajmniej w wydaniu holenderskim) fikcjonalność ustępuje miejsca paktowi referencyjalnemu, który podsuwa czytelnikowi wydawca wbrew wcześniejszej klasyfikacji genologicznej. Na tylnej okładce holenderskiego wydania *Hebanu* możemy przeczytać o dziennikarskim doświadczeniu Kapuścińskiego, który z bliska obserwował liczne zamachy stanu, wojny i zamieszki na tle etnicznym oraz osobiście spotkał wielu afrykańskich mocodawców. W *Hebanie* opisuje on – jak czytamy – przygody, które dane było mu przeżyć razem z nimi. „Kapuścińskiego – informuje czytelnika wydawca – można słusznie nazwać kronikarzem codziennej Afryki”²⁵. Holenderska organizacja NBD/Biblion, zajmująca się kompleksowym opisem rynku księgarskiego na użytek bibliotek, zachęca czytelnika do kupna książki w następujących słowach: „Książkę czyta się łatwo, niczym powieść. To znakomita lektura dla ludzi planujących podróż po Afryce. Okaze się również wartościowa dla tych, którzy śledzili rozwój sytuacji w Afryce w ciągu ostatnich czterdziestu lat”²⁶. Książkę czyta się „niczym po-

²³ Tamże [tłumaczenie moje – P.Z].

²⁴ A. van Dis *Het beloofde land*. In *Afrika*, Augustus, Amsterdam–Antwerpen 2009.

²⁵ R. Kapuściński *Ebbenhout. Afrikaanse ontmoetingen*, przeł. G. Rasch, De Arbeiderspers, Amsterdam 2000 [tłumaczenie moje – P.Z].

²⁶ NBD Biblion *Ebbenhout. Afrikaanse ontmoetingen (recensie)*, <http://www.bol.com/nl/p/nederlandse-boeken/ebbenhout/666855433/index.html#product_description> (stan z września 2010). Z identyczną rekomendacją mamy do czynienia również w holenderskiej edycji *Imperium* (R. Kapuściński *Imperium. Ondergang van een wereldrijk*, przeł. G. Rasch, De Arbeiderspers, Amsterdam 1993). Wydawca robi wszystko, by przekonać czytelnika do odbioru książki jako literatury niefikcyjnej. Autor jest prezentowany jako „najlepszy reporter świata”, który „pisze, posiadając ogłód historyka i styl poety, a przeważa w nim osoba, która to wszystko sama przeżyła”. Kapuściński „zanurzył się w życie miejscowej ludności w wioskach i miastach od Syberii do Armenii i Uzbekistanu. Jego spojrzenie jest spojrzem zaangażowanego widza: zależy mu przede wszystkim na opisanii wpływu wielkiej polityki na codzienne życie zwykłych ludzi. Fascynująca literatura podróżnicza o nieosiągalnym, rozpadającym się imperium, któremu na imię Rosja”.

wieść”, więc powieścią nie jest. Więcej: jest ona, podpowiada wydawca, znakomitą przewodnikiem dla wszystkich wyprawiających się do Afryki, a więc czystą literaturą niefikcyjną.

W obu przypadkach, zarówno van Disa, jak i Kapuścińskiego, mamy w Holandii do czynienia z kuriozalną sytuacją: wydawca, korzystając z popytu na literaturę niefikcyjną, reklamuje książki jako dokument, efekt „pracy terenowej” i reporterskiego znoju, jednocześnie asekurując się, klasyfikacją je jako *reisroman*. To bardzo skuteczny niwelujący wszelkie oskarżenia pod adresem autora (i wydawcy) związane z ewentualnymi błędami faktograficznymi, konfabulacjami czy i daleko idącą fikcjonalizacją tego, czego wcześniej się doświadczyło. Na podstawie gatunkowej klasyfikacji książek Kapuścińskiego na holenderskim rynku Ewa van den Bergen-Makała rozgrzesza pisarza z płynnego o przekraczania granicy pomiędzy fikcją i nie-fikcją, nie biorąc pod uwagę reszty pola wydawniczego (choćby roli wydawcy, opisu książki) w kształtowaniu paktu zawieranego ostatecznie z czytelnikiem.

Kolejnym głosem w toczącej się po publikacji książki Domosławskiego debacie na temat granicy pomiędzy fikcją i nie-fikcją, dobiegającym z obozu zwolenników gatunkowych hybryd, była wypowiedź Andrzeja Stasiuka, której fragment pozwolę sobie zacytować:

A może Kapuściński przeczuwał nadejście nowych czasów, które unieważnią dotychczasowe formy przekazu? [...] Musiał zdawać sobie sprawę, że żyjemy w czasach pomieszanania gatunków, w czasach hybrydycznych. Takie dziedziny, jak powieść, reportaż, film, radykalnie się zmieniają. Skoro zmieniła się powieść, dlaczego akurat reportaż miałby pozostać niezmieniony i skazany w końcu na anachroniczność? Musiał również dostrzec, że nasze życie radykalnie się odmienia. Staje się coraz bardziej fikcyjne. Widział przecież, że coraz częściej obcujemy z obrazami, fantomami, fatamorganami, a coraz rzadziej z rzeczywistością. W każdym razie z rzeczywistością w dawnym, staroświeckim znaczeniu. Czyli z taką, którą można poznać w bezpośrednim kontakcie. Na przykład w podróży. Albo w opowieści podróżnika. Prawda odeszła w przeszłość. Dlaczego wymagać jej akurat od reportera, skoro sami od siebie jej nie wymagamy, godząc się i osobiste, jednostkowe prawdy? [...] Jest w tym pewna obłuda, gdy od dziennikarza żądamy tej jednej jedynej prawdy, podczas gdy sami zadowolaliśmy się własnymi, doskonale przylegającymi do okoliczności.²⁷

Dlaczego wypowiedź Stasiuka, odrzucającego potrzebę utrzymywania gatunkowych granic, jest ciekawa? Jako pisarz Andrzej Stasiuk odrzuca wiarę w dyskurs

Ciekawa w kontekście uwag holenderskiej tłumaczki, Ewy van den Bergen-Makały, jest również klasyfikacja książek Kapuścińskiego w katalogu Narodowej Biblioteki Królewskiej w Hadze. *Wojnie futbolowej* przypisano hasła „zamach stanu”, „wojna domowa”, „Trzeci Świat”, „rewolucje”. *Imperium*, oprócz przypisanego hasła „opowiadanie podróżnicze”, zostało zarejestrowane również pod terminami „historia” oraz „Związek Radziecki”, natomiast *Cesarz* szczyci się mianem „biografii” (*Koninklijke Bibliotheek* <<http://www.kb.nl>>).

²⁷ A. Stasiuk *A nawet jeśli to wszystko zmyślił*, „Gazeta Wyborcza” 2.03. 2010.

referencjalny i niereferencjalny, krytycznie ocenia gatunkowe oczekiwania czytelników (nazywając je wprost „obłądą”). W jednym z wywiadów towarzyszących promocji książki Domosławskiego wręcz mówi o „czytającym ludzie, który chce włożyć palec w bok pisarza i sprawdzić”²⁸, doświadczyć czegoś autentycznego, mieć gwarancję, że ów pisarz ofiaruje mu rzeczywistość w formie nienaruszonej. „Czytający lud” tkwi – wydaje się mówić nam Stasiuk – w okowach prenowoczesności, spodziewa się znaleźć w literaturze niefikcjonalnej coś, czego dać mu ona nie może. „Lud” dzielący literaturę na fikcjonalną (dopuszczającą kłamstwo) i niefikcjonalną (nakazującą pisać prawdę) nie odrobił więc lekcji ponowoczesności podważającej czy wręcz rozsadzającej tradycyjny system gatunkowy.

Czyżby? Stasiuk-pisarz, twierdzący, że „prawda odeszła w przeszłość”, a każdy „pisze we własnej sprawie, a nie w imię prawdy” dystansuje się w zadziwiający sposób od Stasiuka-wydawcy, członka dwuosobowego kolegium Wydawnictwa Czarne (prowadzonego wspólnie z Moniką Sznajderman). Stasiuk-wydawca nie burzy już gatunkowych oczekiwań własnych czytelników, ale je wzmacnia, rezerwując dla literatury niefikcjonalnej aż siedem serii wydawniczych. Przykładowo w serii „Sulima” wydaje – jak czytamy na stronie internetowej wydawnictwa – „najszerzej pojętą literaturę faktu, książki historyczne i antropologiczne, prozę podróżną, reportaże i eseje. [...] Autorzy książek z serii Sulima przekraczają granice: geograficzne, kulturowe, mentalne, z antropologiczną dociekliwością badają pozornie znane lądy, prowadzą literackie śledztwa, zmierzające częstokroć do odsłaniania bolesnych prawd”²⁹. Z kolei seria „Reportaż” kierowana jest do „miłośników dobrego literackiego reportażu”; publikowane są w niej „wybitne książki reporterskie”³⁰. Warto dodać, że oferta Wydawnictwa Czarne wciąż rozszerza się o nowe serie wydawnicze zarezerwowane właśnie dla nie-fikcji. W styczniu 2011 roku w katalogu wydawnictwa dostępnych było 417 tytułów, z czego na siedem serii promujących literaturę niefikcjonalną przypadło aż 108 tytułów. Literatura oparta na pakcie referencjalnym stanowi więc istotną część oferty handlowej wydawnictwa, a na jego stronie internetowej promowana jest w sposób uprzywilejowany, czego trudno nie zauważyć. Wśród dziesięciu książek nominowanych w 2010 roku do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego znalazło się pięć pozycji wydanych przez Wydawnictwo Czarne, w tym również *Strategia antylop* – zwycięski reportaż Jeana Hatzfelda³¹. W ramach drugiej edycji Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego wynik wydawnictwa prowadzonego przez Stasiuka i Sznajderman był jeszcze lepszy: aż sześć z dziesięciu nominowanych tytułów przypadło drukowa-

²⁸ A. Stasiuk *Kapuściński non-fiction* [Andrzej Stasiuk w rozmowie z Arturem Domosławskim], <<http://www.youtube.com/watch?v=v3pP69Ee3fc>> (stan z marca 2010).

²⁹ Wydawnictwo Czarne, <<http://www.czarne.com.pl/?a=432>> (stan z marca 2010).

³⁰ Tamże.

³¹ J. Hatzfeld *Strategia antylop*, przeł. J. Giszczak, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2009.

nym przez nich autorom. Kiedy zatem Stasiuk-pisarz gani czytelnika za brak wyczucia ponowoczesnej estetyki, za domaganie się wyraźnego podziału na beletrystykę i literaturę faktu, a tym samym pogoń za rzeczywistością „w dawnym, staroświeckim znaczeniu”, Stasiuk-wydawca umiejętnie owe „staroświeckie” podziały gatunkowe utrzymuje, wykorzystując koniunkturę na literaturę niefikcjonalną³².

Zygmunt Bauman, przyłączając się do dyskusji na temat relacji prawdy i fikcji w twórczości Kapuścińskiego, wyraża pogląd zbliżony do stanowiska Andrzeja Stasiuka. Czyni to jednak, jako znany apologeta ponowoczesności, w zgodzie z własnym systemem myślowym:

Czym się więc Kapuściński zajmował? Strojeniem się w nie swoje piórka? Omamianiem łatwowiernego czytelnika? Obiecywaniem dostarczenia skarbu, jakiego nie posiadał, i zaspokojenia potrzeby, jakiej zadośćuczynić nie mógł? A może dokładnie przeciwnie: czerpiąc swe instrumenty poznawcze z narzędziowni rasowego historyka czy etnografa, posługiwał się w relacjonowaniu swych odkryć kunsztem powieściopisarskim, a to w takim celu, by zaspokoić łaknienie prawdy w sposób pełniejszy i bardziej na miarę człowieczą wielostronny i niedookreślony, a więc w ostatecznym rachunku pewnie i uczciwszy, niż poważyć by się mogli uczeni dziejopisarze [...]. To właśnie powieść, jak twierdzi Milan Kundera, pozwala nam stanąć oko w oko z prawdą ludzkiej kondycji: z nieistnieniem prawdy absolutnej.³³

W drugim obozie – obrońców etyki warsztatowej literatury faktu, opowiadających się za utrzymaniem wyraźnej linii demarkacyjnej pomiędzy beletrystyką i literaturą niefikcjonalną – najbardziej jednoznacznie wyraził swoje stanowisko Adam Leszczyński. Największą wartość książki Domosławskiego upatruje on w tym, że autor ujawnił „w jaki sposób Kapuściński mieszał prawdę z fikcją”³⁴. Podczas lektury biografii Leszczyński wyodrębnił „trzy piętra”, na których „Kapuścińskiemu zdarzało się rozmijać z rzeczywistością”: uchybienia faktograficzne, podporządkowanie rzeczywistości logice opowieści oraz tworzenie własnej legendy. Leszczyński postrzega pakt referencjalny jako niezwykle ważną, integralną część gatunku,

³² Sprawę owej niekonsekwencji w podejściu Andrzeja Stasiuka do genologicznych problemów wokół literatury niefikcjonalnej poruszył Wojciech Tochman podczas dyskusji podsumowującej debatę wokół biografii Ryszarda Kapuścińskiego autorstwa Artura Domosławskiego. Tochman zapytał wprost: „Andrzeju, jesteś pisarzem, ale także wydawcą – współwłaścicielem wydawnictwa, które wydaje reportaże. Co dalej z reportażem po tej książce?”. Stasiuk udzielił Tochmanowi w tej kwestii wymijającej odpowiedzi: „Reportaż jako opis rzeczywistości powoli się kończy. 50 lat temu jechał facet do Konga i pisał, jak tam jest – teraz mamy 700 kanałów telewizji, możemy sobie obejrzeć to Kongo. I myślę, że ten paradygmat reportażu się właśnie zmienia, że jest tylko jedną z metod opisu świata” (A. Stasiuk *Każdy z nas czytał inną książkę* [rozmowa podsumowująca debatę na temat biografii Ryszarda Kapuścińskiego autorstwa Artura Domosławskiego], „Gazeta Wyborcza”, 27-28.03.2010).

³³ Z. Bauman *Sztuka pisania o sztuce*, „Tygodnik Powszechny” 2010 nr 9.

³⁴ A. Leszczyński *Kiedy reporter gra nie fair*, „Gazeta Wyborcza” 27-28.02.2010.

jakim jest literatura niefikcjonalna. Niedotrzymywanie zawartego z czytelnikiem paktu ma, jego zdaniem, daleko idące konsekwencje:

Żle, jeśli po drodze do wielkiej literatury relacja pisarza z czytelnikiem staje się zafałszowana. Przekonałem się nieraz, że ludzie, może naiwnie, wierzą reporterowi. Myślą, że pisze, „jak było”. Że nie zmyśla i nie konfabuluje. Że widział, co opisał. Być może nawet za to – a przynajmniej również za to – mu płacą, kiedy kupują w kiosku gazetę z reportażem albo książkę w księgarni. Czytelnicy, może prostodusznie, odróżniają fikcję od literatury faktu. Można się na tę naiwność zżymać, ale nie wypada jej wykorzystywać. Reporter wie, że tworzy literaturę; czytelnikom pozwala wierzyć, że przedstawia rzeczywistość. Kiedy czytelnik nie jest świadom reguł, którymi posługuje się reporter – to relacja pomiędzy nimi staje się zakłamaną. [...] Boję się, że istnienie tej „szarej strefy” – brak jasnych granic tego, co wolno zrobić reporterowi bez powiadomienia o tym czytelnika – premiuje autorów o bujnej fantazji, a nie tych, którzy dbają o wierność opowieści (która bywa, jak wszyscy wiemy, mało efektowna literacko).³⁵

Zdaniem Leszczyńskiego fakty ujawnione przez Domosławskiego burzą zaufanie do polskiej szkoły reportażu, ponieważ „obnażają warsztat jednego z jej najważniejszych twórców”³⁶. Na uwagi Leszczyńskiego zareagował Paweł Goźliński, określając je mianem „szantażu skrupulantów”³⁷. I dodaje:

Nie spędzają mi snu z powiek konfabulacje, których dopuścił się Ryszard Kapuściński. Od początku wiem, że reportaż to ryzykowne zajęcie. Jak eksplorowanie każdej granicznej strefy. Trudno nie oberwać. Trudno nie zrobić fałszywego kroku. Ale czy to znaczy, że w dziennikarstwie nie ma miejsca dla takich granicznych gatunków? To przecież nonsens – dziennikarstwo naszpikowane jest pisarskimi metodami, w których obiektywne miesza się z subiektywnym, fikcja z rzeczywistością, a reguły są płynne.³⁸

Argumentacja Goźlińskiego wielu nie wydała się jednak przekonująca. Choć wszyscy akcentowali wybitny charakter pisarstwa Kapuścińskiego, to niektórzy zwracali uwagę na istotny charakter różnicy gatunkowej, którą Domosławski wyraził w następujących słowach: „Jeśli literatura *fiction* posługuje się technikami reporterskimi, nie płaci żadnej ceny. Jeśli dziennikarstwo wkracza na terytorium fikcji, to czyni opis reporterski bardziej atrakcyjnym, nieraz głębszym, ale płaci też bardzo wysoką cenę – wiarygodności”³⁹. Wątpliwy charakter takiego postępowania podkreślał Wiesław Władyka, określając ewolucję literatury faktu w kierunku beletrystyki „reportażem syntetycznym, który spina postaci i wydarzenia”, a jednocześnie pozostaje w tym, jak wydaje się wielu twórcom, całkowicie bezkarny. „Artur pokazuje, że nie, że on nie tylko może tworzyć fałszywe wrażenie na

35 Tamże.

36 Tamże.

37 P. Goźliński *Życie na bombie...*, s. 23.

38 Tamże.

39 A. Domosławski *Imperium cesarza*, „Polityka” 2010 nr 4.

czytelniku, ale też może zniekształcać rzeczywistość, którą opisuje. Tu Kapuściński poszedł bardzo daleko”⁴⁰. Krzysztof Burnetko⁴¹, współautor wywiadu-rzeki z Ryszardem Kapuścińskim⁴², a także Piotr Mucharski⁴³ dostrzegają problem w „koloryzowaniu faktów”, „dramatyzowaniu narracji”, choć spór o rozstrzygnięcie kwestii: kłamał czy nie kłamał, uważają za nieco bezzasadny. „Czy ich [książek Kapuścińskiego] miejsce jest zatem na półce «reportaż» czy «literatura»? Najlepiej niech zostaną tam, gdzie dotąd. Na osobnej półce Kapuściński”⁴⁴. Z kolei Timothy Garton Ash nie rezerwuje dla Kapuścińskiego ani osobnego miejsca na półkach księgarskich, ani nie daje mu specjalnej *licentia poetica*, pozwalającej na „wyostrzanie cytatów” czy też „dla lepszego efektu zmieniania nieco czasu i miejsca”. Według Asha, nawet jeśli nie ma

oświetlonej reflektorami, odrutowanej granicy, istnieje ważna linia, której autorom literatury faktu, nie wolno przekraczać (chyba, że inaczej nazwiemy nasz produkt końcowy). [...] Czytelnik ma prawo wiedzieć, co dostanie. Ostatecznie część satysfakcji z czytania autorów takich jak Kapuściński płynie z wiary, że wszystko to naprawdę się wydarzyło.⁴⁵

Literatura faktu ma być więc dokładnie tym, co zapowiada. To obowiązek wobec historii i czytelnika.

Dyskusja wokół biografii Ryszarda Kapuścińskiego, która częściowo toczyła się jeszcze przed, a z całych impetem wybuchła już po publikacji książki Domoślawnego, pokazała dobitnie, iż wszelkie studia nad spuścizną „mistrza polskiego reportażu” przypominają sytuację, z jaką mamy do czynienia w przypadku badań polskiej pamięci zbiorowej. Problemy te omawiane są przeważnie na arenie publicystycznej i nawet jeśli u ich źródeł leżą prace naukowe czy publikacje literackie, to dyskutowane tematy dopiero wtedy wykraczają poza zacisza akademickich gabinetów i tamy fachowej prasy, gdy zainteresują się nimi dziennikarze i politycy. W przypadku Kapuścińskiego sprawa jest jeszcze bardziej poważna: wszelkie sporne kwestie w dorobku reportażysty były w pracach literaturoznawczych najczęściej omijane szerokim łukiem. Choć w sprawie pisarstwa Kapuścińskiego głos zabierano nierzadko, to najczęściej dominował styl mocno wartościujący, ucie-

⁴⁰ W. Władyka *Czy Artur nie powinien bardziej wcisnąć hamulec* [rozmowa w radio TOK FM], <http://wyborcza.pl/kapuscinski/1,104743,7605877,Rozmowa_w_TOK_FM_Lis_Czy_Artur_nie_powinien_bardziej.html> (stan z marca 2010).

⁴¹ K. Burnetko *Nowa twarz Pana Ryszarda*, „Polityka” 2010 nr 9.

⁴² W. Bereś, K. Burnetko *Ryszard Kapuściński. Nie ogarniam świata*, Świat Książki, Warszawa 2007.

⁴³ P. Mucharski *Przybysz*, „Tygodnik Powszechny” 2010 nr 9.

⁴⁴ Tamże, s. 31.

⁴⁵ T.G. Ash *Musimy wierzyć świadkom*, „Gazeta Wyborcza” 13-14.03.2010.

kający od problemów, z którymi zawodowy czytelnik winien się zmierzyć. Pozostaje nadzieja, że idiom naukowego pisania o jednym z najważniejszych polskich autorów XX wieku ulegnie wkrótce radykalnej zmianie.

Abstract

Paweł ZAJAS
Adam Mickiewicz University (Poznań)
University of Pretoria

Around Kapuściński non-fiction. Evaluating the discussion

In this article Paweł Zajas takes a critical look at the polemics around Artur Domosławski's biography of Ryszard Kapuściński (2010). Leaving aside controversies that are either political or personal, Zajas argues for a critical discussion of these events. Two visions of non-fiction have emerged out of the heated debate: adherents of the genre's progressive 'hybridisation' acquiesce to Kapuściński poetic licence, while opponents see it necessary to delimit fiction and non-fiction. The aesthetics of the reception of non-fiction was a key aspect of the debate, as were prescriptive arguments concerning the genre.

Grzegorz WOŁOWIEC

○ Domosławskim i jego krytykach

Bo, ostatecznie, co ja uczynilem, że narobiłem tyle skandalu? Czym wynalazł jakieś nieznanne, a podejrzone dokumenty? Ależ nie!¹

Wierzyłem w Kapuścińskiego. Dostałem wspaniłą szansę dostępu do archiwum, dzięki temu książka jest na pewno bogatsza, ale proszę zauważyć, że przytłaczająca część wiedzy o nim, którą zebrałem w książce, była powszechnie dostępna².

Punktem wyjścia niniejszych rozważań chciałbym uczynić pytanie o to, dlaczego, opublikowana w 2010 roku przez Artura Domosławskiego biografia Ryszarda Kapuścińskiego³ spotkała się z tak bardzo negatywnym przyjęciem u dużej części czytelników, w tym, przede wszystkim, tych, którzy – użyję tu, za samym Domosławskim, ogólnego, ale chyba najbardziej poręcznego określenia – „reprezentują główny nurt myślenia” w Polsce. Oczywiście, wśród wypowiedzi na temat książki znaleźć można również aprobatywne, parokrotnie nawet bardzo, jednak w niezwykle obfitej jej recepcji zdecydowanie dominuje ton krytycznej polemiki, a często nawet całkowitego, wręcz gwałtownego odrzucenia. Ocenę tę formułuję na podstawie lektury około stu różnogatunkowych większych wypowiedzi poświęconych napisanej przez Domosławskiego biografii (od rozpraw akademickich, jeszcze nielicznych, przez recenzje, wypowiedzi publicystyczne i wywiady, po zapisy debat

¹ T. Żeleński (Boy) *Brązownicy*, w: *Brązownicy i inne szkice o Mickiewiczu*, w: tegoż *Pisma*, t. 4, oprac. H. Markiewicz, przedm. M. Janion, PIW, Warszawa 1957, s. 70.

² *Pisałem z dobrym sercem dla Kapuścińskiego*, wywiad A. Kozińskiego z A. Domosławskim, „Polska” 28.02.2010.

³ A. Domosławski *Kapuściński non-fiction*, Świat Książki, Warszawa 2010. Cytaty lokalizuję w tekście.

publicznych) oraz setek krótkich zazwyczaj opinii, wyrażanych na rozmaitych portalach i stronach internetowych. Moja opinia o niekorzystnym dla Domosławskiego przebiegu i wydźwięku debaty nad jego książką nie jest wszakże odosobniona. Pojawia się wielokrotnie w tekstach różnych autorów i tak też przebieg recepcji swojego dzieła podsumował w kilku publicznych wypowiedziach sam Domosławski.

Przedstawiając rzecz w największym skrócie: krytycy książki Domosławskiego ocenili ją jako pełen złej woli, niesprawiedliwy atak na Kapuścińskiego, zmierzający – poprzez zakwestionowanie jego dobrego imienia jako obywatela (w istocie gorliwego stalinisty, potem protegowanego PRL-owskiego reżimu i współpracownika jego tajnych służb), jako reportera (w istocie konfabulatora, wielokrotnie łamiącego pakt referencjalny), jako męża i ojca (w istocie zdradzającego żonę i zaniedbującego córkę) – do całkowitego skompromitowania pisarza w oczach czytelników. Tak zinterpretowane dzieło Domosławskiego uznano za świadectwo drastycznej nielojalności, wręcz zdrady autora wobec Kapuścińskiego, ukazywanego dotąd przez biografa jako swego przyjaciela, mentora i dobroczyńcę. Oto kilka wybranych przykładów tego typu recenzji *Kapuścińskiego non-fiction*:

Doskonale się ją czyta, ale pozostawia dość silne poczucie przykrości. Miałem wrażenie, podobnie jak Martin Pollack, że Domosławski wszędzie wietrzy zło, nie przepuszcza okazji, by swemu maestro dołożyć, odsłonić jego słabości i błędy.⁴

W tej biografii Ryszarda Kapuścińskiego autor miota się między uznaniem dla swego bohatera i odrzuceniem go, między sympatią dla niektórych jego zaangażowań i przypisywaniem mu przy innych wyborach najniższych motywacji. Miota się między rolą biografa i myśliciela. [...] – poszukuje się winy, umniejszając argumenty przeciwne. [...] Kapuściński jest oskarżony o tchórzostwo, konformizm oraz kłamstwa w książkach i życiu. [...] Wątpliwości świadczą przeciw Kapuścińskiemu – to częsty przypadek w tej książce. Ileż razy czytamy, że Kapuściński jest strachliwym konformistą. [...] Szukam słów, by nie urazić Artura Domosławskiego, mojego redakcyjnego kolegi, i zarazem wyrazić oburzenie. Bo Domosławski naruszył godność żyjących w imię sensacji. [...] Zabrakło książce smaku i empatii wobec ludzi. [...] Kapuściński wypada w tej książce gorzej niż jego znajomi aparatczycy czy reżimowi dziennikarze.⁵

Dla mnie jako biografa, jako czytelniczki *Hebanu i Imperium* ta książka jest nie jest tylko przykrością. Jest nadużyciem. Najbardziej drastyczne są dla mnie nie opowieści o życiu rodzinnym ani o związkach z kobietami. Najgorszy jest ów demystyfikujący ton, to, że we wszystkim dopatrujemy się czegoś nieprawdziwego, że wszystko trzeba zweryfikować. Od początku, od pierwszych kartek tej książki widać, że z bohaterem jest coś nie w porządku, że trzeba się mieć na baczności, że miał więcej sekretów niż inni ludzie, że używał wiele czasu i energii, by je ukrywać.⁶

⁴ Wypowiedź ks. A. Bonieckiego w: *Kapuściński bez znieczulenia. Każdy czytał inną książkę. Zapis debaty o książce Artura Domosławskiego „Kapuściński non-fiction”, którą 17 marca w Warszawie w Muzeum Sztuki Nowoczesnej zorganizował Instytut Reportażu, „Gazeta Wyborcza” 27-28.03.2010.*

⁵ M. Beylin *Sprawa Ryszarda K.*, „Gazeta Wyborcza” 27.02.2010.

⁶ Wypowiedź A. Tuszyńskiej w: *Kapuściński bez znieczulenia...*

Wielka proza się obroni, ale na razie Domosławski odniósł nieklamany sukces – zachodnie agencje podały, że Kapuściński to kłamca, konfabulator i agent.⁷

Przez ostatnie dwadzieścia lat, aż do śmierci, najgorszym słowem, epitetem, jaki słyszałem z ust Ryszarda na określenie różnego rodzaju kreatur, było: „to są straszni ludzie”. Niekiedy dodawał jeszcze: „i niebezpieczni”. Z jego ust nigdy nie padło żadne przekleństwo pod ich adresem, choć samo się narzucało... Myślę, że – gdyby żył – tak samo nazwałby autorów tej nagonki, jaką za sprawą książki Artura Domosławskiego *Kapuściński non-fiction* rozpętano w ostatnich tygodniach wobec jego osoby. Autora, który nadużył zaufania jego oraz rodziny, pewnie również.⁸

Interpretując zachowania Kapuścińskiego, autor co rusz dopatruje się w nich ukrytych słabości: lęklivosti, oportunistu, nadmiernej żądzy sławy itp. Tymczasem naszym zdaniem należałoby przynajmniej, gwoi obiektywizmu, równocześnie przedstawić narzucające się w wielu przypadkach wyjaśnienia bardziej dla Kapuścińskiego życzliwe.⁹

Ta dyskusyjna interpretacja nie jest na pewno pisana z przyjacielską wrażliwością. [...] Tendencję do eksponowania głosów negatywnych da się prześledzić w wielu fragmentach biografii. [...] żadna równowaga nie została tu zachowana. Na szkodę bohatera działają też komentarze odautorskie, pełne określeń, wzmagających negatywne wrażenia [...] wykreowany został obraz koniunkturalisty, karierowicza, kunktatora, zakompleksionego reportera-fabulanta, którego „uwierają” braki w wykształceniu.¹⁰

W kręgach szeroko pojętej prawicy antykomunistycznej książka początkowo wywołała zaskoczenie, przyjęto ją ze zdziwieniem czy wręcz niedowierzaniem: że ten właśnie autor, należący do tego właśnie środowiska, napisał o tej właśnie osobie coś właśnie takiego. Pojawiły się opinie, że oto wreszcie młodzi nieprawicowi inteligenci zaczynają przeglądać na oczy i wypowiadać posłuszeństwo swoim dotychczasowym autorytetom; że publikacja Domosławskiego to zwiastun nadchodzącego zwycięstwa historycznej prawdy o PRL-u i jego spadkobiercach. Dość szybko jednak zwyciężyło inne, odmienne przekonanie, iż wbrew pozorom, wbrew często krytycznemu wydźwiękowi książki wobec Kapuścińskiego, jej faktyczną, założoną intencją była mimo wszystko obrona reportera, wybielenie jego życiorysu, ukazanie go w jak najlepszym świetle. Z jakichś niejasnych powodów Domo-

⁷ S. Bratkowski *Co wypada, a co nie*, <http://alfaomega.webnode.com/news/stefan-bratkowski-co-wypada-a-co-nie/>

⁸ S. Popowski, *Pośmiertne polowanie na Kapuścińskiego*, <http://alfaomega.webnode.com/products/s%c5%82awomir%20popowski%3a%20po%c5%9bmiertne%20polowanie%20na%20kapu%c5%9bci%c5%84skiego/>

⁹ Oświadczenie Prezesa SIW Znak Henryka Woźniakowskiego w sprawie książki Artura Domosławskiego *Kapuściński non-fiction*, <http://www.znak.com.pl/wydarzenie,nazwa,722,titul,O%C5%9Bwiadczenie%20Prezesa%20SIW%20Znak%20Henryka%20Wo%C5%BAniakowskiego%20w%20sprawie%20ksi%C4%85%C5%BCKi%20Artura%20Domos%C5%82awskiego%20%22Kapu%C5%9Bci%C5%84ski%20non-fiction%22>

¹⁰ U. Glensk *Siedem grzechów Domosławskiego*, „Znaczenia. Kultura – Komunikacja – Społeczeństwo” 2010 nr 4.

ślawski zrealizował jednak ten swój zamiar w tak nieumiejętny sposób, że Kapuścińskiego całkowicie pogryźł, dostarczając przy tym – niechcący – w miarę prawdziwego obrazu Polski Ludowej i uwikłanych w nią ludzi:

to, co napisałem w swoim „potwornym” artykule, to był mały pikus w porównaniu z książką Artura Domosławskiego. Adam Michnik znalazł się obecnie w kłopotach, bo autor *Kapuścińskiego non-fiction* formalnie, jako dziennikarz „GW”, pozostaje jego podwładnym. Przy tym ideowo to jakby ta sama opcja.¹¹

Ujmująca jest naiwność autora, którego dziwią ataki jego środowiska za to, że napisał prawdę. [...] Nie jestem lewicowcem i lewicowość (tak jak prawicowość) niczego dla mnie nie usprawiedliwia. Jest natomiast absolutnym fałszem założenie, że kariery w dojrzałym PRL, wysługiwanie się jego tajnym służbom czy inne świństwa dokonywane pod jego szyldem mogły być powodowane lewicowymi ideami. Najbardziej powinni się na to oburzać ludzie deklarujący do nich przywiązanie.¹²

Z jego książki wynika po prostu, że polską kulturą rządzą ludzie, którzy są bytymi agentami, przyjaciółmi agentów, pociotkami agentów – w szerokim rozumieniu tego słowa, obejmującym także aparatczyków i propagandzistów, także ich kochanki płci obojga, współzłodziei, współklamców etc. Umówili się, że wszyscy byli prześladowani i bohaterzy, stworzyli nowy mit – Domosławski ten mit obnażył, pokazał, że król jest nie tylko nagi, ale wstrętny i że to wcale nie jest król.¹³

Tego typu odczytania potwierdzały tylko opinie oponentów książki o jej oskarżycielskim, obwiniającym, demaskatorskim charakterze, utrwały przekonanie, że głównym celem biografii było skompromitowanie wielkiego reportera, zaprezentowanie go z jak najbardziej niekorzystnej strony.

Zapytajmy: czy rzeczywiście taki właśnie był zamiar Domosławskiego? Czy powyższe rozpoznania są prawidłowe, zarzuty – uprawnione, posądzania – umotywowane? Przywołajmy kilka fragmentów książki, losowo wybranych, lecz, jak sądzę, reprezentatywnych dla całości przeprowadzonego w niej wyводу:

Kapuściński stracił niepowtarzalną okazję opowiedzenia o swoim oddaniu idei komunizmu. Podróżował po upadającym Związku Radzieckim w czasie ostatnich dwóch lat jego istnienia, napisał po tej podróży głośną książkę – *Imperium*, lecz o swoim związku z ideą komunizmu, która legła u podstaw stworzenia imperium, nie wspomniał słowem. (s. 454)

I kilka akapitów dalej:

W książce Kapuściński ani razu nie wspomina, że przez niemal całe dorosłe życie miał coś wspólnego z ideą, która napędzała budowę, a potem politykę imperium. Że jego kraj także był swego rodzaju prowincją imperium. Jakich wówczas on sam dokonywał wybo-

¹¹ K. Masłoń *Zerwane przedstawienie „Króla Ryszarda”*, „Rzeczpospolita” 27-28.02.2010. Masłoń wspomina o swoim wcześniejszym artykule, dotyczącym współpracy Kapuścińskiego z PRL-owskim wywiadem.

¹² B. Widstein *Lewica, Kapuściński, PRL*, „Rzeczpospolita” 25.02.2010.

¹³ B. Urbankowski *Cztery i jeszcze pół twarzy idola*, „Niezależna Gazeta Polska. Nowe Państwo” 2010 nr 5.

rów? Dlaczego takich? Milczenie o tym to spora osobliwość w osobisto-politycznej refleksji o Związku Radzieckim, własnych doświadczeniach z historią imperium i najbardziej pociągającą ideą XX wieku. (s. 455)

I jeszcze na przykład *passus* ze strony 188:

Prawie sto procent tekstów Kapuścińskiego z Afryki – później też z Ameryki Łacińskiej – nie zawiera wiadomości ani analiz „niewłaściwych” z perspektywy obozu socjalistycznego. Trafiają do Biuletynu Specjalnego...

I jeszcze jeden ze strony 325:

Kapuściński wraca tymczasem ze świata i opowiada o Zachodzie, który zniewalał biedne kraje Trzeciego Świata, o przekleństwie „amerykańskiego imperializmu”. Dla młodych opowieści kolegi-mistrza brzmią nieraz jak propagandowe frazesy, dla Kapuścińskiego „amerykański imperializm” to nie slogan, lecz akuratny opis, coś, czego dotknął, powąchał, zobaczył.

Co znaczą powyższe słowa? Jaki jest ich sens? Oskarżają Kapuścińskiego czy może jednak, mimo wszystko go bronią? Pragmatystycznie nastawieni teoretycy odbioru powiedzieliby, że – mówiąc krótko – to zależy, kto czyta i z czym do tekstu przychodzi; co chce czy co potrafi w nim zobaczyć. Stanley Fish pisze:

Komunikacja ma miejsce w sytuacji [...] być w sytuacji oznacza posiadać (czy też być posiadanym) przez pewną strukturę założeń, praktyk, uważanych za ważne w odniesieniu do celów i dążeń, które już są żywione. To właśnie w ramach założenia owych celów i dążeń jakiegokolwiek wyrażenie *n a t y c h m i a s t* się słyszy.¹⁴

Konfuzja, jaką u cytowanych powyżej komentatorów wywołała książka Domosławskiego, wzięła się stąd, że przystąpili oni do lektury z zupełnie nieadekwatnymi oczekiwaniami co do jej zawartości. Fish powiedziałby, że nieprawidłowo – jak się szybko spostrzegli – ją „przed-czytali”. Prawicowi antykomuniści spodziewali się obrony Kapuścińskiego, usłyszeli natomiast słowa często jakoś dziwnie im znajome, pod którymi niejednokrotnie sami mogliby się podpisać. Druga strona – odwrotnie. Oczekiwała jakiegoś rodzaju przychylności dla wielkiego reportera, usłyszała zaś to, czego absolutnie się nie spodziewała i w żadnym razie nie chciała, czyli obcy sobie rejestr mowy, twardy rozliczeniowy język.

Powiedziałbym tak: wywód w książce Domosławskiego poprowadzony został w sposób zdający się całkowicie abstrahować od sytuacji panującej w obrębie pola dyskursywnego (rozliczenia z komunizmem i Polską Ludową), na jakie tą swoją książką Domosławski wszedł czy raczej – wtargnął. Biograf mówi w niej w sposób zupełnie nieliczący się z żadnym z zastanych tam, utrwalonych już języków opowiadania o PRL-owskiej przeszłości, pozostając obojętny na istniejące między nimi relacje, na obowiązujące w nich zasady poprawności czy reguły stosowności. Czytel-

¹⁴ S. Fish *Czy na tych ćwiczeniach jest tekst?*, przeł. A. Szahaj, w: tegoż *Interpretacja, retoryka, polityka. Eseje wybrane*, red. A. Szahaj, Universitas, Kraków 2008, s. 76.

nik, który tego nie zauważy i nie zorientuje się, że źródło, z którego wypływają sensy wypowiedzianych w *Kapuściński non-fiction* słów na temat komunizmu i PRL-u sytuuje się gdzie indziej, niż przywykło się w takich przypadkach uważać, zupełnie jej nie zrozumie lub pojmie ją opacznie. Jakie to źródło? Czy, mówiąc inaczej, w jaki sposób określona została całość, w obrębie której zacytowane powyżej stwierdzenia biografów znaczą?

W mojej opinii, z książki Domosławskiego wyłania się bardzo spójna, całkowicie odmienna od dotąd sformułowanych, koncepcja rozliczenia się z komunistycznym i PRL-owskim dziedzictwem. Rozliczenie to dokonywane jest – co najważniejsze – nie z jakiegoś „spoza”, z jakiegoś zewnątrz, ale z wewnątrz, ze środka bardzo szeroko ujmowanej formacji lewicowej, tak szeroko, że mieszczą się w niej zarówno Domosławski, jak i Kapuściński, a także wszystko to, co w jej historii jest, jak wyraźnie przedstawia to biograf, całkowicie nieakceptowalne, czyli stalinizm, czy co najmniej bardzo mocno dyskusyjne, jak późniejszy, postalinowski PRL. Nazwałbym ten sposób rozliczenia rewizją, rozumianą jako krytyczne, miejscami nawet bardzo radykalne przewartościowanie własnej, nadal – w warstwie fundujących ją podstawowych wartości i celów – podtrzymywanej tradycji czy ideowopolitycznej wspólnoty.

Na czym owa rewizja w praktyce polega, zademonstrował Domosławski w napisanej przez siebie biografii swojego mistrza i przyjaciela. Stało się tak zresztą wbrew, jak twierdzi, oczekiwaniom, z jakimi zabierał się do pracy nad książką. W zamierzeniu miała być ona wielką pochwałą Kapuścińskiego, jednak fakty, jakie wyłoniły się z bardzo szczegółowej kwerendy biograficznej, okazały się niemożliwe do pogodzenia z tym wyjściowym zamiarem. Nie mieściły się w ramach tak zamierzonej opowieści. Domosławski w obliczu alternatywy: zmystyfikować postać swojego bohatera czy się go wyrzec, przyjął trzecie rozwiązanie. Nie tyle rozlicza Kapuścińskiego, co poprzez niego – bardzo bliskiego sobie człowieka – sam się rozlicza z ciemnymi stronami wspólnej tradycji ideowej i politycznej.

Zauważmy, że podejście Domosławskiego do historii własnej formacji różni się od tych dążeń ideowych i politycznych, które ukierunkowane są na poszukiwanie „prawdziwie” polskiej, rodzimej lewicy, nieskażonej i nieskompromitowanej komunizmem i PRL-em, niemuszającej w związku z tym poczuwać się do jakiejkolwiek odpowiedzialności za nieswoją historię. Autor biografii, mimo przywileju późnego urodzenia, nie korzysta z tej możliwości. Takie postawienie sprawy nie rozwiązałoby problemu, przed którym stanął. Postać Kapuścińskiego, niezafałszowana, nie zmieściłaby się w takiej narracji.

Przede wszystkim jednak, zaproponowany przez Domosławskiego sposób postrzegania ciemnych stron przeszłości polskiej lewicy sytuuje się na antypodach takiej koncepcji rozliczenia, która polegać by miała na, uwarunkowanym pełnym „wyznaniem” winy, powrocie zaangażowanych w komunizm Polaków na łono porzuconej przez nich wspólnoty narodowej – ich repatriacji. Termin „wyznanie” należy tu rozumieć w znaczeniu, jakie nadał mu Michel Foucault: jako jedną z najstarszych i najtrwalszych praktyk dyscyplinujących czy ujarzmiających, resocjali-

zującą „zboczeńca”, przywracającą go Normie¹⁵. Ciągłe powracające, stale powtarzane w okołopeerelowskim dyskursie (zwłaszcza antykomunistycznym) twierdzenie o nierozliczeniu się ze stalinizmem, PRL-em czy komunizmem tych, którzy rozliczyć się powinni, a zwłaszcza polskich intelektualistów czy pisarzy, należy, moim zdaniem, rozumieć właśnie jako oczekiwanie „wyznania” w powyższym, Foucaultowskim sensie. Domosławski temu wezwaniu do „powrotu” nie ulega, nie daje się też wepchnąć w sferę perwersji; nie wyrzeka się swojej tradycji, lecz, jak już powiedziałem, krytycznie ją rewiduje. Przeszłość, z całym jej niewygodnym bagażem, staje się konstytutywnym składnikiem – jako punkt krytycznego odniesienia – jego własnej, dzisiejszej, pod wieloma względami radykalnie odmiennej świadomości.

Dopiero w tak zdefiniowanej ramie modalnej narracji Domosławskiego nabierają właściwego sensu wszystkie składające się na jego opowieść wątki, również te, które okazały się dla krytyków książki całkowicie nie do przyjęcia, stanowiąc główne punkty wysuwanych pod adresem biografii oskarżeń o zdradę przyjaciela.

Po pierwsze, wywołująca chyba najwięcej emocji, sprawa życia osobistego reportera. Temat ten, chociaż rzeczywiście bardzo ryzykowny ze względu na bliskie związki biografii z domem Kapuścińskich, w opowieści Domosławskiego, tak jak ją rozumiem, mimo wszystko musiał się pojawić. Był on niezbędny, aby mogła się wypełnić jej główna intencja – intencja rewizjonistyczna. Uwrażliwienie feministyczne, a w takim ewidentnie duchu poprowadzony jest ten wątek książki, stanowi konstytutywny składnik równościowej i emancypacyjnej świadomości „nowej” lewicy w opozycji do patriarchalnego nastawienia lewicy „starej”. Domosławski odkrył jego wyraźne przejawy najpierw w postępowaniu Kapuścińskiego, a potem, zwrotnie, także w twórczości, i nie potrafił przejść nad tym do porządku dziennego.

Po drugie – kwestia warsztatu reporterskiego Kapuścińskiego. W skrócie przedstawiłbym to tak: na kartach książki Domosławskiego po raz kolejny ujawnia się stale odżywająca w obrębie lewicowej formacji literackiej kontrowersja pomiędzy realistyczną a kreacyjną koncepcją pisarstwa (idąca już od polemik Stanisława Brzozowskiego z poengelsowską tradycją estetyczną, przez na przykład opozycyjne wobec siebie programy Andrzeja Stawara i Ignacego Fika, konflikt awangardy i realizmu socjalistycznego – żeby podać kilka przykładów). W najnowszej osłonie tego sporu nowa lewica, krytycznie zorientowana wobec dekonstrukcji i postmodernizmu jako bezpośrednich punktów jej odniesienia, po raz kolejny zdecydowanie sytuuje się po stronie na nowo definiowanego realizmu¹⁶. Silnie artystycznie

¹⁵ M. Foucault *Historia seksualności: I. Wola wiedzy, II. Użytek z przyjemności, III. Troska o siebie*, przeł. B. Banasiak, T. Komendant, K. Matuszewski, wstęp T. Komendant, Czytelnik, Warszawa 1995, s. 56-68. Zob. także J. Kochanowski *Fantazmat zróżnicowany. Socjologiczne studium przemian tożsamości gejów*, Universitas, Kraków 2004, s. 27-37.

¹⁶ Zob. np. I. Stokiszewski *Zwrot polityczny*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2009.

nacechowane reporterstwo Kapuścińskiego w nieunikniony sposób musiało wzbudzić polemiczną reakcję Domosławskiego.

Po trzecie wreszcie – sprawa „katyńskiego kłamstwa” Kapuścińskiego. Podjęcie tego wątku życiorysu reportera, wątku dotyczącego jednego z najbardziej drażliwych narodowych tabu, potraktowane zostało przez niektórych recenzentów jako szczególnie dobitny przejaw wrogiego nastawienia biografa do bohatera swojej książki. Również w tym przypadku, jak uważam, krytycy całkowicie rozminęli się z oczywistą, wydawałoby się, że wystarczająco jasno wyrażoną intencją autora. Przywołuje on ten epizod z biografii Kapuścińskiego nie po to, aby pogrążyć znakomitego reportera w oczach Rodaków, lecz by poprzez ten drastyczny w swej wymowie, jednostkowy fakt sprowokować ogólniejszą refleksję na temat sposobu funkcjonowania polskiej wspólnoty narodowej – właściwych jej mechanizmów konformizmu społecznego, w tym zjawiska swoistego szantażu patriotycznego, wobec którego czasami nawet najwięksi z nas okazują się bezbronni. Zastosowana w tym przypadku, a niezrozumiana przez wielu czytelników, metoda problematyzacji (w żadnym razie nie denuncjacji!) stanowi jeden z podstawowych, wielokrotnie wykorzystywanych w książce, chwytów interpretacyjnych biografa.

Najbardziej dla mnie przejmujący w analizowanej tu „sprawie” Domosławskiego jest rozmiar klęski, jaką zakończyła się podjęta przez niego próba przełamania dyskursywnego *status quo*, wprowadzenia do debaty publicznej nowego, odmiennego od utartych sposobu mówienia o trudnych kwestiach niedawnej przeszłości. Recepcja książki ujawniła wyraziściej niż kiedykolwiek dotąd sytuację panującą w obrębie języka rozliczeniowego z komunizmem i PRL-em (czy, szerzej jeszcze, z XX-wieczną historią Polski), jego – języka – wewnętrzną strukturę. Ukazała niebywałą siłę, a wręcz hegemonię jednej strony oraz całkowitą niesamodzielność, wręcz reaktywność drugiej – jej faktyczne uzależnienie od schematów interpretacyjnych i systemu wartości antykomunistycznej narodowej prawicy. Objawiła też trwałość, „zabetonowanie” tego układu. Symptomatycznym przejawem tego stanu rzeczy jest wielokrotnie pojawiający się w trakcie debaty nad książką motyw domowego archiwum Kapuścińskiego, do którego, wprowadzając rodzinę w błąd co do swych rzeczywistych zamiarów, miał się zakraść Domosławski. Chciałoby się rzec: jakby rzeczywiście ukryto tam coś, czego w trosce o dobre imię pisarza należy starannie strzec przed objawieniem światu. To logika całkowicie niezgodna ze sposobem myślenia biografa.

Być może niektóre z licznych refutacji dzieła Domosławskiego powodowane były nie tyle jej niezrozumieniem, co – niepozbowioną, niestety, podstaw, jak pokazał rozwój wypadków – obawą przed opacznym jej odebraniem przez innych, mniej wnikliwych czytelników, nieprzygotowanych jeszcze na ujęcia zakłócające klarowność istniejących podziałów. W większości przypadków owe ataki na Domosławskiego sprawiają jednak wrażenie działań całkowicie spontanicznych, zupełnie szczerych. Głuchoty i ślepoty na klarownie wyłożone myśli (jak każde, podlegające przecież dyskusji), automatyzmu percepcyjnego, łatwości bezzasadnego

formułowania najbardziej bolesnych oskarżeń, emocji o natężeniu rzadko u nas spotykanym nawet w polityce, prowadzących do publicznego dezawuowania autora przed przeczytaniem jego książki, nie można wszakże uznać za w pełni kontrolowane, racjonalne zachowania. To reakcje habitualne, symptomy porządku władzy tak silnej, że niepostrzeżenie i bez reszty potrafiła zapanować nad umysłami, emocjami i ciałami sobie poddanych.

Abstract

Grzegorz WOŁOWIEC

**The Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences
(Warszawa)**

Domoslawski and his critics

In this article Wolowiec contests the prevalent reading of Artur Domoslawski's biography *Kapuscinski non-fiction*. Rather than aiming to disgrace the famous reporter, Wolowiec argues, Domoslawski's reflection on the life and work of Ryszard Kapuscinski forms a starting point for a sincere critical revision of a left-wing ideological tradition that is shared by Kapuscinski and Domoslawski, and that the latter also considers relevant to today's leftist ideologies. According to Wolowiec, even the passages that numerous readers have found particularly controversial – i.e. descriptions of writer's personal life and his strategy as a reporter – are indispensable to this revision. Wolowiec considers the reception of Domoslawski's work to be symptomatic of pathologies in Polish discourse of coming to terms with the legacy of communist era.

Interpretacje

Agata PRZYBYLSKA

Don Ildebrando w świetle iettatury
Próba interpretacji etnologicznej opowiadania
Gustawa Herlinga-Grudzińskiego

Niezaprzeczną składową literatury jest rzeczywistość, w której autor żyje, i choć sprzeciwia się jej niekiedy, nie może jej zupełnie pominąć. W stosunku do literatury emigracyjnej sytuacja ta komplikuje się ze względu na środowisko odmiennie kulturowo, które skłania do nieustannego porównywania swego „przedtem” i „teraz”. Jeśli nawet pisarz deklaruje swą niezależność, to na owo „obce” nie pozostaje nieczuły. W wypadku pism Gustawa Herlinga-Grudzińskiego kusi możliwość wzięcia pod uwagę tego, co świadomie było przez niego tak długo odrzucone. Dodać by można: nadaremnie (przełom nastąpił po roku 1989, kiedy to piarstwem Herlinga zainteresowała się lokalna prasa¹).

Konfesyjny charakter wywiadu-rzeki udzielonego Włodzimierzowi Boleckiemu sprawia, że jesteśmy w stanie przyjąć w dobrej wierze wszystkie wyznania pisarza. Między szczerością *Rozmów w Neapolu*, interpretatorską superdomyślnością Boleckiego, a samodzielną tkanką dzieła pozostaje jednak „luz”, którego nie są w stanie wypełnić drobiazgowo objaśnienia. Istnienie tej przestrzeni pozwala na eksperyment, czyli na umieszczenie opowiadań Grudzińskiego w nowych kontekstach i pokazanie ich ukrytych znaczeń. Wśród tych autorskich niedopowiedzeń najbardziej oczywiste są elementy neapolitańskie.

Do intertekstualności autor sam się przyznaje. Wpływ wcześniejszych dzieł na kolejne ujawnia się tym bardziej, im lepiej przyjrzymy się wątkom, z jakich po-

¹ G. Herling-Grudziński *Najkrótszy przewodnik po sobie samym*, oprac. W. Bolecki, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2000, s. 60-61.

wstają poszczególne utwory. Za przykład przemysłnej sztuki łączenia pomysłów cudzych i własnych niech posłuży opowiadanie *Don Ildebrando*.

Tkanka fabularna zdaje się prosta: mamy tu do czynienia z opowieścią o schyłku i upadku słynnego ze swej sztuki chirurga, uznawanego przez wielu ludzi za *iettatore'a*. Czytelnikowi nieznającemu kultury *Italia Meridionale* (Włoch Południowych), a zwłaszcza lokalnej kultury neapolitańskiej, zjawisko *iettatury* wydaje się dość egzotyczne. W słowniku codziennym Włochów jest ono jednak dobrze zadowomowane, chociażby z uwagi na dużą ilość derywatów tworzonych od czasownika *iettare* („rzucić zły urok”), obecnych nie tylko w leksyce mieszkańców środkowej części Półwyspu Apenińskiego, ale także w dialektach północy². Słownik Salvatore Battaglii podaje pięć takich pojęć, ilustrując je odpowiednimi przykładami z literatury: wymieniony już czasownik *iettare*; *iettato* (*participio passato* od *iettare*) na oznaczenie osoby dotkniętej „złym okiem”; *iettatore* – ktoś, komu przypisuje się zdolność przynoszenia nieszczęść, przy czym są one powodowane bądź jego obecnością, bądź samym aktem woli; przymiotnik *iettatorio* – na oznaczenie czegoś, co uważa się za przynoszące nieszczęście; oraz wreszcie *iettatura* – zły wpływ na innych, który według wierzeń ludowych jest wywierany przez określone osoby, zwłaszcza przy pomocy spojżenia, ale również za pośrednictwem przedmiotów³. Za drobniagowymi rozróżnieniami słowników włoskojęzycznych⁴ podążają słowniki dwujęzyczne, na przykład włosko-polski, w którym znajdujemy tłumaczenie takich słów, jak: *iettare*, *iettato*, *iettatore* i *iettatura*⁵.

Świat południowych Włochów, zwłaszcza zaś neapolitańczyków, jest pełen przesądów i ostrożności wobec tego, co niepoznawalne. Ludzie mają tu świadomość przebywania w sferze oddziaływań bliżej nieokreślonych sił, dlatego respektują ich prawa, gromadzą cały zapas środków, które pomagają im zjednywać dobro i bronić się przed złem albo też wyjaśniać, dlaczego zdarzyło się im nieszczęście. Wiara w *iettaturę* jest próbą dopatrzenia się uzasadnienia, nadania sensu spotykającym człowieka przeciwnościom. Z niej biorą się paradoksalne zachowania, o których mówi Herling w wywiadzie z Boleckim, na przykład: dystans otoczenia wobec włoskiego anglisty Mario Praza⁶, noszenie przez szwagierkę Elenę – osobę

² Według lokalnego informatora, określenie *menagramo* (obok znaczenia: *sgradevole* – nieprzyjemny, niemile widziany) dla mieszkańców Padwy i okolic oznacza także *iettatore*.

³ S. Battagli *Grande dizionario della lingua italiana*, vol. 7, Unione Tipografica–Editrice Torinese, Torino 1972, s. 233.

⁴ Opis zjawiska wraz z odniesieniem do literatury przynosi również: A. Prati *Vocabolario etimologico italiano*, Multigrafica Editrice, Roma 1969, s. 537 oraz *Lo Zingarelli minore. Vocabolario della lingua italiana di Nicola Zingarelli*, Zanichelli Editore, Bologna 2001, s. 493.

⁵ Por. W. Meisels *Podręczny słownik włosko-polski*, t. 1, Wiedza Powszechna, Warszawa 2003, s. 672–673.

⁶ G. Herling-Grudziński, W. Bolecki *Rozmowy w Neapolu*, Szpak, Warszawa 2000, s. 162.

inteligentną i światłą – amuletów⁷; krzyżowanie przez teścia pisarza, Benedetto Crocego, palców pod stołem. Cytowane przez Grudzińskiego przykłady potwierdzają obowiązujące na Południu powiedzenie: *non e vero, ma ci credo*⁸ i świadczą o aktualności spostrzeżeń oświeceniowego autora, Niccolò Valleta, który o wierze w zły urok mówił, iż jest ona charakterystyczna nie tylko dla plebsu, ale również dla ludzi „noszących togi, kawalerów tytularnych, [...], prawników, wziętych lekarzy, wspaniałych matematyków, inteligentnych filozofów”⁹ i innych wykształconych osób.

Do fascynacji powyższym zjawiskiem, które w swej istocie nie odbiega zbyt od znanego w polskiej kulturze ludowej złego uroku, Herling przyznaje się otwarcie. W wywiadzie z Boleckim¹⁰ ziarno ludowego przesądu zostaje opatrzone erudycyjnym komentarzem i literackim kontekstem dzieł romantyzmu, które autor *Don Ildebrando* wysuwa na plan pierwszy, zarówno ze względu na treść swego opowiadania, jak i wykorzystaną w nim metodę twórczą. W ścisłym połączeniu tradycji romantycznej powieści poetyckiej z ludowym, ale nie tylko przesądem, widać podobieństwo do tego ujęcia zjawiska *iettatury*, które prezentuje włoski etnolog Ernesto de Martino¹¹ w książce *Sud e magia*¹². Choć Gustaw Herling-Grudziński nigdzie nie wymienia tytułu tego dzieła, to jednak przyznaje się do znajomości wyników etnologicznych badań¹³. Pozycji tej nie można więc pominąć, choćby

⁷ Tamże, s. 163. Zob. także: G. Herling-Grudziński *Don Ildebrando*, w: tegoż *Opowiadania zebrane*, t. 2, oprac. Z. Kudelski, Czytelnik, Warszawa 1999, s. 203. Wszystkie kolejne cytaty lokalizuję w tekście.

⁸ Wł.: „To nieprawda, ale w to wierzę”. Innym wariantem tego powiedzenia jest: *non ci credo, ma e vero* – „nie wierzę w to, ale to prawda” [przekł. mój – A.P.]. Por. E. de Martino *Sud e magia*, Feltrinelli, Milano 1971, s. 112.

⁹ N. Valletta *La cicalata sul fascino volgarmente detto iettatura*, Stamperia della Societa Tipografica, Napoli 1814, s. 109. Właśnie ten fragment został przetłumaczony i zacytowany w opowiadaniu Herlinga (G. Herling-Grudziński *Don Ildebrando*, s. 203).

¹⁰ G. Herling-Grudziński, W. Bolecki *Rozmowy w Neapolu*, s. 159-179.

¹¹ Ernesto de Martino (ur. w Neapolu 01.12.1908; zm. w Rzymie 06.05.1965) – etnolog, przedstawiciel usuniętej ze współczesnej antropologii kulturowej etnologii związanej z nurtem historycyzmu. Zmierzył się z tematyką tzw. „kultury podporządkowanej”. Jego badania obejmowały etnologię religii europejskich i ludów prymitywnych, otworzył nowe drogi poszukiwaniom folklorystycznym. Autor takich książek, jak: *Naturalizm i historyzm w etnologii* (*Naturalismo e storicismo nell'etnologia*, 1941), *Świat magiczny* (*Il mondo magico*, 1948), *Śmierć i płacz rytualny w świecie antycznym* (*Morte e pianto rituale nel mondo antico*, 1958), *Południe i magia* (*Sud e magia*, 1959), *Ziemia wyrzutu sumienia* (*La terra del rimorso*, 1961) – za: *Enciclopedia Zanichelli* 1994, a cura di Edigeo, Zanichelli Editore, Bologna 1993, s. 529.

¹² E. de Martino *Sud e magia*, Feltrinelli, Milano 1959, s. 87-139.

¹³ G. Herling-Grudziński, W. Bolecki *Cud*, w: tychże *Rozmowy w Dragonei*, Szpak, Warszawa 1997, s. 48.

z uwagi na fachowe wyjaśnienia, które rzucają światło na *iettature* – pozwalają ją zrozumieć jako swoisty fenomen neapolitański, zakorzeniony jednocześnie w tradycji Kościoła, kulturze odrodzenia i romantyzmu.

W rozdziale poświęconym związkowi magii lukaniskiej¹⁴ z katolicyzmem śródziemnomorskim de Martino wskazuje na protestancką koncepcję pogańskiego Południa. Powołuje się przy tym na dzieło Theodora Trede'a¹⁵, oparte niemalże wyłącznie na opisie życia religijnego i zwyczajów regionów, które niegdyś stanowiły część Królestwa Neapolu. Podstawową tezę Trede'a jest twierdzenie, że Kościół katolicki nie zwyciężył tu grecko-rzymskich kultów pogańskich, a wręcz przeciwnie, kulty te pokonały Kościół. Ujmując ironicznie i lakonicznie ten stan rzeczy, autor pisze, iż „stare wino pozostało, zmieniła się tylko etykieta”¹⁶. Dostrzegając niedostatki tezy Trede'a (jej polemiczność, stawianie w korzystnym świetle tradycji niemieckiej), de Martino referuje najważniejsze, potwierdzające ją przykłady¹⁷. Twierdzi jednak, że jest ona uproszczeniem, które wynika ze specyficznych odczuć zwiedzającego Południe turysty. Nie można jej obronić, gdyż antyczny kult

¹⁴ Lukania – antyczna, będąca w użyciu aż do XII wieku i przywrócona w latach 1932-1947 nazwa regionu dzisiejszej Bazylikaty. Pochodzi od imienia antycznego ludu lukanów (za: *Enciclopedia Zanichelli*, s. 307).

¹⁵ T. Trede *Das Heidentum in der römischen Kirche. Bilder aus dem religiösen und sittlichen Leben Suditaliens*, Gothe 1889-1891 (cyt. za: E. de Martino *Sud e magia*, s. 150).

¹⁶ Cyt. za: tamże, s. 93.

¹⁷ Autor skupia się zwłaszcza na rozdziale poświęconym sanktuarium Montevergine oraz cudownemu obrazowi *Mamma Schiavona*, w którym Trede widzi redukcję kultu Maryi do czci oddawanej pogańskim boginiom-matkom. Święto tzw. *Madonny delle galline* w Pagani protestancki autor opatruje erudycyjnym komentarzem na temat Demeter i Cerery oraz towarzyszącym ich kultom obrządkom ofiarnym. Świętą Annę porównuje Trede z grecką Herą i rzymską Junoną. Magia święconej wody, chmury kadzideł, kwiaty na ołtarzu, światła przed obrazami, *vota*, wszelkiego rodzaju relikwie, obrazy i posągi występujące w Neapolu w takiej obfitości, że łatwiej jest tu spotkać boga niż człowieka, to wszystko, zdaniem Trede'a, jest pogańskie: „Aniołowie stróżowie są bóstwami opiekuńczymi, *monacello* wiąże się z bóstwami domowymi i penatami [...], kult żyjących na południu, zwłaszcza zaś na terenie Kalabrii węży, czarownice, ludzie opętani przez złego ducha, księża egzorcyści, egzorcyści ekstrakanoniczni [nie posiadający akceptacji Kościoła], nazywani na Sycylii *caporali*, złe spojrzenie (*malocchio*) i *iettatura*, to wszystko wyrasta z korzeni pogańskich” (tamże, s. 93-94). Montevergine to sanktuarium położone w gminie Mercogliano (Avellino – Campania), z którego szczytu (1493 m n.p.m.) można podziwiać panoramę okolicy aż po Zatokę Neapolitańską. Ufundowane w 1118 roku było siedzibą benedyktynów (za: *Encyklopedia Zanichelli*, s. 1201). Pagani to gmina w rejonie Salerno, położona na wschód od Pompei, w dolinie rzeki Sarno (za: tamże, s. 1318). Por. też *Atlante stradale d'Italia* – Sud, Touring Club Italiano, Milano 2001, s. 12. Penaty to bóstwa opiekuńcze domów i ognisk domowych. Poświęcona im świątynia znajdowała się w starożytnym Rzymie (za: *Encyklopedia Zanichelli*, s. 1363).

pogański zaginął. W obliczu Południa na próżno poszukujemy dziś śladów *Magna Grecia*, które zostały zatarte przez chrześcijaństwo i współczesność¹⁸.

Zamiast niepotwierdzonych przypuszczeń de Martino proponuje zakorzenie nie *iettatury* w ruchu iluministycznym, który na terenie Królestwa Neapolu rozwijał się od drugiej połowy XVII do końca XVIII stulecia. Na obszarze tym ze szczególną ostrością wystąpił kontrast między największymi osiągnięciami kultury wysokiej i licznymi świadectwami archaicznych sposobów myślenia, zachowanych w kulturze ludowej. Ta ostatnia tworzyła nie tylko „relikty magiczne”, ale wpływała na tutejszy katolicyzm, specyficznie go zabarwiając. W takich kategoriach – jako transformację czarów ludowych w pewien pogląd i zwyczaj – de Martino postrzega również *iettaturę*, która powstawszy w Neapolu, w końcu XVII wieku, rozprzestrzeniła się później po całej Italii¹⁹. Jej korzenie mogły wyrastać z myśli greckiej, a konkretnie z demokrytejskiego materializmu, gdzie pojawia się teoria możliwości wpływania na życie innych dzięki emanacjom ciała²⁰. Inne ujęcie uroku – psychologiczne – mówi, że jest on skutkiem przepełnionych zawiścią i złością wyobrażeń, które poprzez oko (spojrzenia) czarownika wpływają na ofiarę, dając bolesne zmiany w jej ciele i duszy²¹. Obie wymienione przez de Martino teorie zdomowały się w średniowieczu; w czasach odrodzenia, choć oficjalnie prześladowane, odżyły zaś z nową mocą. Świadome przeciwstawienie magii zdolnościom rozumowania wprowadził jednak dopiero iluminizm, a właściwie jego zwiastun – Franciszek Bacon. On właśnie dokonał laicyzacji „rzucania uroków i czarów”, rozumianych teraz wyłącznie na sposób psychologiczny, jako pochodne miłości lub nienawiści²². Ujęcie to zdomowało się w języku potocznym, o czym – zdaniem de Martino – świadczą wyrażenia typu: „urok osobisty”, „urok pięknej kobiety”, „urokliwe oczy” itp. Zostało również wykorzystane przez romantyków, na przykład przez Byrona, który wielu swoich bohaterów wyposażył w cechy sataniczne, działające w sposób psychologiczny. Na potwierdzenie swej teorii de Martino przytacza liczne dzieła, wśród których znajdują się zarówno prace teologiczne (*De Fascino* Leonarda Vairo, 1589), jak i utwory George’a Gordona Byrona (*Lara*, *Giaur*, *Korsarz*), François-René de Chateaubrianda, Teofila Gautiera (*Roi Candaule*), Gustave’a Flauberta (*Salammbô*) i innych.

Zreferowana powyżej teoria może stanowić ważne ogniwo w interpretacji opowiadania Herlinga, który południowowłoskie chrześcijaństwo uważa za zlepek „traumaturgii i magii”²³. Warto zatem podążyć tropem autorskiej sugestii i zoba-

¹⁸ E. de Martino *Sud e magia*, s. 95.

¹⁹ Tamże, s. 97.

²⁰ Szerzej na ten temat: W. Tatarkiewicz *Historia filozofii*, t. 1, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2003, s. 48-51.

²¹ E. de Martino *Sud e magia*, s. 97.

²² De Martino powołuje się tu na dzieło *De invidia* Bacona (tamże, s. 100).

²³ G. Herling-Grudziński, W. Bolecki *Rozmowy w Dragonei*, s. 48.

czyć *Don Ildebrando* w kontekście innych utworów, których bohaterowie wyposażeni są w podobne, „urokliwe” lub „urocze”, cechy. Konfrontację postaci musi jednak poprzedzać uważny ogląd opowiadania, w którym teoria *iettatury* obecna jest na różnych poziomach. Najłatwiej można ją zauważyć w temacie utworu, zwłaszcza zaś w tych fragmentach, które stanowią bezpośrednie nawiązanie do omawianego zjawiska, tworzą jego historyczną i antropologiczną obudowę. Na pierwsze miejsce wysuwa się tu część trzecia, w której narrator referuje zawartość książek pożyczonych przez Fausta Ageliniego. W rozdziale tym najlepiej też widać zbieżność *porte-parole* Herlinga z koncepcją de Martino: u obu autorów spotykamy podobne, jeśli nie identyczne, przykłady literatury przedmiotu i cytaty. Dobrą znajomość kultury *Italia Meridionale* Grudziński wykazuje w rozmowach z Boleckim, w których opowiada o specyfice życia lugańskich chłopów²⁴. Dziełem przypadku lub nie jest więc fakt, że *Sud e magia* oraz *Don Ildebrando* łączy odwołanie się do pochodzącego z 1787 roku utworu Niccoli Valletty *La cicalata sul fascino volgarmente detto iettatura* (które to dzieło de Martino szczegółowo analizuje) oraz odnotowanie komentarza Benedetto Crocego zamieszczonego w redagowanych przez niego „Quaderni della Critica”²⁵. Obok wymienionych tekstów pojawiają się też przykłady literatury romantycznej: *Il Corricolo* Aleksandre’a Dumasa²⁶ oraz wydana w 1840 roku w Oldenburgu książka Karla Augusta Meyera *Neapel und die Neapolitaner oder Briefe aus Neapel in die Heimat*²⁷.

Spośród wymienionych przez Herlinga źródeł trudno wyodrębnić te, które z całą pewnością czytał, i oddzielić od tych, które są mu tylko znane z ewentualnego przekazu de Martino, gdyż ten ostatni streszcza je i analizuje tak dokładnie, iż może być przewodnikiem po literaturze przedmiotu. Konfrontacja tekstów ukazuje jednak duże podobieństwo między strategią nadawczą Valletty i Grudzińskiego, które sprowadza się przede wszystkim do zastosowania tego samego sposobu opowiadania – pół żartem, pół serio. Półżartobliwy ton *Cicalaty*²⁸ pozwala Valletcie zażreć osobistą opinię i zachować dystans do przedmiotu, który bądź co bądź nie podlega oświeceniowej racjonalizacji, mimo że w fachowej literaturze używa się

²⁴ G. Herling-Grudziński, W. Bolecki, *San Dragone, Gruzy*, w: tamże s. 219-226 oraz s. 248-225.

²⁵ B. Croce *La Cicalata di Nicola Valletta*, „Quaderni della Critica” 1945 nr 3, s. 20-24.

²⁶ O lekturze tej pozycji mówi Herling przy okazji rozmowy na temat opowiadań *Pierścień i Łuk Sprawiedliwości* (G. Herling-Grudziński, W. Bolecki *Rozmowy w Dragonei*, s. 178-186).

²⁷ Tłumaczenia dzieła Meyera na język włoski dokonała Lidia Croce. Można więc chyba przyjąć, że Grudziński zapoznał się z tym utworem (Por. E. de Martino *Sud e magia*, s. 152, przyp. 72).

²⁸ De Martino dodaje, że bodźcem do jej napisania stał się poświęcony *iettaturze* i przestrzegający tej samej konwencji poemat Cataldo Carducciego (tamże, s. 112).

sformułowania *magia razionale* („magia racjonalna”). Jego skomplikowany stosunek do ludowego przesądu daje się zauważyć w dwóch opowiedzianych całkiem serio wydarzeniach. Jest to śmierć małej córki oraz nieudane usprawiedliwienie się przed królem z nieobecności na wykładach uniwersyteckich. Referując te fakty, autor *Cicalaty* wierzy, że zostały spowodowane złym spojrzeniem *iettatore’a*²⁹. To właśnie w odniesieniu do tych dwóch epizodów pojawia się różnica interpretacyjna między Benedetto Croce i de Martino. Pierwszy z nich odczytuje *Cicalatę* jako prozatorski żart napisany w stylu „poezji berneskiej na chwałę rzeczy nieprzeznaczonych do wychwalania i dla potwierdzenia prawd nieprawdziwych”³⁰, zaś pełny uczucia ton opowieści przypisuje fikcji literackiej. Drugi natomiast widzi w jej autorze przedstawiciela neapolitańskiej społeczności, człowieka, który wierzy w interwencję tajemniczych sił w swoje życie: przed sobą i innymi udaje, że żartuje z rzeczy, o których prawdziwości jest przekonany.

W utworze Herlinga, dzieło Valletty znajduje najobszerniejszy komentarz: z *Cicalaty* zostaje przytoczony cytat, który nawiasem mówiąc, występuje również w *Sud e magia*. Fragment ten stanowi kwintesencję teorii *iettatury* wyprowadzonej z oświeceniowego iluminizmu oraz koncepcji psychologicznej. Poważny stosunek Grudzińskiego do książki, a właściwie książeczki oświeceniowego autora, przebija w powtórzeniu stwierdzenia „wiem, że nie wiem” oraz w przetłumaczeniu tytułu dzieła przy pomocy słowa „dyskurs”, podczas gdy wyraz „cicalata” oznacza również „paplanie, gadanie”.

W odniesieniu do pozostałych przywołanych w trzecim rozdziale *Don Ildebrando* tekstów można stwierdzić, że de Martino streścił (o ile wręcz nie zacytował) opowiedzianą przez Dumasa historię księcia Ventignano³¹ i przytoczył we fragmentach wypowiedź Crocego (by pokazać jej polemiczność). Najmniej obaj autorzy – de Martino i Grudziński – wykorzystują studium Meyera lub Mayera (drugą wersję tego nazwiska stosował Herling). W porównaniu ze szczegółowymi omówieniami etnologa, sposób referowania Grudzińskiego jest niezwykle oszczędny. Autor *Don Ildebrando* stara się jednak zakorzenić *iettaturę* w świecie

²⁹ Tamże, s. 105.

³⁰ Tamże. Francesco Berni (ur. w Lamporecchio 1497/98, zm. 26.05.1535 we Florencji) – poeta, najwybitniejszy w XVI w. reprezentant literatury groteskowej, przedstawiającej w tonie podniosłym rzeczy błahe i pospolite. Zapoczątkował tzw. poezję berneską, która kształtowała się w opozycji do petrarkizmu. Napisał m.in.: 32 *Opowiadania (Capitoli)*, *Sonety* (zebrane w *Rymach*, 1885), *DIALOG przeciw poetom (Dialogo contro i poeti)*, 1526) oraz farsę wiejską *La Catrina* (1516) (za: *Enciclopedia Zanichelli*, s. 225).

³¹ Interesujący jest fakt, iż na wstępie swego opowiadania Herling przytacza przykład księcia, odwołując się do przekazu Dumasa, podczas gdy w rozmowie z Boleckim podaje książkę angielskiego historyka, Harolda Actona, *Prince Isidor*. Wywiad przynosi również demonologiczną interpretację postaci tytułowego bohatera (G. Herling-Grudziński, W. Bolecki *Rozmowy w Neapolu*, s. 162).

starożytnym i by związać ją z kulturą Greków i Rzymian, przywołuje terminy *alexiana* i *fascinum*³².

Zasadnicze pytanie pojawiające się po wskazaniu źródeł dotyczy jednak kwestii, w jakim stopniu przeczytane przez Herlinga lektury zaważyły na konstrukcji świata przedstawionego opowiadania. Na pierwszy rzut oka widać bowiem, że wiedza o *iet-taturze* nie zatrzymuje się wyłącznie w granicach fachowego komentarza, ale dyktuje zachowanie postaci: narrator przeplata zdania swego wywodu wypowiedziami bohaterów, które zdają się potwierdzać prawdziwość stawianych tez. Obok informacji stematyzowanej spotykamy więc sytuacje, które z jednej strony sprzyjają skoncentrowaniu uwagi na różnych przejawach *iet-tatury*, z drugiej zaś pozostają w zgodzie z deklarowaną przez autora zależnością od oświeceniowej powieści gotyckiej. Gra z czytelnikiem jest widoczna, gdy narrator umiejętnie wykorzystuje cytowane dzieła, dokonując przekładu fragmentów potrzebnych mu do podkreślenia wagi problemu. By zwiększyć poczucie autentyczności, „opowiadacz” wykorzystuje obserwacje życia codziennego i sam zdaje się ulegać złemu urokowi. Niektóre wątki jego refleksji znajdują zaś kontynuację w rozmowie Herlinga z Boleckim.

Swoiste zarażenie myśleniem „iet-tatorskim” widać przede wszystkim w tym, że od samego początku uwagę narratora zajmują spojrzenie i oczy. Elementem najbardziej charakterystycznym jest niezwykle wzrok, jakim dysponuje Fausto Angelini: nawet gdy w wieku 75 lat wycofuje się z zawodu, ciągle bywa zapraszany na operacje tylko po to, by patrzeć³³ (otrzymuje nawet przydomek Maga); dla chirurga *iet-tatura* jest funkcją *malocchio* – złego oka; dom, w którym mieszka, nosi nazwę *Palazzetto Panoramico* (z niego rozciąga się widok na Capri i połowę miasta³⁴); we wspomnieniach suor Magdaleny nieudana operacja siostry wiąże się z dziwnym wyrazem oczu lekarza, a relacji z tego wydarzenia towarzyszy niepewność, czy można zabić samym spojrzeniem?

³² *Fascinum* (łac.) – 1. czar, urok, urzeczenie, zaklęcie, zaczarowanie, zahipnotyzowanie, gusła, złe spojrzenie; 2. *phallus* – używany jako symbol przeciw czarom (za: L. Castiglione, S. Mariotti *Vocabolario della lingua latina*, Loescher Editore, Milano 1990, s. 412).

³³ Wyjaśniając genezę postaci głównego bohatera, Grudziński opowiada o pochodzącym z Abruzzów przyjacielu – doskonałym chirurgu, któremu płacono za samo asystowanie przy operacjach. W późnym wieku starał się on utrzymać sprawność rąk, robiąc wycinanki (G. Herling-Grudziński, W. Bolecki *Rozmowy w Neapolu*, s. 160).

³⁴ Ciekawe jest, przypadkowe jak sądzę, podobieństwo między usytuowaniem *Palazzetto* doktora i ambiwalentnymi własnościami jego oczu a przykładem przywołanym przez de Martino: adwokat, nauczyciel Valletty – Giuseppe Pasquale Cirillo – napisał i wystawił we własnym domu komedię *I Malocchi*. Jednym z ważniejszych elementów utworu jest postać straszego *iet-tatoere’a* – Don Paolo Verdicchio, który dysponuje taką siłą, że działa na odległość. Wystarczy, że wejdzie na wieżę pewnego kościoła w Salerno i popatrzy w stronę Neapolu z intencją uczynienia złe miastu (E. de Martino *Sud e magia*, s. 112).

Przerazającą siłą wzroku odznacza się również przodek Fausta – Conte Francisco Ildes Brandes. Daje się to zauważyć w opisie sztychu przechowywanego przez doktora, a jeszcze bardziej w streszczanej przez narratora historii prześladowań hiszpańskich *conversos*. Oskarżony o sekretną „judaizację” Don Ildebrando podczas śledztwa unieruchamia członków Trybunału Inkwizycji i uśmierca jego przewodniczącego Hernandeza wzrokiem, który zyskuje potem nazwę „diabelskiego”. Dziwne właściwości posiada także jego portret. Kiedy po nieudanej operacji Veroniki, pod nieobecność gospodarza narrator wystawia się na działanie spojrzenia Hiszpana, czuje się, by powtórzyć tytuł ulubionego opowiadania Herlinga, uwięziony „w kleszczach oczu”³⁵: unieruchamia go najpierw spojrzenie sportretowanego Don Ildebrando, a następnie podglądający przez mały otwór Don Fausto. Bohater mówi, iż oko „bierze go we władanie”, „opłatuje” i „dusi” aż „ogarnia go ciemność” (s. 214). Rozumuje więc podobnie, jak opisywany przez De Cesare’a, znany ze swej wiary w *iettaturę* neapolitański król – Ferdynand II. Władca ten na łożu śmierci krzychał: zauroczono mnie!, przypominając sobie pobyt w katedrze w Brindisi i człowieka, który zatrzymał na nim spojrzenie w znaczący sposób³⁶. Z drugiej jednak strony, wyjątkowe właściwości oczu Don Ildebrando mogłyby należeć do konwencji romantycznej, w której bohaterowie odznaczeni wzrokiem o niezwyklej przenikliwości, pozwalającym zobaczyć wnętrze duszy rozmówcy. Oczy te paraliżowały wolną wolę i powodowały posłuch tłumu (vide: *Korsarz* Byrona).

Tajemnicze możliwości wzroku są także akcentowane w grze słów narratora: przyjaźń z Don Faustem zostaje nazwana „przyjaźnią od pierwszego wejrzenia”, zbliżając się do Montenero bohater mówi, iż „wzrokiem wkraczał stopniowo w rodzinne mury Don Fausto”, po trwającym dwie godziny stanie nieświadomości chirurg patrzy na swego gościa „spojrzeniem pełnym niepokoju”, po powrocie z Hiszpanii Angelini boi się stanąć „oko w oko z samotnością”; zabijający swego oprawcę Don Ildebrando wpija mu wzrok „między oczy”; w zakończeniu opowiadania czytamy zaś tyradę o niewystarczalności widzenia świata tylko jednym okiem racjonalizmu³⁷.

³⁵ Chodzi o nowelę Henry’ego Jamesa – *W kleszczach łęku*, o której Grudziński mówi w wywiadzie z Boleckim (G. Herling-Grudziński, W. Bolecki *Rozmowy w Neapolu*, s. 159). O związkach i podobieństwach utworów polskiego pisarza z dziełami Anglika wspomina również Krzysztof Uniłowski w recenzji tomu *Don Ildebrando* (Krzysztof Uniłowski *Herling van Meegeren*, „Fa-Art” 1997 nr 2-3, s. 98-99).

³⁶ R. De Cesare *La fine di un Regno*, 1908 I, s. 238, 340 (cyt. za: E. de Martino *Sud e magia*, s. 118-119).

³⁷ Brzmi ona następująco: „zanadto współczesność wpoila nam kult «zdrowego rozumu». Oglądamy kącikami oczu zjawiska niewytłumaczalne, udajemy, żeśmy ich w ogóle nie widzieli, czytamy u śmielszych pisarzy o duchach osób umarłych, uważamy je za urojenia i płody chorej wyobraźni, byle tylko nie narazić naszego «zdrowego rozumu», byle tylko nie dać się wepchnąć w obręb innego wymiaru, za próg «rzeczywistości sprawdzalnej i dotykanej». Przechodzimy przez życie z jednym okiem nadmiernie aż wyostrzonym, z drugim ślepym, zaciągniętym

Powtarzany w różnej formie motyw oczu nieustannie destabilizuje wiedzę czytelnika. Pozostawia go wprawdzie w niepewności, ale także daje możliwość wyboru między różnymi interpretacyjnymi wariantami. Przykładem takiej strategii jest zdanie, w którym narrator podważa diagnozę lekarza: „stał nade mną Don Fausto ze spojrzeniem pełnym niepokoju. [...] «Pan jest wyraźnie przepracowany. Musi pan zwolnić tempo pracy». Co było nonsensem. Żyłem wtedy na luzie i pracowałem mało” (s. 214). W ten sposób potwierdza teorię *malocchio* (s. 231), która następnie zyskuje zabarwienie diaboliczne (w fachowym komentarzu są omówione sposoby opętania; w obu wypadkach – *infestazione diabolica* oraz *possessione diabolica* – może pojawić się zły urok, wywołany przez „diabelskie oko zdolne pod ludzką postacią zadać cios” (s. 220).

Przy całej demonologii oczu spojrzenie w *Don Ildebrandzie* nie traci jednak swych normalnych funkcji, na przykład psychologicznych i socjologicznych³⁸. Odbija się w nim admiraacja, jaką *suor* Magdalena darzy chirurga; po nieudanej operacji Don Fausto wstydzi się, unika wzroku narratora, patrzy na niego z wyrzutem, gdy ten porusza temat *iettatury*; prosto w oczy nie chce spojrzeć również Carmela – służąca Don Fausto. Obok „misji specjalnych” oczy posiadają także własności „uzdrowicielskie”. Dla zmęczonego *iettaturą* narratora kojąca staje się, jak to zwykle u Herlinga bywa, kontemplacja krajobrazu, a mianowicie widzianej nocą Zatoki Neapolitańskiej, uliczek Bevagni³⁹, łagodnych zboczy Umbrii.

Do tych elementów świata przedstawionego, które korespondują z teorią *iettatury*, należy także ukształtowanie niektórych miejsc akcji i bohaterów. Wyjaśniając pochodzenie Don Fausto, narrator wskazuje na rodzinne miasteczko chirurga, w którym dominują dwie budowle: romańska katedra i „hiszpański” zamek. Nie udało mi się potwierdzić istnienia miejscowości Montenero w pobliżu Chieti, ale miejsc o takiej nazwie jest dużo⁴⁰. Można więc przyjąć, podobnie jak Arkadiusz

bielmem. Wystarczy, by widzieć? Nie, nie wystarczy” (G. Herling-Grudziński *Don Ildebrando*, s. 231).

³⁸ Swoją fascynację wzrokiem Herling wyprowadza z faktu, że jest fizjonomistą skoncentrowanym na oczach. Uważa je bowiem za wziernik w duszę człowieka (jest to cecha romantyczna). Za moment przełomowy dla swego pisarstwa pod tym względem uznaje pobyt w sowieckim obozie. Szerzej na ten temat: G. Herling-Grudziński, W. Bolecki *Rozmowy w Neapolu*, s. 169-170.

³⁹ Bevagna – położone na południowy zachód od Foligno miasto w Umbrii, w antyku nosiło nazwę Melania. Rozwinęło się dzięki swej korzystnej lokalizacji przy rzymskiej via Flaminio. Posiada dobrze zachowane zabytki średniowieczne: kolegiatę św. Michała, bazylikę św. Sylwestra i Pałac Konsulów. Obecnie centrum przemysłu ceramicznego (za: *Enciclopedia Zanichelli*, s. 228 i *Itineraria d'Italia. Umbria. Lazio*, Touring Club Italiano, Milano 2001, s. 55-56).

⁴⁰ Pojawiają się one na terenie wymienionego wcześniej okręgu (Stazione di Montenero, Montenero di Bisaccia) w rejonie Grosseto, Livorno (Toskania) i Perugii (Umbria), a także w okolicach San Giovanni Rotondo i in.

Morawiec⁴¹, że epitet w nazwie „Czarna Góra” ma charakter znaczący i podkreśla panowanie złych mocy nad mieszkańcami miasta. Zawód przodka Don Fausto, który był znachorem lub felczerem, zwiększa tę możliwość. „Znachor” to jedno z trzech znaczeń włoskiego wyrazu *il guaritore*, który tłumaczy się również przy pomocy leksemów „uzdrowiciel” i „szarlatan”⁴². Obok czarownicy (wł. *la fatucchiera*), *guaritore* był jednym z protagonistów ludowej magii, która pomagała człowiekowi w chorobie. Cześć, jaką obdarza się pamięć Angeliniego-seniora, potwierdza taką tezę, tym bardziej że jest on przeciwstawiony gospodarzowi katedry⁴³, stojącej po stronie dobra.

Montenero znajduje się w górach, jest odizolowane od świata, który dociera doń przez nielicznych turystów. Zapomniane przez Boga i ludzi jest podobne do znanych z nowszej, krajowej literatury obszarów, takich jak: Prawiek Olgi Tokarczuk, Ściegi Magdaleny Tulli czy Dukła Andrzeja Stasiuka⁴⁴. Wszystko w nim jest inne: panują feudalne prawa, czas płynie wolniej, życie zaś zastyga. Nad miastem rozciąga się tylko pustka:

Pustka wзираła z kilku kruchych kamienic. (s. 198)

[...] wszystko właściwie w Montenero wymagało zdrobnienia, z wyjątkiem katedry nad przepaścią i zamku na wzgórzu zamiejskim. Począwszy od naszej gospodyni [...], poprzez rynek otoczony pierścieniem zaledwie kilku domków, do winiarni koło katedry, gdzie przy jednym tylko stoliku na powietrzu siedziało czterech mężczyzn grając w karty. Miasteczko robiło wrażenie nie zaludnionego, rynek nie miał zaplecza uliczek, jeden tylko nędzny sklepik przylegał do dziedzińca katedralnego. (s. 207)

Obok przywołanej przez Herlinga konwencji powieści gotyckiej i wymienionej z tytułu *Pustyni tatarskiej* Dino Buzzatiego⁴⁵ oczywistym kontekstem dla Mon-

41 A. Morawiec *Gry, zmyślenia i prawdy*, „Twórczość” 1998 nr 7, s. 109-112.

42 W. Meisels *Podręczny słownik włosko-polski*, s. 663.

43 W tekście znajdujemy wyjaśnienie: „[Katedra] już dawno nie posiadała gospodarza, żaden ksiądz nie chciał objąć opróżnionego miejsca, oberwany kościelny, najmłodszy chyba mieszkaniec miasteczka, jeszcze dość żywy, miał obowiązek otwierania i zamykania bramy oraz zamykania trzech naw” (G. Herling-Grudziński *Don Ildebrando*, s. 207).

44 O. Tokarczuk *Prawiek i inne czasy*, WAB, Warszawa 1996; M. Tulli *W czerwieni*, WAB, Warszawa 1998; A. Stasiuk *Dukla*, Wydawnictwo Czarne, Czarne 1997.

45 D. Buzzati *Il deserto dei Tartari*, intr. A. Sala, Arnoldo Mondadori Editore, Verona 1970. Dino Buzzati – prawdziwe nazwisko: Dino Buzzati-Traverso (ur. 16.10.1906 w Belluno, zm. 28.01.1972 w Mediolanie) prozaik, poeta, dziennikarz. Jego powieści charakteryzuje symboliczne przekształcanie rzeczywistości oraz fantastyczno-surrealistyczna atmosfera. *Pustynia tatarska* (*Il deserto dei Tartari*, 1940) – to historia młodego porucznika, Giovanniego Drogo, który pierwszą w swoim życiu nominację otrzymuje do położonej w górach Fortecy Bastiani. Na północ od bastionu rozciąga się teren nazywany pustynią, która fascynuje bohatera swoją tajemniczością. Życie całej załogi fortecy upływa na obserwacji tego obszaru. Wszystkim brak jednak

tenero są grafiki Bruno Schulza i jego opisy miejskich przestrzeni. U obu twórców spotykamy bowiem to samo spowolnienie ruchu, wyrażenie rzeczywistości, zawieszenie jej w metafizycznej otoczce, która sprawom codziennym nadaje posmak niezwykle. Obaj dokonują też pomniejszenia postaci do rozmiarów figurek-marionetek, zależnych od zewnętrznej siły – demiurga bądź feudalnego władcy⁴⁶. Sam narrator zauważa to podobieństwo: podczas drugiej wizyty spostrzega, że miasteczko jeszcze bardziej zapadło się w sobie, zmniejszyło, pozostając niemalże śladem dawnej obecności, małym punktem między dwoma przeciwstawnymi potęgami:

W Montenero mieszkańcy na rynku jak gdyby skurczyli się jeszcze bardziej od dni mojej poprzedniej wizyty, teraz wystarczyłoby włożyć im na głowy wysokie cylindry i wcisnąć do rąk króciutkie laseczki, aby wyglądali jak uciekinierzy ze świata Brunona Schulza. Identyczne kamienice na rynku i domki przy wjeździe do miasteczka. Niezmienne, lecz górujące w większym niż dotąd stopniu, pozostały jedynie katedra nad przepaścią i zamek na skalistym płaskowyżu. (s. 225)

Montenerowski zamek jest odizolowany od miasta (zamieszkujący go sporadycznie Don Fausto znajduje się niejako poza miastem i poza światem). Dzięki wprowadzeniu kontekstu malarskiego, a właściwie rytowniczego – *Więzień* (Carceri) Piranesiego⁴⁷, czytelnik może wyobrazić sobie jego wnętrze. Cykl włoskiego artysty charakteryzuje bowiem łączenie pól, łagodnych łuków, nisz i owalnych lunet z kolumnami, które, podtrzymując stropy, tworzą układy łamiące perspektywę. Elementem istotnym są tu schody i dekoracyjne łańcuchy dzielące przestrzeń pod różnymi kątami. Kiedy narrator mówi o zwodzonym moście, przychodzi na myśl tablica VII *Więzień*, gdzie plan krzyża utrzymany jest na czterech kondygnacjach i za każdym razem realizowany przy pomocy innych elementów (m.in. na

pewności, czy widoczne w oddali ruchome punkty to wrogowie. Tak naprawdę nie wiadomo, co dzieje się na linii horyzontu (za: *Encyklopedia Zanichelli*, s. 286).

- 46 Zob. B. Schulz *Genialna epoka*, w: tegoż *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, oprac. J. Jarzębski, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław-Kraków 1998, s. 138-140.
- 47 Giovanni Battista Piranesi (ur. w Moiano di Mestre 04.10.1720, zm. w Rzymie 09.11.1778) – rytownik, architekt (przebudował kościół Santa Maria del Priorato na Aventynie), pisarz (autor *Sądu o architekturze – Parere sull'architettura*, 1765), na którego dzieła miała wpływ najpierw sztuka wenecka, potem zaś architektura klasyczna (w roku 1840 przeniósł się do Rzymu) i malarstwo Rembrandta. Jest autorem serii oryginalnych rycin, które charakteryzuje bogactwo efektów uzyskiwanych przy pomocy światłocienia oraz obfitość motywów pochodzących z antyku, sztuki etruskiej i egipskiej. Elementy te łączy na sposób neoklasycystyczny. Do najsłynniejszych rycin należą: *Część pierwsza kompozycji i perspektyw (Prima parte d'architettura e prospettive)*, 1743), *Kaprysy (Capricci)*, 1745), *Widoki Rzymu (Vedute di Roma)*, 1748-1775), *Zabytki starożytnego Rzymu (Antichità romane)*, 1756), *Więzienia fantazji (Carceri d'invenzione)*, 1760) (za: *Enciclopedia Zanichelli*, s. 1399 oraz *Piranesi. Incisioni-Rami-Legature-Architettura*, a cura di A. Betagno, Neri Pozza Editore, Venezia 1981).

drugim piętrze znajduje się kolumna i przecięty na pół podest podtrzymywany na linach). Cechą dzieł Piranesiego, która pomaga lepiej zobaczyć metaforyczny sens siedziby Don Fausto (zamek ten zapewne istnieje tylko w literackiej przestrzeni), jest światłocień, a właściwie ostry kontrast bieli i czerni (widoczny zwłaszcza w drugiej wersji cyklu⁴⁸). Wydobywa on fakturę murów, a przy okazji wyprowadza z mrocznych zakamarków drobne, ludzkie postaci, podobne do włochatych zwierząt. Nad ich zgiętymi grzbietami górują geometryczne bryły. Analogicznie można wyobrazić sobie świat montenerańczyków, którzy tkwią w feudalnej zależności od Don Fausto – „ojca i pana miasteczka” (s. 199). Ich związek z Angelinim-juniorem podkreśla fakt, że wraz ze stopniowym upadkiem chirurga, następuje degradacja zamieszkiwanej przez nich przestrzeni. Montenero bowiem umiera:

Mieszkańcy Montenero nie garnęli się do Boga, choć nie podkreślali ostentacyjnie swej obojętności religijnej. Po prostu żyli tak, jakby ich miasteczko było umarłe lub układało się wolno do snu śmierci. Zginali się w czołobitnych ukłonach przed swoim Guliwerem, bo tak w zestawieniu z nimi wyglądał postawny i wysoki Don Fausto. Zapewne ich przodkowie w analogiczny sposób odnosili się kiedyś do jego ojca. Za „swoją” uważali jedynie zmarłą Veronikę, skoro była im równa miniaturową figurką. Każdy dzień pobytu w Montenero utwierdzał mnie w przekonaniu, że doktor przywiózł nas do martwego miasteczka. I sam czułem się w nim wszechwładnym panem.

Do pustej zawsze katedry wstępowałem chętnie. [...] Można było uwierzyć, [...], że zapowiada śmierć religii. A ten głupawy i półniemy kościelny [...] Umiał poprawnie wymówić dwa tylko słowa, [...]: *Montenero muore*, Montenero umiera. (s. 226)

Umieranie miasta wynika z indyferentyzmu religijnego mieszkańców i z wszechogarniającej myśli, że nie warto się zmagać z czymś, co zostało postanowione na wyższej płaszczyźnie bytu, z przekonania o nieodwracalności wyroku, bierności, fatalizmu, swoistej apoteozy zagłady. W tym przejawia się też wiara montenerańczyków w *iettaturę*. Przyjmują oni postawę zalecaną przez nieco uszczypliwy komentarz Dumasa, który instruuje:

kiedy spotkacie na ulicach Neapolu człowieka, jakiego opisałem, uważajcie! Założę się: sto do jednego, że macie do czynienia z iettatorem. Jeśli jest iettatorem i spostrzegł was pierwszy, zło już się dokonało i nie ma na nie remedium: pochylcie głowę i czekajcie.⁴⁹

Stan mieszkańców Montenero przypomina również apatię narratora sprzed podróży do Bevagni i Asyżu oraz swoisty „martwy sezon”, jakiego doświadczył po powrocie z Umbrii:

znalazłem się w strefie, którą znawcy morza określają jako martwą. [...] Żeglarzy przejmuje irracjonalny lęk, że wjechali w nieodwracalną smugę bezruchu, śmiertelnego bezruchu. Jeżeli trwa to „bez końca”, a czasem trwa rzeczywiście tak, że nie widać końca, wśród żeglarzy zdarzają się wypadki obłędu, lub co najmniej hysterii.

⁴⁸ *Carceri* istnieją w dwóch edycjach: pierwsza pochodzi z roku 1745, druga natomiast z 1761. Szerzej na ten temat: *Piranesi*, s. 29-30.

⁴⁹ A. Dumas *Il Corricolo*, cyt. za: E. de Martino *Sud e magia*, s. 121 [przekł. mój – A.P.].

[...] martwy krajobraz morski otworzył się i rozłożył w całej mojej istocie, stałem się wyłącznie jego ramą. Coś w moim życiu zaszło, coś niejasnego, i zostało naraz ucięte, ale nie stłumione. Chodziłem jak dawniej na spacer, tyle że na spacer [...] opustoszałe, niewrażliwe na otoczenie i przechodzących koło mnie ludzi. [...] [byłem – uzup. A.P.] wydrażony i czekający na wypełnienie urwaną treścią. (s. 221-222)

Przytoczony fragment można uznać za opis depresji lub psychologicznego stanu, który w literaturze przedmiotu określa się mianem *essere-agito-da* – bycia poruszonym przez coś⁵⁰, co przerasta możliwości zdefiniowania. Tym czymś jest oczywiście „złe oko” *iettatore’a*⁵¹. Narratorowi na krótki czas udaje się wyzwolić spod jego wpływu: opuszcza przestrzeń władania chirurga i kryje się pod skrzydłami religijnego doświadczenia św. Franciszka. Mieszkańcy Montenero nie mają natomiast takiej szansy. Nigdy nie poczują uzdrawiającego oddechu dobra ani skutków „egzorcystycznych” rozmów z Ecclesiusem⁵². Zapadną się pod niszczącym spojrzeniem swego „pana i ojca”, ponieważ stopniowe rozpadowanie się montenewskiej katedry wzmacnia w nich przeświadczenie śmierci religii, będącej jedyną siłą, jaka mogłaby się przeciwstawić potędze właścicieli zamku. Takie zakończenie wynika z prezentowanej przez Herlinga demonologicznej koncepcji *iettatury*. Widać ją wyraźnie w usytuowaniu katedry i posiadłości Angelinich niejako na dwóch biegunach, budowle te pełnią funkcję reprezentantów przeciwstawnych sobie sił: Kościoła, religii, Boga i pozostającego na ich antypodach, porażonego złem hiszpańskiego hrabiego – narzędzia złego ducha, tożsamego z definiowanym przez Nowy Katechizm Kościoła Katolickiego osobowym diabłem⁵³. To jednoznaczne przyporządkowanie *iettatury* sferze oddziaływań szatana pokazuje, że Herling roz-

50 Odczucie: „nie jestem już sobą”, „nie znajduję się w sobie”, towarzyszy również czarom i opętaniu (E. de Martino *Sud e magia*, s. 116, 137-138).

51 Inny tekst Grudzińskiego, *Szczyt lata. Opowieść rzymska*, zawiera również taki opis stanu wydrażenia – absolutnej próżni. Tam zawiśnięcie w martwej przestrzeni doprowadza narratora prawie do samobójstwa i staje się faktyczną przyczyną śmierci innych bohaterów. Por. Gustaw Herling-Grudziński *Szczyt lata. Opowieść rzymska*, w: tegoż *Opowiadania zebrane*, t. 2, s. 248.

52 Irlandzkiego księdza, egzorcystę Ecclesiusa, zwanego padre Stefano, spotyka narrator w Bevagni. To od niego dowiaduje się szczegółów na temat stanowiska Kościoła w sprawie opętania i egzorcyzmów. Młody, trzydziestoletni kapłan pełni więc w opowiadaniu rolę drugiego przewodnika wprowadzającego w tajemnicę zła, ale wskazującego jednocześnie sposób pokonania go (G. Herling-Grudziński *Don Ildebrando*, s. 218-221).

53 Zaprezentowana w *Rozmowach w Neapolu* koncepcja zła zostaje sformułowana przez Boleckiego, który podsumowuje: „To by znaczyło, że zło jest dla ciebie siłą pozapodmiotową, że nie ma jednego sprawcy. Sprawcą zła nie jest jednostkowy szatan, zło rodzi się jako «zawirowanie», które nagle ucieleśnia się w konkretnej osobie”. Herling potwierdza ten wywód lakonicznym: tak (G. Herling-Grudziński, W. Bolecki *Rozmowy w Neapolu*, s. 165). Samo opowiadanie jednak nie precyzuje tego poglądu.

wija tylko jedną z obecnych w literaturze przedmiotu teorii. Generalnie bowiem jako źródło *malocchio* wymienia się albo „haniebny pakt z diabłem”⁵⁴, albo namiętność i wyobraźnię ludzką (reprezentantem pierwszego kierunku jest wymieniony wcześniej traktat Vairo, drugie stanowisko spotykamy zaś u della Porty – tu pojawia się interpretacja magiczno-naturalna nolańczyka Bruno, Campanelli i Niccoli Valetty). W wywiadzie udzielonym Boleckiemu pisarz nie tylko podkreśla diaboliczną genezę fenomenu⁵⁵, ale także przyporządkowuje *iettatore* wolę wyrządzenia zła⁵⁶ (pozostaje więc w opozycji do de Martino, który mówi, iż człowiek nie musi podpisywać ugody z diabłem, może być pasywnym odbiorcą, nieświadomym nosicielem złych sił). To wybiórcze potraktowanie teorii *iettatury* pozwala Grudzińskiemu dokonać swoistej wolty: „nagiąć” opis zjawiska w kierunku totalitaryzmu, przejść gładko od zakorzonego w oświeceniowej filozofii światopoglądu do problemów nazizmu i komunizmu. W opowiadaniu natomiast umożliwia nałożenie maski zła na twarz protoplasty Angelinich, podobnie jak działo się to w „portrecie weneckim” Alviego⁵⁷. Taki zabieg „demonizacji” nie wynika jednak z logiki przesądu. Jest skutkiem holistycznej wizji wyjaśniającej mechanizm działania zła w świecie, jego genezę oraz następstwa w ludziach i społeczeństwach. Rezultatem owej wizji jest także spójne potraktowanie obu bohaterów. Czytając wywiad, można odnieść wrażenie, że Herling myli postaci. Przechodzi sprawnie od cech jednej do drugiej⁵⁸, tak jakby protagonista utworu składał się z dwóch części – Don Fausto i Don Ildebrando.

54 E. de Martino *Sud e magia*, s. 103.

55 Grudziński stwierdza: „Wprowadzam ten motyw, bo uważam, że iettatura jest najbliższej sfery diabelskiej” (G. Herling-Grudziński, W. Bolecki *Rozmowy w Neapolu*, s. 162).

56 Tamże, s. 164.

57 G. Herling-Grudziński *Portret wenecki*, „Kultura” 1994 nr 1-2, s. 30-53.

58 Omawiając nieudaną operację Veroniki, Grudziński opowiada o Angelinim: „Dlatego u mnie Don Fausto traci swoje szatańskie zdolności, gdy popełnia błąd podczas operacji najbliższej mu osoby. [...] Operacja jest tak przedstawiona, jakby w trakcie jej przeprowadzania został on gdzieś z zaświatów przywołany do porządku. Nie piszę wyraźnie, dlaczego i przez kogo jest do tego porządku przywołany, ale podejrzewam, że D o n I l d e b r a n d o [podkr. moje – A.P.] czymś się naraził swemu protopłascie rodu diabelskiego. Podkreślam jednak, że przed postawieniem go przed Świętą Inkwizycją był wzorowym obywatelom, [...] Czyli on nie był «diabelski» od urodzenia, lecz stał się na skutek tego, co go spotkało. Wprowadzam tu motyw tortur, [...] Pod ich wpływem w D o n F a u s t a [podkr. – A.P.] wstępują szatańskie umiejętności i wówczas robi to, co jest dla nas niesamowite, czyli zabija wzrokiem jednego z inkwizytorów” (G. Herling-Grudziński, W. Bolecki *Rozmowy w Neapolu*, s. 162). Podkreślone imiona bohaterów powinny wystąpić w odwrotnej kolejności, gdyż to właśnie Don Ildebrando był protoplastą rodu – nie mógł więc narazić się samemu sobie, Don Fausto natomiast nie był torturowany. Podobne pomyłki pojawiają się, gdy

Zachowując więc dystans do manichejsko-demonologicznej wykładni autora, zobaczymy „iettatorskie” cechy poszczególnych bohaterów. Odwracając chronologię narracji, sięgnijmy najpierw po Don Ildebrando. Niestety, nie natrafiłam na trop książki będącej źródłem wiedzy pisarza na temat hiszpańskiej Inkwizycji. Szereg zabiegów maskujących, o których wspomniał Herling w rozmowie z Boleckim, okazało się bardzo skutecznych albo też została ona wymyślona⁵⁹. Twarz bohatera nakreślona jest kilkoma zdecydowanymi pociągnięciami, które przynoszą jedynie ogólnikowe informacje, że z pogodnej i dobrotliwej stała się ona złą i okrutną (s. 213). Uwaga narratora skupia się na opisie wzroku Don Ildebrando, który jest przeszywający (s. 206), przenikliwy, diabelski (s. 211), straszny (s. 230). Wszystko to jest o wiele mniej konkretne niż fizjonomiczne studia romantyków, którzy dla zabawy lub serio tworzyli szczegółowe portrety *iettatore’ów*⁶⁰. Może więc również zostać uznane za przejaw gotycyzmu lub za nawiązanie do spojrzeń bohaterów bajronicznych albo aluzję do postaci Fausta.

Wpływem *iettatury* można tłumaczyć społeczny lęk przed zgubnym wpływem *malocchio*. W opowiadaniu widać go w dziwnych właściwościach portretu Don Ildebrando oraz w informacji na temat zbrodni Hiszpana. Od chwili jej popełnienia zyskuje on sławę *iettatore’a* – najpierw w opinii świadków morderstwa, potem w przekonaniu całej społeczności. Na początku VIII rozdziału czytamy:

Odtąd, przez pół wieku, mówiło się bezustannie o mordercy uzbrojonym w „złe, zabójcze oko”. [...] asystujący przy tej scenie pamiętali straszny, bezlitosny, stalowy wzrok Don Francisco podobny do szyletu; i byli przekonani, że ten wzrok przeniesiony na nich miałby nad ich życiem taką samą władzę, władzę zabijania. (s. 212)

Nie jest dziełem przypadku, że na siedzibę rodu bohater wybiera centralnie położone Abruzzo⁶¹, bardziej przesądne od północnej Wenecji. Tu właśnie rozgry-

Herling mówi: „I dlatego w moim opowiadaniu Don Fausto staje się diablem z konkretnego powodu. Gdyby nie był tak okrutnie torturowany, to pewnie pozostałby do końca życia urzędnikiem w Toledo” (tamże, s. 163). Odpowiadając na pytanie Boleckiego: „czy jest fakt nieudanej operacji doktora Anielskiego”, Grudziński stwierdza: „[Czytelnik] powinien wiedzieć, bo to jest bezsporny dowód, że zaczyna się upadek Don Ildebranda” (tamże, s. 168).

⁵⁹ Takiego zdania jest Arkadiusz Morawiec. Zob. A. Morawiec *Gry, zmyślenia i prawdy*, s. 110. Jego recenzja ukazała się jednak przed publikacją *Rozmów w Neapolu*.

⁶⁰ Przykładem może być tu fragment utworu Dumasa: „Iettatore jest zwykle błądy i chudy, ma bardzo wygięty nos, duże, podobne do ropuchy, oczy, które dla niepoznaki, ukrywa za parą okularów” (A. Dumas *Il Corricolo*, cyt. za: E. de Martino *Sud e magia*, s. 121, przekł. mój – A.P.).

⁶¹ Abruzzo lub Abruzzi – region Półwyspu Apenińskiego otoczony od wschodu morzem Adriatyckim, od północy graniczy z Marchią, na zachodzie z Lacjum, na południu zaś z Molise (za: *Enciclopedia Zanichelli*, s. 14).

wa się akcja wielu utworów szanowanego przez Herlinga, Ignazio Silone⁶². W jego książkach, które opisują rzeczywistość włoskiej wsi, przedmioty chroniące przed działaniem wzroku *ietttore* są wkomponowane w krajobraz. Na przykład w relacjonującej losy komunisty Pietro Spina powieści *Vino e pane* domy abruzzyskich wieśniaków są zaopatrzone w bawole rogi, które mają strzec przed złym urokiem⁶³. Pojawienie się zaś bohatera, który dla bezpieczeństwa podróżuje w przebraniu księdza, wywołuje okrzyki, mające chronić przed skutkami *ietatury*. Rytuał ten wyraża jednocześnie nobilitację przybyłego i jest potwierdzeniem autentyczności „kapłana”. We wspomnianym utworze znajdujemy:

Wśród młodzieży był człowiek w podeszłym wieku, z twarzą starego aktora na emeryturze i z kapeluszem o szerokim rondzie, który grał w karty i sapiąc pił kawę. Na widok obcego księdza uczynił znak przeciw złemu urokowi.

– Żelazo, żelazo! – krzyknął. Śpiący obudzili się od krzyku i również podjęli konieczne środki ostrożności. Don Paolo rozpoznał rytuał i już miał powiedzieć coś aroganckiego, ale zamilkł, ponieważ sposób zachowania tych próżniaków był potwierdzeniem jego kapłaństwa. Zadowolony pozostał na swoim miejscu.⁶⁴

⁶² Ignazio Silone (ur. 01. 05.1900 w Pescina dei Marsi, zm. 22. 08.1978) – pseud. lit. Secondo Tranquilli. Pisarz i polityk, działacz włoskiej partii komunistycznej, od momentu jej powstania (1921), od której odłączył się w 1930 roku na znak protestu przeciw rządowi Stalina w Związku Radzieckim. W okresie włoskiego faszyzmu (1930-1945) wyemigrował do Szwajcarii. Po wyzwoleniu zapisał się do PSI (Włoskiej Partii Socjalistycznej) i został redaktorem naczelnym „Avanti” (1945). Był również deputowanym do Konstytuanty. W 1947 wycofał się z aktywnego życia politycznego. Jego dzieła, takie jak *Fontamara* (1930), *Wino i chleb* (*Vino e pane*, 1937), *Ziarno pod śniegiem* (*Il seme sotto la neve*, 1940) cechuje postawa obywatelska i moralizm. Ich bohaterowie – chłopci z południa Włoch, są opisywani bardzo realistycznie. W pochodzących z okresu powojennego powieściach – *Garsć jeżyn* (*Una manciata di more*, 1952), *Tajemnica Łukasza* (*Il segreto di Luca*, 1956), *Lis i kamelie* (*La volpe e le camelie*, 1960) – pojawia się zgoda na pewnego rodzaju ewangelizm socjalistyczny (jego przykładem może być przywoływana wielokrotnie przez Herlinga *Przygoda biednego chrześcijanina* – *Avventura di un povero cristiano*, 1968 (za: *Enciclopedia Zanichelli*, s. 1713).

⁶³ „Sanie Magasci przejechały przez wieś Lama w regionie Marsica. Na domach i ruinach widać było bawole rogi wbite przeciw złemu oku” (I. Silone *Vino e pane*, Arnoldo Mondadori Editore, Verona 1955, s. 72, przekł. mój – A.P.). Marsica – geograficzny i historyczny region południowo-zachodnich Abruzzów, mający za centrum kotlinę Fucino, który przyjął nazwę od antycznego ludu marsów. Główne miasta okręgu to Avezzano, Celano, Pescina (za: *Enciclopedia Zanichelli*, s. 1122). W opowiadaniu przez Avezzano przejeżdża narrator podczas podróży do Montenero. Wzmianka o bawolich rogach występuje również w trzecim rozdziale (G. Herling-Grudziński *Don Ildebrando*, s. 202).

⁶⁴ I. Silone *Vino e pane*, s. 66 [przekł. mój – A.P.]. Opisane wyżej zdarzenie ma miejsce na terenie Marsiki, w Abruzzach. Jest formą ludowego przesądu, iż widok księdza przynosi nieszczęście. Aby mu zapobiec, należy dotknąć żelaza. Okrzyk starego człowieka, który w całości powinien brzmieć *tocca ferro* („dotknij żelaza”), zastępuje ten gest.

Wskazania prewencyjne przesądu zabraniają najmniejszego kontaktu z nosicielem *malocchio*. Nie przestrzega tego narrator, kiedy potajemnie ogląda fresk-portret Don Ildebrando. Czynność ta wprowadza go w stan hipnozy⁶⁵, której skutki są mniej dokuczliwe niż spotkanie z duchem Hiszpana; pojawia się on zgodnie z konwencją gotycką, traktowaną trochę jak zbiór rekwizytów. W jej skład wchodzi bowiem: ruiny katedry, zbliżona do labiryntu architektura zamku, budowany na wzór atmosfery *Zamczyska w Otranto* nastrój grozy. Analogie z utworem Horace’a Walpole’a można byłoby zobaczyć w częściowym ulokowaniu akcji w feudalnych Włoszech (w *Zamczysku*... Teodor poszukuje nawet swego ojca w Neapolu⁶⁶), w wykorzystaniu pomysłu ożywiania i wychodzenia postaci z obrazów (u Walpole’a z portretu schodzi dziad Manfreda⁶⁷), w prowadzeniu swobodnych rozmów ze zjawami⁶⁸, w specyficznym postrzeganiu części ich „ciała”⁶⁹ – są one wyolbrzymiane – a także w całkowitym podporządkowaniu kobiet kochanym przez nich mężczyznom (Hipolity i Matyldy – Manfredowi; Veroniki – Don Fausto). Elementy gotyckie, które dla narratora są furtką pozwalającą uniknąć wyjaśnień etnologicznych, usprawiedliwiają również manichejską koncepcję świata wraz z fascynującym Grudzińskiego momentem narodzin zła w człowieku; tłumaczą walkę wewnętrzną bohaterów i dopuszczają istnienie różnorodnych przejawów magii. Ich obecność pozwala ustanowić płynną granicę między światem żywych i umarłych. Konwencji gotyckiej można przypisać brak sił życiowych narratora (podobnie jest w *Kleszczach lęku* Jamesa, gdzie „przyjaźniący” się ze zjawą Piotra Quinta mały Miles umiera⁷⁰). Ale złe samopoczucie i zmęczenie mogą być również następstwem *malocchio*. Dlatego właśnie „opowiadacz” stosuje wypróbowaną metodę uniku –

65 W utworze czytamy: „stał w całej okazałości i patrzył przed siebie tym swoim strasznym okiem. Ja zaś stałem naprzeciw niego, biło mi mocno serce, nogi moje przyrosły do ziemi. Ile upłynęło czasu?” (G. Herling-Grudziński *Don Ildebrando*, s. 230).

66 H. Walpole *Zamczysko w Otranto*, przeł. M. Przymanowska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974, s. 76.

67 Tamże, s. 14-15.

68 Tamże, s. 17.

69 W utworze Walpole’a, na polecenie Manfreda służba przeszukuje zamek i z przerwaniem opowiada o zobaczonej nagle w wielkiej komnacie stopie, a później nodze olbrzyma (tamże, s. 24-26). U Grudzińskiego Don Ildebrando wychodzi z fresku i wymierza swemu potomkowi potężnego kopniaka (G. Herling-Grudziński *Don Ildebrando*, s. 231). Wśród tekstowych zależności na pierwsze miejsce wysuwa się jednak relacja Bianki o pojawieniu się na poręczy schodów wielkiej ręki w zbroi. Motyw ten powtarza się w liście Walpole’a do Williama Cole’a i w tej wersji jest wykorzystany przez Herlinga.

70 Por. H. James *W kleszczach lęku*, przeł. W. Pospieszala, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1990, s. 164.

ucieka⁷¹ z przestrzeni władania Angelinach. Gdy staje na zewnątrz „kredowego koła”, odnosi wrażenie, że przebywał w irracjonalnym świecie. Oto, co mówi:

skorzystałem z pogody i pomaszerowałem drogą w dół, pamiętając, że na rozdrożu w odległości czterech-pięciu kilometrów znajduje się wiejska karczma. [...] Jadłem w zgiełku jedyne danie, gęstą zupę jarzynowo-mięsna, popijałem podławe wińsko i z ulgą czułem odtajenie. Mogłem teraz słuchać mówiących [...] nie wiedząc, kim jestem, wzmiankowano niekiedy Don Fausto i Montenero, jakby chodziło o czarownika i jego domę. (s. 229-230)⁷²

Właśnie takie wrażenie: wejście w zaczarowany krąg odmiennych obyczajów lub wyjście z niego towarzyszy romantycznym pisarzom zwiedzającym Neapol. Przywołany przez de Martino i Herlinga Meyer pisze nawet o tym żartobliwie:

Kiedy cudzoziemiec przybywa do Neapolu zaczyna od wyśmiewania iettatury, następnie powoli przejmując się nią, w końcu, po trzech miesiącach pobytu, widziecie go pokrytego rogami od głowy do stóp, z wiecznie skurczoną prawą ręką.⁷³

Narrator *Don Ildebrando* oczywiście tak nie reaguje. Jest człowiekiem „z zewnątrz” i wydaje się zupełnie odporny na lokalny zabobon. Wyróżnia go postawa obserwatora: jest mieszkańcem metropolii żywo zainteresowanym tematem, z zaciekawieniem więc opisuje interesujące go zjawiska, ale nie jest w nie uwikłany. Ma duszę eksperymentatora i podglądacza. Zachowuje zdrowy rozsądek, czym wzbudza zaufanie czytelnika, który podawane informacje traktuje zupełnie serio. Z drugiej jednak strony, zdaje się uwikłany w przebieg relacjonowanych wypadków⁷⁴ – pod wieloma względami jest przecież zależny od Don Fausto. Podkreśla w opowiadanej historii element cudowności, neguje istnienie ślepych trafów i przypadkowych koincyden-

⁷¹ W. Bolecki widzi tu prawidłowość fabularną twórczości Grudzińskiego, a mianowicie obecność motywu „wydostania się”. Pojawia się on w *Innym Świecie*, *Don Ildebrando*, *Zimie w zaświatach* i *Szczybie lata* (G. Herling-Grudziński, W. Bolecki *Rozmowy w Neapolu*, s. 173).

⁷² Narrator czuje się podobnie po przyjeździe do Beagni: „W dniu przyjazdu do klasztornego hotelu, natychmiast po rozmowie ze znajomymi zakonnicami i po rozpakowaniu walizki w wyznaczonym mi pokoju, poczułem się lepiej. I to w sposób, który miał w sobie coś z cudowności, dotknięcia różdżki czarodziejskiej. Wyrazne było wrażenie wyjścia poza jakąś linię magiczną, podobne do wynurzenia się osłabionego nurka na powierzchnię wody” (G. Herling-Grudziński *Don Ildebrando*, s. 216).

⁷³ K.A. Meyer *Neapol...* (cyt. za: E. de Martino *Sud e magia*, s. 120). Chodzi tu zapewne, jak twierdził informator miejscowy, o gest odwracający zły urok: palce – wskazujący i mały – są wyprostowane i tworzą rogi, pozostałe natomiast są skurczone.

⁷⁴ W fachowym komentarzu mówi: „Co do mnie, o rzeczywistym działaniu malocchio przekonują mnie najbardziej odwieczne, nigdy na serio nie podważone, odmiany broni w walce z nim” (G. Herling-Grudziński *Don Ildebrando*, s. 203).

cji (nawet, gdy „bezwiednie” wędruje pod *Palazzetto Panoramico* – s. 222). Jest święcie przekonany, że to, co widzi, dzieje się naprawdę i szczegółowo opisuje wewnętrzne stany. Ta drobiazgowa wiwisekcja może być jednocześnie elementem subtelnej gry, jaką prowadzi z czytelnikiem. Bo przecież mimo fachowych komentarzy udaje ignorantą – podkreśla swą ograniczoną wiedzę i buduje atmosferę niedopowiedzeń. Posługuje się autoironią, by postawić pod znakiem zapytania swe pisarskie umiejętności, jednocześnie zaś dba o staranny dobór słownictwa, zamieszcza uwagi na temat procesu twórczego i kompozycji utworu⁷⁵. Stara się też uprzedzić niedowierzanie czytelnika. Asekuruje się karykaturą i groteską⁷⁶, która zbliża jego relację do *Il Corricolo* Dumasa, gdzie opisy *iettatore’ów* są nacechowane dobroduszną ironią, odmienną od półzartobliwego tonu *Cicalaty*, pod jakim Valletta starał się ukryć swój ambiwalentny stosunek do przesađu.

Pełna niedopowiedzeń migotliwość rozciąga się także na postać Don Fausto, który posiada cechy *iettatore’a* bez jednoznacznego stwierdzenia, że nim jest. Problem, jak dochodzi do narodzin takiego osobnika, jest osią kompozycyjną utworu. Przemyslenia bohatera i wypowiedzi Herlinga z rozmowy z Boleckim przynoszą analogiczne konstatacje. Don Fausto obsesyjnie wraca do korzeni, staje się odmieńcem (na przykład nie toleruje wina) i odludkiem. Kawaler, utalentowany i bogaty, mimo wszystko szuka wyrafinowanego towarzystwa – wybiera pisarza, ale nie chce się z nim dzielić swą tajemnicą. W *Palazzetto Panoramico* i w montenerowskim zamku posiada mroczne sanktuaria, które, interpretowane zgodnie z Balzackowską zasadą opisu⁷⁷, odzwierciedlają jego prawdziwą naturę. Dochodzi ona do głosu w podświadomości⁷⁸ – po fatalnej operacji, podczas snu, chirurg wypowiada słowa: *malefico, iettatore, sorellina*.

Angelini ma opinię świetnego specjalisty i wysoką pozycję społeczną. Jest dobrze zbudowany (przypomina Guliwera), ma przewagę nad lilipucimi mieszkańcami Montenero, którzy obdarzają go przydomkiem „don”⁷⁹. Dominuje także nad

⁷⁵ O narracji i grze z czytelnikiem zob. m.in.: W. Bolecki *Maisons-Laffitte, 13 grudnia*, w: *Herling-Grudziński i krytycy. Antologia tekstów*, wyb. i oprac. Z. Kudelski, Presspublica, Lublin 1997, s. 227-279 oraz M. Głowiński *Muza zmysłowych podróży*, w: tamże, s. 291-294.

⁷⁶ Szerzej na ten temat: I. Mityk *Wykorzystanie groteski w opowiadaniach Herlinga-Grudzińskiego*, w: *O Gustawie Herlingu-Grudzińskim*, cz. 3, red. J. Paclawski, Poligrafia WSP Kielce, Kielce 1999, s. 195-206.

⁷⁷ W powieściach francuskiego romantyka można zauważyć odpowiedniość między wyposażeniem pokoi a cechami charakterów ich mieszkańców.

⁷⁸ Więcej na temat roli snu w utworach Grudzińskiego: E. Bieńkowska *Pisarz i los. O twórczości Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*, Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2002, s. 103-108.

⁷⁹ Tytuł przeznaczony dla książąt i kapłanów lub dla dżentelmenów i osób obdarzanych szacunkiem społecznym, w szczególności na terenach Italii należących do hiszpańskiego dominium (za: *Enciclopedia Zanichelli*, s. 568).

społecznością neapolitańczyków: posiada tajemnicze zdolności, które potwierdza nazwisko (jego znaczenie tłumaczy narrator, a dookreśla sam Grudziński⁸⁰, mówiąc o tradycji faustycznej literatury⁸¹). Angelini podporządkowuje sobie „przyjaciela” – w czasie wieczornych spotkań w *Palazzetto* narrator jest tylko słuchaczem. Jest pacjentem całkowicie zależnym od umiejętności zawodowych i wiedzy Don Fausto, który staje się dlań przewodnikiem: czuwa nad „intelektualnym” rozwojem narratora, wtajemnicza go w zagadnienie *iettatury*, dobiera lektury. Decyduje też o przerwaniu i wznowieniu spotkań.

Wyższość w stosunku do otoczenia i świadomie zaplanowana samotność łączą Angeliniego z księciem Ventignano. Cechą wspólną obu bohaterów jest mimowolne bycie *iettatore*. Opisany przez Dumasa w *Corricolo* anonimowy książę – Il Principe ***, który na swoją rodzinę i otoczenie sprowadza szereg nieszczęść, nie podpisuje jednak paktu z diabłem. W interpretacji de Martino staje się on „najbardziej zdecydowaną negacją życia towarzyskiego, żywym symbolem irracjonalizmu, nieświadomości i zła”⁸². W opowiadaniu Herlinga nie ma sceny oficjalnego przejścia Angeliniego na stronę diabła. Wiedzę o ewentualnym jej zaistnieniu wnosi czytelnik wraz ze znajomością faustycznej tradycji. Teoria o dziedziczności *iettatury* jest jedynie częścią poglądów głównego bohatera. Czy trzeba więc w nią wierzyć?

O możliwości rzucania uroku świadczą jednak oczy chirurga podczas operacji Veroniki. Do tego dochodzi eksperyment, jakiemu poddaje on pisarza. „Iettatorskich” cech bohatera dowodzi także łańcuch pozornych zbiegów okoliczności, które polegają na anomaliach pogodowych w miejscach pobytu Angeliniego lub miejscowościach związanych z jego rodem. Ukoronowaniem wszystkich wydarzeń jest spodziewane w Neapolu trzęsienie ziemi, które tradycyjnie przypisywano złemu oku *iettatore*, i kładąca kres istnieniu Montenero burza⁸³.

Nowatorskim elementem opowiadania Herlinga jest równoczesne przedstawienie Don Fausto jako sprawcy złego uroku i jako jego ofiary. Nie inaczej bowiem należy interpretować fizyczne wyniszczenie bohatera po hiszpańskich wояжach. Brak racjonalnej przyczyny choroby, tajemnicze objawy i nagłe wyzdrowienie to

⁸⁰ Por. G. Herling-Grudziński, W. Bolecki *Rozmowy w Neapolu*, s. 161-162.

⁸¹ Z Faustem łączy go przede wszystkim uporczywe dążenie do zgłębienia tajemnicy i działanie w oparciu o nadludzką siłę. Por. G. Herling-Grudziński *Don Ildebrando*, s. 204.

⁸² E. de Martino *Sud e magia*, s. 124.

⁸³ Por. tamże, s. 118. Burza może także wynikać z konsekwentnego zastosowania konwencji gotyckiej. Opis nawałnicy jest jednak przede wszystkim pomostem między utworem Grudzińskiego a *Mistrzem i Małgorzatą* Bułhakowa. W powieści rosyjskiego pisarza powoduje ona oczyszczenie Moskwy ze złych duchów. Innym elementem wspólnym dla *Mistrza i Małgorzaty* oraz *Don Ildebrando* jest groteska, a także półzartobliwy ton narracji, dzięki którym oswaja się to, co straszne. Por. M. Bułhakow *Mistrz i Małgorzata*, przeł. A. Drawicz, Porozumienie Wydawców, Warszawa 1999, s. 472.

fakty analogiczne do przeżyć narratora po krzyżowym ogniu spojrzeń dwóch *iettatore'ów*. Postać chirurga jest więc ambiwalentna: z jednej strony powtarza on biograficzną prawidłowość Angelinach – podobnie jak Don Ildebrando znika w niewyjaśnionych okolicznościach⁸⁴ – z drugiej zaś strony, przechodzi do historii jako dobroczyńca, ratując zdrowie, życie ludziom i zapisując klinice pałac w Neapolu oraz skrzydło domu w Toledo. Tak właśnie, jako niemalże cudotwórca, jest postrzegany przez część swoich kolegów, którym spojrzenie na Mistrza (tu Herling po raz drugi modyfikuje przesąd, który przecież zakazywał jakiegokolwiek kontaktu z *iettatore*), przywraca pewność podczas operacji.

W kategoriach łaski, dzięki której można „dobrze czynić innym”, odczytuje zawodową perfekcyjność chirurga suor Magdalena – jego asystentka i cicha wielbicielka. Historia jej życia jest podobna do biografii innych bohaterek Grudzińskiego: do suor Streghi czy mniszki z Monzy⁸⁵, choć może nie przebiega tak dramatycznie. Wszystkie te kobiety wtłaczają uczucia i wrażliwość w reguły życia duchowego⁸⁶, co skutkuje później zachowaniem nielicującym z powołaniem zakonnym⁸⁷. Gorliwa suor Magdalena darzy na przykład Don Fausto miłosnym wręcz uwielbieniem (tęskni, gdy Angelini wyjeżdża do Hiszpanii, rozmawia o nim tylko z zaufanymi osobami, troszczy się o doktora w czasie choroby, towarzyszy mu podczas podróży do Montenero – s. 223-224), które oczywiście zyskuje od razu komentarz w rozplotkowanym świątku kliniki⁸⁸. Niefortunna operacja Veroniki wywołuje w niej największe zdziwienie i pełen naiwności komentarz. Nie można jednak przypuszczać, by mieszkająca w Neapolu zakonnica (bohaterka pochodzi z Sardynii) nie miała zupełnie świadomości tego, czym jest *iettatura*, i nie znała możliwości „złego oka”. Budzących się w niej podejrzeń nigdy nie wypowiada na głos. Jej milczenie wynika nie tylko ze współczucia, solidarności w nie-

84 Gdyby nie końcowa katastrofa Montenero, można by mówić o otwartym zakończeniu opowiadania. Zob. także: S. Sterna-Wachowiak *Sekrety i szept naszego świata*, „Nowe Książki” 1997 nr 8, s. 21-22.

85 Suor Strega, „Plus–Minus” (dodatek do „Rzeczpospolitej” 1996 nr 103) 1996 nr 18, s. III; *Monolog o martwej mniszce*, „Kultura” 1991 nr 4, s. 26-35.

86 Szerzej na ten temat: M. Jasińska-Wojtkowska *Strefy mroku w opowiadaniach Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*, w: *Herling-Grudziński i krytycy*, s. 306.

87 Narrator opowiada na przykład: „Codziennie przed północą odwiedzała mnie siostra Magdalena. Siadała na moim łóżku i zawsze tym samym, niewinnym zupełnie gestem zamykała swoją dłoń w mojej” (G. Herling-Grudziński *Don Ildebrando*, s. 222). W. Bolecki uważa pielęgniarkę za odpowiednik Małgorzaty z powieści Bułhakowa (G. Herling-Grudziński, W. Bolecki *Rozmowy w Neapolu*, s. 161).

88 Narrator relacjonuje: „W czasie pobytu w klinice zauważyłem – nietrudno to było zauważyć – że jej cichą miłością był don Fausto. Wodziła za nim wzrokiem z niemym uwielbieniem. Naturalnie klinika nie byłaby instytucją włoską, gdyby nie szeptano czasem po kątach, a nawet w rozmowach z chorymi, że przed laty była kochanką Don Fausto” (G. Herling-Grudziński *Don Ildebrando*, s. 222).

powodzeniu, ale z niemego hołdu dla Mistrza, a może także z lęku przed jego zemstą...

Suor Magdalenę charakteryzuje aktywna obrona przed destrukcyjną siłą *iettatury*. Kobieta stara się wyrwać Don Fausto z zakłętego koła. Widać to wyraźnie podczas pobytu w Montenero, gdzie zakonnica próbuje nawiązać nowe znajomości i podtrzymać kontakt ze światem mimo marazmu umierającego miasta. Nie udaje się jej to, ponieważ podobnie jak w noweli Henry’ego Jamesa, opętany obsesją *malocchio* doktor znajduje się w sferze bezpośredniego wpływu swego przodka.

Zupełnie inną postawę prezentuje natomiast Veronica. Ona również nie chce rozmawiać o życiowej pasji brata, ale dlatego, że widzi w nim nosiciela złego oka. „Atawistycznie” przywiązana do posiadłości przodków, solidaryzuje się ze społecznością miasteczka i ogranicza do bezdyskusyjnej akceptacji pomysłów doktora. W niej najlepiej chyba odbija się dychotomia stosunku do posiadacza *malocchio*. Z jednej strony, uwielbia ona Don Fausto, którego kocha miłością kobiet Południa. Z drugiej zaś, unika kontaktu z otoczeniem, by nie prowokować pytań, które zmuszą ją do przekroczenia granicy przesądu. Jest bierna, wycofana, milczy, boi się naruszyć tabu, zapada w swoistą hibernację podczas podróży do Neapolu. Drobną figurką Veroniki – rozmiarami zbliżona do postury mieszkańców miasta – stoi po drugiej stronie niewidzialnej linii demarkacyjnej, jaka rozciąga się między ofensywnym, pełnym sił życiowych Don Fausto a apatycznym, chylącym się ku upadkowi światem Montenero. Doroczne wizyty brata wprawiają ją w nastrój euforii, która zwiększa jej siły vitalne. Znając prawdziwą naturę Don Fausto, kobieta reaguje jednak paradoksalnie: zwraca się do Boga. Przychodzi do katedry nie po to, by się przed wpływem *iettatore* obronić, ale prawdopodobnie po to, by za niego dziękować. O fakcie tym narrator opowiada:

Doktor przyjeżdżał do rodzinnego miasteczka raz do roku na jeden letni miesiąc. Witało go wtedy i żegnano z honorami, a jego zasuszona siostra nabierała ochoty do życia na kolejny rok; i codziennie o świcie, podczas wizyty brata, klęczała uśmiechnięta przed ołtarzem w katedrze. (s. 199)

Dziwne zachowanie Veroniki wynika z charakterystycznego dla mieszkańców *Italia Meridionale* połączenia kultu pogańskiego z hierarchią wartości chrześcijańskich i wyobrażeniami katolickimi. Przy okazji omawiania południowowłoskiej magii de Martino podkreśla daleko idącą analogię między tzw. obrzędami ekstrakanonicznymi uzdrowicieli i czarownic a kościelnymi sposobami wypędzania złego ducha – egzorcyzmami. Jego naukowa konkluzja zdaje się bliska myśli wypowiedzianej prawie półtora wieku wcześniej przez Dumasa, który w swej relacji z podróży do Neapolu, odbytej w 1835 roku, podkreślał nierozzerwalność sfery magicznej i religijnej tego miasta. W *Il Corricolo* pisał:

Neapol, jak wszystkie rzeczy ludzkie, poddany jest wpływowi podwójnej siły, która rządzi jego przeznaczeniem: ma swoje złe źródło, które go prześladowa i swego dobrego du-

Interpretacje

cha, który go chroni: ma swego Arymana, który mu grozi i swojego Ormuza, który go broni: ma swego demona, który chce go zgubić i swojego patrona, który ma nadzieję go uratować. Jego nieprzyjaciółką jest iettatura; jego protektorem jest Święty January.⁸⁹

W myśleniu neapolitańczyków *iettatore* pojawia się jako niezbędny element równowagi, którą trzeba zachować między dwoma metafizycznymi biegunami: między strefą dobra i zła. Możliwość bycia zauroczonym rodzi wprawdzie lęk, ale jest jednocześnie konieczna do normalnego funkcjonowania świata. Tak właśnie – jako coś zupełnie naturalnego – traktują ją bohaterowie opowiadania Herlinga wzorowani na autentycznych zachowaniach obserwowanych w *Neapolis*.

Autorka składa serdeczne podziękowania prof. Wojciechowi Ligęzie za twórczą lekturę pierwszej wersji artykułu.

Abstract

Agata PRZYBYLSKA

Don Ildebrando and 'iettatura'

This article contextualises the spell-casting superstition of *iettatura* within the culture of the Italian South (*Italia Meridionale*), and confronts Gustaw Herling-Grudziński's short story *Don Ildebrando* with the secondary literature. Discussing *iettatura* from an ethnological perspective, Przybylska demonstrates the similar views held by Herling-Grudziński and de Martin. Moreover, she points out a stylistic correspondence of *Don Ildebrando* with Niccola Valletta's work. Herling-Grudziński's work is juxtaposed with discussions of *iettatura*, such as Benedetto Croce's commentary in the periodical *Quaderni della Critica*, or Alexandre Dumas's *Il Corricolo*. Przybylska explores the ways in which the author's theoretical knowledge informed his fictional universe, and analyses the motif of the eyes and the representation of space. Finally, she discusses the protagonists, emphasising their psychical reactions as rooted in their belief in *iettatura*. In closing remarks, Przybylska evaluates the narrator's role in rendering the phenomenon of *iettatura* more appealing.

⁸⁹ A. Dumas *Il Corricolo*, cyt. za: E. de Martino *Sud e magia*, s. 121 [przeł. mój – A.P.]. Kult św. Januarego z trudem mieści się w granicach wyznaczonych przez Kościół katolicki. Do dokonującego się trzy razy w roku cudu upłynnienia krwi męczennika, Rzym zachowuje ciągle dużą rezerwę. Szerzej na ten temat: *San Gennaro. Vescovo e martire. Santo protettore della città di Napoli*, a cura di Pierluigi Sanfelice di Bagnoli, Napoli 1996.

Witold GOMBROWICZ

Listy do Jerzego Pietrkiewicza*

Tul'si Kamila Bhambry
Wprowadzenie

W roku 2007 zmarł w Londynie Jerzy Pietrkiewicz, zasłużony profesor literatury polskiej na uniwersytecie londyńskim, poeta, prozaik, i tłumacz. W dokumentach, które pozostawił, znaleziono siedem listów od Witolda Gombrowicza, pisanych w latach 1959-1966, które tutaj zostają opublikowane po raz pierwszy¹.

Listy te są dla badaczy literatury wyjątkowo ciekawe. Autor przedstawia w nich swoje poglądy na temat problemów przekładu. Twórca *Ferdydurke* zwrócił się bowiem do Pietrkiewicza, byłego znajomego z przedwojennej Warszawy, z prośbą o pomoc w znalezieniu odpowiedniego tłumacza angielskiego tej właśnie powieści. Gombrowicz, który jak najściślej kontrolował obcojęzyczne przekłady swoich dzieł – w pierwsze hiszpańskie i francuskie tłumaczenia sam był intensywnie zaangażowany. Jednak nad tłumaczeniem zleconym w 1959 lub 1960 roku przez londyńskie wydawnictwo Macgibbon & Kee² nie mógł osobiście czuwać, skoro, jak mówił, „po angielsku ani w ząb”. Gdy Eric Mosbacher dokonał już przekładu, poprosił Pietrkiewicza o opinię dotyczącą jego stylu. Zdaje się, że Gombrowicz absolutnie nie był w stanie się uspokoić, zanim nie upewnił się, że dzieło zostało zweryfikowane przez osobę, której ufał. Pojawia się zatem pytanie: zatem pytanie: kim był Pietrkiewicz, i jakie były stosunki między nim a autorem *Ferdydurke*?

* Redakcja „Tekstów Drugich” bardzo dziękuje Pani Ricie Gombrowicz za uprzejmą zgodę na publikację listów Witolda Gombrowicza do Jerzego Pietrkiewicza. Jakiegokolwiek wykorzystanie zamieszczonych tu tekstów Witolda Gombrowicza wymaga osobnej zgody spadkobierczyni praw autorskich Pani Rity Gombrowicz.

¹ Chciałabym podziękować dr Ursuli Phillips za zwrócenie mojej uwagi na te listy.

² *Literatura polska w przekładach* (red. D. Bilikiewicz-Balnc i in., Biblioteka Narodowa–Instytut Bibliograficzny, t. 1: 2000, t. 2: 2005, t. 3: 2008, hasło 1041) nie podaje tego pierwszego wydania; przekład Mosbachera wymieniony jest jedynie w późniejszym, londyńskim wydaniu Penguin z 1989 roku, w serii Penguin Twentieth Century Classics.

Jerzy Pietrkiewicz, urodzony w 1916 roku na Ziemi Dobrzyńskiej, w rodzinie chłopskiej, od 1934 studiował w Warszawie, gdzie równocześnie debiutował jako literat: publikował wiersze, utwory prozą i artykuły w czasopismach. To w tym okresie poznał Gombrowicza. Ponad trzydzieści lat później wspomni o tamtych czasach, o starszym koledze, który prowokacyjnie dłużył widelcem w zębach w Ziemiańskiej; o jego równie drażniącej grze na pianoli i o wspólnych nocnych spacerach po Warszawie³. Drogi ich się rozeszły w 1939 roku: Gombrowicz po wybuchu wojny nie wrócił z Argentyny, a Pietrkiewicz, któremu słaby stan zdrowia nie pozwalał przystąpić do służby wojskowej, przedostał się do Anglii. Zdobył stypendium na studia literatury angielskiej na uniwersytecie St Andrews w Szkocji, a otrzymawszy dyplom M.A., rozpoczął na uniwersytecie londyńskim studia doktoranckie, pisząc rozprawę na temat form liryki angielskiej i polskiej. W 1947 zaczął wykładać język polski w School of Slavonic and East European Studies na tym samym uniwersytecie. Pisał utwory w języku angielskim, w tym siedem powieści, podpisując je „Pietrkiewicz”. Tłumaczył poezję z angielskiego na polski i odwrotnie; najbardziej znany jest w świecie anglojęzycznym jako tłumacz wierszy Karola Wojtyły. W 1964 roku został profesorem nadzwyczajnym, a następnie otrzymał profesorskie „personal chair”. W latach 1972-1977 był kierownikiem Departamentu Języków i Literatur Słowiańskich. Otrzymał nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie i przeszedł na emeryturę w 1980 roku⁴. W Polsce jego sława stale rośnie; w maju 2000 odbyła się w Toruniu konferencja naukowa poświęcona jego dorobkowi, której owocem jest publikacja *Jerzy Pietrkiewicz – inna wersja emigracji*⁵.

Podczas swojej kariery naukowej Pietrkiewicz interesował się Gombrowiczem⁶. Nie tylko prowadził zajęcia na temat jego twórczości, ale również opublikował artykuł *The Fork and the fear. Remembering Gombrowicz* (*Widelec i lęk. Wspomnienie o Gombrowiczu*), który w 1998 roku został wykorzystany jako wstęp do angielskiego wydania dramatów Gombrowicza⁷. O spotkaniu w Vence, we Francji, gdzie Gom-

³ J. Pietrkiewicz *Widelec i lęk. Wspomnienie o Gombrowiczu*, w: *Literatura polska w perspektywie europejskiej. Studia i rozprawy*, przeł. A. Olszewska-Marcinkiewicz i Ignacy Sieradzki, wyb. i oprac. J. Starnawski, PIW, Warszawa 1986, s. 342-348. Artykuł został napisany w 1970 roku. Pierwodruk: „Encounter”, London 1971, s. 15-18.

⁴ Na podstawie: E. Głębicka *Jerzy Pietrkiewicz*, hasło w: *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik bibliograficzny*, red. J. Czachowska, A. Szałagan, WSiP, Warszawa 1999, t. 6, s. 348-352. Mirosław Adam Supruniuk podkreśla jednak, że hasło jest „pełne błędów i bałamutnych informacji”, a stwierdzenie, iż Pietrkiewicz „stałe współpracował z londyńskimi «Wiadomościami» (od 1960), jest fałszywe (M.A. Supruniuk *Jerzy Pietrkiewicz w polskim Londynie, czyli o konieczności posiadania adresu*, w: *Jerzy Pietrkiewicz – inna wersja emigracji: materiały Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej 11-12 maja 2000 r.*, red. B. Czarnecka, J. Kryszak, Regionalny Ośrodek Studiów Ochrony Środowiska Kulturalnego, Toruń 2000, s. 219.

⁵ *Jerzy Pietrkiewicz – inna wersja emigracji*.

⁶ J. Starnawski *Jerzy Pietrkiewicz: badacz literatury polskiej i porównawczej*, w: *Literatura polska w perspektywie europejskiej*, s. 19.

browicz zamieszkał w 1964 roku, Pietrkiewicz opowiada w swojej własnej autobiografii, *In the scales of fate. An Autobiography*⁸. Wydaje się, że stosunki między nimi były długotrwałe, ale nie bliskie. W 1961 roku Gombrowicz wspomniął o Pietrkiewiczach dwa razy: w *Dzienniku* krótko wymienia go w kontekście pisarzy emigracyjnych, a we *Wspomnieniach polskich* pisze o nim jako jednym z młodych literatów, którzy dosiadali się do jego stolika w Ziemiańskiej:

Potrzebowałem ofiar... Byłem uszczęśliwiony, gdy nawinął mi się ktoś prostoduszny a gorący, z którym mogłem igrać jak kot z myszą... I zdarzało się, że te ofiary przeistaczały się w wyznawców, nawet w przyjaciół – stąd powstała paczka, do której w późniejszych latach należeli Stefan Otwinowski z żoną, panią Ewą, poeta Staś Piętaś, Lipiński, redaktor „Szpilek” też z żoną, Jerzy Pietrkiewicz i inni. [...] Ale przecież wielu z tych niewyrobionych potem wyrobiło się i nawet na czołowe wysunęło pozycje...⁹

Korespondencja między Gombrowiczem a Pietrkiewiczem zachowała się tylko we fragmentach. Mamy siedem listów Gombrowicza do dawnego kolegi (prawdopodobnie są przechowywane w zbiorze Peterkiewicz Trust w Londynie, jednak nie otrzymałam potwierdzenia), lecz nie wiadomo, ile ich w sumie napisał. Istnieją również dwa listy Pietrkiewicza znajdujące się w archiwum Gombrowicza w Beinecke Rare Books Library na Yale University.

Czytając listy Gombrowicza do Pietrkiewicza, ma się wrażenie, że chociaż mało wiedział o guście i stylu kolegi, którego stracił z oczu dwadzieścia lat wcześniej, to w sprawie wydania *Ferdyduke* ufał mu bezwarunkowo. A jednak tak nie było. Gombrowicz wykazywał Pietrkiewiczowi wdzięczność za wsparcie i weryfikację przekładu, a jednak widocznie zlekceważył jego radę, aby zrezygnować z przedmowy do *Ferdydurke*, i dalej przekonywał wydawnictwo, nalegając na jej publikację. Po śmierci Gombrowicza Pietrkiewicz wspomina o tej wymianie opinii: „Dwukrotnie błagałem go, żeby zrezygnował z osobistej przedmowy, którą napisał dla pouczenia angielskich krytyków jego twórczości”¹⁰. Kiedy się okazało, że przedmowa w końcu nie została umieszczona, Pietrkiewicz przekonywał Gombrowicza, by pogodził się z tym faktem. W liście datowanym 1 stycznia 1961 pisze do zmarłego autora: „Nie ma się czego bać. Pańska powieść stoi na mocnych nogach, także w przekładzie. Mosbacher to wszystko inteligentnie zrobił, a krytyka na pew-

7 W. Gombrowicz *Three Plays: Princess Ivona, The Marriage, Operetta*; introd. J. Peterkiewicz; transl. K. Griffith-Jones, C. Robins and L. Iribarne, Marion Boyars, London 1998.

8 J. Pietrkiewicz *In the scales of fate. An autobiography*, Marian Boyars Publishers Ltd., London 1993, s. 113-114.

9 W. Gombrowicz *Wspomnienia polskie. Wędrowki po Argentynie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1999, s. 111-112.

10 J. Peterkiewicz *Widelec i lęk*, s. 347.

no wyczuje oryginalność książki”¹¹.

Warto w tym miejscu wyjaśnić kilka faktów dotyczących powstania tego przekładu i wrócić do kwestii wyboru tłumacza. Kiedy Gombrowicz po raz pierwszy zwrócił się do swojego kolegi, mowa była o zaangażowaniu niejakiego Davida [Johna] Welsha. Niczego więcej z listów Gombrowicza się o nim nie dowiadujemy, lecz z odpowiedzi Pietrkiewicza, datowanej 25 września 1959 roku, wynika że pan Welsh to jego student i że według opinii profesora, „zna polski wyśmienicie”. Pietrkiewicz dalej pisze, że „trudno [...] powiedzieć, czy to najlepszy tłumacz, ale nie ma wielu do wyboru. Inni są po prostu okropni. Oczywiście, mógłby Pan sobie zastrzec, aby tłumaczenie było z francuskiego, ale już chyba na to za późno”. Nie wiemy, dlaczego w końcu nie doszło do umowy między Davidem Welshem a Macgibbon & Kee. Wiemy jedynie, że Welsh w następnych latach przełożył na angielski *Lalkę* Bolesława Prusa [*The Doll*], *Popiół i diament* Jerzego Andrzejewskiego [*Ashes and Diamonds*] i kilka utworów Tadeusza Konwickiego. Wygrał nagrodę tłumaczy Warszawskiego ZaiKSu. Jego dorobek jako anglojęzycznego historyka literatury polskiej jest równie imponujący: opublikował monografie o Janie Kochanowskim, Ignacym Krasickim i innych pisarzach¹². Zatem nie wygląda na to, że nie byłby kompetentnym tłumaczem. A jednak zamiast Welsha do przekładu *Ferdynand* zaangażowany został Eric Mosbacher, który języka polskiego nie znał wcale. Jego przekład opiera się na tłumaczeniu francuskim¹³. Wielu czytelników chwali to tłumaczenie jako udane – udało się na przykład zachować Gombrowiczowski humor – lecz porównując je z polską *Ferdynand*, okazuje się, że brakuje kilku wątków tekstu; poza tym są w nim liczne nieścisłości wynikające z podwójnego procesu tłumaczenia. W 2000 roku Yale University Press zaleciła przetłumaczenie *Ferdynand* z polskiego na angielski amerykańskiej tłumaczce polskiego pochodzenia, Danucie Borchardt i dopiero dzięki niej czytelnicy anglojęzyczni mają dostęp zarówno do całości tekstu, jak i twórczej żywiołowości jego stylu.

W chwili, kiedy Gombrowicz zwrócił się do Pietrkiewicza, sam już miał za sobą dwukrotne doświadczenie problemu tłumaczenia *Ferdynand* – z grupą przyjaciół w Buenos Aires przełożył ją na hiszpański, a z dziennikarzem Rolandem Martin na

11 W tym miejscu chciałabym podziękować Beinecke Library za udostępnienie mi listów Pietrkiewicza do Gombrowicza podczas mojej kwerendy 11.11.2010 roku.

12 Na podstawie: J. Starnawski *Jerzy Pietrkiewicz*, s. 16.

13 *Literatura polska w przekładach* podaje fałszywą informację, że przekład Mosbachera został zrobiony z języka polskiego (hasło 1041, s. 99). Por. W. Bolecki *Dodatek krytyczny: przekłady*, w: W. Gombrowicz *Pisma zebrane*, t. 2: *Ferdynand*, red. W. Bolecki, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007: „*Ferdynand*, tłum. z franc. Eric Mosbacher, London 1961, wyd. Mac Gibbon [sic] and Kee” (s. 755). Skoro przekład francuski George’a Sédira opublikowany został dopiero w 1973 roku, Mosbacher musiał korzystać z pierwszej wersji francuskiej, tłumaczonej przez „Brone”. Za tym pseudonimem kryje się współpraca Gombrowicza z Rolandem Martin nad przekładem *Ferdynand* (Julliard, Paris 1958).

francuski. Sam podkreśla, jak bardzo ma tej pracy dosyć (list z 12.02.1961). Podczas bliskiej współpracy z tłumaczami musiał się przekonać, że kompetencja lingwistyczna, mimo że jest absolutnie konieczna, sama w sobie nie wystarcza, aby powstała dobra wersja obcojęzyczna tak eksperymentalnej powieści. Doszedł więc do takiego wniosku: „najważniejsze, żeby tłumacz był artystą, nie wyrobnikiem. [...] I żeby miał poczucie humoru i poezji oraz temperament, tudzież żeby książka naprawdę mu się podobała” (28.07.1959). Jest w tym stwierdzeniu coś zaskakującego, a nawet pewna ironia. Gombrowicz tak zaciekle starał się przecież utrzymać kontrolę nad interpretacjami swoich dzieł. Publikował przedmowy, pisywał komentarze i wyjaśnienia, dopilnowywał najdrobniejszych szczegółów każdego wydania. Skąd więc tak liberalne podejście do tłumaczy? Gombrowicz wiedział dobrze, jakie cechy pozwalają tłumaczom stworzyć żywe, radykalne i zachowujące specyfikę jego humoru dzieło. Wiedział, że musi zmniejszyć presję i pozwolić tłumaczowi, który lubi *Ferdynandę*, na pewną wolność artystyczną, aby ten wyraził swoje własne „poczucie humoru i poezji, oraz temperament”.

Z perspektywy translatologii ta wypowiedź Gombrowicza w zaskakujący sposób zapowiada zmiany w refleksji nad praktyką tłumaczenia. Podobne wymagania i postawy pojawiły się w szerszym zakresie dopiero wraz z poststrukturalistycznymi ruchami emancypacyjnymi w translatologii, tzn. w latach 80. i 90¹⁴. W praktyce jeszcze przez długi czas przeważał model „reprodukcji”, „podrzędności” i „służalności” tłumacza wobec autora oryginału. Powoli przyjmuje się status tłumacza jako niezależnego artysty twórczego, a rola tłumacza zyska na uznaniu, co najmniej w teorii. Jednak w praktyce kwestie tak subtelnych cech, jak temperament, poczucie humoru czy wyczucie poezji, do tej pory rzadko są brane pod uwagę, a kiedy produkcja tłumaczeń kieruje się głównie regułami rynkowej konkurencji, co mówić o osobistym upodobaniu¹⁵. A jednak Gombrowicz, kiedy podkreślił, jakie to ważne, aby istniała sympatia tłumacza do dzieła, wyraził niezwykle istotny problem.

Do kwestii własnej sympatii do dzieła odwoływali się co najmniej dwaj tłumacze *Ferdynandy* – nie wiedząc oczywiście o treści listów tutaj przedstawionych. Po pierwsze, Georges Sédur, który w 1973 roku stworzył drugą francuską wersję po „Brone”, wersję niestety niestaranną, pełną błędów, upraszczającą i cenzurującą *Ferdynandę*. Przyznawał on, że nie jest przekonany co do twórczości Gombrowicza i podkreślał, iż nie pokrywa się ona z jego własnym stylem i osobistymi zaintereso-

¹⁴ Por. B. Pettersson *The postcolonial turn in literary translation studies. Theoretical frameworks reviewed*, <http://www.uqtr.ca/AE/vol_4/petter.htm>.

¹⁵ O związku między precyzją przekładu a osobistymi preferencjami tłumacza pisze Douglas Robinson. Badacz podkreśla, że „nuda lub awersja wobec dzieła spowodują, że praca nawet kompetentnego tłumacza stanie się niestaranna i zawodna” (*Becoming a translator. An accelerated course*, Routledge, London 2003, s. 41); jeśli nie podano innych informacji, wszystkie niepolskie cytaty tłumaczyła autorka.

sowaniami. Pisał nawet: „Kiedy przetłumaczę jego *Ferdydurke*, nasze dwuznaczne stosunki zerwą się nareszcie¹⁶. Czy to zbieg okoliczności, że człowiek, który *Ferdydurke* nie rozumiał i nie lubił, tak kiepsko ją przetłumaczył? Zobaczmy jeszcze, co o osobistym stylu i własnych preferencjach pisze amerykańska tłumaczka Danuta Borchardt. Swoją pierwszą reakcję na *Kosmos* Gombrowicza opisuje tak: „powoli olśniło mnie, jak pięknie by to zabrzmiało po angielsku”¹⁷. Dalej wyjaśnia, że jej własny styl pisanie, dość idiosynkratyczny, wzbudził w niej „pociąg do twórczości Gombrowicza”¹⁸. Tego powinowactwa artystycznego, o którym pisze Borchardt, nie da się precyzyjniej opisać lub ująć w jakieś reguły. Przede wszystkim liczy się fakt, że tłumaczka sama podkreśla spontaniczne natchnienie, aby przetłumaczyć Gombrowicza. Jak on sam by się ucieszył, gdyby usłyszał, w jaki sposób Borchardt wspomina swoją pracę nad *Ferdydurke*: „Jestem pewna, że Gombrowicz znakomicie się bawił przy tym, tak samo jak ja!”¹⁹. Zatem wygląda na to, że *Ferdydurke* w końcu doczekała się takiej tłumaczki-artystki, jaką Gombrowicz opisywał w swoim pierwszym liście do Jerzego Pietrkiewicza.

Uwagi edytorskie

Pierwsze cztery listy są pisane na maszynie, ale podpisy (za pierwszym razem pełne imię i nazwisko, w kolejnych już tylko inicjały) są odręczne. Na niektórych listach są też ręczne dopiski, co zaznaczono w przypisach. Ortografię i interpunkcję poprawiono zgodnie z obecnymi normami. Słowa skrócone rozwinięto (b. – bardzo, Wiad. – „Wiadomości”). Nie dotyczy to oczywiście Gombrowiczowskiego zwyczaju skracania tytułu *Ferdydurke* na *Ferdy*.

¹⁶ G. Sédir *Deux traducteurs*, „Cahier de l’Herne” vol. 14, s. 326.

¹⁷ D. Borchardt *Translating Witold Gombrowicz’s „Ferdydurke” – a lecture*, <http://www.corpse.org/archives/issue_5/critical_urgencies/borchar.htm>.

¹⁸ Tamże.

¹⁹ Tamże.

Drogi Panie Jerzy,

napisałem list do Pana, ale Bóg raczy wiedzieć, czy go wysłałem, chyba się zawieruszył, więc piszę drugi. Dowiaduję się od Giedroycia, że Pan silnie poparł mą *Ferdydurke* u Macgibbon Kee, za co bardzo jestem Panu wdzięczny i proszę, aby Pan i nadal przyjaznym okiem swoim doglądał tej sprawy. Pisze mi też O'Keffe (managing editor tejże firmy), że na tłumacza proponują Davida Welsha z tym, iż Pan podjął się łaskawie kontroli przekładu. Przypuszczam, że ten Welsh także przez Pana został wskazany. Otóż gdyby tak było, niech Pan do mnie nie zwlekając kilka słów napisze na temat tego tłumacza: kto zacz, czy będzie tłumaczył z polskiego czy z francuskiego, czy można całkowicie mu ufać etc. Sam Pan rozumie, że dla mnie sprawa przekładu jest fundamentalnego znaczenia nie tylko ze względu na Anglię, ale i na Stany.

Dla mnie najważniejsze jest, żeby tłumacz był artysta, nie wyrobnik, i żeby pierwszorzędnie władał angielskim, tj. musi być rodowity Anglik (bo takie Conrady jak Pan rzadko się zdarzają). I żeby miał poczucie humoru i poezji oraz temperament, tudzież żeby książka naprawdę mu się podobała. Naturalnie to jest ideał, ale w każdym razie należałoby jak najbardziej do niego się zbliżyć. Pańska korekta ewentualna jest niezmiernie ważna, ale z doświadczenia wiem, że tłumaczenie już gotowe można tylko w szczegółach poprawić, więc jednak już w pierwszej wersji to powinno być na poziomie. Myślę też, iż w każdym razie przed powierzeniem mu tej pracy należałoby poprosić o przetłumaczenie jednego rozdziału na próbę. Proszę, niech Pan z łaski swojej mnie oświeci co do wszystkich tych punktów, ja zaś, jak mówi Szekspir, zapiszę te dowody przyjaźni do księgi, którą co dzień odczytuję.

Któż by przeczuł wówczas, w Ziemiańskiej, że po latach będę pisał do Pana do Londynu z Argentyny i że Pan urzeczywistni się w prozie i to angielskiej. Dziwnie się plecie na tym świecie. Utworów Pana nie znam, bo po angielsku ani w ząb, ale przypominam sobie doskonałą prasę o Panu, opublikowaną kiedyś przez „Wiadomości” i mniej więcej wyobrażam sobie, jak i co. Czy Pan nie zamierza tego puścić w Polsce? To byłoby dla Pana ciekawe, a tam na pewno miałoby sukces. O mnie przypuszczam coś niecoś Pan zasłyszał, a może wyczytał z „Kultury”. Teraz znacznie mi się poprawiło w sensie finansów, bo *Ferdy*, a też inne moje rzeczy idą we francuskim, niemieckim, włoskim, więc kto wie, czy na przyszłe lato nie nadjadę do Paryża i Londynu. *Ferdy* jak dotąd dzielnie sobie poczyni a chyba rzeczywiście wyskoczy na książkę o dużym prestiżu. Właśnie odsyłam Macgibbonowi podpisaną już umowę na angielskie wydanie.

Archiwalia

Proszę niech Pan napisze o sobie, bo losy Pana mi nieznane – i mam nadzieję, że nie stracimy kontaktu. Jeszcze raz bardzo dziękuję i sumituję się, że Panu czas zabieram. Wiele pozdrowień

Witold Gombrowicz

28.VII.59

Venezuela 615 dep. 5

Buenos Aires

Hiszpańskiego egzemplarz *Ferdydurke* nie mam, ale mają mi przysłać z „interioru”, więc wtedy Panu prześlę.²⁰

Życzenia noworoczne!²¹

Drogi Panie Jerzy,

jestem w strachu, bo *Ferdydurke* ma urodzić się 30 stycznia, a ja w tej Anglii, jak w lesie, sam jeden, bez kontaktów z Anglikami i tylko z bandą rodaków, którzy by mnie w łyżce wody utopili. Polecam się więc bardzo, powołując się na zadawnioną naszą przyjaźń. Jeśliby Pan miał okazję zmusić kogoś do przeczytania, to już jest ważne – bo najczęściej się zdarza, że ja w takim człowieku (o ile jest rozgarnięty) zyskuje sobie poplecznika. A gdyby ten ktoś mógł gdzieś coś napisać, to naturalnie jeszcze ważniejsze. Dla mnie problem najtrudniejszy to zmusić ludzi do wysiłku, żeby książkę przeczytali i jako tako zasymilowali.

Pisał mi O'Keeffe, że Pan po zbadaniu tłumaczenia wydał raczej pozytywne orzeczenie. Jak najbardziej jestem zobowiązany za ten trud, który, mam nadzieję, został wynagrodzony przez wydawcę.

Ferdy w Niemczech już od dwóch miesięcy funkcjonuje. Sporo prasy mi przysyła i w każdym razie myślę, że bardziej znany tam się stanę (o co nietrudno, bo dotąd nic o mnie nie było wiadomo), niektóre recenzje sygnalizują, że książka jest sensacją literacką, ma już swoją legendę etc., ale źle się stało, że nie daliśmy komentarza ułatwiającego zrozumienie jej problematyki – z czego ucieszne powstają nieporozumienia. Myślę, że ani tam, ani w Anglii, ani nigdzie nie będzie się zbyt szparko sprzedawać, ale grunt w tym, żeby przygotować teren dla następnych moich rzeczy. I jestem prawie pewny, mimo wszystko, iż za rok lub dwa najdalej stanę się kimś w literaturze Zachodu – to tylko kwestia dalszych wydań, które już się robią.

O ileż Pan szczęśliwszy, ze swoją angielszczyzną! I ze swoją literaturą, która nie potrzebuje tak się przedzierać, jak moja, o ileż bardziej skuteczna, jeśli idzie o zdobywanie sobie ludzi! Ale każdy musi pchać swoją taczkę. Kłaniam się, Panie Jerzy, i polecam się

przerażony
W.G.

19.XII.60
Wenezuela 615 dep. 5
Buenos Aires²²

²¹ Dopisek ręczny.

²² Adres dopisany ręcznie.

Archiwalia

Mnie by chodziło o dotarcie do czołowej krytyki i literatury, zwłaszcza tej bardziej „nowoczesnej” – i o dotarcie do środowisk awangardy. Obawiam się, że O’Keeffe nie zdziała wiele w tym sensie, a Pan ma dostęp do tych ludzi.

Jakby Pan komuś chciał książkę przesłać, proszę wprost zwrócić się do Timothy O’Keeffe, MACGIBBON & KEE, 29 Great Portlant Street, London W 1*

* Dopisek maszynowy dopisany już po pożegnaniach.

Drogi Panie Jerzy,

na list z 1 stycznia dopiero teraz odpisuję, ale bo jeździłem (tu teraz lato), a też mnóstwo pilnych rzeczy miałem do pisania i załatwienia. Domyślam się, że to O'Keeffe Pana inspirował, żeby Pan mnie uspokajał – ale ja, choć rzeczywiście na punkcie angielskim strachliwy, mam konkretną przyczynę do zdenerwowania, tę mianowicie, że wskutek uporu O'Keeffe *Ferdy* ukazuje się w Anglii bez komentarza, który by jej sens mniej więcej wyjaśnił – a ten defekt kosztował mnie już w Niemczech sporo zupełnie idiotycznych nieporozumień z czytelnikami i krytyką. Trudno. Jestem bardzo pesymistycznie nastrojony, jeśli idzie o teren angielski, ale ostatecznie to tylko jedna z licznych bitew, jakie na rozmaitych frontach wydaje; i chyba wkrótce po angielsku *Pornografia* ukaże się.

Jak najbardziej Panu jestem zobowiązany za tyle życzliwości i za to, że Pan już książkę pomógł. Pojęcia nie mam, co się z nią dzieje, zresztą za wcześniej jeszcze na reakcje prasy.

Pyta mnie Pan o końcowy wierszyk *Ferdydurki*. Już sam nie wiem, dlaczego we francuskim przekładzie zginął, może już nie chciało się nam, te przekłady to potworna piła, ja brałem udział wydatny w dwóch, tj. hiszpańskim i francuskim, i mam dosyć!

Ciekawym, Panie Jerzy, czy i kiedy się zobaczymy. Ja przecież muszę kiedyś do tej Europy się wybrać i o Londyn zahaczyć. Piszę dla F.E.²³ moje wspomnienia z Polski (jeszcze tego nie nadają i w ogóle nie wiem, czy nadadzą), tam i o Panu gęsto wspominam.

Widzę, że z Pana romantyk już patologiczny, bo żeby z wydawcy forsy nie dusić (czy tak można się wyrazić?) za kontrolę tłumaczenia, to skandal.

Uszanowanie!

W.G.

12.II.61

²³ Free Europe, czyli Radio Wolna Europa; chodzi o teksty, które po śmierci Gombrowicza zostały wydane jako *Wspomnienia polskie*.

Drogi Panie Jerzy,

jak najbardziej dziękuję za pismo pobudzające na duchu, ale obawiam się, że przyjaźń Pana nałożyła szkła powiększające. Ja co prawda po angielsku raczej przeczuwam i wyczuwam niż co wiem, ale rzuciwszy okiem na świstki prasowe, które już tu po przyjeździe zastałem, wcale nie widzę, żeby to takie tryumfalne było. Niby coś tam gładzą, ale sami nie wiedzą co i to wszystko takie sobie... po paryskiej prasie, która krzyku narobiła, tak mi to smakuje jak limonada po mocnym winie. Również w Niemczech o wiele silniejsze odgłosy były. Ale może to tak u Was wszystko flegmatycznie odbywa się, zresztą za wcześniej jeszcze, żeby wyrokować, *Ferdy* jest z tych lokomotyw, co to bardzo wolno ruszają – może jeszcze się rozpędzi. Ale, powtarzam, nie bardzo widzę Brytyjczyków zaczytujących się tym utworem, to inna mentalność.

Nie jestem Pana opinii, że lepiej bez komentarza, wręcz przeciwnie, myślę, że upór O'Keeffe (którego błagałem o zamieszczenie kilkunastu linii) będzie i jego, i mnie sporo kosztował. To samo mówi Broncel²⁴.

Niezmiernie mnie cieszy, że tłumaczenie dobrze wypadło – to najważniejsze. Bardzo Panu dziękuję za współdziałanie w tej sprawie. Napiszę do Mosbachera z podziękowaniem.

Bóg zapłać, Panie Jerzy, i proszę, niech Pan książkę podpuszcza, gdzie trzeba. Moje rzeczy muszą sobie czytelników wyłapywać jednego po drugim, czasem wyobrażam sobie nostalgicznie, jak błogo musi się czuć autor, który jest CZYTELNY.

Niski pokłon z pozdrowieniem
W.G.

6.III.61

²⁴ Zdzisław Broncel (1909-1998) – poeta, publicysta, autor sztuk teatralnych i audycji radiowych.

Drogi Panie Jerzy,

szkoda gadać, bez Pana tu obyć się nie może, myślę, że Pan sam co do tego nie miał złudzeń... Hamilton ukończył tłumaczenie *Pornografii*. Pojęcia nie mam, jak to wyszło... to młody tłumacz, o którym nic mi nie wiadomo. Bardzo proszę, niech Pan z łaski swojej okiem na to rzuci i p o r ó w n a z p o l s k i m o r y g i n a ł e m – wystarczy kilka stron. I prosiłbym, żeby mi Pan przesłał swoją diagnozę. Jakby nie było dobre, proszę wskazać, komu dać do poprawienia i w ogóle ojcowskiej rady udzielić, bo ja jak tabaka w rogu, nic nie wiem. Najważniejsze, żeby się dobrze czytało i żeby szczypta poezji i wdzięku, tudzież perwersji etc. były zachowane.

Bóg zapłać!

Tutaj od 3 dni leje, że nie daj Boże. Nic specjalnie nowego. Kupiłem dwukonkę, czyli małego Citroena, którym Rita wyjeżdża na wsze strony. Premiera *Iwony* była przedwcześniej w Théâtre de France, prasy jeszcze nie widziałem, tylko telegram od Kota Jeleńskiego, że podobnie sukces.

Kłaniam się nisko Wam obojgu i pozdrawiam. Uszanowanie. Dziękuję. Przepraszam.

Z pokłonem
W.G.

1.X.1965

Drogi Panie Jerzy,

Bóg zapłać, już napisałem do Mrs. Boyars²⁵, że Pan dał swoje *i m p r i m a t u r*. Wiem, że Pan był akurat w sytuacji, w którą Hemar wstawiał Wittlina: „mam korektę i grypę”. Mam nadzieję, że już i jedno, i drugie przeszło.

Pańska rada, aby Anglikom oszczędzić autorskiego komentarza, wydaje mi się bardzo słuszna, ale z drugiej strony trzeba koniecznie, żeby ktoś mnie wprowadził, przedstawił, skomentował. Jeleński ma napisać krótką przedmowę, która też pewnie pójdzie do wydania amerykańskiego – nie będzie to ocena, a raczej informacja o dziejach moich w Europie.

Ja też kiepsko się miewam, nie wiem, astma czy serce, pewnie i to, i to, a w dodatku katar.

Bardzo bym chętnie jaką powieść Pana przeczytał. Ale mogę tylko po francusku lub hiszpańsku.

Fotki doskonałe. Rita bardzo nimi zaopatowana i przesyła Wam wiele serdeczności. Ja także. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy. Uszanowanie

W.G.

10 Nov. 1965

²⁵ Marion Boyars w latach 1963-1975 razem z Johnem Calderem prowadziła wydawnictwo Calder and Boyars, które opublikowało drugie wydanie *Ferdydurke* (Calder and Boyars, London 1965 [1966]).

Drogi Panie Jerzy,

jak najbardziej zobowiązany jestem za łaskawe słówko co do przekładu *Iwony*. Ja jak tabaka w rogu, bo po angielsku ani w ząb. Cieszę się też, że Hamilton przypadł Panu do gustu. Niestety, do Anglików jakoś szczęścia nie mam, recenzje o *Pornografii* nie tylko nieszczerze, ale wręcz niedorzeczne, może jeszcze się rozkręci. Z notki o nas dwóch w „Wiad[omości]” widzę z pociechą, że i Pan tym razem trafił na opory – ale z tego wnoszę, że pewnie to książka najlepsza.

Poprosiłem Giedroycia, aby Panu mój dziennik 61-66 podesał, wraz z *Operetką*. Nie wątpię, że uszczęśliwiam Pana tym hojnym darem, więc zwalniaм Pana z obowiązku wyrażenia tego szczęścia na piśmie, innymi słowy, proszę czasu nie tracić cennego. Życzenia gwiazdkowo-noworoczne dla Was obojga, uszanowanie!

W.G.

16.XII.66

Abstract

Witold GOMBROWICZ

Letters to Jerzy Pietrkiewicz.

Introduction: Tul'si Kamila Bhambry (University of London)

This is the first publication of Witold Gombrowicz's letters to Jerzy Pietrkiewicz (or Peterkiewicz, 1916-2007), a professor of Polish literature at the University of London, a translator, poet, and prose writer. Searching for a suitable translator for his novel *Ferdynand*, Gombrowicz turned for advice to his acquaintance from prewar Warsaw. These letters, dating from 1959 to 1966, will provide stimulating material for literary scholars, as Gombrowicz straightforwardly discusses in them his views on translation.

Bhambry's introduction first presents Peterkiewicz's life and work, tracing his acquaintance with Gombrowicz. She then outlines the troubled history of *Ferdynand*'s English translations, and finally discusses Gombrowicz's reflexions on the role of the translator. Gombrowicz describes his ideal translator, whose work would render *Ferdynand*'s creative and playful qualities. Thus, the translator must have a „sense of humour and poetry, as well as temperament”, he must be „an artist”, and must feel a certain sympathy with the work. Given that Gombrowicz usually tried to control how his works would be interpreted, Bhambry sees his attitude towards translators as surprisingly liberal, and suggests that this openness might be due to Gombrowicz's own experience of translating *Ferdynand* into Spanish and French. Contextualising two translators' comments on their work on this novel, Bhambry presents Gombrowicz's emancipatory vision of the ideal translator as foreshadowing poststructuralist developments in translation.

Copyright © Rita Gombrowicz, 2011

All rights reserved

Witold GOMBROWICZ

Nieznane artykuły z „Kuriera Porannego”*

William Leidy
Wprowadzenie

Witold Gombrowicz, jak wszyscy wielcy prowokatorzy, bez wahania atakował to, co dla innych było świętością. Polska i jej najważniejsze symbole nie stanowiły wyjątku. Gombrowicz, dając do jednego z początkowych fragmentów *Dziennika* z 1953 roku motto z wypowiedzi ministra spraw zagranicznych w gabinecie Mussoliniego, Galeazzo Ciano: „Kraków. Posągi i pałace, które [Polakom] wydają się bardzo wspaniałe – a które dla nas Włochów, są pozbawione większej wartości”, wyśmiewa polską megalomanię¹. Celem podobnych uszczypliwości, tak charakterystycznych dla twórczości Gombrowicza z wczesnych lat 50., była przede wszystkim żarliwie nacjonalistyczna polska emigracja. Od zarania swej kariery literackiej Gombrowicz miał świadomość, że każda prowokacja, aby była skuteczna, potrzebuje adresata, który odegra rolę poszkodowanego². W okresie międzywojennym w roli tej często występował Stanisław Piasecki, redaktor prawicowego tygodnika literackiego „Prosto z Mostu”. We *Wspomnieniach polskich* Gombrowicz przypomina trzy różne przypadki, gdy Piasecki, urażony tym, co autor *Ferdydurke* napisał w swoich tekstach odpowiedział mu w swoim tygodniku³. Gombrowicz tak relacjonuje

* Redakcja „Tekstów Drugich” bardzo dziękuje Pani Ricie Gombrowicz za uprzejmą zgodę na przedruk nieznanych artykułów Witolda Gombrowicza z „Kuriera Porannego”. Jakiegokolwiek wykorzystanie zamieszczonych tu tekstów Witolda Gombrowicza wymaga osobnej zgody spadkobierczyni praw autorskich Pani Rity Gombrowicz.

1 W. Gombrowicz *Dziennik 1953-1956*, w: tegoż *Dzieła*, t. 7, red. nauk. J. Błoński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986, s. 11.

2 Opis tego procesu patrz M. Tramer *Literatura i skandal. Na przykładzie okresu międzywojennego*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2000, s. 10.

3 W. Gombrowicz *Wspomnienia polskie. Wędrowki po Argentynie*, w: tegoż *Dzieła*, t. 15, red. nauk. J. Błoński, J. Jarzębski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1996, s. 125, 126-127, 165.

jedno z tych starć polemicznych: „Opisałem tę wawelską wizytę w felietonie zamieszczonym w „Kurierze Porannym”, nic w nim bardziej istotnego nie było prócz dowcipkowania, za które nacjonalista Piasecki lanie mi sprawił w «Prosto z Mostu»”⁴.

W mojej dysertacji doktorskiej, traktującej o „charyzmatycznym skandalu” i prowokacji, co Gombrowicz praktykował z wielkim powodzeniem, chciałem opisać ten konflikt. Zwłaszcza że był to najwcześniejszy przypadek Gombrowiczowskiego naśmiewania się z Wawelu, klejnotu koronnego polskiej architektury. Jednakże artykuł, o którym mowa, nie znalazł się ani w paryskich *Variach* i odpowiadającym mu, dwunastym, tomie krakowskiego wydania *Dzieł* noszącym tytuł *Proza (Fragmenty). Reportaże. Krytyka literacka 1933-1939*, ani w późniejszych przedrukach tych tekstów, nawet w takich pracach zbiorowych, jak trzypięciotomowa seria *Varia* wydana przez Wydawnictwo Literackie w roku 2004. Dzięki grantowi Uniwersytetu w Stanford udało mi się trafić na zagubiony artykuł *W podwawelskim grodzie*, który, o ile mi wiadomo, od czasu ukazania się w druku nigdy nie był opublikowany w całości; odnalazłem go na archiwalnym mikrofilmie „Kuriera Porannego” w Bibliotece Narodowej w Warszawie⁵. Felieton umieszczono w rubryce, którą Gombrowicz zatytułował „Podróże i przygody”. Stanowi on kontynuację serii krótkich obrazków z podróży, jakie Gombrowicz pisywał tamtego lata dla *Kuriera Porannego* (poczynając od *Decyzji* i *Drzewa genealogicznego* aż po *Niesmak w permanencji* i *U pana Jakuba*). Za część tej serii można też uznać *Wywiad na trawie*, który był pierwszym reportażem, jaki Gombrowicz dla tej gazety napisał – artykuły te zawsze były drukowane na trzeciej stronie⁶.

Zachęcony tym odkryciem, szukałem dalej, przeglądając inne egzemplarze „Kuriera Porannego” z roku 1937. Znalazłem jeszcze dwa teksty z cyklu „Podróże i przygody” Gombrowicza całkowicie pominiete w istniejących bibliografiach. Oba artykuły, *Brak kąpiel* i *Szczyty – pensjonarki*, dotyczą pobytu Gombrowicza w Tatrach⁷. Moje podejrzenia rosły, postanowiłem więc przejrzeć wszystkie numery „Kuriera Porannego” z okresu między lipcem 1934 a październikiem 1938 roku, aby poszukać innych nieznanych artykułów Gombrowicza. Udało mi się jeszcze

⁴ Tamże, s.165.

⁵ „Podróże i przygody”: *W podwawelskim grodzie*, „Kurier Poranny” 17.09.1937 (nr 258), s. 3. Później zdałem sobie sprawę z tego, że Agnieszka Stawiarska wcześniej wspomniała o tym artykule w swojej książce *Gombrowicz w przedwojennej Polsce* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001, s. 166-167), jednak błędnie lokalizuje odpowiedź Piaseckiego w „Prosto z Mostu” – ukazała się ona w numerze 45, a nie 46 tego pisma.

⁶ Wcześniej Gombrowicz napisał do tej gazety ponad dwadzieścia recenzji literackich, lecz były one umieszczane w drugiej połowie numeru, w części kulturalnej.

⁷ „Podróże i przygody”: *Brak kąpiel*, „Kurier Poranny” 25.09.1937 (nr 266), s. 3; „Podróże i przygody”: *Szczyty – pensjonarki*, „Kurier Poranny” 9.10.1937 (nr 280), s. 3.

odnaleźć jeden tekst: niepublikowaną dotychczas recenzję z roku 1937 pod tytułem *Podróż w obrębie niemocy. Pomiędzy zdrowiem i chorobą*. Jest to recenzja z obecnie już zapomnianych pamiętników France Pastorelli *Dostojeństwo choroby*⁸. Przeglądanie następnych roczników nie przyniosło już niczego dodatkowego. Mogę jedynie skorygować parę pomniejszych błędów bibliograficznych, nieustannie powielanych od czasu pierwszej publikacji w paryskich *Variach*⁹.

Cztery artykuły drukowane poniżej w kolejności ich publikowania i bez skrótów ukazują się po raz pierwszy od roku 1937 dzięki łaskawej zgodzie pani Rity Gombrowicz.

Przełożyła *Barbara Roehr*

Uwagi edytorskie

Ortografię i interpunkcję poprawiono zgodnie ze współczesnymi normami.

⁸ „Kurier Poranny” 19.05.1937 (nr 137), s. 6.

⁹ *Plomień skrada się ku ojczyźnie* został opublikowany w „Kurierze Porannym” z 8 sierpnia 1935, w numerze 218 (a nie w numerze 216 z 6 sierpnia, jak dotychczas twierdzono); *Posąg człowieka na posągu świata* ukazał się w „Kurierze Porannym” z 2 grudnia 1935, w numerze 334 (a nie w numerze 333 z 1 grudnia).

Podróż w obręby niemocy. Pomiędzy zdrowiem a chorobą¹⁰

Dostojeństwo choroby France Pastorelli¹¹ należy do tych książek, które nie potrzebują żadnych szczególnych zalet artystycznych, aby stać się najbliższą i poufną lekturą bardzo wielu osób – ponieważ dotyczą problemów prawdziwie bolesnych. Istnieją sprawy do tego stopnia jeszcze nieurządzone w naszej psychice, tak męczące, iż wszystko, co o nie potrąca, odczuwamy ostro, jakby ktoś nas uraził w bezbronne miejsce duszy. Pani Pastorelli jest nieuleczalnie chora na serce. Rza-dziej lub częściej, ale zawsze niespodziewanie, nawiedzają ją ataki, podczas których życie jej wisi na włosku i – jak mówi – jest rzeczą stwierdzoną, że żadna siła ludzka nie zdoła usunąć tej groźby, wiszącej nad nią dzień i noc i sprawiającej, że żyje jak na gruncie podminowanym, który w każdej chwili może być wysadzony w powietrze. Choroba, pogarszająca się stale, od kilku lat nie pozwala jej opuścić łóżka, a często zmusza do leżenia w ciągu długich okresów na wznak i bez ruchu.

Oto stan faktyczny, z którego powstała książka – trzeba jednak dobrze uprzytomnić sobie całą rozległość i rozmaitość cierpienia, wszystkie jego rozgałęzienia, konsekwencje, reperkusje, wszystkie szczegóły cielesnej wegetacji p. Pastorelli, by pojąć, z jak egzotycznej krainy dochodzą [do] nas jej słowa. Książka napisana przez człowieka ciężko i nieuleczalnie chorego nie jest w każdym razie książką napisaną przez człowieka żyjącego normalnie i [o] przeciętnym zdrowiu. Ta prosta prawda sprawia, iż *Dostojeństwo choroby* czytamy zupełnie inaczej niż zwykłą opowieść o dalekich podróżach i zamorskich cudach.

Jednakże nieuleczalna choroba i związane z nią egzotyczne stany świadomości nie jest już nam tak obca, jak przed wiekami, gdyż związek człowieka z człowiekiem jest dziś nieskończenie silniejszy. Jesteśmy mniej obcy cudzemu cierpieniu niż praojcowie nasi, którzy zadawali potworne tortury, nie czując, co robią, i właściwie nie ma dziś zdrowego, który by był zupełnie izolowany od choroby – gdyż najzdrowszy nawet czuje i zna nie tylko własne zdrowie, lecz i cudzą chorobę.

¹⁰ Pierwodruk: „Kurier Poranny” 19 maja 1937, nr 137, s. 6.

¹¹ France Pastorelli *Dostojeństwo choroby*. Przekład autoryzowany Anny Leo. Wyd. Księgarni św. Wojciecha, Poznań. (Przypis W.G.) – Książka w polskim przekładzie wyszła w 1936 roku. Przedmowę napisał Piotr Sanson. Oryginał zatytułowany *Servitude et grandeur de la maladie* ukazała się w Paryżu w 1933 roku nakładem wydawnictwa Plon.

Zwierzenia pani Pastorelli są jedną więcej próbą zamachu chorych na świadomość zdrowych. Autorka zakłada sobie dwa cele: z jednej strony pragnie jak najlepiej wtajemniczyć zdrowego w sytuację wywołaną cierpieniem, z drugiej – chce przezwyciężyć i opanować słabość cielesną za pomocą wartości duchowych, ukazując moralność, podniosłość i piękno, a nade wszystko żywotność choroby.

Rzecz dziwna, jak bardzo jesteśmy ciekawi błahych nawet szczegółów codziennego życia p. Pastorelli i jak dalece wciąga nas każde z tych drobnych udręczeń, o których pacjentka informuje pobieżnie i zdawkowo, śpiesząc do filozoficznych i etycznych wniosków. Dziwne również, iż ta jej filozofia i etyka, ufundowana przecież na nie byle jakim osobistym doświadczeniu, jest dla nas jedynie dość nieważnym komentarzem. Autorka nie jest tu całkiem bez winy. Pani Pastorelli, uczennica Vincenta d’Sudy, obdarzona jakoby wspaniałym talentem pianistowskim i w chorobie pozostała artystką. Cięży na niej balast niewyżytego powołania i poczucie jakiejś wyższej misji. Nie ma nic naturalniejszego od tych procesów sublimacji, kompensacji (i jak tam jeszcze zowie je psychologia), za pomocą których człowiek na innych polach usiłuje powetować sobie utracone dary życia. Ale autorka nie pokazuje nam ich podszewki, występuje już z gotowym rezultatem, powiada – patrzcie, oto do jakich doszłam przemyśleń, jaką postawę wam zalecam. I wskutek tego czytelnik, któremu nie okazano, jak ten rezultat etyczny został osiągnięty, odnosi się doń z pewną nieufnością. W zbyt harmonijnych, podniosłych i żarliwych okresach zamyka p. Pastorelli swoje nieszczęście, aż niejednokrotnie podejrzujemy, iż jest to tylko... opakowanie.

Istnieje wszakże inny i dużo gruntowniejszy powód, dla którego część ściśle informacyjna utworu bierze nas o wiele bardziej niż nadbudowa etyczna i estetyczna. Wobec problemów tak beznadziejnych i nieuleczalnych czujemy całą bezsilność przeciętnego ducha – nie tego wyjątkowego i genialnego, lecz zwykłego – i wiemy, że cokolwiek by się powiedziało, będzie to zawsze w mniejszym lub większym stopniu frazes. Im bardziej dramatyczna jest rzeczywistość p. Pastorelli, tym mniej przekonujące wydają się słowa. W obliczu pewnych zbyt już ostatecznych nieszczęść ludzie zwyczajnie będą zawsze nieporadni i niezręczni, gdyż przekraczają one normalną pojemność ich duszy, a wszelki wysiłek załatwienia sprawy w myśl takich czy innych postulatów etycznych odczuwać będą jako co najmniej przedwczesny, ponieważ istotą tych spraw jest właściwie to, że się nie dają załatwić i uporządkować. Dlatego wszelka zbyt określona forma narzucana nam tutaj w imię najpiękniejszych choćby ideałów będzie zawsze, niestety, nieco sztuczna i być może w efekcie praktycznym bardziej krępująca nasz humanitaryzm niż przeciętny, zwyczajny tryb postępowania. Fałszywy głos nie przeszkadza nam póty, póki nie zaczniemy śpiewać.

Pani Pastorelli żąda może za wiele od siebie i swego otoczenia. Egoizm, niezrozumienie, niedostateczność współczucia, miłości, poświęcenia oraz inne moralne wrzody tworzące się w środowisku chorego są równie nieuniknione, jak sama choroba, są po prostu refleksem choroby. Bezsilność zdrowego wobec chorego jest akurat taka sama, jak bezsilność chorego wobec zdrowych. I jedynie, co tu pozosta-

je do zrobienia, to właśnie jak najściślejsze wtajemniczenie ludzi we własną sytuację i przekazanie im bez komentarzy własnej rzeczywistości. Na gruncie lepszej świadomości, bliższego jeszcze niż dotychczas związku z cudzą niedolą, wykształci się stopniowo i w sposób bardziej naturalny coraz subtelniejsza i lepsza forma obcowania zdrowych i chorych, szczęśliwych i nieszczęśliwych. Ciekawość, która każe nam wylapywać z tej książki drobne, informacyjne szczegóły, nie jest bezowocna.

Lecz styl autorki nie sprzyja drobnej informacji, gdyż jest zbyt wysoki. Zbliżamy się do łoża chorej w nadziei, że usłyszymy jej własną, subiektywną, małosłowną prawdę, zamiast tego jednak widzimy, iż chora wznosi się ponad swój stan i pragnie być arbitrem, wyznaczać obiektywnie prawa i obowiązki obu stronom. Nie brak wprawdzie w tekście doskonałych obserwacji i bystrej charakterystyki, nie trzeba też mniemać, że wysoka kultura p. Pastorelli nie uchroniła jej od nazbyt taniej wyższości – nie wszystko, co mówi, jest głęboko przepojone chrześcijańską pokorą. Ale paradoksem podobnie altruistycznego i szlachetnego nastawienia jest, iż w praktycznym wyniku służy ono wyłącznie autorowi, jego przyozdabia, uszlachetnia i czyni lepszym od samego siebie. Utwór ten będzie mniej pożyteczny dla ludzkości, niżby mógł być, ponieważ... zanadto chce być pożyteczny.

Przekład p. Leo płynny i wierny.

Podróże i przygody
W podwawelskim grodzie¹²

Pociąg zwalnia i kończy pęd jazdy – krzyczą głosy fachowców z zewnątrz. W pociągu ja – podróżnik i pielgrzym samotny z niewyraźną miną. Oto moja noga po raz pierwszy w życiu wyciska swój pocałunek na bruku krakowskim. Uroczysta chwilo! Wkrótce potem – godzina 11 w nocy – wychodzę ze starożytnego hotelu Pod Różą i okiem rzucam na miasto. Starodawna wieża z jednej strony, a druga jeszcze bardziej starodawna z drugiej strony. Rynek...

Co uderza pielgrzyma, który w zadumaniu wstępuje nocą na Rynek krakowski, to pokaźna ilość przedstawicielek zawodu wesołej córy Koryntu. O 11 miasto już śpi, przechodnie koncentrują się w domach i na opustoszałym bruku pozostają same te przedstawicielki, wybuchając od czasu do czasu chichotem i bombardując zalotami pustą przestrzeń. Co je skłania do pozostawiania na ulicy, gdy nie ma nikogo, kto by mógł być ich celem i obiektem? Czemu, nieuzupełnione nikim, wyrzucają swe pradawne i odwieczne chichy w pustkę? Przyzwyczajenie? Nałóg? Mistyka jakaś? Zdziwiony, odchodzę chyłkiem.

Lecz zaraz inna rzecz, bardziej nieprawdopodobna, szalona, wobec której przeżone zmysły rozbiegają się i rozpraszają w tańcu, uderza moje naiwne oko podróżnika. Na Rynku krakowskim, pośród domów powleczonych patyną stuleci, nagle, ni stąd ni zowąd, wystrzela w miejscu najbardziej widocznym arcynowoczesna kamienica w stylu betonowo-szklanym. Kto ją wybudował? Dlaczego? Po co? Gdzie cel, sens? Komu zależało? Czy po to, żeby zadziwić pielgrzymów? Zdumiony, odchodzę chyłkiem. A nazajutrz kieruję swe nogi na Wawel.

Milcz pióro. Dosyć już wysnuto notorycznych zachwyty nad pięknem zabytków i majestatem wieków. Lecz muszę powiedzieć, że gdy pielgrzyma, wstępującego na wzgórze wawelskie, ugodzi z góry w samą głowę zespół spiętrzonych wież, murów i blanków... Dosyć, już wiadomo. W sieni przywdziewam nieuniknione pantofle i wraz z garścią innych pantoflarzy wkraczam w brzemienne historią komnaty. Ze mną pewien znajomy intelektualista, jakaś paniusia dosyć tłusta w rodzaju gospodyni lub zarządzającej oraz kilku najzupełniej neutralnych panków.

Infernalna pielgrzymka przez majestatyczny Wawel na samo dno małostek! Przewodnik nas wiedzie, wskazując tu i ówdzie palcem na to i owo dzieło sztuki. Lecz nic się na tym nie znam, nie umiem ocenić, ignorancja moja w zakresie sty-

¹² Pierwodruk: „Kurier Poranny” 17 września 1937, nr 258, s. 3.

lów i epok jest kompletna, powszechnie przyjęta, a poza tym za dużo cudów naraz. Oko się przesuwa od jednego arrasu do drugiego, lecz na każdy arras wypada zaledwie parę sekund. Próbuje nastroić się historycznie, skupić, skoncentrować, boć przecie to siedziba królów, nie mogę jednakże, albowiem doczesność dopieka mi w osobach moich współpielgrzymów. Otyła gospodyni najwidoczniej pragnie się popisać, zadaje inteligentne pytania, jedno zgani, a drugie pochwali i stopniowo wybija się na czoło zwiedzających... Podrażniony tym jeden z cichych dotychczas, nieznanych pielgrzymów, również rozpoczyna wygłaszanie sądów obserwacji. Podrażniony tym mój przyjaciel intelektualista rozpoczyna ciche ironizowanie z boku za pomocą uśmiechów i sarkazmów. Podrażniony tym (gdyż wiem, że i on właściwie też niewiele zna się) odchodzę w kąt sali i odtąd zwiedzam już same kąty z dala od pielgrzymki. Lecz zwiedzając kąty, zyskuję arystokratyczną minę konesera, wobec czego inni także stopniowo, nieznacznie, rozpraszają się po kątach. Pokątna pielgrzymka, zarażona duchem rywalizacji, rozdrażniona...

O, o, o! Lecz potęga człowieka jest taka, iż nawet na Wawelu niepodobna odebrać się od osób obcych i przygodnych, nie możesz kontemplować czysto, musisz wieść tę nieustanną, zastarzałą rozgrywkę o lepszość. Nie lubię mądrali, którzy określają to ważne zjawisko bagatelnym mianem snobizmu. – Ach – mówią – nie brakuje snobów, cóż z tego, że ludzie snobują się i na Wawelu? – Lecz gdybyśmy mieli to wzajemne międzyludzkie zadrażnienie, tę rywalizację, nazywać snobizmem, w takim razie trzeba przyznać obiektywnie, iż w galeriach i muzeach jeden czysty kontemplator przypada na dziesięć tysięcy snobów, którzy czerpią rozkosz ze sztuki nie bezpośrednio, lecz tylko w ten sposób, iż służy ona utwierdzeniu ich personalnej wartości wobec innych ludzi, określeniu stopnia w hierarchii kulturalnej¹³.

I właśnie w muzeach, w miejscach historycznych, człowiek specjalnie podatny jest małostkom, a to z tej przyczyny, iż czuje swą niemoc wobec wielkości i sztuki, nie umie zasymilować, nikłość jego, nędza, ignorancja wypelza na jaw, gryząc go jak żmija i wpychając w tym większe małostki. Samopoczucie nasze w tych miejscach jest [fragment nieczytelny] i dlatego drugi człowiek podobny nam przyciąga nas z siłą niezwalczoną... Myślę, że zacny *rex bene*, król Zygmunt, bez zgrozy spogląda z wyżyn majestatu na pokątny taniec małostek pielgrzymich w komnatach królewskich. Czyliż bowiem ongi nie było tutaj drobnych ambicji, zadrażnień, spajających i łączących ludzi? Opuszczamy królewskie podwoje związani już chyba na wieki więzami delikatnymi, lecz mocnymi. Nienawidzę natrętnej paniusi,

¹³ W oryginale po słowie „muzeach” jest kropka, po której zaczyna się kolejne zdanie od słów „Jeden czysty...” („Lecz gdybyśmy mieli to wzajemne międzyludzkie zadrażnienie, tę rywalizację, nazywać snobizmem, w takim razie trzeba przyznać obiektywnie, iż w galeriach i muzeach. Jeden czysty kontemplator przypada na dziesięć tysięcy snobów, którzy czerpią rozkosz ze sztuki nie bezpośrednio, lecz tylko w ten sposób, iż służy ona utwierdzeniu ich personalnej wartości wobec innych ludzi, określeniu stopnia w hierarchii kulturalnej”). Jednak biorąc pod uwagę sens wypowiedzi i poprawność językową tworzą one jedno zdanie.

a jeden z panów, który zdołał zachować pewną przyzwoitość wewnętrzną i godność, jest mi tak przyjemny, że chyba ucałowałbym go. Wawel złączył nas, zczepił i zahaczył.

Ciekawą jeszcze muszę wam przekazać rozmowę z pewnym starym kustoszem-emerytem. Kiedym mu się zwierzał, cicho pojękując, z mojej małościowości na Zamku Królewskim, rzekł mi: – Owszem, zdarza mi się słyszeć co pewien czas jęki i ubolewania, iż pokolenie dzisiejsze jest małe, iż nie ma wielkości w sztuce etc. Dziwię się ogromnie pokoleniu, które tak nędzne wystawia sobie świadectwo. Być małym, a jęczeć z tego powodu, że się nie jest wielkim, być małym, a wołać o wielkość i drobnym, piskliwym głosikiem domagać się, aby ktoś za nas był tytanem – oto rola dosyć zabawna i znamionująca już pewną słabość. Wielkość przestraszy się tych wrzasków i ucieknie od was na dobre. Człowiekowi średniej miary przystoi pewna dyskrekcja, nie tyle powinien on domagać się wielkości, ile raczej dbać o to, aby się samemu nie ośmieszać i nie kompromitować wobec wielkich spraw i wielkich ludzi. Nie ma w tym nic dziwnego, że muszka nie pochłonie słonia i że przeciętny przechodzień nie zdoła w pełni zasymilować Wawelu. Nieporadność pańska w tej siedzibie królów jest faktem psychologicznym i jako fakt winna być wzięta pod uwagę bez zbędnych jęków i dąsów. Budujmy rzeczywistość naszą z faktów, nie zaś z jęków i starajmy się raczej nadać pozytywny sens i walor drobiazgom naszym, niżli wzdychać za czymś, co nigdy nie stanie się naszym udziałem. Ten pan zdaniem moim – zakończył stary, śmiejąc się bezzębnie – kto przestał na swoim.

Podróże i przygody
Brak kąpeli¹⁴

Czorsztyn, Czorsztyn... dlaczego właśnie przyjechałem do Czorsztyna – myślałem półsennie – jaka moc pędzi mnie, pielgrzyma, przez coraz to nowe okolice?... Cóż mię obchodzą okolice?... Nie, nie, wyznam szczerze, że nie okolic, ale nowych ludzi pożądałem, och, jakże spragniony byłem odświeżającej kąpeli w ludziach nowych i nieznanym! Gdyż człowiek regeneruje się tylko w kontakcie z innym człowiekiem, nowym i nieznanym. Z nowym możesz być nowy, on cię nie zna, nie wie, jakim byłeś dotychczas, możesz z nim przybrać nowy sposób bycia, możesz na przykład z sarkastycznego i sardonicznego przedzierzgnąć się w tkliego, serdecznego. Czyż nie po to jeździmy za granicę? Z dala od starych znajomych możesz z nowymi być nowy, chyba że cię stary zdybie gdzieś przypadkiem i zawoła: – Co? Ależ on jest przecież zupełnie inny! Znam go od dzieciństwa!

Ta potrzeba nagle, paląca, odświeżającej kąpeli w nowych, obcych, zapędziła mnie aż do Czorsztyna. Wzgórza, a na wzgórzach dwa zamki, wpatrzone w siebie. Przywiozłem dwie pary tenisowych spodni, dwie pary spodni flanelowych i na zajutrz rankiem wyszedłem zahaczać, zatrącać, wciągać się w nowe znajomości. Głupi – nie wiedziałem, że ta miejscowość jest samowystarczalna. Przebywają tu jeno pary narzeczonych i kochanków, zatopionych w sobie, w przygotowawczym stadium rozmnażania – lub też ludzie, którzy już się rozmnożyli i chodzą familijnym stadkiem z boną oraz z dziećmi, a wzrok mój obrażony czuł się widokiem nieustannych namiętnych całusów narzeczeńskich, małżeńskich lub czysto miłosnych w przydrożnych krzakach. Więc postanowiłem opuścić ten raik dla ludzi niepotrzebujących ludzi i przenieść się do Zakopanego.

Tam się odnowię, odświeżę!...

Ale w naiwności swojej nie wiedziałem, jak niesłychanie trudno i sztywno jest w życiu. Przybywszy do Zakopanego i zamieszkałem na razie w hotelu i w tzw. *pan-talons de flanelle*¹⁵ wyszedłem na Krupówki, a wzrok mój się sycił widokiem wspianego tłumu. Nigdzie, jak okiem sięgnąć, ani jednego starego, sami nowi, nieznanzi, obcy... Thalassa! Tu się skąpię i odświeżę.

Kilka interesujących twarzy mignęło się w oddali – puściłem się za nimi w po-goń, lecz zaledwie dopadłem, już odpadłem! Przebóg – zapomniałem o pretek-

¹⁴ Pierwodruk: „Kurier Poranny” 25 września 1937, nr 266, s. 3.

¹⁵ Franc.: spodnie z flaneli.

stach, wszakże bez pretekstów niepodobna zawrzeć znajomości, zwykły głód człowieka nie jest żadną formalną podstawą. Ale z drugiej strony wstydzilem się nawiązywać za pomocą pytań jak np.: – która godzina? czy daleko stąd do Jaszczerówki? Więc tylko chodziłem i nawiązywałem wzrokiem z daleka, jak głodny.

Do wieczora zahaczyła mnie wzrokiem, a nieraz i słowem, spora liczba mężczyzn i kobiet, podobnie jak ja spragnionych odświeżającej kąpieli, niestety jednakże musiałem ich odstrychnąć, albowiem nie mieli pretekstów. Jakże trudny jestem do zaczepienia, zahaczenia, jak odosobniony! Postanowiłem tedy przejrzyć listę gości – jest parę osób na świecie, które mnie nie znają, lecz z którymi miałbym pewną formalną podstawę... tych chciałem zahaczyć. Lecz kiedy następnego ranka udałem się do klimatyki, okazało się, że listy gości nie ma – skasowana – od paru lat już skasowana!

Skasowano listę? Nie, nie, niepodobna!

A jednak lista skasowana!

Jakiż to teoretyk magistracki nieznający życia i świętych jego potrzeb gwoli jakimż drobnym oszczędnościom skasował zbawczą listę? Czy skasowano ją dlatego, że zawsze był do niej ogonek ludzi poszukujących ludzi i rozglądających się za ludźmi? Czyliż ci panowie nie wiedzą, że dobór towarzystwa w uzdrowiskach ważniejszy jest od pejzażu oraz udogodnień? Gdzież jest ten minimalny kawałek rynsztoka, ta lampa, ten słup, który postawiono za groszową oszczędność na liście? O słupie, gdybym cię odnalazł, jakże chętnie bym cię spoliczkował!

Ale nie ma, nie ma... Pozbawiony busoli i towarzyskiego kompasu, nie tylko nie wiedziałem teraz, z kim mógłbym nawiązać, co gorsza nie wiedziałem również, kto ze starych znajomych tu bawi, kogo i gdzie mam się wystrzegać. Znalazłem się na bruku zakopiańskim, jak gdyby oślepy; postanowiłem przenieść się z hotelu do pensjonatu i wybrałem pensjonat bardzo zaludniony. Ale życie gorsze jest od diabła. Miast odświeżającej kąpieli – męka i jeszcze raz męka – i męczarnia!

Dwadzieścia osób przy stole spragnionych, łaknących zahaczenia i słodkiej kąpieli wzajemnej, napompowanych potrzebą towarzyskości aż po białka oczu. I proszę: – Czy pani była na spacerze? Wczoraj byliśmy na Giewoncie. – O, o, o! Każdy chciałby, ale się boi, nie można nic powiedzieć ani nawiązać w jakikolwiek sposób, gdyż każdy każdego mustruje i trzyma w przyzwoitej odległości.

Dwa żelazne prawa trzymają na uwięzi całe towarzystwo. Każdy się lęka, by druga osoba nie wzięła go za głupca nietaktownego i jednostkę niższej sfery. Każdy o każdym skłonny jest przypuszczać, iż tamten jest właśnie głupcem, nietaktownym lub jednostką niższej sfery. Istnieją słoweczka gaszące i nieoszacowane, jako to – nietakt, snobizm, poza, sztuczność, nieproszona szczerość, zarozumiałość, zbytńia pewność siebie, nie jestem ciekawa, to banalne, znane już, pani to umyślnie mówi, pan obraża – za pomocą których osoby wzajemnie osadzają się na miejscu. Osadzone na miejscach swoich nie mogą się skąpać. A przeto: – Czy pani była na Giewoncie? O, o, o! I udzielają się sobie li tylko na płaszczyźnie patefonu, wyuczonych gadek i kawałów, zapytań o sen i apetyt i tym podobnych bezdusz-

ných zabiegów. Lęk przed błędem, obawa ryzyka, żądza jakiejś fikcyjnej idealnej poprawności wtrąca w zdawkowość, hamuje, szpuntuje, knebluje, usztynnia i kolek wsadza do środka. Precz, precz – zaszpunktowany i zakneblowany, opuszczam progi pensjonatu.

I chyba nie ma już ratunku. Idę Krupówkami, ściemnia się, w dali nad górami burza i pioruny raz wraz walą w nieuniknione, mityczny nos Giewontu. Bez kąpieli idę chyłkiem, brudny i nieodświeżony, po beznadziejnym, starym i brudnym chodniku. Gdy wtę z boku doskakują ludzie, biorą mnie w ramiona: – Serwus! Jak się masz! Na długo? My tu całą kompanią! – Ha, starzy, brudni znajomi! I muszę powrócić do starej, brudnej, zużytej miny mojej – witaj, mino!

W nocy postanowiłem uciekać – i to uciec w góry. Od dzieciństwa miałem i żywiłem w sobie niezmierny pęd do wyniosłości, zatem na Kasprowy wywinduję się kolejką linową, tam zamieszkam dni parę – i skapię się w szczytach, gdy w ludziach skąpać się nie mogłem.

Podróże i przygody
Szczyty – pensjonarki¹⁶

Ku szczytom! Na stacji w Kuźnicach wychodzę na maleńki „peron” i zaraz łapie mnie za serce stalowa lina, gruba nieomal jak noga, która z wysokości spuszcza się ukośnie i zda się, że za chwilę traśnie pod własnym ciężarem. Rzecz cała wygląda jak dziecinna zabawka, a człowiek maleje i czuje się poniekąd lalką.

Dosiadłem małego wagonika, który nieco zachybotał mi się pod nogami. Zapragnąłem wycofać się i wrócić do domu. Ale już za późno. Ruszamy – i na skutek jakichś niepojętych cudów nowoczesnej techniki wagonik w ruchu przestaje się chybotać, równo, sztywno i pośpiesznie podciąga się i dąży wwyż! I tylko co pewien czas przy mijaniu słupów następuje nagle i niejasne przeweksłowanie w połączeniu z chwilowym i mglistym obsunięciem się wagonika, przy czym wrażliwsze osoby wydają nieznaczne i mętne jękiwania lub wzdychy. Pod nami przepaść wzrasta, pejzaże otwierają się na prawo i lewo, zewsząd wypełza przestrzeń... Lecz przestrzeń nie chwyta za gardło i ja, który bez dreszczu nie mogę spoglądać z szóstego piętra kamienicy, w kolejce czuję się jak w aeroplanie, dość bezpiecznie – gdyż duża przestrzeń mniej jest kąśliwa niż mała. Zresztą małe dzieci jadą wraz ze mną i bynajmniej nie kwilą.

Otóż w oddali i na końcu liny ukazuje się wyniosły budynek na wyniosłym szczycie – Kasprowy!

Dobijamy. Wsiadamy. Oto noga moja wyciska swój całus na szczycie Kasprowego. Uroczysta chwilo! Z walizeczką w ręku zapuszczam się w głąb nowoczesnego schroniska-hotelu i dają mi pokój wypełniony po sufit ośmioma łózkami. Sam na ośmiu łózkach wydają się nieco roztargniony, rozmnożony. Wychodzę. Panorama. Przede mną, jak okiem sięgnąć, przestrzeń. Za plecami – przestrzeń. Po prawej ręce – przestrzeń. Słońce nadmiernie przypieka. Wtem patrzę, co to z dołu czołga się ku górze do moich stóp, by wycisnąć na nich wiernopoddńczy całus. Chmura. Góry nikną. Mgła nieprzenikniona, zupełne mleko. Zimno i wilgotno. Ciemno. Wracam do schroniska. W pokoju chłodno, zimno i wilgotno, odór szesnastu materaców z morskiej trawy wzmaga moje roztargnienie. Zamierzam się skupić i skoncentrować rozproszone zmysły, gdy wtem chmura mija, słońce, gorąco, upał, widok, panorama, wybiegam ze schroniska.

Lecz nadciąga chmura, zimno, mgła, mleko, wilgoć, nic nie widać, wracam do schroniska. Pod wieczór ostatni turyści zjechali na dół ostatnim wagonem, a ja

¹⁶ Pierwodruk: „Kurier Poranny” 9 października 1937, nr 280, s. 3.

zostałem sam – jedyny śmiałek na noc. Ziąb się wzmaga (temperatura czasem spada tutaj w nocy do 0°) i nieprzenikniony tuman mleczny sprawia, iż doprawdy nie wie się, gdzie się jest. Więc tylko mózgowo delektuję się bezmierną wyniosłością, noc spędzam pośród szesnastu materaców na dumnych zamysłach i rzucaniu rękawicy całemu światu...

Rankiem patrzę – nic nie widać, mleko, mgła, wilgotno i nigdzie żadnej panoramy. Z przekleństwem z powodu wielkiej niepogody, na oślepek cokolwiek, zaczynam się spuszczać po stromym zboczu i wtem patrzę – pogoda, słońce, upał, panorama. Przede mną rozkoszna dolina po brzegi wypełniona słońcem. Ach! Myślałem, że słońce, a to tymczasem tylko szczyty gór pławią się w chmurach. W dole jest rozkosznie.

Odtąd zamieszkałem na Hali Gąsienicowej i naprawdę jest tam pewna specyficzna poezja, której nie napotkasz ani nad brzegiem morskim, ani też w kurortach. Tłum pielgrzymów przeciąga tędy bez ustanku w dążeniu na szczyty, a wszędzie brzmiały echowe śmiechy i nawoływania. Słońce przypieka mocno. I wytwarza się jakaś słodka mieszanina górskiej samotności z przyjazną i miłą stadonością ludzką, ludzie jakoś łatwo i bez trudu mieszają się ze sobą, równie łatwo odrywają się... a kiedy wieczorem wielka sala schroniska zaroi się tłumem opalonych, zmęczonych i zadowolonych, zdawać by się mogło, iż schronisko nuci cichą pieśń ukojenia...

Lecz dopiero kiedy nadciągnęły pensjonarki, hala się rozświergotała kulminantą swoich uroków. Nadciągnęły któregoś wieczora w liczbie co najmniej piętnastu, a może dwudziestu, i z trwogą zerknąłem na nie znad mego talerza – gdyż w Polsce nie można bez trwogi spoglądać na młodzież, nigdy nie wiadomo, jaką zgrywę, fałsz, niedostrojenie ujrzyysz, gdy niebacznie rzucisz okiem na wyrostka lub podlotka. Ale przyznać muszę, iż pensjonarki, które nawiedziły halę, były najlepsze z tych, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć w życiu. Żadnego fałszu! Żadnej kakofonii, afektacji i minoderii! Zręczne w ruchu i zgrabne w postaci, a w chichotach, żartach i zalotach swoich odznaczały się pewnym szlifem, pewnym wyrobieniem, tak rzadko spotykanym w naszym kraju pośród pensjonarek. Nie nieśmiałe, nie przesadne – ale gładkie, równe, przyjazne. Jakież bogactwo typów! Jakaż świetność biła z pensjonarek, umiejących mówić, śmiać się, ruszać, pewnych siebie i zadowolonych z siebie. Błogosławione bądźcie, pensjonarki, wy, nadziejo lepszej przyszłości! Rozświergotały i rozchichotały Halę, po czym wyruszyły na zdobycie okolicznych szczytów pod przewodem starego górala-przewodnika.

Żegnaj, halo! W przeświadczeniu, że oto osiągnąłem najwyższe moje doznanie i że nic doskonalszego nie może mnie już spotkać, postanowiłem wracać do Warszawy. Przebyłem gehennę kupowania biletu na stacji w Zakopanem, wsadziłem siebie w tłok pociągu, zgłosiłem swój akces do symfonii przekleństw, krzyków, jęków, pisków i stojąc na dwóch własnych oraz jednej cudzej, przydepniętej nodze, popędziłem w dół i na północ. Żegnajcie, niniejsze kanikularne wspomnienia, pełne głębszych myśli, subtelnych aluzji i różnorodnych wnikań w formie nonszalanckiej ukrywające tyle... hm... bo ja wiem, czego.

Abstract

Witold GOMBROWICZ

Rediscovered articles from *Kurier Poranny*

Introduction: William Leidy (Stanford University)

Presented here for the first time since their original publication in 1937 in *Kurier Poranny* are four articles written by Witold Gombrowicz. They were rediscovered in August 2010 in the microfilm holdings of Warsaw's Biblioteka Narodowa by William Leidy. In Leidy's brief introduction, he discusses both the original context of the articles in relation to Gombrowicz's other interwar publicistic writings as well as the circumstances that led him to search for them. Three are feuilletons originally published under the rubric "Podróże i przygody" – they represent a continuation of a series of short travel vignettes Gombrowicz wrote for *Kurier Poranny* in the summer of 1937 (the first four in the series can be found in *Varia*). "W podwawelskim grodzie" is a piece about Gombrowicz's visit to Kraków and Wawel Cathedral. The majority of the feuilleton is devoted to the interactions within a tour group at Wawel: Gombrowicz describes how they were overwhelmed by the amount of masterpieces housed in the cathedral, and the penchant for members of the group to show off their intelligence in order to appear more culturally refined and superior to the others. "Brak kapieli" details the first half of Gombrowicz's trip through the Tatras, which ends in Zakopane. The most Gombrowiczian point in the feuilleton is the claim that man is regenerated only through contact with a new person, in part because only then can he choose a new guise for himself. "Szczyty – pensjonarki" covers the second part of Gombrowicz's trip through the Tatras. Among other things, Gombrowicz writes about the solitude of the peaks, the camaraderie between climbers, and the sudden appearance of schoolgirls in the mountain pension he was staying in. However, Witold Gombrowicz was more typically tasked with writing book reviews for *Kurier Poranny*, which very often did everything except review the book at hand. The fourth rediscovered article, "Pomiędzy zdrowiem i chorobą", belongs to this unique genre of Gombrowiczian book review. It is a critique of the Polish translation of France Pastorelli's *Servitude et grandeur de la maladie*. In it are found some of Gombrowicz's very first published reflections on the theme of suffering as well as the problem of communication between someone overwhelmed by pain and the healthy people surrounding him or her.

Copyright © Rita Gombrowicz, 2011
All rights reserved

Przechadzki

Hanna BUCZYŃSKA-GAREWICZ

Gombrowiczowskie żarty z Heideggera

Teza

Kosmos zawiera drwinę z Heideggerowskiej koncepcji prawdy jako skrytości bycia rozjaśnianej chwilowymi prześwitami. Taka interpretacja nie jest dowolna, jednak nie jest też pewna. Nie jest dowolna, bo dobrze widoczne są pozostawione przez samego autora naprowadzające na nią ślady. Jednak odczytywanie śladów nie może się nigdy w pełni uwolnić od charakteryzującej je niejednoznaczności, mglistości i chwiejności, innymi słowy, nie osiąga nigdy pewności charakteryzującej się oczywistością. Gombrowicz jako twórca śladów korzysta ze wszystkich związanych z nimi przywilejów wieloznaczności. Nasza deszyfracja znaków idzie przede wszystkim tropem kpiny z języka filozofii, czemu towarzyszy pochwała prywatnego relatywizmu przeciw absolutyzmowi. Czyżby więc Leon miał być Heideggerem? Nie idziemy jednak tak daleko, choć bez wątpienia Leon to okazja do antyheideggerowskiego żartu. Gdy Lucien Goldman po premierze *Ślubu* w Paryżu rozwijał historiozoficzne heglowsko-marksistowskie interpretacje tego dramatu, Gombrowicz, choć mile połączony powagą takiego podejścia, sceptycznie jednak odnotowywał w *Dzienniku*: „no, ale żeby Mańka była Polską, to już duża przesada”. I miał rację. Nie chodzi więc o to, by w Leonie widzieć Heideggera, lecz jego dziwna mowa, jego „dziwolążeństwo ze słowotwórstwem”, który to „bełkot trudno było zrozumieć”¹ (s. 21), jest okazją do krytycznej aluzji odniesionej do filozofa. Podobnie jak Profesor rzyg w *Operetce* parodiuje Sartre’a.

¹ W. Gombrowicz *Kosmos*, Instytut Literacki, Paryż 1965. Cytaty lokalizuję w tekście.

Dźwięki mowy

Zacznijmy po gombrowiczowsku, czyli od siebie, subiektywnie. Okazją do tych rozważań stało się przypadkowe równoczesne czytanie Gombrowicza i Heideggera. Było to w zimie, wśród wielkich śniegów, w spokojnym odcieciu od świata. Wszelki chaos kształtował się z łatwością w jakiś kosmos. Wróbel powieszony i patyk powieszony, kot także wisi, a na koniec jeszcze wisi Ludwik. Jednakże nie wspólne wiszenie rzeczy stało się obiektem szczególnej uwagi. Stało się nim natomiast pewne podobieństwo dźwięku słów. „Berg”, „bergum”, „bergowanie bembergkiem”, „bembergowość bemberga”. „Bergung”, „Sichverbergen”, „die Bergung der Wahrheit in Seienden”, „Verborgenheit”. A więc, Gombrowicz i Heidegger związani zostali dźwiękiem. Zgodnie z chronologią, a także rangą intelektualną, pierwszeństwo należy do filozofa. To Gombrowicz daje znak, że odsyła czytelnika do Heideggera.

Heidegger w rozważaniach o prawdzie wielokrotnie używa takich słów i zwrotów, jak: „bergen”, „Bergung”, „Bergung der Wahrheit”, „Wahrheit als Bergung”, „Sichverbergen”, „Verborgenheit”, „die Wahrheit des Sein bergen lassen”, „Lichtung und Verbergung” etc. Jest to podstawowy słownik jego filozofii prawdy. Są to słowa nowe w filozofii i stanowiące narzędzia metaforycznego mówienia o prawdzie i byciu w sposób niezależny od dotychczasowej refleksji filozoficznej, a w szczególności od tradycji arystotelesowskiej. Te nowe słowa zastąpić mają dotychczasowy słownik metafizyki, uwolnić myślenie od ukształtowanych skamielin sensów, wprowadzić nowe problemy na miejsce dawnych błędnych pytań. Te nowe dla filozoficznej refleksji terminy nie tylko stale się powtarzają u Heideggera, często stanowiąc jedyny język jego wywodów, lecz także występują w różnych nowych złożeniach i przekształceniach. Już zatem sama muzyka tekstów Heideggera jest szczególna. Można więc przypuścić, że to do niej też przede wszystkim odwołuje się Gombrowicz, wprowadzając podobne dźwięki w mowie Leona. To: „berg”, „bembergowanie bembergkiem w berg”, „bergowanie bergiem podwójne”, a także „bembergowiec” i „wbembergowywanie się” etc. Czyż to więc nie sam Gombrowicz wprowadza czytelnika w *Kosmosie* na Heideggera swoim „bergiem” i wszystkimi jego odmianami? Wprowadza słowo nieoczekiwane, nieznane, niewiadomo, co znaczące (nie jest to bowiem po prostu niemieckie słowo *die Berg* znaczące „góra”), ale posiadające wyraźne pokrewieństwo dźwiękowe z mową Heideggera. Pokrewieństwo dźwiękowe, które zarazem jest pokrewieństwem w zakresie dziwności i tajemniczości znaczenia odbiegającym od przyjętego intersubiektywnie dyskursu. Podobny dźwięk i nowy, tajemny sens – to narzucająca się więc „bembergowania” z „die Bergung” i „Sichverbergen”.

Heidegger nie tylko wprowadza pewne nowe terminy, ale też je powtarza w różnych złożeniach, odmianach i przekształceniach. To samo czyni Gombrowicz, może nawet w większym stopniu. Mamy więc „pocichumberg” i „dyskretumberg”, a także „łakociumbergi” i „karalumbergi”, „tajniusiumberg” i „lubusiumberg”. Wybrany dźwięk („berg”) pojawia się w każdej ważnej czy nowej sprawie. Panuje on nad

znaczeniem, które od samego początku jest ciemne, sekretne, raczej wskazujące na tajemnicę niż ją oświetlające.

„Berg” Gombrowicza, z jego obcym, niemieckim brzmieniem, jest więc pierwszym śladem, za którym idziemy. Tym samym jest też pierwszym elementem ze względu na który i przez odniesienie do którego zaczyna się wyłaniać jakiś kształt, jakaś forma, czyli załazek sensu transformującego chaos w kosmos, kakofonię w muzykę. Jest jak powieszony wróbel, który domaga się wiszącego patyka jako swego dopełnienia. Tym dopełnieniem wspólnoty dźwiękowej jest wspólne występowanie tautologii. Tautologie wzmacniają i rozszerzają dźwiękowy aspekt tekstu, są bowiem powtórzeniem tego samego brzmienia.

Tautologie

Heideggera nowy język filozofii pełen jest zwrotów tautologicznych. Nowe terminy nie mogą być definiowane przez stare pojęcia, jeśli mają być przezwyciężeniem dawnego (metafizycznego) typu myślenia, przeciwnie, wymagają one całkowitej niezawisłości od wszystkiego, co dotąd było pomyślane i powiedziane. Ma to však być radykalna rewolucja, dzięki której to, co do tej pory zapomniane, niewyrażone, zdeformowane przez język przedstawię i opisu rzeczy jako określonych bytów, ma zostać odsłonięte i przywrócone myśli. Ma to być „nowy początek” myśli filozoficznej. Stąd też wiele tekstów Heideggera opiera się po prostu na powtórzeniach wybranych słów w różnych ich formach, jest to, innymi słowy, gra tautologii. Gdy pisze on „die Sprache spricht”, to unika w ten sposób jakiegokolwiek definicyjnego określenia mowy stanowiącego jej odniesienie do czegokolwiek innego poza nią samą. Podkreśla się tym samym jej pierwotność i nieredukowalność, jej jednoznaczną tożsamość, jej jedyną swoistość. Tautologia wolna jest od grzechu reifikacji, czyli od koncentracji na bytach, za którymi kryje się bycie, gdyż odsyła bezpośrednio do samego sposobu bycia. Mowa nie jest rzeczą. „Mowa mówi”, „mowa jest mową”. Istotę języka – lub mowy – stanowi więc to, co odróżnia go od wszystkiego innego niebędącego językiem, stanowi go to, co szczególnie tylko dla niego – a więc „mówienie”. Nie jest to esencja w sensie tego, co wspólne i łączące wiele rzeczy, lecz jest to wyjątkowa szczególność czegoś oddzielająca je od innych rzeczy.

Tautologia staje się wobec tego jedynym sposobem wyrażenia nowego sposobu myślenia. Tautologiczność wypowiedzi nie jest więc u Heideggera przypadkowa czy tylko manieryczna, lecz jest jego istotną swoistością. Podobne tautologie znajdujemy w dyskursie dotyczącym nowego pojmowania prawdy: „skrytość kryje się”, „jest ukryta”, „chroniona tajemnie w rzeczach” etc. Szczególnie w *Beiträge zur Philosophie* ta tautologiczność mowy Heideggera jest wszechobecna, bowiem jest to najpełniejszy zarys całościowy nowego myślenia filozoficznego. *Przyczynki* są hermetycznie zamknięte na jakikolwiek inny język poza własnym. Operują wyłączenie tautologiami.

Rygorystyczny logik zarzuciłby zapewne Heideggerowi błąd *ignotum per ignotum*. Gombrowicz natomiast po prostu przedrzeźnia Heideggerowską manierę myślenia i pisania. Dobrze podpatrzywszy wszechobecność tautologii w jego filozofii, bawi się „tautologizowaniem” opowiadania o „bergu”. „Berg bemberguje bergiem w berg – jest to nonsens kwestionujący zasadność wszechobecności tautologii; nie jest to dyskusja, lecz po prostu ośmieszenie.

„Berg! Co? Berg! Jaki Berg? Berg!” (s. 90). W ten sposób „berg” zostaje ustanowiony; co?, jak?, o co chodzi? – nic nie wiadomo, ale też nic nie domaga się wyjaśnienia. Jest to pierwotny sens, niedefiniowalny, ale raz wprowadzony staje się od tego momentu funkcjonujący. Dla podkreślenia braku jakichkolwiek podstaw dla „berga” Gombrowicz tylko dodaje: „taki szpas”.

Raz wprowadzony „berg” staje się narzędziem dyskursu, a tym samym zaczyna formować kształt rzeczywistości. Leon powiedział „berg”, narrator odpowiada „berg” i w tym dialogu formuje się nowy świat, świat obecności „berga”. „Obaj siedzieliśmy cichutko, przysłuchując się słowu «berg»... jak by to był płaz podziemny, z tych co to nigdy nie wydostają się na światło... a teraz był tu, przed wszystkimi” (s. 121). Wszystko ruszyło naprzód, jakby padł cios decydujący. „Gdyby on tylko powiedział «berg», no, nic takiego. Ale ja też powiedziałem «berg». I mój berg łącząc się z jego bergiem (poufnym i prywatnym) wydobył jego berg z poufności. To już nie było prywatne słówko dziwaka. To już było coś naprawdę... to było coś istniejącego! Przed nami. Tu. I naraz z potęgą wystrzelało ponad, pchało w, poddawało sobie...” (s. 121).

(On) Berg! (ja) Berg! – ten dyskurs konstytuuje nowy świat, który jest rzeczywistością berga, podobnie jak poprzednio relacja wróbel – patyk – kot określała pewien kształt kosmosu. Konstytuowanie takie dokonuje się w pełni niejasności. „Wszystko znów jak brudna ściana. Zamęt” (s. 22), Wróbel należy jednak do świata obserwacji. Można wyruszyć do lasu i przyglądać się, czy jeszcze coś innego nie jest powieszone i rozjaśniać zamęt, ustalać nowe lub powtarzalne relacje. Co jednak z bergiem? O bergu mamy (jak u Heideggera) tylko tautologie. Leon i narrator w swych rozmowach o bergu mówią tylko *quasi*-tautologiami, które są wyłącznie powtórzeniami nierozszerzającymi wiedzy o bergu (bo jej być nie może). Gombrowicz powtarza je w kółko. „Bembergowanie bembergiem w Berg!”, „Bembergowość bemberga!”, „Podbembergowanie!”, „Bembergowanie bergiem!”, „Bergum, bergum, bembergowiec!”. I tak dalej, bez granic. Gombrowicz nie szczędzi tautologicznych powtórzeń. Wskazują one jednak nie tylko na pustkę wiedzy o bergu, ale również na formowanie się nowej tajemnej niby wiedzy – bergologii – do której nie wszyscy są dopuszczeni. Ezoteryczność staje się w tym świecie wartością.

Język Leona

Nie należy jednak ulegać złudzeniu, że w *Kosmosie* wszystko jest o Heideggerze i jego tautologiach. Jest tu wiele innych, samodzielnych wątków i drwina z He-

ideggera jest do nich niejako, czasem tylko marginesowo, doczepiana. Widać to wyraźnie w przypadku postaci Leona. Jest to prowincjonalny, emerytowany buchalter, całkowicie zramolały. Mowa jego jest dziwna w sposób odpowiadający jego pozycji, jego prowincjonalnemu zramoleniu. Zanim pojawia się „berg”, znamy już jego językowe dziwacznie, które właśnie nosi cechy małomiasteczkowej degrengolady. Dominuje w jego mowie wszechobecność zdrobnień, manieryzm, wykrzywanie słów, mizdrzenie się. Jest to karykatura społecznie znanych zachowań. Gry z takimi postaciami i z ich osobliwymi alokucjami pojawiają się u Gombrowicza często. Można je znaleźć w *Iwonie*, w *Trans-Atlantyku* czy w *Operetce*. Szczególnie w tej ostatniej rytm języka gra wielką rolę i jest samodzielną siłą twórczą („Pas! Pas!”, „Ja pysk ci w pysk na pysk, ja pysk na pysk ci w pysk” etc.). Kwestię dziwacznej mowy Leona trzeba więc widzieć w szerokim kontekście i w jej różnorodnej wieloznaczności. Leon jest postacią *per se* i ma do spełnienia różne funkcje w powieści. Jednak jego język jest zawsze ważny. Zanim pojawia się w nim „berg”, już język ten zadziwia swą dziwacznością. Jest tego dziwnego języka dużo, gdyż Leon wedle swego stereotypu jest gadatliwy. Dziwność jego mowy jest różnego gatunku: składniowa, gramatyczna, denotacyjna, skojarzeniowa, wreszcie jest to wszechobecność zdrobnień i dziwnych złączeń. Oto kilka tego przykładów. „Przydzieliłem się teraz własnej połowicy mojej do dyspozycji” (s. 11). „Przysięgam na największą świętość, na jaką mnie stać, mnie i grenadierów moich”. „Dobroć skwaszenia się mlecznego zależy od właściwości mlekowych garnka” (s. 39). „Dajno tatce zapalający się fosfor” (s. 11). „Wszędziuchnum”, „świntusium”, „przepadupcium” i „zapadupcium”, „pejzażus”, „na zębusia kąsim”. Takiej nowomowy jest w *Kosmosie* pełno. Nam tu wystarcza tylko kilka jej przejawów, by pokazać, że nowomowa „bembergowania bergiem” nie jest jedynym dziwactwem Leona. Przeciwnie, to dopiero na takim szerokim tle „dziwolażenia” pojawia się „berg”, co jedynie jego osobliwość wzmacnia. Jeśli „berg” jest ironiczną aluzją do Heideggera, co twierdzimy, to jest to aluzja dobrze przygotowana, mająca podstawy w całej tej dziwności mowy Leona. „Berg” od razu, bez potrzeby zastanowienia, pojawia się jako dziwactwo dziwaka. Całość więc postaci Leona sprzyja kpinie z „berga”, choć jest szersza (ale i węższa) niż ironiczne aluzje Heideggerowskie. Leon w żadnym wypadku nie jest zamaskowanym Heideggerem, ale śmieszności Leona rozciągają się na filozofa. Szachista Gombrowicz planował swój ruch dużo wcześniej, niż go wykonał.

Chaos i kosmos

Skoro „berg bergum” wskazuje na „die Bergung der Wahrheit” i na „Sichverbergen”, to pojawia się pytanie, czy nie ma również innych powinowactw między kwestiami *Kosmosu* a Heideggerem. Wróbel, patyk, kot, Leon. Wiszą powieszeni. Narrator po powieszeniu kota mówi: „powiesiłem i to powieszenie (choć moje włas-

ne, ze mnie pochodzące) przyłączyło się jednak do powieszenia wróblowatego i patykowatego – trzy powieszenia, to już nie dwa powieszenia, oto fakt. Goły fakt. Trzy powieszenia” (s. 70). Powtarzalność wszystko wzmacniająca. Powtarzalność, na której Gombrowicz opiera przechodzenie od chaosu do kosmosu. Co więcej, powtarzalność dopuszczająca subiektywność jako siłę, dzięki której z zamętu wyłania się określony kształt. Mamy „berg”, mamy „bembergowanie bembergim w berg”, a więc jest wróbel wiszący i jest patyk wiszący, czy zdołamy powiesić kota? Innymi słowy, stajemy przed pytaniem, czy w warstwie treściowej – w systemie znaczeń wyrażonych w książce – daje się odnaleźć coś, co byłoby również odniesieniem, odesłaniem do Heideggera? A także, czy i jak Gombrowicz swoim obrazem kosmosu konstituowanego subiektywnie z chaosu włącza się w dyskurs filozoficzny współczesności?

Dwóch gości przybywa do pensjonatu i znalazłszy się w nowym otoczeniu, pilnie je obserwuje, nadając sens swoim spostrzeżeniom. Obserwacje i skojarzenia – to model tworzenia kosmosu. Łączenie rzeczy i relatywizowanie ich względem siebie. Nie ma obserwacji bez aktywnego indywiduum, które te spostrzeżenia organizuje. Tak tworzony porządek świata ma niezbywalne piętno subiektywne. Pomiędzy narracją drobnych przygód dwóch przybyszów Gombrowicz daje prawie teoretyczny wykład konstytucji kosmosu wyłaniającego się z chaosu dzięki nabieraniu coraz wyraźniejszych form i kształtów, a przez to stającego się całością. Przygadek wtedy przeradza się w konieczność.

Próba rekonstrukcji tworzenia kosmosu jest niełatwa, jednak narrator zachowuje jasną samoświadomość tego procesu. Gdy świat już jest, wtedy trudno powiedzieć, w jaki sposób wyłonił się on z chaosu, jak mu nadawano formę. „Czy więc nic nigdy nie może zostać naprawdę wyrażone, oddane w swoim stawianiu się anonimowym, nikt nigdy nie zdoła oddać bełkotu rodzącej się chwili, jak to jest, że urodzeni z chaosu, nie możemy nigdy z nim się zetknąć, zaledwie spojrzymy, a już pod naszym spojrzeniem rodzi się porządek i kształt...” (s. 24). No tak, „Ding an sich” jest niedostępna poznaniu, są nam dane tylko fenomeny. Wraca wieczny problem myślowego stosunku człowieka do świata.

Mimo tej trudności narrator śledzi swój proces konstituowania własnego kosmosu. W tej samowiedzy dominuje poczucie subiektywności, relatywności i niepewności. Stale otwiera się wiele dróg rozumienia. „Ciężkie zadanie... Przytłaczająca obfitość powiązań, skojarzeń... Ileż zdań można utworzyć z dwudziestu czterech liter alfabetu? Ileż znaczeń można wyprowadzić z setek chwastów, grudek i innych drobiazgów?” (s. 28). Wielość możliwych kombinacji, które mogą się wydawać szczególnym zbiegiem okoliczności. Stale odkrywają się inne możliwości, pojawia się szukanie nowych układów dla już znanych rzeczy. Panuje relatywizm, nic nie jest po prostu, a zawsze tylko względem innego. Nowe zagadki, nowe połączenia, labirynty, ruchome miraże. Nowe szczegóły, szczególiki. „Najazd zupełnie nowych spiętrzeń, rozwałień, nowego wrzenia cudnie zielonego, spokojnego, ciemnomodrzewiowego, sosnowego, sennego z lazurem” (s. 82).

Dwie idee wyłaniają się z trudów narratora zmierzających do uchwycenia transformacji chaosu w kosmos. Jedna to „bycie względem”: nic tu nie jest samo przez

się, a tylko odniesione bądź do narratora, bądź do innych rzeczy, co w gruncie rzeczy stanowi jedność, gdyż owa relacja rzeczy do rzeczy staje się poprzez narratora, poprzez jego skojarzenie; wzajemne powiązanie rzeczy (wróbel powieszony i patyk powieszony nie mają samodzielnego związku) wymaga pośrednictwa podmiotu. Druga to zindywidualizowanie tak konstytuującego się kosmosu i idąca za tym jego przypadkowość. Prywatny zbieg okoliczności jako czynnik decydujący. „Zbieg okoliczności był w części przeze mnie spowodowany – i to właśnie było trudne, okropne, mylące, to że nie mogłem nigdy wiedzieć w jakim stopniu jestem sam sprawcą kombinujących się wokół mnie kombinacji” (s. 44). Prywatność: „wzrok mi zbłądził” (s. 22), coś „wpadło w oko” (s. 81), a do tego układ wewnętrznych oczekiwań: „im mniej uzasadnione, tym silniej się narzucało i bardziej było natrętne” (s. 16).

Kosmos okazuje się więc czymś prywatnym, zmiennym, niepewnym, iluzyjnym, jest zewnętrżnością pozbawioną głębi. Wyłonił się przeciw chaosowi, sam jest niejasną płynnością. Posiada wprawdzie formę, lecz nie jest ona spetryfikowana ani absolutna. Z takim sensem pojęcia świata obcujemy u Gombrowicza.

„Natura lubi się ukrywać”

Wśród przygód duchowych gości pensjonatu, którzy starają się związać formą sekwencję zdarzeń „wróbel – patyk – kot”, pojawia się nowe zdarzenie. „Następnego rana wczesnym rankiem wyruszyliśmy na wycieczkę w góry” (s. 72) (*die Bergfahrt?*). Wraz z tym pojawia się nowy horyzont myślowy. Tajemne świętowanie tajemnicy: „bembergiem tajnie świętujące” (s. 105). Pod pretekstem oglądania wspaniałej panoramy górskiej odbywa się nabożeństwo „berga”. Tajemnice zaczynają się mnożyć. Dotąd ich nie było, bo zagadki różnych podobieństw i skojarzeń, na które natrafia narrator w konstytuowaniu swego zjawiskowego kosmosu, nie są nigdy Tajemnicą. Są rozwiązywalne, choć nierozwiązane, a nadzieja na ich wyjaśnienie nigdy nie ginie. Teraz, w związku z wycieczką, pojawia się kwestia Tajemnicy. Wyprawa górską to „był pomysł Leona, nie nowy, od dawna już głądził [o niej]” (s. 72). W tej wycieczce ponownie jednoczy się Leon z „bergiem”, ale dołącza się do tego także tajemnica. Tajemnica zostaje uwypuklona: tajemne świętowania czegoś ukrytego, niewidocznego, sekretnego. Tajemnica nadbudowana nad tajemnicą: sekretne zdarzenie z przeszłości celebrowane w sposób tajemny pod pozorem oglądania panoramy.

Tajemnica staje się więc nowym tematem. Zarazem też okazuje się nowym odesłaniem do Heideggera. Tu właśnie bowiem znajdujemy nie tylko brzmieniowe, lecz również treściowe wskazanie na niego jako filozofa skrytości bycia. Po pierwotnym pojawieniu się Leona wraz z jego dziwną mową „bembergowania” najsilniejszy akcent zaczyna padać na sekretność, która niczym kłamrą spina poprzednie aluzje. Leon – „amfitrion, wódz, inicjator” (s. 84) – pod pozorem czegoś innego (czyli pod pozorem turystycznym) tajemnie świętuje swą tajemnicę.

Wydawać się może, że teraz nareszcie sięgamy tajemnej istoty „berga”, którą jest właśnie sama tajemność, skrytość tego, co sekretne. Sekret polega na tym, że poza wyglądem rzeczy (panorama), poza tym, jak się one nam pojawiają jako przedstawienia, kryje się jeszcze coś więcej niż ich zjawiskowa forma, czyli coś niedostępnego spostrzeżeniom. Ukryta tajemnica.

Świat i przedstawienie, zjawisko i rzecz sama – to główny horyzont dyskusji filozoficznej nowoczesności. Pojawiające się co i raz w *Kosmosie* widmo Heideggera oraz jego koncepcji bycia i prawdy odsyła bezpośrednio do tego właśnie sporu. Tak więc, tajemność „berga” wyraźnie nabiera u Gombrowicza wymiaru filozoficznego. Jest również – poza innymi możliwymi jej aspektami – aluzją do sposobu istnienia świata (*kosmos* – jego jawność czy skrytość), jest niewątpliwym włączaniem się w ową dyskusję. A wtedy Heidegger jest niezbędnym kontaktem jako współcześnie główny wróg wszelkiego fenomenalizmu, główny rzecznik – „amfition, wódz i inicjator” – uznania tajemniczości bycia. Heraklityjska formuła, że „natura lubi się ukrywać”, jest wszak także jego wyznaniem wiary. Leon – celebrant tajemnicy – wskazuje więc na Heideggera, nie tylko szczególną mową (co rozważane było poprzednio), lecz również, a może nawet przede wszystkim, świętowaniem sekretności, odprawianiem nabożeństwa tajemnicy.

Uciekając od dawnej metafizyki, Heidegger ogłosił, że Bycie jest skrytością. To właśnie jako skrytość Bycie (*Seyn*) „istoczy się”, czyli skrytość jest jego sposobem istnienia, jest – niedokładnie mówiąc – jego istotą. Przedstawianie rzeczy raczej zasłania, niż odsłania to, co najistotniejsze, czyli samo Bycie. Przedstawienia, koncentrując się na faktach istnienia określonych rzeczy, zapominają, że dopiero za nimi schowane jest Bycie *per se*. Heidegger więc wzywa Bycie przeciw bytom. Czyli odwołuje się do tego, co ukryte przeciw jawnemu i obecnemu. Tak radykalne odwrócenie refleksji filozoficznej wymagało równie radykalnej „nowej mowy” filozofowania. Temu służą przywołane na początku nowe terminy jak: „Bergung der Wahrheit”, „Wahrheit als Bergung”, „Bergen”, „Sichverbergen”, wreszcie „Verborgenheit” i „Unverborgenheit”. Tym samym szczególność „nowomowy” Heideggera stanowi jedność ze szczególnością jego koncepcji. Unikalność języka odpowiada unikalności treści. Leon nie tylko mówi osobiście, lecz także celebrowa uroczyste tajemnicę, skrytą sekretność Bycia ukrywającego się i chronionego poza przedstawionymi bytami. Innymi słowy, Leon dzięki swej dziwnej mowie zostaje kapłanem sekretu. *Kosmos* zatem przywołuje filozofię Heideggera i od strony formalnej i od materialnej (treściowej): mową „bembergowania”, ale także wywindowaniem tajemnicy. Oba przywołania są jednak ironiczne, raczej odpychające niż afirmatywne.

Dwa poglądy: fenomenalistyczne kształtowanie chaosu przy pomocy prywatnej formy oraz absolutystyczne celebrowanie sekretności tajemnicy mieszają się ze sobą w *Kosmosie* i nie wydaje się, by autor był gotów opowiadać się za którąkolwiek stroną w owym sporze o sposób istnienia świata. Rzecz kończy się bez jakiegokolwiek rozstrzygnięcia. Niemniej kończy się dramatycznie. „Dziś na obiad była potrawka z kury” (s. 134). Wakacje skończone, trzeba porzucić intelektualne za-

bawy wróblem czy innymi zagadkami, zająć się pracą. Jest to powrót do trywialnej rzeczywistości życia codziennego.

Komentarz

Można by więc powiedzieć, że widmo Heideggera krąży po *Kosmosie*. Opowiadanie, które opowiedział Gombrowicz po wielokroć, wskazuje w tym kierunku, lecz niczego w tej sprawie wprost nie mówi. Wszystko, co można na ten temat pomyśleć, opiera się na poszlakach. Zarazem jednak trzeba pamiętać, że to właśnie poszlaki i ich rola w kształcie świata stanowią główny temat tej książki. Książka bazująca na poszlakach nie może się bronić przeciw poszlakom.

Abstract

Hanna BUCZYŃSKA-GAREWICZ

College of the Holy Cross (Worcester, Massachusetts, USA)

Gombrowicz jesting at Heidegger

Certain philosophical threads hidden in W. Gombrowicz's novel *Kosmos* are considered, with special focus on traces of its authors' critical and ironical attitude toward Heidegger.

Henryk MARKIEWICZ

Niemożliwa, ale niezbędna

Polemiki, zwłaszcza z autorytetami, są u nas rzadkie i słabe. Ta deficytowa sytuacja ośmiela mnie, by znowu wstąpić w spór z prof. Ryszardem Nyczem, tym razem w związku z jego artykułem, *Możliwa historia literatury* („Teksty Drugie” 2010 nr 5). Na wstępie muszę uczynić jedną uwagę: Nycz nie definiuje, co rozumie przez historię literatury – syntezę historycznoliteracką czy też ogół badań nad przeszłością literatury. Z kontekstu, zwłaszcza z odwołań do procesu literackiego¹ wnioskuję, że chodzi tu o syntezę. Otóż inaczej niż on rozumiem zadania syntezy historycznoliterackiej.

Dla Nycza jest to przede wszystkim teren „rekonceptualizacji i reinterpretacji” (s. 173) o złożonym „interaktywnym, transgresywno-retroaktywnym charakterze” (s. 175; niezbyt to dla mnie jasne). Cechują ją przede wszystkim innowacyjność, a można by nawet powiedzieć – rewelatorstwo, skoro czytamy, że ma ona docierać do niedostępnych dotąd dziedzin przeszłej rzeczywistości, „otwierając dopiero widoki na rzeczywiste cele, indywidualne cechy jakościowe przedmiotów i nieoczekiwane porządki poznania” (s. 175). Jeśli brać dosłownie te sformułowania, to należałoby uznać, że wcześniejsze interpretacje takich rezultatów nie przynosiły, a przecież i one w swoim czasie były innowacyjne. Albo Nycz się w tym miejscu zapędził, albo miał na myśli nie syntezę, lecz bardziej szczegółowe bada-

¹ Używam tej krótszej formy, bo „proces historycznoliteracki” to wyrażenie pleonastyczne (proces implikuje historyczność). Warto tu nadmienić, że termin „litteraturnyj process” wprowadzili w latach 30. ubiegłego wieku rosyjscy marksiści. Poza blokiem wschodnim nie jest on znany.

nia historycznoliterackie, albo ja go źle rozumiałem. Niemniej jednak przyznałbym rację bytu takim syntezom, gdybym wierzył, że mogą one powstać. Nikt jednak nie potrafi na własną rękę przeczytać na nowo całej literatury czy nawet twórczości jednego jej okresu, ani w syntezie powiedzieć o niej rzeczy wyłącznie nowych.

W moim rozumieniu, zgodnie ze znaczeniem wyrazu „synteza” i celami, jakim lektura takich opracowań na ogół służy, ma ona zadania przede wszystkim podsumowujące, rekapitulacyjne. Nie można oczywiście „opowiadać o wszystkim naraz, i to w sposób wyczerpujący”, ale trzeba opowiadać o tym, co uważa się za ważne (na przykład wartościotwórcze nowatorstwo, rozgłos i rozpowszechnienie), a przede wszystkim uwzględnić tę konceptualizację, jaką sam utwór literacki sugeruje, a czasem wręcz narzuca. Być może historycy literatury, jak sądzi Teresa Walas², są znużeni monotonią takich abstraktów, jak prąd, kierunek, gatunek literacki, ale synteza literacka nie może się bez nich obejść, zastępując bardziej atrakcyjnymi kategoriami, jak pleć, polityka czy władza. Paul Valéry powiedział kiedyś, że nie może tworzyć powieści, bo nie potrafiłby napisać banalnych zdań w rodzaju „Markiza wyszła z domu o piątej”. Za syntezę historycznoliteracką nie powinni się brać badacze o mentalności Paula Valéry. Oczywiście – rekapitulacyjna synteza przynosi także innowacje (na przykład nowe uczłonowanie procesu literackiego, zmieniony dobór i hierarchizację uwzględnianych zjawisk, ich reinterpretacje i rewaluacje). W przeciwnym przypadku byłaby tylko kompilacją. Ale fatalna by to była synteza, w której *Burza* Szekspira byłaby rozpatrywana tylko z perspektywy postkolonialnej, *Pan Tadeusz* (nie daj Bóg!) z perspektywy genderowej, a *Czas utracony* z perspektywy klasowej (co nam zresztą w Polsce nie grozi).

Refleksje swe rozpoczyna Nycz od tezy, że na skutek zwrotu kulturowo-antropologicznego w humanistyce nastąpił kryzys dotąd panujących dwóch modeli historiografii literackiej – narodowego i autonomicznego.

Zaczniemy od tego drugiego. Według Nycza przesłanką jego jest „autonomia świata tekstów literackich”, zawieszająca potrzebę uwzględniania kontekstowych uwarunkowań (s. 169). Otóż tak skrajny pogląd reprezentowali tylko formalści rosyjscy we wczesnym okresie swej działalności. Zerwali z nim Jakobson i Tynia-

² *Inna historia literatury jest możliwa. Z Teresą Walas rozmawiają Tomasz Mackiewicz i Agnieszka Wnuk*, „Tekstualia” 2010 nr 3, s. 95. – Na marginesie: pyta Nycz, czy trudno sobie wyobrazić ujęcie epoki Młodej Polski „jako epoki «późnego» czy nowoczesnego pozytywizmu (uwzględniającego nie tylko przypadające na ten czas największe dzieła polskich pozytywistów, ale i kolejne mutacje realistyczno-naturalistycznych nurtów, empiriokrytycyzm i narastające nieprzerwanie kolejne wersje myśli i metody pozytywistycznej w humanistyce, wiedzy o kulturze i społeczeństwie)?” (s. 171-172). Według mnie tego co nowe w tamtej epoce – Przybyszewskiego, Wyspiańskiego, Micińskiego czy Leśmiana – przy najśmielszej ekwilibrystyce interpretacyjnej nie da się pomieścić w pozytywizmie. Wydawało się, że istnieje powszechna zgoda na to, że okres literacki stanowi zmienną konfigurację kilku prądów literackich, zazwyczaj z dominacją prądu nowego.

now już w roku 1927 i nikt do niego później nie wracał, w każdym razie według tego modelu żadna synteza historycznoliteracka nie została napisana. Jest to więc model tylko potencjalny.

W modelu narodowym historia literatury miałaby ją ukazywać jako organ samopoznania się ducha narodowego (por. s. 169-170). Można by na gruncie polskim wymienić tu badaczy doby romantyzmu, także Chrzanowskiego i Chlebowskiego. Później jednak ten typ myślenia o literaturze zamiera. Zjawiska literackie wyodrębnia się zresztą przeważnie nie według przynależności twórców do określonej wspólnoty narodowej, lecz według języka, w którym powstają ich utwory. Twórczość Conrada należy do literatury angielskiej, Ionesco do francuskiej, Celana do niemieckiej. Zapewne i systematyzacja językowa napotyka różne trudności i anomalie (literatura wielojęzyczna jednego narodu, literatura wielojęzyczna wielu narodów, państw i terytoriów, pisarze dwujęzyczni), ale taki jest udział każdej systematyzacji w dziedzinie humanistyki. O syntezie opartej o kryterium językowe można powiedzieć to, co o demokracji – jest niedobra, ale lepszej nie mamy. Oczywiście można także inaczej kadrować zjawiska literackie – budować historię literatury austriackiej, szwajcarskiej, Europy Środkowo-Wschodniej itp. Ale kryteria językowe są chyba najbardziej podstawowe, zwłaszcza gdy chodzi o poezję.

Choć o tym Nycz nie mówi wprost, ale z modelem literatury narodowej łączy się według niego jej narracyjny charakter. Miałoby stąd wynikać, że narzuca on przebiegowi zdarzeń „teleologiczny” porządek, następstwo zdarzeń przekształca w konstytutywny ciąg przyczynowo-skutkowy, eliminuje to, co nie da się włączyć w „fabułę” opowiadanej historii. To poglądy Perkinsa, ale Nycz się wobec nich nie dystansuje. Tymczasem – skoro chodzi tu o ukazanie procesu – narracyjność jest nieunikniona (chyba że proces ten byłby przedstawiony pośrednio – w sposób opisowy, poprzez ciąg statycznych przekrojów, umieszczonych na osi czasowej). Jak rozumieć teleologię, o którą Perkinsowi chodzi, nie wiadomo, a pojęcie to jest wieloznaczne. Narracja nie implikuje determinizmu przyczynowo-skutkowego, *notabene* teoria procesu literackiego z nim od dawna zerwała. Fabuła może być wielowątkowa i dygresyjna.

Niezrealizowany nigdy model autonomiczny i romantyczny model narodowy wyparły w ujęciu Nycza model w drugiej połowie XIX wieku i wieku XX najbardziej rozpowszechniony – pozytywistyczny i postpozytywistyczny – od *Historii literatury angielskiej* Taine’a do kilku „społecznych historii literatury” niemieckiej z lat 80. ubiegłego wieku. Zapewne, w modelu tym narodowa funkcja literatury eksponowana była w Polsce silnie, ale jako jedna tylko z jej funkcji, a kontekst pozaliteracki, o który tak gorąco upomina się Nycz, był szeroko uwzględniany. Przykładem – PWN-owska wielka synteza historii literatury polskiej.

Jeśli trafnie się domyślam, Nycz solidaryzuje się z najnowszymi „orientacjami konceptualizacyjnymi”, występującymi w światowej (głównie anglo-amerykańskiej) myśli historycznoliterackiej. W skrócie – powtarzam za nim – orientacje te:

- a) nie dają się sprowadzić do modelu opozycji narodowej i powszechnej historii literatury;

- b) respektują historyczną zmienność i różnorodność literatury oraz jej instytucjonalnych form;
- c) uwzględniają na równych prawach procesy produkcji i recepcji. (Mowa tu jest także o tym, że lektura jest inherentnie anachroniczna, zmysł historyczny jest fikcją);
- d) domagają się rozpatrywania literatury we wszelkich kontekstowych uwarunkowaniach, w których każde dzieło jest osadzone;
- e) rozważają na ogół dzieła literackie „poza ich czysto estetycznymi czy formalnymi własnościami – w kontekstach historycznych, socjologiczno-antropologicznych, kulturowych, politycznych, geograficznych, demograficznych, ekonomicznych etc”;
- f) kwestionują status historii literatury jako narracji obiektywnej, bezosobowej;
- g) biorą pod uwagę wpływ przemian cywilizacyjno-technologicznych na literaturę;
- h) wykorzystują narzędzia teorii literatury i innych nauk o kulturze.

Przyjrzyjmy się bliżej tym orientacjom. Punkt a i f tylko negują. Punkt c nie daje się w pełni zrealizować, ze względu na ułamkowość i wątpliwą wiarygodność materiału źródłowego w zakresie recepcji. Poza tym historia literatury to nie tyle dzieje jej produkcji i recepcji (należałoby dodać – oraz dystrybucji), co dzieje przemian w jej zawartości tematyczno-problemowej i organizacji stylistyczno-kompozycyjnej. Punkt g jest istotnie propozycją nową. Natomiast punkty b, d, e, h – także dotychczasowa historia literatury starała się realizować. Można powiedzieć, że czyniła to w sposób niewystarczający, nieudolny czy z dzisiejszej perspektywy już przestarzały – ale jednak realizowała. Chodzi tu więc raczej o unowocześnienie i rozszerzenie dotychczasowych kierunków badawczych, a nie o kierunki nowe. Zauważmy przy tym, że w sprawie „czysto estetycznych czy formalnych własności dzieł literackich”, zdawkowo wzmiankowanej w punkcie c, żadnych propozycji tu nie znajdujemy. To symptomatyczne – i niepokojące (*experto credite!*).

Mówiąc od siebie – Nycz nie odrzuca dalszego uprawiania narodowej (a więc chyba i językowo jednorodnej) historii literatury, domaga się tylko odmiennego jej skonceptualizowania oraz usytuowania w szerokim kulturowo-poznawczym kontekście (s. 177). Gdzie indziej jednak twierdzi, że historia literatury przeszła do „szukania jej śladów [?] i zasady wyodrębnienia [...] w tym, co różnojęzyczne, etnicznie hybrydyczne i zdeterytorializowane” (s. 181). Przyznam się, że nie jest to dla mnie jasne. Oczywiście – historiografia literatury może i powinna się tymi zjawiskami zajmować, ale jaka jest w tej perspektywie z a s a d a wy o d r ę b n i e n i a poszczególnych literatur? Dla przykładu: jeśli stosować wymienione tu kryteria, to gdy chodzi o drugą połowę XIX wieku – byłaby to cała literatura polskojęzyczna oraz literatura ukraińska, białoruska, żydowska tworzona na ziemiach polskich lub częściowo przez Polaków zamieszkanych. Czy tak? I jak tę literaturę usytuować wobec innych literatur?

Według Nycza nowa problematyzacja badań historycznoliterackich miałyby być rezultatem inspiracji różnych wariantów teorii zależności i pokrewnych, roz-

patrując zjawiska w kategorii relacji centrum – peryferie (dominacji, oporu, emancypacji) oraz uwzględnienia kategorii pogranicza i pojęć zbliżonych. Że rozpatrywanie tych aspektów przeszłości literackiej jest w pełni uzasadnione, że wzbogaciłyby one obraz procesu literackiego – na to zgoda. Czy to są jednak aspekty najważniejsze, czy tylko najmodniejsze (w Stanach Zjednoczonych, a więc i u nas) – nie wiem. Zapewne można by tu dodać i inne propozycje. Nasuwa się uwaga, że w warunkach polskich owe zjawiska dominacji, oporu, emancypacji występują nie tylko w relacji centrum – peryferie, ale i w wewnętrznym uwarstwieniu społecznym, narodowym i religijnym zbiorowości żyjącej na polskim terytorium. Na pewno warto by napisać historię literatury polskiej z feministycznej czy genderowej perspektywy. IBL eksponuje jako pionierski projekt „Sensualność w kulturze polskiej. Przedstawienie zmysłów człowieka w języku, piśmiennictwie i sztuce od średniowiecza do współczesności”. Marian Bielecki proponuje interakcyjną historię literatury, tj. historię relacji między wybitnymi pisarzami³. Teresa Walas wysuwa koncepcję łączącą poetykę historyczną z czynnikiem pokoleniowym, „ujmowanym w kategoriach wyzwania i doświadczenia”. Propozycje takie można by wielokrotnie mnożyć, ale na tej drodze ukonstytuować się mogą co najwyżej – jak to nazywa Walas – „ujęcia wąskotorowe”⁴, „konstelacje historii”, od których nie ma przejścia do syntezy historycznoliterackiej. Czy jest ona dziś możliwa? Zawsze była to „forma niemożliwa”, jak pisała Katarzyna Kasztenna. Niemożliwa do w pełni fortunnej realizacji, ale jednocześnie niezbędna (w pełni podpisuję się tu pod świetnym artykułem Andrzeja Stoffa⁵).

Wracam do punktu c i f omawianego już zestawu nowych „propozycji konceptualizacyjnych”. Zaprzeczają one pretensjom historii literatury do zobiektywizowanego i konsekwentnie uhistorycznionego ujmowania zjawisk literackich. Nycz się z tym stanowiskiem zgadza, skoro pisze:

Nasz punkt widzenia jest tak samo usytuowany, jak naszego przedmiotu, tak samo wewnętrzny i aspektowy czy sperspektywizowany (przedsądami, wiedzą, położeniem) oraz podatny na dyskusję i zmianę, a nawet zakwestionowanie. (s. 171)

Kiedy jednak przechodzi on do omówienia własnych propozycji konceptualizacyjnych, o tym relatywizmie jakby zapomina, utrzymuje – powtarzam cytat – że określone środki badawcze „faktycznie otwierają dopiero widoki na rzeczywiste cele, indywidualne cechy jakościowe przedmiotów i nieoczekiwane porządki poznania” (s. 175, podkr. moje – H.M.). Co więcej, w zakończeniu pisze, że marzeniem jego, nie utopijnym, ale wręcz przyziemnym jest opisanie literatury polskiej

³ M. Bielecki *Historia, dialog, literatura. Interakcyjna teoria procesu historycznoliterackiego*, Wydawnictwo UW, Wrocław 2009.

⁴ *Inna historia literatury jest możliwa*, s. 93, 91.

⁵ A. Stoff *Historia literatury jest stale potrzebna*, „Tekstualia” 2010 nr 3.

taką jaką – wedle najlepszej naszej wiedzy – po prostu była. To znaczy taką, jaką była za sprawą właśnie tych konkretnych, historycznych, e m p i r y c z n y c h okoliczności swego istnienia oraz r e a l n y c h warunków rozwoju [...]. Jaką była za sprawą osobliwej f a k t y c z n o ś c i swego historycznego bycia i kulturowego znaczenia. (s. 182, podkr. moje – H.M.).

Gdyby napisał tak ktoś inny, łatwo byłoby go zdyskredytować etykietką naiwnego realizmu. Ale gdy pisze w ten sposób badacz o tak wysokiej świadomości metodologicznej, jak prof. Nycz, jest to marzenie, którego nie można zlekceważyć. Taka *felix revisio* w stosunku do panującego relatywizmu poznawczego jest dziś bardzo potrzebna.

Abstract

Henryk MARKIEWICZ
Jagiellonian University (Kraków)

Impossible but indispensable

Markiewicz discusses Ryszard Nycz's article *Mozliwa historia literatury* ['A Possible History of Literature'] (*Teksty Drugie*, 5/2010). He argues that Nycz overlooked the positivist and post-positivist model of literary history, which actually took into account the concepts of contextual conditions Nycz was calling for. Moreover, at a later stage this model focused on literary phenomena on a functional basis rather than on a national one, because it posed the fewest difficulties. It remains unclear, however, how a history of literature would be constructed on the basis of what is linguistically diverse, ethnically mixed, and deterritorialised. Considering such a literary-historical project in terms of the relations of 'centre' and 'periphery' does not lead to a literary-historical synthesis. Finally, Markiewicz notes that Nycz at first advocates an aspectual and perspective-oriented method of literary history, while later he proposes to describe the history of literature 'as it really was', i.e. by taking into account the true conditions of its development. Markiewicz welcomes this departure from the dominant doctrine of relativism.

Marian PŁACHECKI

Przebieram nogami¹

Zostać przez Henryka Markiewicza nazwanym ignorantem, a nawet erudytą ignorantem, nie jest jeszcze czymś najgorszym, co może człowieka w tym zawodzie spotkać. Bo mogło pójść gorzej. Moje skromne, przez trzydzieści lat bez mała skubione, od przypadku do przypadku dopisywane i przepisywane *Wojny domowe*, mogły tuż po trudnym porodzie zapaść w niepamięć, zanim zdążyłyby wrzasnąć „basta, basta panowie!”. Mogły też okazać się – ku memu niebotycznemu zdumieniu – politycznym pamfletem pióra Rafała Ziemkiewicza piszącego pod przebraaniem i historycznym kostiumem. Tymczasem *Wojny domowe* wylądowały na biurku Profesora, autorytetu, nad który w tej dziedzinie i kilku innych nie masz w kraju wyższego, a ten je rzetelnie, choć grube, przeczytał, pokreślił i punkt po punkcie ocenił. Proszę mi wierzyć, przejmuję mnie szczerza wdzięczność i dla Profesora, i dla Redaktora „Tekstów Drugich”, które obszernej recenzji *Wojen domowych* użyły łamów.

Czytam recenzję Profesora i widzę siebie nad brudnopisem *Wojen*, jak przeładowuję szczegółami, kompozycję rozwichrzam dygresjami i umajam zbędnymi innowacjami terminologicznymi, przy czym cechuje mnie płynność nazewnictwa, lubuję się w dosadnych wyrażeniach i pogardliwych epitetach nie stroniąc od ka-

¹ Odpowiedź na recenzję Henryka Markiewicza (*Antropologia pozytywizmu czy jego czarna legenda*, „Teksty Drugie” 2010 nr 5) z mojej książki *Wojny domowe. Szkice z antropologii słowa publicznego w dobie zaborów (1800-1880)*, Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 2009.

tachrezy², badaczy pozytywizmu dopadam argumentem *ad homines*, zdarza mi się, niestety, popaść w demagogiczne czepialstwo, wygłaszam sądy ewidentnie fałszywe, insynuacje albo nieuprawnione uogólnienia. Przebieram nogami oraz uprawiam hermeneutykę kreatywną, konfabulacyjną, a wręcz prokuratorską. Moje nie wadzące nikomu, unikające wytaczania dział *Wojny domowe* najwidoczniej wywarły na Profesorze druzgocące wrażenie. Podobnie jak na mnie jego recenzja.

Pomimo to uważam, że z chwilą jej opublikowania wydarzyło się coś ważnego, co ma jeszcze szanse obrócić się w pierwszą od wielu lat poważną dyskusję nad martwym stawem o nazwie „pozytywizm warszawski”. W takiej rozmowie chętnie wezmę udział, jeśli mnie kto zaprosi albo pozwoli.

Chcę też od razu zaznaczyć, że litania uchybień w recenzji Henryka Markiewicza w najmniejszym stopniu nie służy dezawuowaniu, bagatelizowaniu czy ośmieszeniu mojej „konstrukcji pozytywizmu”. Stanowi jedynie miarę intensywności sprzeciwu, jaki owa konstrukcja w Profesorze wzbudziła. Spór idzie na ostre. To nie są palcaty. *Ethos* rycerski nadal obowiązuje.

W świstku niniejszym z konieczności poprzestanę na kilku wyjaśnieniach. Dyskusję nad proponowaną przeze mnie „antropologią słowa publicznego” i jej skutkami dla obrazu pozytywizmu odkładam do innej, tuszę, że nieodległej okazji.

Co najpierw i do końca rzuca się w oczy, to irytacja, jaką w Henryku Markiewiczu budzi „styl pisarstwa Płacheckiego”. Jest to reakcja pożądana i prawidłowa, poczynając już od kwalifikacji: „pisarstwa”. *Wojny domowe* są książką do czytania w byle czym, czytania ekspresywnego, z okrzykami radości, wybuchami śmiechu, przekleństwami i rzucaniem o ścianę. Sześćdziesiąt lat nudziarstwa – z nielicznymi wyjątkami – i walki o dalszy postęp w badaniach nad pozytywizmem ma dziś skutek taki, że studenci na dźwięk nazwiska „Orzeszkowa” wychodzą z sali. Razem zróbmy coś proszę, żeby zostali, a ci, co się nie zmieszczą na liście obecności, poczuli się z czegoś ograbieni.

Styl żwawy³ wybija na powierzchnię mojego tekstu w kilku tylko funkcjach i miejscach. Tam mianowicie, gdzie zależy mi na oddaniu „świata polskiego” w stulecie rozbioru od wewnątrz, z perspektywy anonimowego pożeracza gazet i książek, szalejącego na warszawskim rynku wydawniczym roku 1870, 1871, 1872. Tam również i wówczas przydarza się styl dosadny, gdy ów pożeracz nadziewa się na finfy stylistyczne utalentowanego Aleksandra Świętochowskiego, na jego „czysty i dzielny język młodego zapału”⁴.

Miejsca i zapału tutaj wystarczy mi na jeden przykład. Mowa o literatach warszawskich z przeciwnej strony ulicy: „Każdy z tych olbrzymów jest to kawał mięsa

² Podam przykład: „optymizm zaciśniętej ręki”. Utajonego sensu tej metafory sam boję się dociekać. W książce mowa o „optymizmie zaciśniętej szczęki”, co jest chyba wariantem przyzwoitszym.

³ O „żwawej niezgodzie” jako przesłance polemik „Przeglądu Tygodniowego” pisał Świętochowski w artykule *Młodzi*, „Przegląd Tygodniowy” 1872 nr 23, s. 180.

⁴ [Świętochowski] *Projektomania*, „Przegląd Tygodniowy” 1873 nr 6, s. 41.

zwinięty w postać ludzką – głupota przybrana w szatę arlekina – próżniactwo wypasione dobrą wiarą tych, którzy go ocenić nie chcą lub nie mogą – szkodliwe robactwo gnieźdzące się na łonie literatury”⁵. Jeśli dodać, że ekscesy tego rodzaju są nieodmiennie kalkulowane tak, by nie skaleczyć politycznej prawomyślności pisma i osoby autora, łatwo sobie wyobrazić, co o nich mniemał anonimowy poze- racz w siedem, dziewięć lat po klęsce najokrutniejszego z naszych powstań. W książce staram się opinię tę zaświadczyć również w stylistyce własnej narracji.

Świętochowski nie jest zresztą jedyną postacią tym sposobem w *Wojnach domowych* krzywdzoną. Dostaje się także Chmielowskiemu, stańczykom czy Edwardowi Lubowskiemu. Obrywają, gdy na to zasłużą – to znaczy wówczas, gdy w swych wypowiedziach manipulują odbiorcą w sposób, który uznają za czytelny dla poze- racza nieco uważniejszego od innych⁶. Co jednak dla mnie ważne, dbałem aby moje metafory nieco śmiałe pojawiały się jedynie w konkluzjach zbierających cy- taty, przykłady czy argumenty omówione uprzednio.

Jeśli powiadam, że – przepisuję za Markiewiczem – „troska o zachowanie tra- dycji jest, według Świętochowskiego, oznaką «płatania się pieluch między nogami młodego człowieka niezdolnego do samodzielnego utrzymania higieny osobistej»”, to dlatego, że kilkanaście stron wcześniej można było w książce przeczytać:

Puer senex Wiślickiego ma za złe kolegom po piórze starszym o lat dziesięć i więcej – infantyizm. Nie tylko im zresztą. Powszechne zdziecinnienie indukowane przez anoma- lie opinii społecznej, kurczowo pilnującej patriotycznego dekalogu, a w rezultacie popa- dającej w „upartą nietolerancję dla wszystkich głosów opozycyjnych” [...] i stawiającej tamę wszelkiemu „postępowi”, jest stałą udręką Świętochowskiego. (*Wojny...*, s. 317)

Interpretacyjne, tudzież polemiczne konotacje bawelnianej metafory wyjaśniają się do końca o kolejne kilkadziesiąt stron dalej, gdy z myślą o współczesnych re- akcjach na kampanię „Przeglądu Tygodniowego” stwierdzam, że

nazwanie własnych popleczników [...] „młodymi” było oburzającym przejęciem no- menklatury obiegowej w dyskursie publicznym przed i w trakcie powstania styczniowe-

⁵ [Świętochowski] *Pasożyty literackie*, „Przegląd Tygodniowy” 1871, nr 29, s. 233.

⁶ Tu mimochodem wspomnę o rzeczy ważnej, której na paru stronach nie da się rozwinąć. Henryk Markiewicz najwyraźniej przeczytał *Wojny* jako młot na lewicę. Ktokolwiek jednak do książki mimo wszystko wróci, przekona się, że jest to w równej mierze młot na prawicę, a także na konserwatystów, na niewczesne ciągoty mesjanistyczne, na desperatów i optymistów (cywilizacyjnych). W tej książce, trzeba wyznać ze wstydem, nikt nie ma czystych rąk, choć jedni nie mają ich bardziej od innych. Przy pracy nad tekstem trzymałem nad biurkiem makatkę napominającą: „zadaniem historyka jest zrozumieć i okazać węzły sporu”. Jeśli próbuje *ex post* wskazywać, kto ze skłóconych miał całkowitą rację, kto „wygrał” bądź wygrać powinien, wykracza poza standardy zawodu. Nawiasem mówiąc, jestem szczerze recenzentowi zobowiązany za odnotowanie, że «terror patriotyczny» występuje tu w świetle tak ponurym, jak chyba nigdzie w dotychczasowym piśmiennictwie o powstaniach”.

go. Wówczas „młodymi” nazywano [...] konspiratorów prących do walki zbrojnej, „starymi” zaś tych, którzy starcia zbrojnego chcieli albo w ogóle uniknąć, albo je przynajmniej odwlec. Świętochowski przeciwstawienie to – a za nim bodaj cała historycznoliteracka tradycja badawcza narosła po drugiej wojnie wokół „warszawskiego pozytywizmu” – stawia na głowie. (*Wojny...*, s. 373)

Henryk Markiewicz takiego podejścia nie akceptuje. Stylistyka tekstu naukowego ma być przezroczysta. Jeśli nie jest, to widać popada w fałszywe pretensje literackie, jeśli nie w prywatne animozje. Ma bowiem służyć jasnemu przedstawieniu wyводу myślowego, nie zaś pretendować do rangi płaszczyzny ustanawiającej dystans poznawczy wobec przedmiotu.

Ad rem. Henryk Markiewicz, dotknięty, uprasza w swej recenzji, by mu nie imputować „poglądu, że personalny typ narracji doszedł do głosu dopiero w impresjonistycznej powieści młodopolskiej”. Ja jednak w *Wojnach* po prostu odsyłam do strony *Pozytywizmu*, gdzie o tej postaci narracji czytamy, że „staje się w pełni widoczna dopiero wtedy, gdy włączymy w krąg naszych rozważań impresjonistyczną powieść młodopolską”⁷. Markiewicz każe mi zajrzeć na poprzednią stronę, gdzie pisze o narastaniu owej „tendencji rozwojowej”, oraz do omówienia *Lalki* Prusa. Dowiaduję się tam, że pisarz „szeroko stosuje narrację personalną”⁸.

Argument „z *Lalki*”, której autor obdarzył swego protagonistę trzydziestu kilku wersjami biografii, powieści traktowanej jako arcydzieło pozytywistycznego realizmu, źle do mnie przemawia, skoro równie dobrze można rzeczoną czytać jako powieść modernistyczną czy wręcz dekadencją⁹. Zresztą i to, co Izabela i Stanisław mają wspólnego z narracją personalną, wypada raczej błado w zestawieniu choćby z wcześniejszą o marne lat sześć czy siedem *Małazską* Gabrieli Zapolskiej. Markiewicz także – wbrew danym tekstu – nie wierzy mi, jakobyśmy we wcześniejszej o kolejną dekadę *Marcie* Orzeszkowej (1873) otrzymywali „brawurowo wykonane ćwiczenie z narracji personalnej” (*Wojny...*, s. 428).

Spór o granice chronologiczne narracji personalnej nie jest niczym przypadkowym ani błahym. Jeśli przyjąć, za czym obszernie w *Wojnach* argumentuję, że promowany w „Przeglądzie Tygodniowym” pozytywistyczny model uczestnictwa

⁷ H. Markiewicz *Pozytywizm*, PWN, Warszawa 1978, s. 108.

⁸ Wyżej cenię uwagi Markiewicza o zrelatywizowanych wobec perspektyw postaci „horyzontach poznawczych” *Lalki* w: H. Markiewicz *Realizm krytyczny w twórczości Bolesława Prusa*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1950, s. 33.

⁹ W roku 1955 Markiewicz podawał w wątpliwość, czy – włącznie z *Lalką* – „cały dorobek realizmu krytycznego lat 1864-1890 umieścić należy w granicach ideologicznych pozytywizmu” (H. Markiewicz *Pozytywizm a realizm krytyczny*, „Pamiętnik Literacki” 1955 z. 2, s. 406). W fascynującym szkicu *Bolesław Prus a pozytywizm warszawski*, „Rocznik Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza” 1981 t. 16, pokazywał, jak Prus w *Lalce* dystansował się wobec programu i środowiska pozytywistów (por. s. 54-55). Pełna zgoda. Moim zdaniem umieszczenie akcji powieści na przełomie lat 1878 i 1879 ma swoją wymowę.

w kulturze Królestwa Polskiego rozpadł się w roku 1878 wraz z podpisaniem przez potęgę europejskie wieńczącego Wojnę Wschodnią traktatu berlińskiego, zapada się w niebyt cała nasza wyuczona chronologia „literatury okresu pozytywizmu”¹⁰. Co począć z powieścią realistyczną...? Co z naturalistyczną...? Co z sukcesą prądów i okresów literackich....? Czy dekadentyzm wyprzedzał „dojrzały realizm”, czy mu towarzyszył, czy też, jak ogólnie wiadomo, po nim następował...? Tu leżą głębokie źródła sprzeciwu Henryka Markiewicza, autora kanonicznego *Pozytywizmu*, wobec *Wojen domowych*.

Wiele szczegółowych zarzutów recenzenta sprowadza się, by tak rzec, do imputowania imputowania. Ja widzę i opowiadam, że coś w tekście jest. Henryk Markiewicz pokazuje, że nie ma.

Pisze recenzent:

Cała konstrukcja fabularna *Marty* Orzeszkowej pokazuje, że bohaterka nie może znaleźć czy utrzymać pracy albo dlatego, że nie ma profesjonalnego przygotowania, albo dlatego, że istnieje niechęć do zatrudniania kobiet w niektórych zawodach. Płachecki temu nie przeczy, ale twierdzi, że jeśli „potraktujemy rzecz tę poważnie, zobaczymy w tej powieści nie tylko i nie głównie zbeletryzowany głos w debacie feministycznej [...], lecz krytyczną diagnozę sytuacji na rynku pracy, w którym dla kobiet miejsc brak, to prawda, ze względu na zasadnicze luki w ich wykształceniu, ale też dlatego, że w gospodarczej rzeczywistości postyczniowej pracy generalnie nie ma” [...].¹¹

Po czym wywód Płacheckiego grzęźnie w wykładzie o kryzysie na rynku pracy. „Wszystko to prawda, ale są to informacje dopisane do powieści [...]”, bezlitośnie pointuje recenzent.

Na co odpowiem, że przecież w tekstach, jak rzecz się ma z *Martą*, skazanych na nieobliczalną cenzurę, całkiem często ważniejsze okazuje się to, czego w nich (dla cenzora i nieuważnych) nie ma, aniżeli to, co w nich (dla cenzora i każdego) jest, wyłożone na wierzch. Powieść Orzeszkowej od pokoleń pada ofiarą feministycznej fiksacji krytyków obu płci. Tymczasem w porządku myślowym tej niebywałej powieści zestawienie ludzie – kobiety jest równie ważne, jak mężczyźni – kobiety. Scena w sklepie bławatnym, z fruwającymi po ścianach zabójczo przystojnymi, a zarazem zniewieściałymi subiektami, znajduje swój odpowiednik w scenie z magazynem sukien, gdzie „pracownice są na swoich bieżących zadaniach skoncentrowane w stopniu graniczącym z histerią” (*Wojny...*, s. 428). Mamy też w powieści ojca „panny Emilii”, co po stracie urzędniczej posady, miast ochoczo

¹⁰ Cezura 1878 nie jest zresztą w tradycji badawczej niczym nowym, a w krytyce marksistowskiej była wręcz stałym źródłem zgryzoty. Próbowano sobie z nią radzić, a to wiążąc ją z przybyciem do Warszawy Ludwika Waryńskiego z sześcioma tysiącami broszur socjalistycznych pod pachą, a to z nagłą eksplozją industrializacji w Królestwie, a to wreszcie z przeobrażeniem afirmatywnego względem burżuazji pozytywizmu w krytyczny względem niej (i niego) realizm krytyczny – krytyczny wobec kapitalizmu.

¹¹ Poprawiam cytaty z *Wojen...*, nieznacznie w recenzji zniekształcony.

przystąpić do pracy gdzie indziej, z rozpaczny pochorował się biedaczysko i teraz wegetuje na pograniczu życia i śmierci (*Wojny...*, s. 415).

Tym razem także, wbrew wszelkim pozorom, nie idzie o seminaryjne kontrowersje wokół powieściowej i historycznej skali bezrobocia w Warszawie wczesnych lat 70. XIX wieku. Moja interpretacja odsłania w powieści daleko posunięty, niejawni acz dramatyczny, gdy zważyć, iż całość kończy się samobójstwem tytułowej postaci, sceptycyzm autorki wobec pozytywistycznej gloryfikacji pracy. Cóż mi po wezwaniach „praca i praca, najpierw i zawsze, pamiętaj: praca!”, skoro żadnej pracy zwyczajnie nie ma? Jakież jest rzeczywisty sens tych w nieskończoność powtarzanych przez „młodą prasę” apeli, jeśli nie zachęta, by wyzbywszy się zbędnych skrupułów szukać owej mitycznej pracy tam, gdzie ona rzeczywiście jest i czeka, to znaczy na rynku rosyjskim? Henryk Markiewicz najzwyczajniej konkluzji tej nie przyjmuje do wiadomości.

Podobnie zresztą, jak innych węzłowych tez książki. Wyliczając najpobieżniej:

- 1) Warszawscy pozytywiści, z którymi dziś wyłącznie kojarzymy hasło „pracy organicznej”, w istocie rzeczy postawili je na głowie, wbrew całej jego uprzedniej historii, sięgającej początków Towarzystwa Przyjaciół Nauk.
- 2) Spory o to, czy pozytywiści byli lojalistami, czy tylko legalistami, pozbawione są sensu, zważywszy na nieustanne fluktuacje obowiązującego w powstaniowym Królestwie Polskim systemu prawnego. Dopóki system ów trwał, dopóty nigdy wręcz nie można było z góry przewidzieć, co będzie legalne, to jest wedle arbitralnej decyzji urzędnika pomieścić się w granicach prawa, a co okazać się nielegalne i karalne.
- 3) Podobnie nikłą wartość mają sofistyczne wywody osłaniające redakcję „Przeglądu Tygodniowego” przed posądzeniem o panslawizm w roku 1876, skoro było to wówczas jedyne w Warszawie pismo cieszące się zezwoleniem władz na własne komentarze zagraniczne.
- 4) Przypuszczać, że po klęsce krwawego powstania jedynym problemem piszących do druku było omijanie surowych zakazów cenzuralnych, jest grubą naiwnością. Równie poważnym ograniczeniem było ciążenie opinii patriotycznej czy też skonfliktowanych wzajemnie kryteriów patriotycznej poprawności. O czym pamiętając, musimy dopiero uczyć się czytać w tekstach z epoki to, czego w nich nie zobaczymy, dopóki biegle nie rozpoznamy bieżącego kontekstu, w jakim funkcjonowały.
- 5) I wreszcie teza najważniejsza może. Historycy literatury krzątający się wokół twórczości lat 1864-1904 odruchowo przyjmują, że powstanie styczniowe odbyło się, dokonało i z miejsca przepadło w annałach narodowej historii. A potem możemy już tylko badać późniejsze postawy i oceny tradycji powstaniowej, tak jakby powstanie żadnych następstw psychicznych i społecznych nie zostawiło. Czemu nie mogę się dość nadziwić, widząc co dzieje we własnych zachowaniach i reakcjach czytelny ślad wojennej traumy odziedziczonej po rodzicach, którzy już od dawna nie żyją. Ślad czytelny po sześćdziesięciu sześciu latach. O tym też są *Wojny domowe*.

Abstract

Marian PLACHECKI

Warsaw School of Social Psychology

Going overboard

Marian Plachecki responds to Henryk Markiewicz's charges (cf. *Teksty Drugie*, 5/2010) with respect to his book *Wojny domowe. Szkice z antropologii słowa publicznego w dobie zaborów (1800-1880)* ['Civil Wars: Essays in Anthropology of the Public Word in the Age of Poland's Partitions (1800-1880)']. Plachecki approaches Markiewicz's commentary as the opening of a discussion on the critical condition of research on positivism in the history of Polish literature and culture. Ideological preferences continue to weigh down on current research; as a consequence, there appears an effort to justify 'the Left' at the expense of other actors on the public scene, which was extremely polarised following the events of the January Uprising. A historian's task is nonetheless to understand and demonstrate the quandaries of a dispute, rather than to solve it by indicating who was allegedly right.

Sprostowania

|

Redakcja przeprasza Pana Macieja Adamskiego za wydrukowanie niewłaściwej wersji jego artykułu *Nowy prototyp genologii* („Teksty Drugie” 2010 nr 4). Zgodnie z życzeniem Autora zamieszczamy poniżej list do redakcji.

Wrocław 5.01.2010
Szanowna Redakcjo!

W numerze 4 z roku 2010 „Tekstów Drugich” w dziale *Opinie* wydrukowano mój szkic pt. *Nowy prototyp genologii*. Z niezależnych ode mnie powodów do druku trafiła wstępna, prawie robocza, mocno prowizoryczna wersja artykułu. Tekst właściwy, który przeznaczyłem do publikacji, znacznie różniący się od wydrukowanego na łamach Waszego czasopisma, pozostaje własnością prywatnej lektury ledwie kilku osób (czy to uda się jeszcze zmienić?). Nie chcę tu zachwalać walorów, których Czytelnik nie będzie miał szansy zweryfikować – choć oceniam nieopublikowaną wersję artykułu jako lepszą – o kilku rzeczach napisać jednak muszę.

Tekst przeznaczony do druku (a nieopublikowany) jest mocno rozwinięty (dwa razy dłuższy), co wynika po części z podjęcia decyzji o zmianie konwencji, w jakiej jest napisany. O ile tekst, z którym zetknął się Czytelnik w nr 4 z 2010 r., jest rodzajem polemicznego i krytycznego szkicu napisanego prawie bez przywoływania konkretnych prac, na prawach przykładu uogólniającym poszczególne wypadki, o tyle wersja następna jest już analitycznym studium rozwijanym zgodnie ze sztuką badań materiałowych, przywołującym wprost i dokładnie miejsca krytykowane, ale – co może i ważniejsze – także podobne do mojej krytyki. Bibliografia zajęłaby zbyt wiele miejsca, przywołam tylko nazwiska badaczy, z prac których korzystałem: B. Witosz, A. Klawiter, M. Wojtak, R. Sendyka, K. Chmielewska, E. Filipczuk, E. Miczka, S. Wysłouch, J. Bobryk, A. Wierzbička, G. Kleiber, A. Zalewski, U. Eco, L. Wittgenstein, W. v. O. Quine, R. Langacker, B. Skarga, K. Bartoszyński, S. Skwarczyńska, I. Opacki, H. Markiewicz, P. Stockwell, M.P. Markowski, A.R. Wallace, B. Lewandowska-Tomaszczyk, D.S. Danaher, E. Balcerzan, A. Rejter, M. Mauss, E. Durkheim, G. Grochowski, Cz. Zgorzelski; wziąłem także pod uwagę dyskusję publikowaną w „Znaku” (1999 nr 11).

Szczególną uwagę chcę zwrócić na pracę Seweryny Wysłouch, która najszerzej i jako pierwsza poddała krytyce projekt genologii prototypowej (*Nowa genologia – rewizje i reinterpretacje* [w:] *Polonistyka w przebudowie. Literaturoznawstwo – wiedza o języku – wiedza o kulturze – edukacja*, red. M. Czermińska et al., t. I, Kraków 2005). Ona też pierwsza wydobyła z tekstu B. Witosz fragment (*Gatunek – sporny (?) problem współczesnej refleksji tekstologicznej*, „Teksty Drugie” 2001, nr 5, s. 75) cytowany także przeze mnie w publikowanej wersji bez podawania adresu.

Prosząc o publikację niniejszego listu w najbliższym numerze Waszego pisma, kończę myślą fatalną – padłem ofiarą prototypu własnego tekstu.

Szczęśliwego!
Maciej Adamski

||

W artykule Pani Katarzyny Bojarskiej *Sztuka niemożliwej możliwości* („Teksty Drugie” 2010 nr 5) omyłkowo rozwinęliśmy inicjały W.G. Sebald („Wydarzeniem fundującym pisarstwo Winfrieda G. Sebald jest...”, s. 164). Autor całe życie konsekwentnie podpisywał się W.G., a przyjaciele nazywali go Max. Przepraszamy.

Noty o autorach

Jerzy Bartmiński, prof. zw., pracuje w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej i w Instytucie Sławistyki PAN. Członek korespondent PAU. Zajmuje się etnolingwistyką, aksjologią, stylistyką i tekstologią. Autor ponad 500 artykułów naukowych, recenzji, haseł słownikowych. Redaktor wielu tomów zbiorowych. Autor koncepcji i redaktor *Słownika stereotypów i symboli ludowych* (t. 1: *Kosmos*, cz. 1: 1996, cz. 2: 1999). Założyciel i redaktor rocznika „Etnolingwistyka” (t. 1-22, 1988-2010), znajdującego się na polskiej „liście filadelfijskiej”. Wydał między innymi: *O języku folkloru* (1973), *O derywacji stylistycznej. Gwara ludowa w funkcji interdialektu poetyckiego* (1977), *Nazwiska obce w języku polskim* (z I. Bartmińską, 1978), *Folklor – język – poetyka* (1990), *Polskie kołędy ludowe* (2002), *Językowej obraz mira: oczerki po etnolingwistice* (2005), *Językowe podstawy obrazu świata* (2006), *Stereotypy mieszkają w języku* (2007), *Aspects of cognitive ethnolinguistics* (2009), *Tekstologia* (z S. Niebrzegowską-Bartmińską, 2009).

Tul’si Kamila Bhambry, pracuje w University of London. Urodzona w Warszawie w 1981 roku, wychowała się w Niemczech i Indiach. Studiowała literaturę angielską i francuską w Anglii i we Francji. Pracę magisterską w University of Cambridge poświęciła *Pornografii* Witolda Gombrowicza. Kontynuując badania nad twórczością tego autora, pisze pracę doktorską *Creativity and control. Towards a model of authorship in Witold Gombrowicz*.

Hanna Buczyńska-Garewicz, emerytowany profesor College of the Holy Cross (Worcester, Massachusetts, USA). Historyk filozofii i autorka wielu prac w tej dziedzinie. Ostatnio opublikowała m.in.: *Metafizyczne rozważania o czasie. Idea czasu w filozofii i literaturze* (2003), *Miejsca, strony, okolice. Przyczynek do fenomenologii przestrzeni* (2006), *Człowiek wobec losu* (2010).

Katarzyna Chmielewska, dr, adiunkt w Zespole Literatura i Konteksty Instytutu Badań Literackich PAN. Jej zainteresowania naukowe skupiają się wokół teorii

dyskursu, zagadnień autobiografizmu, teorii literatury oraz literatury współczesnej. Podejmowała zagadnienia dyskursu literackiego i estetyki historycznej, wielokrotnie odnosiła się też do kwestii dyskursu publicznego. Redaktorka „Bez Dogmatu”. Publikowała w „Tekstach Drugich”, „Pamiętniku Literackim”, „Midraszu”, „Res Publice Nowej” oraz „La Nouvelle Alternative”. Autorka książki *Strategie podmiotu. „Dziennik” Witolda Gombrowicza* (2010).

Michael C. Corballis, emerytowany profesor psychologii na Uniwersytecie w Auckland. Zajmuje się neurokognitystyką, wykorzystując m.in. narzędzia psychologii eksperymentalnej i obrazowania mózgu. Główne tematy jego zainteresowań to percepcja wizualna, pamięć, uwaga oraz asymetria funkcjonalna mózgu. Drugim obszarem badawczym, którym się zajmuje, jest ewolucja języka. Twórca hipotezy o pochodzeniu języków fonicznych od gestów manualnych. Współredaktor tomów: *Memory mechanisms. A tribute to G.V. Goddard* (1991), *The descent of mind. Psychological perspectives on hominid evolution* (1999). Współautor (z Ivanem L. Beale'em) książki *The psychology of left and right* (1976). Autor książek: *Human laterality* (1983), *The lopsided ape. Evolution of the generative mind* (1993), *From hand to mouth. The origins of language* (2002), *The recursive mind. The origins of human language, thought, and civilization* (2011).

Adam Dziadek, prof., pracuje w Zakładzie Poetyki Historycznej i Sztuki Interpretacji Uniwersytetu Śląskiego. Ostatnio opublikował: *Na marginesach lektury. Szkice teoretyczne* (2006), *Obrazy i teksty. Interferencje i interpretacje* (2007). Wydawca *Wyboru wierszy Aleksandra Wata* w serii BN (2008). Swoje rozprawy ogłaszał w „Pamiętniku Literackim”, „Tekstach Drugich” i „Przestrzeniach Teorii”. Tłumacz prac Rolanda Barthes'a, Jacques'a Derridy, Jean-Luca Lancy, Marca Augé oraz książki Marii Delaperriere *Polskie awangardy a poezja europejska* (2004).

Clifford Geertz (1926-2006), znakomity amerykański antropolog, wykładał na uniwersytetach w Chicago i Princeton. Był przedstawicielem antropologii interpretatywnej, w której główny nacisk pada na samego badacza oraz zbiór jego doświadczeń. W języku polskim ukazały się następujące jego prace: *Dzieło i życie. Antropolog jako autor* (2000), *Zastane światło. Antropologiczne refleksje na tematy filozoficzne* (2003), *Wiedza lokalna. Dalsze eseje z zakresu antropologii interpretatywnej* (2005), *Interpretacja kultur. Wybrane eseje* (2005), *Negara. Państwo-teatr na Bali w XIX wieku* (2006).

Wincenty Grajewski, prof., pracuje w Zakładzie Poetyki, Teorii Literatury i Metodologii Badań Literackich na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Tłumacz Lacana, Bachtina, Lévi-Straussa i in. Ostatnio opublikował książkę *Maszyny dialogowe. Szkice teoretycznoliterackie* (2003).

Grzegorz Grochowski, dr, adiunkt w Pracowni Poetyki Teoretycznej Instytutu Badań Literackich PAN. Zajmuje się poetyką i analizą dyskursu. Autor książki *Tekstowe hybrydy. Literackość i jej pogranicza* (2000). Współautor *Słownika pojęć i tekstów kultury* (2002). Tłumacz pracy zbiorowej *Dyskurs jako struktura i proces* pod red. T. van Dijka (2001). Członek kolegium redakcyjnego „Tekstów Drugich”.

Daniel Heller-Roazen, prof., pracuje w Princeton University. Z wykształcenia filozof, germanista i komparatysta. Redaktor jednego z angielskich wydań *Baśni z tysiąca i jednej nocy*, tłumacz dzieł Giorgia Agambena. Autor książek *Fortune's faces. The „Roman de la Rose” and the poetics of contingency* (2003), *Echolalias. On the forgetting of language* (2005), *The inner touch. Archaeology of a sensation* (2007), *The enemy of all. Piracy and the law of nations* (2009). Obecnie pracuje nad książką o harmonii.

Wacław Wsiewołodowicz Iwanow, prof., 21 sierpnia tego roku będzie obchodzić 82 urodziny. Członek Rosyjskiej Akademii Nauk. Do dziś współpracuje z Rosyjskim Państwowym Uniwersytetem Humanistycznym w Moskwie (RGGU), Uniwersytetem Moskiewskim im. M. Łomonosowa oraz Department of Slavic Languages and Literatures and Program of Indo-European Studies w University of California. Znany na całym świecie współtwórca moskiewsko-tartuskiej szkoły semiotycznej, wszechstronny i oryginalny uczony, organizator nauki, poeta, tłumacz. Jego i Władimira Toporowa badania nad mitologią słowiańską są nieprzeciętnym wzorem precyzji i głębi. Studia nad językami indoeuropejskimi (debiutował książką o hetyckim) podsumowało, ale nie zamknęło, monumentalne dzieło *Język indoeuropejski i indoeuropejczycy* (1984), którego współautorem jest znakomity gruziński lingwista Tamas Gamkrelidze. Wiele prac poświęcił literaturze, zwłaszcza Pasternakowi i Chlebnikowowi. Świetnie obznajomiony z tradycją rosyjską (prace o Bachtinie, Eisensteinie, Florenskim, Wygotskim i wielu innych), wprowadzał też do nauki rosyjskiej dorobek myśli zachodniej, na przykład Levi-Straussa, Hocarta, Dumezila. Idee naukowe Iwanowa odznaczają się niespotykaną interdyscyplinarną śmiałością, jego program edukacyjny, który próbuje realizować kierowana przez niego Rosyjska Szkoła Antropologii RGGU, może być wzorem tego, co Michel Serres nazwał „trzecim wykształceniem” przewyższającym opozycję „dwóch kultur” – naukowej i humanistycznej. Jest cenionym poetą i zasłużonym tłumaczem, także z polskiego. Kilkakrotnie odwiedzał Polskę i wzruszająco o tym w swoich wspomnieniach pisał. Nieliczne polskie przekłady tekstów Iwanowa, rozproszone w czasopiśmie i antologiach, dają tylko częściowe wyobrażenie o dziele tego giganta myśli i erudycji.

Katarzyna Kaczmarczyk, absolwentka filologii polskiej i studentka japonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się semiotyką, neurosemiotyką i narracyjnością, zwłaszcza ogrodów, zbaczając od czasu do czasu w stronę estetyki i neuro-

estetyki. Pracuje nad doktoratem na temat narracji w ogrodach.

E-mail: kasiakaczmarczyk@o2.pl

Danuta Kądziaława, prof. zw., neuropsycholog. Kierownik Katedry Neuropsychologii na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, a dodatkowo, w ramach tej katedry, kierownik Pracowni Neuropsychologii Klinicznej. Członek Komitetu Psychologii PAN i Komitetu Nauk Psychologicznych PAN. W ostatnich latach koncentruje się na dwu grupach zagadnień: 1) diagnoza i rehabilitacja neuropsychologiczna; 2) neuropsychologiczne charakterystyki doświadczeń obozowych w narracjach byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Ostatnio opublikowała: *Rehabilitacja osób z uszkodzeniami lewostronnymi mózgu* (w: *Wybrane zagadnienia rehabilitacji neuropsychologicznej*, red. E. Łojek, A. Bolewska, 2008); (z H.K. Ulatowską, H. Sadowską) *Mental representation of Auschwitz experience. The perspectives of child and adult survivors* (w: *Beyond camp and forced labor. Current international research at survivors of nazi persecution*, ed. J.-D. Steinert, J. Weber-Newth, 2008); *Neuropsychologia* (w: *Podstawy psychiatrii*, red. J. Rybakowski i in., 2010); *Auschwitz-Birkenau – miejsce pamięci – w narracjach członków Stowarzyszenia Więźniów – Byłych Dzieci Hitlerowskich Obozów Koncentracyjnych* (w: *Neuropsychologia a humanistyka*, red. M. Pąchalska, G.E. Kwiatkowska, 2010).

Jan Kordys, prof. w Pracowni Poetyki Teoretycznej i Języka Literackiego Instytutu Badań Literackich PAN. Stypendysta Andrew W. Mellon Foundation – Maison des Sciences de l’Homme. Współzałożyciel (razem z antropologiem Paulem Jorionem) grupy badawczej „Théorie et Clinique des Pathologies de la Pensée” (Paryż). Uczestniczył w badaniach nad zaburzeniami dyskursu narracyjnego w afazji. W latach 1998-2007 prowadził seminaria w Szkole Nauk Społecznych przy IFiS PAN. Publikacje: *Mózg i znaki* (1991), *Kategorie antropologiczne i tożsamość narracyjna. Szkice z pogranicza neurosemiotyki i historii kultury* (2006).

William Leidy, doktorant na wydziale sławistyki Stanford University. Pisze rozprawę doktorską na temat „skandalu charyzmatycznego” w literaturze oraz w środowisku literackim. Obecnie przygotowuje artykuł o „typie podziemnym” u Dostojewskiego.

Henryk Markiewicz, emerytowany profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności. Autor prac z zakresu historii literatury polskiej: *Pozytywizm* (1978); teorii literatury i metodologii badań literackich: *Główne problemy wiedzy o literaturze* (1965), *Wymiary dzieła literackiego* (1984); historii krytyki literackiej – *Teorie powieści za granicą* (1995) i nauki o literaturze – *Polska nauka o literaturze* (1981), 6 tomów Prac wybranych (red. S. Balbus, 1995-). Ostatnio wydał: *Dialogi z tradycją. Rozprawy i szkice histo-*

Noty o autorach

rycznoliterackie (2007), *Utarczki i perswazje: 1947-2006* (2007), *Żartem i pół serio* (2008), *Jeszcze dopowiedzenia. Rozprawy i szkice z wiedzy o literaturze* (2008), *Od Tarnowskiego do Kotta* (2010), *Mój życiorys polonistyczny z historią w tle* (2011).

Maciej Mroziak, dr, adiunkt w Pracowni Poetyki Teoretycznej i Języka Literackiego w Instytucie Badań Literackich PAN. Zajmuje się przede wszystkim twórczością Vladimira Nabokova, poetyką prozy, narratologią, pograniczem językoznawstwa i teorii literatury. Publikował m.in. w „Tekstach Drugich”, „Tekstualiach”, „Stylistyce”.

Michał Mrugalski, dr, adiunkt w Zakładzie Poetyki, Teorii Literatury i Metodologii Badań Literackich Uniwersytetu Warszawskiego, związany z Korespondencyjnym Uniwersytetem Muri im. Franza Kafki. Obecnie pracuje nad książką o niemieckich teoriach tragedii greckiej i ich polskim refleksie.

E-mail: mmrugalski.uw.edu.pl

Gloria Streit Olness, dr, pełni funkcję Assistant Professor w University of North Texas. Zajmuje się neurologiistyką, a zwłaszcza studiami nad afazją. Opublikowała m.in.: (z H.K. Ulatowską, C.L. Hillem i in.) *Repetition in narratives of African Americans. The effects of aphasia* („Discourse Processes” 2010 vol. 30); (z H.K. Ulatowską, L.J. Williamsem-Hubbardem i in.) *Holistic assessment of narrative quality. A social validation study* („Aphasiology” 2005 vol. 19); (z S.E. Mattesonem i C.T. Stewartem) „*Let me tell you the point*”. *How speakers with aphasia assign prominence to information in narratives* („Aphasiology” 2010 vol. 24).

Pierre-Yves Oudeyer, aktualnie pracuje w Institute National de Recherche en Informatique et en Automatique w Bordeaux, gdzie realizuje Starting Grant przyznany przez European Research Council. Ekspert z zakresu robotyki i automatyki. Autor książki *Self-Organization in the evolution of speech. Studies in the evolution of language* (2006); współautor tomów zbiorowych i artykułów naukowych dotyczących mechanizmów, które umożliwiają człowiekowi i robotom rozwijanie zdolności percepcyjnych, motywacyjnych, behawioralnych i społecznych wpływających na reprezentacje kulturowe i interakcje.

Strona domowa autora: <http://www.pyoudeyer.com/>

Marian Płachecki, prof., pracuje w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. Jego zainteresowania koncentrują się na patologii życia publicznego w wieku XIX i współcześnie. Interdyscyplinarną dziedzinę badań, jaką uprawia od roku 1976, dziś chciałby nazywać antropologią słowa publicznego; chodzi w niej o zrekonstruowanie kształtującego wpływu przekazów publicznych – w tym literatury – na uczestnictwo w kulturze danego miejsca i czasu. Praktyczną demonstracją

takiego podejścia jest jego książka *Wojny domowe. Szkice z antropologii słowa publicznego w dobie zaborów (1800-1880)* (2009).

Maria Prussak, prof., pracuje w Ośrodku Krytyki Tekstu i Edytorstwa Naukowego Instytutu Badań Literackich PAN. Zajmuje się edytorstwem naukowym oraz historią dramatu i teatru. Ostatnio opublikowała książkę *Czy jeszcze słyszać głos romantyzmu* (2007). Uczestniczyła w ukończonych już pracach nad edycją *Listów do Adama Mickiewicza*. Zajmuje się rosyjskim okresem życia i twórczości Mickiewicza oraz edycją tomu zawierającego krótkie francuskie teksty poety. Tom ten zainauguruje krytyczne edycje tekstów literatury XIX wieku.

E-mail: maria.prussak@gmail.com

Agata Przybylska, dr, historyk literatury, mieszka w Krakowie. Zainteresowania badawcze: relacje między literaturą, filozofią a teologią mistyczną, antropologią kulturową a literaturą, wiedzą o językowym obrazie świata a glottodydaktyką. Autorka monografii: *Samotność możliwa w człowieku. Mistyka „Poezji i dramatów” Karola Wojtyły* (2002) oraz kilkunastu artykułów naukowych i recenzji publikowanych m.in. na łamach „Znaku”, „Ruchu Literackiego” i „Tygla Kultury”.

Hanna K. Ulatowska, profesor Communication Sciences and Disorders w School of Behavioral and Brain Sciences (University of Texas, Dallas). Wybitna specjalistka w zakresie neurolingwistyki. Zajmuje się przede wszystkim dyskursem pacjentów z afazją, demencją i osób starszych. W 2010 roku otrzymała Copernicus Prize, nagrodę przyznaną przez Polskie Towarzystwo Neurolingwistyczne. Ostatnio opublikowała m.in.: (z M. Sadowską i D. Kądziaławą) *Out of darkness cometh light [Światłość w ciemności świeci]* („Pro Memoria” 2005 t. 22 nr 2); (z G.S. Olness) *Pragmatics and discourse* („Seminars in Speech and Language” 2005); *Journey through narratives. The unexpected vistas* (w: *Studies in the psychology of language and communication*, ed. B. Bokus, 2010).

Anna Wierzbicka, profesor językoznawstwa w Australian National University (Canberra). Jest absolwentką Uniwersytetu Warszawskiego, a doktorat i habilitację uzyskała w Instytucie Badań Literackich PAN. Członek Polskiej Akademii Umiejętności, Rosyjskiej Akademii Nauk, Australian Academy of the Humanities i Australian Social Sciences Academy. Jest laureatką Nagrody Humboldta (1994), Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej (2010) i Nagrody im. Dobruszyna (2010). Opublikowała ponad dwadzieścia książek i kilkadziesiąt artykułów naukowych. Jej zainteresowania naukowe poza językoznawstwem obejmują wiele innych dziedzin, m.in. antropologię i psychologię kulturową. W Polsce wydała m.in. następujące książki: *Język – umysł – kultura* (1999), *Co mówi Jezus? Objasnianie przypowieści ewangelicznych w słowach prostych i uniwersalnych* (2002), *Sło-*

Noty o autorach

wa klucze. Różne języki – różne kultury (2008); *Semantyka. Jednostki i uniwersalia* (2006, wyd. II 2010).

Grzegorz Wołowiec, dr, adiunkt w Zespole Literatura i Konteksty Instytutu Badań Literackich PAN. Zajmuje się życiem literackim Polski Ludowej oraz problemem tzw. rozliczania się polskich pisarzy i, szerzej, polskiego społeczeństwa z komunizmem. Autor licznych artykułów w pismach naukowych i tomach zbiorowych oraz książki *Nowocześni w PRL* (1999).

Agnieszka Wróbel, doktorantka w Instytucie Badań Literackich PAN. Absolwentka polonistyki UW i Gender Studies IBL PAN. Obecnie przygotowuje pracę poświęconą problematyce płci i narodu w polskich androtekstach okresu powojennego.

Paweł Zajas, prof., pracuje w Instytucie Filologii Angielskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Badacz stowarzyszony (*research fellow*) University of Pretoria (RPA). Zajmuje się teoriami i literaturami postkolonialnymi, antropologią i socjologią literatury oraz propagandą kulturową. Autor książki *Postkolonialne imaginarium południowoafrykańskie literatury polskiej i niderlandzkiej* (2008). W 2011 roku ma się ukazać jego kolejna książka: *Jak świat prawdziwy stał się bajką. O literaturze niefikcjonalnej*.